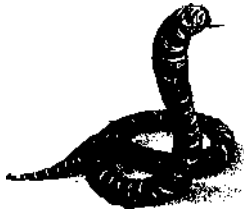


Kuki Gallmann  
MARZYŁAM  
O AFRYCE

Przełożyła Izabela Szyszkowska-Andruszko



ZYSK I S-KA

*Pamięci Paola i Emanuela*

Nadzieja, która jest zawsze o krok przed cieniem snu...

John Keats, *Emlymion*

(przekł. Mirosław Gryka)

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym opowiedzieć wam swoją historię. Jeśli znajdziecie w sobie tyle cierpliwości, by przeczytać ją do końca, zrozumiecie, dlaczego ją napisałam, choć oznaczało to ujawnienie intymnej, głęboko ukrytej strony mojego życia wielu ludziom, w większości mi nie znanym.

Miałam tyle do powiedzenia, że bez pomocy przyjaciół nigdy nie zdołałabym mojej książki ukończyć. Przewoziłam na jej kartach wyrażam swoją ogromną wdzięczność, jaką wobec nich odczuwam. Przede wszystkim pragnę podziękować:

Adrianowi House'owi, który jako pierwszy zachęcił mnie do pisania po angielsku, za jego wielkoduszność, bezwzględny krytycyzm i za to, że poświęcił mi swój czas i przyjął ode mnie butelkę ouzo.

Aino Block, Carol Byrne, Amedeo i Josephine Buonajutum, Rocky'emu Francombe, Hilary Ruben, Johnowi i Buffy Sacherom za przeczytanie mojego rękopisu; oraz Orii i Iainowi Douglas-Hamiltonom, za szczególną rolę, jaką odegrali w mojej opowieści.

Toby'emu Eady'emu za to, że zgodził się zostać moim „bratem”.

Mehmoodowi Quraishy'emu, za znakomitą pracę nad moimi starymi fotografiami.

Cecilii Wanjiru, Simonowi Itotowi i wszystkim moim przyjaciołom z Laikipii i Nairobi za to, że w chwilach smutnych i radosnych opiekowali się mną i moją córką, czyniąc to z wielką miłością i lojalnością.

I wreszcie dziękuję mojej córeczce Svevie, za to, że przez wiele miesięcy cierpliwie znosiła mnie i godziła się dzielić swoje dzieciństwo i swoją matkę z komputerem i stosami papieru.

*18 sierpnia 1990*



## PROLOG

Pieśń zmarłych przyjaciół, czasów minionych,  
dzieci, co wyrosły i odeszły...

Lyall Watson, *Gift of Unknown Things*

(przekł. Mirosław Gryka)

Gdy na trawy sawanny kładą się smugi srebra i blada złocistość obrębia zarysy wzgórz, jeżdżę z moimi psami nad Mukutan, by o tej porze dnia popatrzeć na słońce zachodzące za jeziorem i na wieczorne cienie opadające na doliny i równiny płaskowyżu Laikipia.

Tam, na najdalszym krańcu Wielkiego Rowu, niczym strażnik u bram, stoi akacja poskręcana przez odwieczne wiatry. Ta akacja jest moją przyjaciółką i siostrą. Tu odpoczywam, oparta o jej pień, łuskowaty i szary jak trąba starego, mądrego słonia. Patrzę w górę przez gałęzie, które jak ramiona wyciągają się do afrykańskiego nieba. Ciemność zapada szybko, głęboka czerwień przechodzi w fiolet, płat białego księżycyca szybuje nad horyzontem. Ostatni orzeł powraca do gniazda na stromych klifach. Wieczysty wiatr niesie z wąwozu szelest liści i umykających węży, trele drzewnych rzekotek. Słysząc nawoływania pierwszych nocnych ptaków, prychnanie bawołów, krzyk pawianów i zgrzytliwy kaszel lamparta.

Europa jest daleka i obca. Czy Wenecja istnieje naprawdę, a wieczorna mgła z uśpionych kanałów unosi się nad pałacami? Czy jaskółki wciąż śmigają do swoich gniazd pod okapami opuszczonego domu mego

dziadka w Veneto? I czy ten samochód naprawdę wpadł w poślizg owej letniej nocy na skraju laguny?

Pisk hamulców ocucił mnie. Odzyskałam świadomość. Gwiazdy zdawały się małe i odległe. Trawa była mokra od nocnej rosy. Świerszcze przerwały cykanie. W ciszy słyszałam tylko ciężkie oddechy i zawodzenie, które wkrótce ustało. Prawa strona mojego ciała była wilgotna i lepka. Dotknęłam ręką sukienki i mimo mroku rozpoznałam, że była przesiąknięta krwią, która spływała z ust mężczyzny leżącego na moim ramieniu. Cicho wypowiedziałam jego imię, nie odezwał się, był nieprzytomny. Z tego stanu miał się obudzić dopiero sześć miesięcy później. Wtedy myślałam, że umiera.

Nie czułam bólu, tylko pulsujące odrętwienie w lewej nodze. Kiedy dotknęłam jej palcami, w miejscu biodra poczułam żywą, nabrzmiałą miazgę. Prawe udo również było roztrzaskane. Jako córka chirurga wiedziałam, że upłynie wiele czasu, zanim będę chodzić, o ile w ogóle kiedykolwiek stanę na nogach. Ironią losu było to, że do wypadku doszło, gdy jechaliśmy na tańce.

Najbardziej martwiłam się tym, że nikt nas nie znajdzie. Nie widziałam ani samochodu, ani drogi. Nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy. Wiedziałam tylko, że mój przyjaciel umiera, a Mariangela... jej biała sukienka była niemal przezroczysta w bladym świetle gwiazd... Słyszałam jej ciche pojękiwanie. Wołałam do niej, ale nie odpowiadała. Rozmawialiśmy w chwili wypadku, kiedy to poraziły nas oślepiające światła ciężarówki i nasz kierowca stracił panowanie. Samochód uderzył w drzewo a nas wyrzuciło na pole obsiane lucerną.

Po jakimś czasie usłyszałam nadjeżdżający samochód... Głosy, krzyki przerażenia...

— Tu! — zawołałam najgłośniejszym głosem. — Jest nas tutaj troje!

Pierwsza znalazła nas Chiara. Przyjaciele jechali za nami drugim samochodem. Po wspólnej kolacji wybieraliśmy się do nocnego klubu na wolnym powietrzu. Było lato, a my byliśmy młodzi.

Zobaczyłam jej szczupłe stopy, sunące ostrożnie po trawie. Była boso. Ilekroć coś nią wstrząsnęło, w nieświadomym odruchu zrzuciła pantofle. Spokojna i zrównoważona, arystokratyczna Chiara, którą wszyscy szanowaliśmy i kochaliśmy...

— Straciłam biodro, ale to nic! Zobacz, co z Mariangelą... i z nim. Nie odpowiadają! — Głowa nieprzytomnego przyjaciela ciążyła mi na ramieniu. — Zaczekam na karetkę. Nie pozwól nas ruszać!

Później zastanawiałam się, jak w takiej chwili mogłam zachować zimną krew. Miałam tylko jedną myśl — opanować się! Nie wiedziałam jeszcze, że ta nowo odkryta zdolność będzie poddawana wielu dramatycznym próbom. Wciąż na nowo.

Chiara chciała dać mi swój sweterek, bo pod wpływem szoku zaczęłam się trząść. Odmówiłam. Patrzyłam, jak podchodzi do nieruchomej Mariangeli... Po chwili wróciła do mnie i z jej twarzy wyczytałam, co się stało. Okryła mnie troskliwie sweterkiem i powiedziała:

— Jej już nie będzie potrzebny.

W ten sposób dowiedziałam się, że żona Paola nie żyje.

Sam Paolo był ciężko ranny. Miał złamaną szczękę i kilka kręgow, a pęknięte żebro przebiło mu płuco. Znalezione go nieprzytomnego na drodze. Leżał w kałuży krwi. Po kilku dniach odkryto też, że ścięgno wskazującego palca zostało przecięte. Niestety, było już za późno, by cokolwiek na to poradzić. Tak więc do końca życia ten palec miał pozostać zakrzywiony jak haczyk.

O tym co się zdarzyło, Paolo miał się dowiedzieć dopiero po kilku tygodniach. Od owej ciepłej czerwcowej nocy nasze losy: moje, Paola i jego dwóch córek spłotyły się na zawsze. Przez tę absurdalną tragedię!

Czekając na przyjazd jedynej karetki z małego nadmorskiego uzdrowiska, odczuwałam żal i ból z powodu tego co się stało. Jednak przede wszystkim żal mi było Paola — ucierpiał nie tylko fizycznie.

Utracił żonę, a dwie jego córki zostały bez matki. To on wtedy prowadził samochód.

Łóżko było twarde. Promieniujący z nogi ból ogarniał całe ciało i wysłał mnie niczym wir.

Usłyszałam modlitwę w obcym, lecz znanym mi języku:

— *Ego te absolvo ab peccatis tuis.*

Spróbowałam otworzyć oczy. Ostre światło nad głową oślepiło mnie. Poczułam woń kadzidła. Pochylony nade mną ksiądz udzielał mi ostatnich sakramentów. Zamrugałam powiekami. To chyba nie działa się naprawdę. To jakaś pomyłka. Przecież żyłam, chciałam żyć.

— Oszczędź mi tych modlitw, ojczy — powiedziałam z wściekłością. Próbowałam usiąść, lecz bez skutku. — Ja jeszcze nie umieram! Jeszcze nie nadszedł mój czas!

Krzyczałam. Sucha dłoń w geście pokrzepienia dotknęła mojego czoła. Poczułam ukłucie igły w ramię i niemal natychmiast pogrążyłam się w sennym odrętwieniu. Jak przez mgłę dobiegał mnie chrapliwy, ciepły głos, który rozpoznałabym wszędzie:

— Wyzdrowiejesz, Kuki.

Spojrzałam w górę. Zza grubych szkielek spoglądały na mnie poważne, zielone oczy, oczy mojego ojca. Byłam bezpieczna.



**CZĘŚĆ I**

***Przedtem***

## 1. Dziecko Italii

Nauczyłam się czegoś, o czym powinien wiedzieć każdy marzyciel — że żaden horyzont nie jest aż tak daleko, by nie można go było przekroczyć...

Beryl Markham, *West with the Night*

Moje pierwsze wspomnienie o ojcu to obraz młodego szczupłego mężczyzny o prostym nosie, pięknych ustach, czarnych włosach i szarzielonych oczach pobłyskujących za okularami. Ubierał się w dziwaczne zielonkawe spodnie i koszulę z jakimiś złotymi gwiazdkami i ptaszkami. Pamiętam, jak się wstydziłam, że mój tata — w przeciwieństwie do wszystkich innych mężczyzn w naszym domu — nie nosił marynarki. To, że oni byli starzy, a on młody nie miało znaczenia dla mojego dziecięcego poczucia stosowności. W tamtych czasach wszyscy mężczyźni, nawet na wsi i nawet z rana, nosili marynarki i krawaty.

Trwała wojna i, by uniknąć bombardowań w mieście, przenieśliśmy się do wsi położonej wśród wzgórz Veneto. Zamieszkaliśmy w wiejskim domu dziadka, przylegającym do jego fabryki jedwabiu. Przebywałam tam z matką oraz jej rodziną, która składała się wyłącznie z kobiet i starych mężczyzn. Wszyscy młodzi poszli na front. Byłam rozpieszczoną małą dziewczynką, wścibską i nieustannie szukającą przygód. Byłam w domu jedynym dzieckiem, toteż wszyscy poświęcali mi mnóstwo czasu i uwagi. W owych dniach grozy stanowiłam dla nich nadzieję na przyszłość. Wzrastałam w świetle troskliwych dorosłych, otoczona ich miłością i dobrocią, w wielkim poczuciu bezpieczeństwa.

Z okresu wojny zapisał się w mojej pamięci moment, gdy ktoś niósł mnie do schronu przeciwlotniczego na końcu ogrodu. Obok biegli inni, spoglądając z przerażeniem w nocne niebo. Nad nami, ze straszliwym hukiem, przemieszczały się w ciemnościach jakieś małe, czerwone i zielone światełka. Pamiętam też rozmowy, jakie toczono przy mnie o ojcu i obawach co do jego losów. Jako spadochroniarz i lekarz-oficer walczył gdzieś na wojnie, w którą nie wierzył. Kiedy wojna domowa podzieliła Włochy, ojca wysłano na wolne jeszcze południe. Lecz za namową oficera British Intelligence Service zgodził się wrócić na front północny, w góry wokół Udine, które znał jak własną kieszeń. Będąc zapalonym alpinistą, jak wszyscy jego przodkowie z Val D'Aosta, już jako jedenasto-, dwunastoletni chłopiec uprawiał samotną wspinaczkę.

Z ciepłego wybrzeża Apulii, gdzie powietrze było jak balsam, ojciec mój został przetrzucony na spadochronie w jesienną noc na wzgórze Col Di Luna w północnych Włoszech. Tam znów miał walczyć w piekle wojny. Przez blisko dwa lata przebywał w górach Friuli, gdzie wiódł swobodny, lecz samotny żywot partyzanta. Głodował i marzył w stodółkach. Nękał wroga i sam był nękany. Patrzył na zniszczenia i umierających przyjaciół. Aż pewnego dnia został schwytany przez członków skrajnie prawicowego skrzydła partii faszystowskiej, osławionej Decima Mas. Wtrącono go do ponurej katowni w Zamku Conegliano, gdzie więźniów poddawano okrutnym torturom i skąd nikt nigdy żywy nie wyszedł. Ojcu się udało. Na wieść o tym, że koniec wojny jest bliiski, a dni więźniów policzone, pewnej nocy podjął wraz z przyjacielem próbę ucieczki. Tymczasem matka, zaalarmowana przez informatora, tej samej nocy zaniósła mnie przez las do klasztoru, gdzie znalazłyśmy schronienie.

Zdążyła w samą porę. Faszyci z zemsty za ucieczkę ojca przyszli zabrać mnie i moją matkę. Nie zastawszy nas, wzięli dziadka, którego później wypuścili.

Wojna dobiegała końca. W owych dniach czuło się w powietrzu jakieś napięcie, które świetnie rozpoznawałam swoimi wyostrzonymi zmysłami. Przysłuchując się ciągłym rozmowom dorosłych o ojcu, którego nigdy nie widziałam, wyobrażałam go sobie jako nieuchwytnego

bohatera i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek go poznam.

Aż pewnego dnia zjawił się. Wrócił w mundurze aliantów, w towarzystwie Anglika o dziwnie brzmiącym nazwisku Nicholson. Potem okazało się, że był to jego wojenny pseudonim, gdyż naprawdę nazywał się Roworth. Od niego dostałam pierwszy w życiu czekoladowy batonik, jemu też zawdzięczam przydomek „Cookie”. Ojciec przywiózł z sobą puszki skondensowanego mleka, które lubiłam, i obrzydliwą wołowinę konserwową. Smak metalu i tłuszczu drażnił moje wrażliwe podniebienie.

Wraz z powrotem ojca i innych, którzy przetrwali, uliczki we wsi i nasz dom nagle zaroily się od młodych mężczyzn. Czuło się atmosferę euforii. W wiosenne wieczory ludzie śpiewali i tańczyli na ulicy, a głos mojego ojca brzmiał czysto i niósł się wysoko w nostalgicznych pieśniach partyzantów. Matka często się śmiała — oczekiwała drugiego dziecka. Wraz z zakończeniem wojny, po której zapanowała radość i pokój, moje życie zmieniło się.

Ojciec posiadał wspaniały dar przekonywania, że zawsze i wszędzie czeka nas jakaś przygoda, coś, co trzeba tylko odkryć, jeśli znajdziemy czas, i odwagę, by rzucić się w jej wir. Jego energia i życiowy dynamizm pobudzały mnie i inspirowały. Dzięki niemu pojęłam, że możliwości człowieka są nieograniczone. Odczuwałam gorące pragnienie przygody i, jak on, nigdy nie zaznałam ani chwili nudy.

Ojciec kochał przyrodę, wszystkie stworzenia dzikie i oswojone. Nie mógł ścierpieć okrucieństwa wobec zwierząt. Te same uczucia zaszczerpił we mnie. Kiedyś znalazł niegroźnego zaskrońca, którego ostrze kosiarki przecięło niemal na pół. Postanowił go pozszywać i nalegał, bym asystowała mu podczas zabiegu, chciał bowiem pomóc mi pokonać naturalne uczucie wstrętu. Później wykupił liska i małego koczodana ze sklepu zoologicznego. Zwierzątka, wystawione na obojętność przechodniów, żyły tam jak w więzieniu. Pamiętam mały, ciekawski, rudy pyszczek z wąsikami, który wyglądał z fałd zimowego pałta taty. Małpka stała się dla nas prawdziwym zagrożeniem. Była zaborcza wobec

ojca i zazdrosna o wszystkie kobiety. Wiosną zabierałam ją do szkoły, gdzie podczas godzin lekcyjnych przesiadywała na pobliskim drzewie, szydząc sobie z uczniów ku radości woźnego. Człowiek ten otaczał naszą pupilkę prawdziwą opieką, gdyż kochał wszystko, co miało jakiś związek z Afryką. W młodości służył jako żołnierz w Somalii, gdzie znalazł sobie piękną narzeczoną, ale utracił zarówno ją, jak i marzenia o spokojnym życiu, gdy po okresie służby odprawiono go do kraju.

W naszym domu zawsze były jakieś zwierzaki. Oboje rodzice uwielbiali zwłaszcza psy, a przede wszystkim foksteriery. Małe i zwarte, odważne i inteligentne foksteriery miały niewielkie pojęcie o swych niepozornych rozmiarach, rekompensując je agresywnym i popędliwym charakterem. Wymagały nieustannego ruchu, toteż ojciec co wieczór wyprowadzał je na spacer, w których zazwyczaj mu towarzyszyłam.

Gdy dzień się nachylał, gdy nietoperze latały nisko, a szczekanie naszych psów ścigających kota lub szczura wodnego słabło w oddali, przechadzałam się u boku mojego ojca. W półmroku rozmowa przychodziła łatwo, a moja młodość, różnica dzielących nas lat, nie miała znaczenia. Niektóre z tamtych rozmów o zachodzie słońca wryły się w mojej pamięci na zawsze. Podobnie, jak te szczególne chwile, których będę zawsze strzec jak skarbu, na przykład wówczas, gdy wracał do domu z książkami dla mnie.

— Kuki ! — wołał z korytarza. — Chodź i wybierz sobie książkę. — A ja z uczuciem nieopisanej radości biegłam mu na spotkanie.

I na posadzkę z szarego marmuru wysypywały się z otwartej walizki woluminy, starannie dobrane przez antykwariusza, którego ojciec kiedyś wyleczył z kamieni nerkowych.

Kiedy w beładnie porzrucanej stercie znalazłam już książkę, która interesowała mnie najbardziej, tata mówił mi kilka słów o jej treści, stylu i autorze. W kwestii lektur pozostawiał mi absolutną swobodę, pozwalając wybierać wszystko, co chciałam, bez względu na mój wiek. Dzięki temu bez żadnego wysiłku przyswoiłam sobie rozległą, choć nie uporządkowaną wiedzę o literaturze i poezji w wieku, w którym większość dzieci koncentruje się na komiksach i powieściach. Późne dzieciństwo i

wczesną młodość spędziłam, pochłaniając wszelkie książki, jakie wpadły mi w ręce — od Edgara Allana Poe'go po Boccaccia, od Marka Twaina po Victora Hugo czy Ibsena, od Hemingwaya po Machiavellego, od Safony po Saint-Exupéry'ego i Byrona, poprzez Tołstoję, Leopardiego do Lamartine'a. Jedyne warunki, jaki stawiał ojciec, była jakość, i zawsze będę mu wdzięczna za to, że kształtował mój gust wedle własnych wysokich wymagań. Do grona jego przyjaciół należało wielu pisarzy i artystów, a nasz dom zawsze stał przed nimi otworem. Uwielbiałam przysłuchiwać się ich rozmowom.

Kochałam poezję, byłam zafascynowana jej harmonijnym rytmem. Często z ojcem recytowaliśmy dzieła włoskich klasyków, których wersety wciąż drzemią w mej podświadomości. Do dziś, pod wpływem jakiegoś szczególnego wzruszenia, piękno ich strof potrafi nagle ożyć i przenieść mnie znów w szczęśliwe czasy dzieciństwa.

Ojciec pasjonował się też archeologią. Wspólnie penetrowaliśmy grotty ukryte wśród wzgórz Montello, szukając na ich ścianach śladów prehistorii człowieka. Nauczył mnie rozpoznawać grotty strzał, które w różowoszarym kamieniu wyłupał zapewne jakiś odziany w skóry przodek. Pod warstwami ziemi odgrzebywaliśmy kości i zęby neolitycznych niedźwiedzi. Na świeżo zaoranych polach znajdowaliśmy monety z czasów rzymskich, a w wyschniętych korytach rzek spękane amfory. Zwiedzaliśmy opuszczone wiejskie cmentarze albo, wędrując po górach, wspinaliśmy się na spowite chmurami szczyty. Te piękne chwile przeżyte z ojcem ukształtowały we mnie wizerunek mężczyzny mojego życia.

W wiejskim domu dziadka, w kącie werandy wisiało ptasie gniazdo. Było tam, odkąd sięgnę pamięcią. Puste jesienią i zimą, ożywało z naniem wiosny. Majowe niebo znów zaczynało się roić od pomykających ptaków, których piski i świergoty wypełniały powietrze. Wśród pośpiesznej krzątania jaskółki odnawiały swe gniazdo. Przez wszystkie te lata zastanawiałam się, skąd powracały i jak odnajdywały to jedyne miejsce na ziemi. Później zrozumiałam, że to jakaś odwieczna

pamięć prowadziła je w miejsce wybrane przez poprzednie pokolenia.

Kiedy ludzie pytają mnie, dlaczego postanowiłam wyjechać do Afryki, staje mi przed oczyma wspomnienie tamtych jaskółek.

Pragnienie wyjazdu zdawało się niejasną tęsknotą za powrotem, dziedziczną, nostalgiczną potrzebą ponownej wędrówki tam, skąd pochodzili nasi przodkowie. Była to pamięć, którą nosiłam w genach. Nakaz powrotu do domu, niczym jaskółka.

W latach późniejszych wiele razy zastanawiałam się, jak to wszystko się zaczęło. Czasami pragnęłam za wszelką cenę znaleźć owo ogniwo, przyczynę, która również dla mnie była tak bardzo ważna. Tę odpowiedź znalazłam w moich szkolnych wspomnieniach.

Któregoś dnia mieliśmy napisać wypracowanie na temat: „Io, traventanni” (Ja za lat dwadzieścia). Moja praca wróciła do mnie bez oceny.

Miałam wówczas dwanaście lat i zazwyczaj pisałam dobre wypracowania. Tym razem było coś nie tak i nie mogłam zrozumieć, dlaczego. Przecież włożyłam wiele wysiłku, opisując swoją przyszłość, jak ją sobie wyobrażałam.

Nauczycielka, pani w średnim wieku, popatrzyła na mnie zza okularów:

— To jest dobrze napisane, jak zwykle — powiedziała. — Ale to kompletna bzdura. Powinnaś była napisać o czymś, co jest prawdopodobne, tak jak zrobili to twoi koledzy. Przecież musisz mieć jakieś pragnienia, które da się ziszczyć: zostać na przykład... nauczycielką, lekarzem, matką, może pisarką... albo tancerką, z twoimi długimi nogami... coś, co możesz robić tu, gdzie się urodziłaś, gdzie jest twoja rodzina i przyjaciele, coś normalnego. Dlaczego musiałaś pisać o Afryce?

Pamiętam ten dzień. Był zimny, mglisty listopad. Przed sobą miałam długie miesiące nauki szkolnej i zimy. Musiałam jakoś przetrwać do lata. Pomogły mi w tym moje książki i marzenia, których chwytiałam się

jak jedyne światła. Wyobrażałam sobie bezkresne horyzonty Czarnego Łądu, stada zwierząt na sawannie i farmę na Białych Wzgórzach, gdzie mieszkałam... z rodziną. Wyobrażałam sobie, jak wczesnym rankiem przemierzam konno wzgórza i równiny, nocą rozbijam obozy nad brzegami rzek nie opodal wioski ciemnoskórych ludzi, którzy mówili dziwnymi, niezrozumiałymi językami, a którzy wciąż żyli w zgodzie z naturą i znali jej sekrety... Przed moimi oczami przesuwają się czerwone od kurzu dżipy, prastare jeziora z flamingami, lwy porykujące w gęstym buszu i prychające bawoły... zachody słońca i żyrafy na tle złota-wo-ognistej tarczy, wieczorne nawoływania bębnow...

— Aleja naprawdę chcę żyć w Afryce. Naprawdę chcę mieszkać tam przez całe życie. Kiedyś wyjadę do Afryki. Być może za dwadzieścia lat, signora, i wtedy przyślę pani stamtąd pocztówkę.

Dwadzieścia lat później wyjechałam.

Kiedy miałam trzynaście lat, głos mojego ojca nagle zmienił się w szorstki, chrapliwy szept. Będąc chirurgiem, ocenił symptomy jako poważne, a testy potwierdziły jego diagnozę: miał raka gardła.

Chociaż mnie ani mojej młodszej siostrze niczego nie mówiono, obie wyczuwałyśmy, że w domu dzieje się coś niezwykłego. Rozmowy prowadzono przyciszonym głosem, a w dniu operacji ojca nad całym domem zawisła posępna chmura przygnębienia. Wyjaśniono nam, że w gardle miał po prostu niezłośliwą narośl. Ja wiedziałam jednak, że to kłamstwo i że ojciec może właśnie umierać. Przez całe noce wpatrywałam się w sufit mojego pokoju, zalewając się rzewnymi łzami. Złośliwy rak, wykryty we wczesnym stadium, został szczęśliwie usunięty, wraz ze strunami głosowymi. Ojciec pokonał przeciwnika, ale nigdy nie odzyskał swego pięknego głosu. Brakowało mi opowieści, które snuł z taką swadą, i jego niemoc odczuwałam jak własne kalectwo. Wkrótce jednak poczuł się lepiej, a jego głos stawał się stopniowo coraz silniejszy, chociaż nigdy nie odzyskał swej melodyjności i do końca pozostał ochryply.



Wtedy właśnie ojciec zaczął opowiadać mi o Afryce i pustynnych plemionach koczowniczych, które go zawsze fascynowały. Wnet też nawiązał romans z Saharą i zaczął regularnie podróżować na Czarny Kontynent. Kilka razy towarzyszyłam mu w tych wyprawach. Wymuskli pustynni Tuaregowie, owinięci w obszerne błękitne peleryny, jeździli na swych wysokich, szybkich wielbłądach. Poruszali się jak cienie, niemal nie zostawiając śladów. Czarne *ganduras* osłaniały ich od wiatru, a turbany chroniły ich skośne oczy przed wdzierającym się w najdrobniejsze szczeliny piaskiem. Podczas zimnych nocy siedzieliśmy z nimi przy ognisku, pod usianym gwiazdami niebem. Jedliśmy pieprzny gulasz z żyłastej antylopy i popijaliśmy słodką miętową herbatę z maleńkich jak naparstki kubeczków. Zabłąkane szakale wyplakiwały swój smutek na jałowych, bezkresnych niczym morze wydmach.

Ale to nie była moja Afryka.

## 2. Mario i Emanuel

Oczy Emanuela: odwieczny, tajemny smutek...

Maria poznałam tuż po skończeniu szkoły. Byłam wtedy na pierwszym roku studiów na wydziale nauk politycznych. Zakochałam się w nim na zabój. Po kilku miesiącach byliśmy już po ślubie i nigdy nie zdołałam ukończyć uniwersytetu.

W żyłach Maria płynęła krew sycylijska i piemoncka, z domieszką arabskiej i północnoeuropejskiej, czego wynikiem była jego niespotykana uroda: proste brązowe włosy, oczy w kształcie migdałów połyskujących złotem, oliwkowa cera, która uwydatniała lśniąca biel zębów i zmysłowe usta pod lekko orlim nosem. Pochodził z zamożnej, arystokratycznej rodziny. Choć niewiele starszy ode mnie, posiadał rycerskie manieri i pewność siebie, co wyniósł z dobrego domu i wrodzonej kultury. Dysponował wielką wiedzą na temat muzyki, antyków i wyścigów konnych, szybkich samochodów i pięknych kobiet. Jego ogłada i poczucie estetyki były daleko bardziej rozwinięte niż u któregośkolwiek z

jego rówieśników. Nieprzeparty urok Maria sprawiał, że nastolatki, do których się wówczas zaliczałam, czuły się przy nim jak prawdziwe kobiety. Mario podbił moje serce. Był moim pierwszym mężczyzną.

W naszej rodzinie nie było bigoterii, ale we wczesnych latach sześćdziesiątych we Włoszech nie zdarzało się, by dziewczyna żyła z mężczyzną bez ślubu. Ojciec, który mnie dobrze znał i kochał, był bardzo przeciwny naszemu związkowi. Jednak zgodził się podpisać dokument zezwalający na małżeństwo jego nieletniej, dziewiętnastoletniej wówczas córki, mimo iż czuł, że nie mogło być ono trwałe. Sądzę, że mnie szanował i rozumiał, dlatego pozostawił mi wolny wybór.

To właśnie z Mariem, na kilka miesięcy przed datą naszego ślubu, przeżyłam swój pierwszy poważny wypadek.

Był 7 stycznia. (Dokładnie tego samego dnia dwa lata później urodził się nasz syn, Emanuel.) Mario nie zatrzymał się na skrzyżowaniu i samochód, który go wymijał, uderzył w bok jego czarnego jaguara. Drzwi po mojej stronie otworzyły się i zostałam wyrzucona na zewnątrz jak szmaciana lalka.

Doznałam straszliwego, choć krótkotrwałego uczucia totalnej niemocy. Moje stopy zaklinowały się, a samochód włókł mnie twarzą po szutrowej nawierzchni. Musiałam użyć nadludzkiej niemal siły woli, by uniósłszy głowę uniknąć całkowitego „oskalpowania”. Futro, które miałam na sobie, ochroniło resztę mojego ciała, ale wskutek tarcia uległo kompletnemu zniszczeniu.

Czarne odpryski nawierzchni wzarły mi się w lewą nogę, ramię oraz część twarzy. Czułam rozdzierający ból, ale w gruncie rzeczy uniknęłam większych obrażeń; uznałam więc, że miałam dużo szczęścia. Leczenie i opatrywanie blizn trwało parę miesięcy, zanim w pełni doszłam do siebie. Do dziś kilka maciupeńkich, prawie niewidocznych drobinek szutru tkwi w moim ramieniu i podbródku. Mario doznał lekkiego szoku, ale wyszedł z tego bez żadnych obrażeń.

Wypadek na zapomnianej drodze w Conegliano Veneto wróżył źle naszemu małżeństwu. Mimo to pewnego kwietniowego dnia pobraliśmy się. W obecności tłumu przyjaciół mój ojciec poprowadził mnie

do ołtarza w ustrojonym kwiatami kościele. Miałam na sobie białą suknię i długi welon, ale już wtedy jakby mi czegoś brakowało w tym związku. Może magii, która oczyszcza i uświęca wszystko.

Dwa lata później urodziłam syna. Daliśmy mu na imię Emanuel, po włosku Emanuele. Przyszedł na świat w szpitalu św.św. Jana i Pawła pewnej zimowej nocy, kiedy padał tak rzadki w Wenecji śnieg. Wenecja! Czarowne miasto, najczarowniejsze wtedy, gdy po wyjeździe turystów zostaje tylko dla weneccjan, gołębi i kotów.

W długich, wysoko sklepionych korytarzach szpitala, w szarościach pierwszego cichego świtu po przyjeździe na świat mojego synka nie było nic, co zapowiadałoby niezwykle dzieciństwo i młodość Emanuela, które miał przeżyć w poczuciu wielkiej wolności wśród zalanych słońcem pejzaży Afryki.

Od samego początku był spokojnym i poważnym chłopczykiem, o inteligentnych, brązowych oczach i małym arystokratycznym nosie, jak u jego ojca. Po mnie odziedziczył uśmiech i budowę ciała. Od dziecka posługiwał się mową równie sprawnie, jak dorośli, z którymi toczył nader poważne dyskusje. Jako czterolatek umiał płynnie czytać i posiadał niezwykle wprost wiedzę o zwierzętach, która rozwinęła się w wielką pasję. W wieku sześciu lat zgromadził pokaźną kolekcję książek i encyklopedii o dzikich zwierzętach. Czytał je wszystkie w sposób metodyczny i naukowy, zapamiętując charakterystykę, miejsce występowania i łacińską nazwę każdego gatunku. Jak Mario, Emanuel był urodzonym kolekcjonerem, i jak mój ojciec, posiadał doskonałą pamięć. Jednak tym, co najbardziej zwracało u niego uwagę, były jego oczy, patrzące mądrze i z dziwnym smutkiem, jakby wiedział więcej, niż pozwalał jego wiek.

Moje małżeństwo przetrwało tylko dwa lata. Brak życiowego doświadczenia i fascynacja Mariem nie mogły zmylić mojej intuicji, że nasz związek nie oprze się próbie czasu. Czułam, że ból wczesnego rozstania będzie lepszy niż nieunikniona gorycz, jaką pewnego dnia przyniesie świadomość zmarnowanych lat młodości. Pewnego wieczoru, wkrótce po urodzeniu Emanuela odbyłam w zaciszu naszej biblioteki

smutną rozmowę z Mariem. Dla dobra dziecka zgodziliśmy się na polubowne rozstanie i przez wiele lat pozostawaliśmy dobrymi przyjaciółmi. W ten oto sposób zakończył się jeszcze jeden etap mojego życia.

Moi rodzice przy tej okazji również postanowili się rozstać. Matka od wielu już lat koncentrowała się na swoich zainteresowaniach. Wróciła na uniwersytet w Padwie, by studiować historię sztuki, a potem sama zając się nauczaniem. Ojciec coraz częściej wyjeżdżał do Algierii, Nigru i Sudanu i większość czasu spędzał na opisywaniu swoich przeżyć.

Zamieszkałam razem z matką w dużej willi nad rzeką Brenta. Wzdłuż jej brzegów rosły sędziwe, rzucające głęboki cień drzewa i rozciągały się starannie utrzymane ogrody, w których Wenecjanie tradycyjnie chronili się przed duchotą, jaka latem panuje w lagunie. Riviera del Brenta uchodziła za modny kurort weneckiej śmietanki towarzyskiej już dwieście czy trzysta lat temu, a jej okazałe wille, teraz w większości muzea, wciąż stoją, dając świadectwo minionej świetności.

W tej nieco specyficznej atmosferze, w świecie zamieszkałym głównie przez kobiety i psy, w bardzo przestronnym, ale nieatrakcyjnym dla dziecka ogrodzie Emanuel spędził pierwsze lata swojego życia.

### 3. Przyjaciele z Wenecji

Niedłgie są dni wina i róż...

Ernest Dowson, *Vitae Stimimi Brevis*

(przekł. Mirosław Gryka)

Nie opodal domu mojej matki mieszkał Carletto Ancilotto ze swą żoną, Chiara, którą znałam od czasów dzieciństwa. Carletto był hrabią i jego wiejska rezydencja w Lagunie zawsze stała dla przyjaciół otworem. Tam poznałam Paola. Miał bardzo utalentowaną artystycznie żonę, Mariangelę, i dwie córki, Valerie i Livie. Paola nie sposób było nie

zauważyć. Był niezwykle energiczny, roztaczał wokół siebie aurę witalności, a jednocześnie subtelności. Jego intrygująco niebieskie oczy o szczerym, inteligentnym wejrzeniu zdawały się skupiać całą uwagę na rozmówcy.

Paolo miał doktorat z rolnictwa i osiągał znaczne sukcesy w prowadzeniu farmy. Jak większość mężczyzn na wsi w tamtych czasach, bardzo lubił łowić ryby, polować i strzelać. Pasję tę namiętnie dzielił z Carlettem.

Ojciec Paola pochodził ze Szwajcarii. Jako kilkunastoletek opuścił jednak kraj, by osiąść na południu Stanów Zjednoczonych i tam nauczył się wszystkiego, co należało wiedzieć o bawelnie. Wiedzę swą pogłębiał potem w Indiach, gdzie zajął się też handlem. Dziadek Paola ze strony matki był pionierem lotnictwa. Na początku XX wieku założył we Włoszech słynną fabrykę samolotów „Macchi”. Po matce, która studiowała w konserwatorium i zrobiła karierę wiolinistki, Paolo odziedziczył zamiłowanie do muzyki, a ojciec zaszczerpił mu pasję podróżowania i fascynację tropikiem.

Po skończeniu uniwersytetu Paolo udał się w roczną podróż na Czarny Łąd. Pewnego słonecznego dnia 1959 roku wylądował w Mombasie — i to był początek jego romansu z Afryką.

Zawarł tam liczne przyjaźnie: przede wszystkim z braćmi Block, Jackiem i Tubbym, pochodzącymi z pionierskiej rodziny osadników, która opanowała rynek hotelowy w Kenii. W gronie jego bliskich przyjaciół znaleźli się też członkowie niezwyklego klanu Rocco o włosko-francuskim rodowodzie, zamieszkujący ranczo nad jeziorem Naivasha. W czasie swych podróży po Kenii Paolo odkrył u stóp gór Aberdare wystawioną na sprzedaż farmę, z pełną pstrągów rzeką Kinangop. Za wszelką cenę zapragnął tę farmę mieć, toteż po powrocie do Włoch przekonał swojego ojca, by nabył posiadłość. Potem ożenił się z dziewczyną z czasów szkolnych, Mariangelą, i osiadł z nią w Kenii.

Kraj ten w latach sześćdziesiątych, tuż przed uzyskaniem niepodległości, znajdował się pod przemożnym wpływem antykolonialnego ruchu Mau-Mau i biali osadnicy na samotnych farmach chodzili spać z karabinami. Mariangeli bardzo trudno było przywyknąć do tego niespokojnego, pełnego niebezpieczeństw życia. Kiedy zaszła w ciążę, wymusiła na Paolu zgodę na powrót do Włoch.

Wrócili do Europy i osiedli w Lagunie Weneckiej, w swojej posiadłości Cavallino („Konik”), obfitującej w dzikie ptactwo i ryby. Często odwiedzali ich tam bracia Block i niektórzy członkowie rodziny Rocco, na nowo rozpalając w Paolu tęsknotę za Afryką.

Ziemiańska społeczność Veneto serdecznie przyjęła Paola i jego żonę. Sama lubiłam się z nimi spotykać i z obojgiem czułam się znakomicie. Inteligencja i kultura Paola, jego błyskotliwy umysł i sposób, w jaki opowiadał o Afryce, fascynowały mnie.

Latem często odwiedzaliśmy z grupą przyjaciół małe urokliwe knajpki na świeżym powietrzu, znane z pysznego jedzenia i wspianego wina.

Pewnego wieczoru razem z Carlettem, Chiara i kilkoma innymi przyjaciółmi postanowiliśmy wypróbować dania w nowej restauracji rybnej nad rzeką Sile. Paolo i Mariangela zabrali się samochodem Cadetta i Chiary. Paolo pożyczył bowiem swój samochód Dorianowi Rocco, który przyjechał na wakacje z Kenii, zaś samochód jego żony akurat został oddany do naprawy.

Jedzenie okazało się wyśmienite i wszyscy byliśmy w doskonałych humorach. Musieliśmy się jednak rozdzielić, ponieważ Carletto i Chiara postanowili jechać do domu, a pozostali mieli jeszcze ochotę potańczyć. Paolo wraz z żoną przesiedli się do mojego samochodu.

Noc była łagodna jak balsam i usiana świetlikami. Śmialiśmy się i gadaliśmy w samochodzie, niebacznym na to, że z przeciwka na pełnym gazie z oślepiającymi światłami nadjeżdża ciężarówka.

Huk, jakieś krzyki, brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt metalu. Poczłam, jakbym była rozdzierana na strzępy i wsysana przez potężny wir w ciemny tunel, z którego nie ma już powrotu. Na roztrzaskanej tylnej szybie samochodu pozostało pasemko moich włosów zlepionych krwią.

A świetliki tańczyły dalej, jakby nigdy nic.

W tej tragedii straciłam wszystko, co pozostało jeszcze we mnie z młodszej bez troski. Opakowana ciężkim gipsowym kokonem przez

ponad osiem miesięcy leżałam nieruchomo na różnych szpitalnych łóżkach. Moją rekonwalescencję utrudniał fakt, że zapadłam na ciężką anemię; już przed wypadkiem byłam bardzo wychudzona.

Któregoś popołudnia ułożyli mnie na noszach i przenieśli do innego pokoju, gdzie był czarno-biały telewizor. W oszołomieniu obserwowałam na jego ekranie pierwsze nieporadne kroki człowieka na Księżycu. W swoim grubym, białym skafandrze, jak w gipsowym pancerzu, kosmonauta zdawał się bardziej bezradny niż ja na szpitalnym łóżku zalanym księżycową poświatą.

Nieco później tego samego wieczoru, leżąc w ciemnościach, próbowałam za pomocą lusterka uchwycić światło płynące z Księżycu. Tego lata było ono zbyt daleko od mojego łóżka, choć sam Srebrny Glob nie był już tak odległy i niedostępny.

Nauczyłam się pić i jeść niemal nie unosząc głowy. Nauczyłam się też nie odczuwać ponizenia z powodu całkowitej zależności od pielęgniarek, gdy chodziło o potrzeby fizjologiczne.

W nie kończące się letnie noce, kiedy osaczała mnie dziwna cisza szpitali oddychających cierpieniem obcych ludzi, wpatrywałam się w białe aseptyczne sufity, czekając cierpliwie, aż moje ciało ozdrowieje. Byłam świadoma, że to, co stanie się potem, w głównej mierze będzie zależało ode mnie.

Kluczem do mojej przyszłości był Paolo. Przez cały ten okres nie kończących się operacji i transfuzji, fizycznego bólu i męki duchowych poszukiwań, z niecierpliwością czekałam na jego odwiedziny. Był ogniwem łączącym mnie z innym światem, nadzieją na zmianę i nowe życie.

Jego nogi wyszły z wypadku zupełnie bez szwanku, a złamania szczęki, żeber i kręgosłupa nie zdołały przykuć go do łóżka na długo.

Paolo nigdy nie mógł usiedzieć spokojnie. Zawsze przynosił z sobą słoneczną aurę przygody. Siadał tuż przy moim łóżku i przez zaciśnięte zęby opowiadał o Afryce i farmie, na której kiedyś mieszkał. Czułam, że do tego miejsca przynależy całą swoją duszą poza wszelkim racjonalnym wytłumaczeniem czy uzasadnieniem. Szczupły i wyprostowany, z wieczną opalenizną, z roziskrzonymi niebieskimi oczami, pełnymi

cierpienia, lecz także niezwycięzonej siły, roztaczał przede mną wizje nieograniczonej wolności, dzikich, rozległych horyzontów i purpurowych zachodów słońca nad pokrytymi zielenią Białymi Wzgórzami, obfitującymi w dziką faunę. Jego obecność rozjaśniała szpitalny pokój złotym blaskiem; wahałam zapach suchych traw na nieznanach sawannach, pierwsze deszcze skrapiające pył po długiej suszy, czułam wiatr we włosach i słońce, które piekło moją skórę. Dzięki jego opowiadaniom ożywały moje dziecięce marzenia.

Ktoregoś razu opowiedział mi o węgorzach, które opuszczają rodzime kanały i rzeki, i odbywają niebezpieczną podróż przez morza, by odbyć gody i umrzeć tysiące mil dalej, w Morzu Sargassowym. I o urodzonych już tam węgorzach, powracających do tych samych rzek i kanałów, z których pochodzili ich rodzice. Przypomniały mi się wówczas moje jaskółki.

W tamtym czasie unikaliśmy rozmów o tragedii, którą wspólnie przeżyliśmy i która na zawsze odmieniła nasze losy. By wyleczyć najgłębsze rany i iść naprzód, oboje potrzebowaliśmy marzeń. Pragnęliśmy, żeby nas uniosły ponad brzemienne od złych wspomnień przeszłość ku nowemu życiu, w którym moglibyśmy ponownie odkrywać sens istnienia. Instynktownie łączyliśmy naszą przyszłość z miejscem, gdzie moglibyśmy zacząć żyć zupełnie od nowa. Gdzieś bardzo daleko, gdzie nieomal wszystko było nieznane. Entuzjazm Paola owładnął mną całkowicie, zaś moja euforia dodawała sił i nadziei jemu. Byliśmy związani tą sama wizją dalekiego kontynentu za morzem i wolą przetrwania.

Nim nastąpiły chłody i mgły, a drzewa znów zgubiły liście, byliśmy w sobie zakochani.

— Musisz dojść do siebie. Musisz znów chodzić. Wtedy pokażę ci Kenię.

Nie mogłam się doczekać. Pod ciężkim gipsem nieustannie ćwiczyłam mięśnie, żeby być w jak najlepszej formie, kiedy wreszcie uwolnią mnie z tej skorupy.

Kiedy to się stało, Paolo był przy mnie. Pomógł mi usiąść na łóżku i mogłam wyrzeć przez okno na szare, zimowe morze. Spróbowałam



wstać, lecz nie byłam w stanie uczynić nawet najmniejszego kroku. Moja noga była nie tylko słaba, ale okazała się krótsza i wykręcona. Byłam kaleką.

#### 4. Afryka

Mówię o skarbach i złocie Afryki.

W. Szekspir, *Król Henryk IV*, cz. 2

(przekł. Maciej Słomczyński)

Patrząc na zapierające dech w piersiach przestrzenie Wielkiego Rowu, nie mogłam wprost uwierzyć, że oto znalazłam się na wymarzonej Łądzie.

Do samolotu lecącego do Nairobi zostałam wwieziona na inwalidzkim wózku. Na pokładzie dzielnie pomagał mi Paolo. Nagle jego smagłą, opaloną twarz ożywił błysk niebieskich oczu — dotarliśmy na miejsce. Ze skupieniem wyglądał przez okno i leciutko się uśmiechał. Po raz pierwszy od śmierci Mariangeli odzyskał utraconą równowagę i spokój ducha.

Jego krok stał się sprężysty, Paolo znowu stąpał po ziemi, do której przynależał, i na której czuł się jak u siebie. Zgodnie z moimi przewidywaniami z entuzjazmem pokazywał mi Kenię, gdzie zawsze czuł się naprawdę szczęśliwy i skąd nigdy nie powinien był wyjeżdżać.

W lutym 1970 roku panowały tam straszliwe upały i susza. Żółta trawa i pierwsze akacje po drodze z lotniska; brązowa gazela — chyba impala — pasąca się w dziwnie wysokiej trawie; czarne twarze uśmiechniętych tragarzy; radosne kobiety z koszami na głowach, w długich jaskrawych sukniach. To były moje pierwsze — jakże żywe — wrażenia po mgłach i wilgoci Wenecji.

Egzotyczne rośliny tropikalne wywarły na mnie przemożny urok. Byłam oczarowana błękitem pierwszej *jacarandy*, którą ujrzałam w pełnym rozkwicie. To był wyjątkowy kontynent, gdzie każde wrażenie było spotęgowane wyrazistą i niemal brutalną siłą surowego piękna,

jakby stworzonego przez nieokielznaną wyobraźnię rzeźbiarza. Delikatny i przerafinowany obraz Europy, niczym z popękanych płócien mistrzów quattrocenta, wydawał się teraz daleki i obcy mojej naturze, bardziej odległy niż wspaniałe, spalone bezlitosnym słońcem krajobrazy Afryki, które odślaniały się przed naszymi oczami.

Pojechaliśmy prosto do Nairobi. Okno naszego pokoju w Norfolk Hotel, perle w rozległej sieci hoteli braci Block, wychodziło na wewnętrzny dziedziniec. Stało tam mnóstwo klatek z egzotycznymi ptakami, które swym śpiewem uniemożliwiały mi sen. Tuż za naszym oknem rósł wielki krzew czerwonego hibiskusa, ulubionego kwiatu Paola. Był dziesięciokrotnie większy od tego, który próbowałam wyhodować we Włoszech. Pokuśtykałam na zalany słońcem dziedziniec i podziwiałam ogromne szkarłatne kielichy, a w nich ostre, żółte pręciki zwieńczone czerwonymi oczkami. Kropelki rosy wypełniły ich jedwabiste gardziółka powleczone odbłyśkującym w słońcu pyłkiem. Wdychałam subtelną woń kwiatów. Od pierwszego oddechu poczułam niezwykły przypływ energii i zdrowia. Jednak dopiero w samolocie Doriana zdałam sobie sprawę, że ja również zakochałam się w Afryce.

Do Doriana Rocco, którego poznałam jeszcze w Wenecji przed wypadkiem, Paolo zadzwonił zaraz pierwszego ranka po przyjeździe do Norfolk Hotel. Okazało się, że był na lotnisku Wilson, więc Paolo, gnany tęsknotą, by odnowić kontakty z Kenią i ludźmi, postanowił czym prędzej go tam odszukać.

Dorian wywodził się z niezwyklej rodziny. Jego matka, Giselle, pochodziła z Francji i była artystką, zaś ojciec, Mario Rocco, zwany Pappi, pochodził z Neapolu. Przybyli do Kenii w latach trzydziestych, przemierzywszy całą Afrykę, i osiedlili się na farmie nad brzegiem jeziora Naivasha, gdzie zbudowali czarującą willę w stylu włoskim, z opadającą ku jezioru aleją obsadzoną strzelistymi cyprysami, podobną do tych w Toskanii. Dorian miał dwie młodsze siostry: Mirellę i Orię. Razem tworzyli odważną i niekonwencjonalną rodzinę i stale dawali się wciągać w nieprawdopodobne przygody.

W ten weekend Dorian zamierzał polecieć samolotem na wybrzeże i

zapropował, że nas tam zabierze. Zgodziliśmy się bez wahania i spóstrzegłam uśmiech w oczach Paola, kiedy umieszczał moje kule z tyłu w małym samolocie. Nie wzięłam ze sobą nic prócz ubrania, które miałam na sobie i niezłomnego pragnienia, by wznieść się wysoko nad Afryką. Nic poza tym nie miało znaczenia. Zanim wystartowaliśmy, Dorian powiedział:

— Kiedy będziemy przelatywać przed wieżą kontrolną, schylcie głowy. Nie mam jeszcze licencji na przewóz pasażerów.

Schyliłam głowę i zobaczyłam szutrową drogę przesuwającą się szybko pod dziurą w zniszczonej podłodze. A potem była już tylko wypalona trawa i błękitne niebo. Nie było odwrotu. Urodziliśmy się, by latać.

Za lotniskiem Wilson rozciągał się Park Narodowy Nairobi. Wkrótce tuż pod nami przebiegło kłusem pierwsze stado żyraf, długoszych i pełnych wdzięku. Dorian zniżył samolot posuwistym, nurkującym lotem. Żyrafy biegły jakby w zwolnionym tempie, wzbijając kłęby kurzu. Cierniste drzewa na brzegu rzeki ledwie kryły parę sennych bawołów. Krzyknęłam z zachwytem. Czułam się odurzona upałem, rykiem samolotu, niesamowitym uczuciem, jakie dawał mi pierwszy lot w małej awionetce nad równinami Afryki. Dorian podzielał mój nastrój. Dolatując do Tsavo, zatoczyliśmy koło nad stadem słoni i teraz lecieliśmy wzdłuż leniwych rzek, wypatrując hipopotamów i krokodyli. Zauważyłam zarosła niskiego buszu i sawanny, niewielkie grupy gazeli Granta z drgającymi ogonkami, gromady pawianów skaczących po akacjach, drzewa widlicy tybetańskiej z równymi, wachlarzowatymi gałęziami, i pierwsze, srebrzyste, nieprawdopodobnie gigantyczne baobaby.

A potem ukazało się obozowisko; jaskrawozielone namioty stały w równych rzędach nad zakolem rzeki, gdzie czarny nosorożec spokojnie popijał wodę. Tuż obok trawiaste łądowisko.

— Wylądujemy tutaj, proszę! — krzyknęłam błagalnie, przebijając się przez hałas silnika.

— Jutro — powiedział Dorian — jutro wpadniemy tu na herbatę. Jesteśmy już prawie spóźnieni.

Rzeczywiście, byliśmy spóźnieni.

Wydawało mi się, że słońce stało wysoko, ale nie znałam jeszcze nagłych zachodów na równiku. Wkrótce niebo zabarwiło się czerwienią i fioletami, jakby tuż pod horyzontem ktoś rozniecił ogromne ognisko. Rzadkie obłoki rozbłyły złotą poświatą, a słońce — pomarańczowe i okrągłe niczym rozżarzona moneta — opadało coraz niżej i niżej, aż w końcu zniknęło. Zdażyłam jeszcze zobaczyć Ocean Indyjski w kolorze indyga, płaski jak tafla lustra, załamująca się na skraju rafy koralowej. Drzewa palmowe ciemniały szybko, na drodze pojawiły się światła samochodów i zapadł zmrok.

Ku wielkiemu zaskoczeniu w samym środku palmowego gaju, u stóp ogromnych baobabów spostrzegłam maleńkie lądowisko. Zakreśliwszy koło nad grupką pokrytych strzechami chat, by zasygnalizować nasze przybycie, wylądowaliśmy w niemal kompletnych ciemnościach. Toczyliśmy się po nierównym piaszczystym pasie w eskorcie tuzina krzyczących z podniecenia, półnagich dzieciaków, aż w końcu zatrzymaliśmy się na czymś, co wyglądało jak parking samochodowy. Przed sobą ujrzeliśmy słabo oświetlone, przyjemne staromodne drzwi, na których widniał napis „Mnarani Club”.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Dorian. — Zatrzymamy się na noc u Mirelli.

Zbliżył się do nas otwarty landrover i ktoś otworzył drzwi od mojej strony. Owionął mnie mocny zapach kremu migdałowego i ciepłego, morskiego powietrza. Przedemną stał mężczyzna z długimi jasnymi włosami, zebranymi w koński ogon, o mocno zabarwionej opalenizną skórze i chudych, bosych stopach wyłaniających się spod faldzistego turkusowego kaftana. Spoglądał na nas drwiącymi, lekko wyłupiastymi, błękitnymi oczyma.

— Jestem Lorenzo Ricciardi — powiedział po włosku. — Witajcie w Kilifi. Zawiozę was do mojego domu.

Przytłoczona i zauroczone tymi wszystkimi nowymi wrażeniami, niemal całkowicie oszołomiona nieprawdopodobnym pięknem tego kraju i zaintrygowana egzotycznym, niecodziennym wyglądem naszego gospodarza, nie mogłam się powstrzymać od okrzyku:

— Wygląda pan jak pirat!

— Bo jestem nim — powiedział Lorenzo, szczerząc zęby w uśmiechu.

Był mężem siostry Doriana, Mirelli, słynnej fotografki. Ostatnio została opublikowana jej książka *Vanishing Africa*, której egzemplarz miałam w swojej bibliotece. To była niezwykła książka, dzieło artystki, która znała i kochała Afrykę i zdołała uchwycić zmysłowe piękno krajobrazu i człowieka czerpiącego swoją mądrość i siłę z praźródła kultury. Bardzo chciałam poznać jej autorkę.

Mirella była więcej niż piękna. Miała zielone oczy i pełne usta, kręcone, rozwichrzone włosy, ciemną skórę, szczupłe ciało owinięte jaskrawą bawełnianą *kangą* i krągłe ramiona obwieszane srebrnymi bransoletkami. Te brzęczące ozdoby bardzo zwracały na siebie uwagę. Głos Mirelli był chrapliwy, a jej włoski miał silny, lecz przyjemny akcent. Bezpośredni, niemal męski sposób bycia sprawił, że z miejsca zdobyła moją sympatię. Sprawiała wrażenie oryginalnej i utalentowanej kobiety, odznaczającej się odwagą i zdecydowaniem, by prowadzić wybrany przez siebie sposób życia. Paolo znał ją z dawnych czasów, a ja poczułam się u niej zupełnie jak w domu. Jej stosunek do ludzi był naturalny i szczery. Dzieliła się ze mną planami i wspomnieniami ze swego niekonwencjonalnego życia, tak jakby znała mnie od zawsze.

Jej dom na samym szczycie klifu owiewały łagodne wieczorne wiatry. Morze było tak blisko, jakbyśmy znajdowali się na pokładzie arabskiego jednomasztowca. Pod ścianami leżały kolorowe poduszki, a podłogi, po których można było chodzić tylko boso, wyścielały słomiane maty. W tym domu panowała jakaś magiczna aura, a fakt, że pierwszej nocy w Kenii nie musiałam spędzić w obcym pokoju hotelowym, poczytywałam za wiele znaczący omen. Miałam miejsce, do którego już przynależałam.

Tej nocy leżałam w pokoju z otwartymi oknami, przez które wdzierał się chłodny powiew oceanicznego wiatru. W obszernym, rzeźbionym łóżu z wyspy Lamu, pod łagodnie falującą moskitierą wsłuchiwałam się w tajemnicze dźwięki. Odgłos fal przybrzeżnych mieszał się z

egzotycznym szeptem afrykańskiej nocy — może galago albo nocnych ptaków?

Pogrążeni w milczeniu leżeliśmy z Paolem przez cały czas trzymając się za ręce. Zaledwie dzień przedtem pożegnaliśmy surową europejską zimą... Ale to nie czas ani odległość dzieliły nas od tamtego życia. Zdałam sobie sprawę, że przekroczyłam granice starego świata i że ten krótki wypad stanie się czymś więcej niż tylko wakacyjną przygodą.

Jeśli pierwszego dnia poznawałam Afrykę z lotu ptaka, jak widzę siedzący przed panoramicznym ekranem, to drugiego dnia odkryłam bezlitosny żar równikowego słońca, które paliło moją skórę. Ciepło słonej wody pełnej tysięcy stworzeń, biel piasku, wspaniałość barw i zapachów, niespodziewane spotkanie z igrającymi w migoczących falach delfinami... Moje pierwsze prawdziwe spotkanie z Afryką.

Nazajutrz wczesnym popołudniem odlecieliśmy. Z góry mogłam zobaczyć, jak blisko zatoczki Kilifi wylądowaliśmy poprzedniego wieczoru.

Dorian dotrzymał słowa.

— Lećmy na herbatę do „Cottar's Camp”.

Z wysuszonego buszu wyłoniły się zielone namioty przycupnięte na brzegu rzeki. Dorian zatoczył niskie koło, po czym wzbił się nieco wyżej, by wycelować dziób samolotu na trawiasty pas lądowiska. Samolot powoli osiadał na ziemi.

Wtem jedno z kół nagle się zapadło w wysokiej trawie. Okazało się, że była tam jama wryta przez świnię. Śmigło uderzyło w coś i z przerażeniem patrzyliśmy, jak baobab rosnący na końcu lądowiska zaczął niebezpiecznie się do nas przybliżać. Paolo utkwiał wzrok w moich oczach, a jego palce zacisnęły się na moim ramieniu.

— Uwaga, zaraz się rozwalimy — powiedział Dorian bez emocji. Z potwornym traskiem łamanych gałęzi samolot wbił się w baobab, zniechęcił i przechylił się na jedną stronę.

— Wskakujcie! Może się zapalić!

Skakanie z niesprawną nogą nie było łatwe. Paolo jakoś wypchnął mnie na zewnątrz i porzuciwszy kulę, pokuśtykałam jak tylko mogłam najszybciej, uwieszona na jego ramieniu.

Samolot nie zapalił się. Zatrzymaliśmy się bez tchu, by popatrzeć na wykrzywiony wrak. Poczuliśmy zapach świeżo skoszonej trawy, kurzu i żywicy. Wokół nas brzęczały owady. Natrętne afrykańskie dzieci otoczyły nas ciasno — bosonogie, z wpatrzonymi w nas oczkami. Paolo ujął mnie delikatnie w swoje silne dłonie i przygarnął do siebie. Kiedy wirowanie w mojej głowie ustało, powiedziałam z uśmiechem:

— Udało się.

Nie było nad czym się zastanawiać. Moja afrykańska przygoda po prostu rozpoczęła się, a ja mogłam tylko akceptować wszystko, co z sobą niosła.

Od strony obozu przez trawiaste lądowisko zbliżała się osobliwa para. Starszy, bardzo szczupły, brodaty mężczyzna w krótkich spodenkach koloru khaki, z fajką zwisającą z ust oraz pulchna kobieta w kwiecistej sukience i gumowych sandałach. To zarządcy klubu. Musieliśmy chyba wyglądać okropnie — rozczochrani, pokryci kurzem i gałkami, na tle pokiereszowanego samolotu. Mężczyzna podszedł do nas pierwszy. Zbliżył się bez cienia zaniepokojenia, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło.

— Macie jakieś bagaże? — spytał w łamanej angielszczyźnie, nie oczekując zresztą odpowiedzi. — Chodźcie i napijcie się herbaty.

— Właśnie po to przylecieliśmy — powiedziałam i wszyscy wbuchnęli śmiechem.

Nie chcieliśmy wzywać przez radio innego samolotu z Nairobi; postanowiliśmy tu przenocować. Miałam po raz pierwszy w życiu spędzić noc w namiocie. Usiedliśmy pod płóciennym dachem jadalni, sącząc z prawdziwą przyjemnością wieczornego drinka i obserwując nosorożce gaszące pragnienie po drugiej stronie rzeki. Za kilka lat taki widok miał stać się wielką rzadkością, ale wtedy tego nie wiedziałam. Zgasiwszy parafinową lampę, wsłuchiwałam się przed zaśnięciem w daleki chichot hien, rechot ogromnych ropuch i dziwne, niepokojące szmery. Nagle głęboki, gardłowy ryk lwa zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Był tak

zadziwiająco bliski, że płótno namiotu zdawało się pod jego wpływem wibrować. To była dopiero moja druga noc w Afryce. Stawiałam sobie pytanie, czy dotarłam tu, gdzie zawsze powinnam była być? Rosło we mnie coś, czego nie potrafiłam zahamować. Czułam, jak moje dziecięce marzenia znajdowały w końcu miejsce, gdzie mogły się wreszcie zmaterializować. Nie miałam żadnych wątpliwości, że właśnie tutaj zawsze chciałam żyć.

Zanim to mogło nastąpić, musiałam pokonać wiele trudności. Pierwszą realną przeszkodę stanowiły moje kule. Potrzebne mi były silne nogi, żebym w razie potrzeby mogła biegać i mocno stąpać u boku Paola po ziemi, na której — miałam nadzieję — znajdziemy własne miejsce. Wiedziałam, że to oznaczało kolejne operacje, kolejne szpitale, mnóstwo bólu, cierpliwości i czasu. Ale podjęłam decyzję i po raz kolejny przekonałam się, że jedynie silna wola i precyzyjnie określony cel są jedynym sposobem na spełnienie marzeń. Teraz jeszcze jedna nić związała mnie z Paolem. Tak jak on zakochałam się w Afryce.

— Muszę chodzić — wyszeptalam do Paola, nim zaczęłam zapadać w sen, najgłębszy jaki przytrafił mi się od wielu miesięcy. — Muszę na nowo nauczyć się chodzić i biegać, choćby nie wiem ile czasu miało mi to zająć.

Zajęło to trzy kolejne lata mego życia.

## **5. Znow chodzę**

Musimy zmienić nasze wzorce reagowania na doświadczenie. Albowiem przyczyną naszych problemów nie jest brak doświadczenia, ale nasze podejście do niego.

Akong Rimpoche

Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku Tessera, Wenecję osnuwała żółta mgła. Nasza ciemna, połyskująca skóra oraz spłowiałe od słońca włosy wyraźnie odcinały się na tle bladego tłumu. Z grupki ludzi, którzy



przyszli nas powitać, oderwał się mały chłopczyk z jasną grzywką, ubrany w granatowy płaszcz. Uklękłam, by go przytulić. Od czasu, gdy wyjechałam, codziennie wysyłałam mu co najmniej dwie pocztówki z fotografiami zwierząt, gdyż wiedziałam, jak niecierpliwie wyczekiwał dźwięku dzwonka u roweru listonosza. Pragnęłam go w ten sposób zapewnić, że jest mi bliski i że nieustannie o nim myślę. Podczas tych cudownych dwóch miesięcy za granicą nie mogłam się doczekać ponownego spotkania z Emanuelem. Miał cztery latka. Zostawiłam go pod opieką niani i oczywiście mojej matki, która uwielbiała go ponad wszystko na świecie.

W pierwszą noc po powrocie długo siedziałam w niebieskim pokoiku przy jego łóżku. Opowiadałam mu o Kenii i miejscach, które zwiedziłam, o napotkanych zwierzętach i nowo poznanych ludziach. Słuchał w ciszy, chłonąc z uwagą i skupieniem wszystkie te opowieści. Miał dziwnie głębokie, dojrzałe spojrzenie, jakby wiele doświadczył w swoim życiu, co zawsze mnie zastanawiało. Nagle, nieoczekiwanie dla siebie powiedziałam:

— Pewnego dnia tam zamieszkamy.

W jego oczach nie było zdziwienia. Potwierdził cicho:

— Tak.

Kiedy o swojej decyzji poinformowałam matkę, stwierdziła, że chyba oszalałam.

— Nikogo tam nie znasz — mówiła. — Nie znasz angielskiego. Nie znosisz prowadzić samochodu. Nie umiesz... jeszcze chodzić. — Drżącym głosem wyrażała swoje wątpliwości, ale zdawała sobie sprawę, że i tak postawię na swoim.

— Nauczę się. Znalazłam miejsce, w którym muszę mieszkać. Gdyby Paolo mnie poprosił, pojechałabym tam choćby jutro.

Ostatecznie to ja go poprosiłam.

Kiedy wracaliśmy z naszych drugich wakacji w Kenii, powiedziałam do Paola:

— Załóżmy, że zamiast mieszkać we Włoszech i spędzać wakacje w Kenii, zrobilibyśmy odwrotnie?

Perspektywa powrotu do życia w Europie nie była nam obojgu miła. Na twarzy Paola malował się smutek. Ryk silników lądującego samolotu nasilił się. Wiedziałam, że to, co zostanie powiedziane, nie może być cofnięte. Postanowiłam pomóc przeznaczeniu. Przede mną coraz realniej otwierała się droga, którą zawsze powinnam była kroczyć.

Paolo utkwiał we mnie spojrzenie swoich błękitnych, błyszczących oczu i chwycił mnie za rękę.

— Dziękuję — powiedział po prostu. — Teraz musimy się pobrać.

We Włoszech wprowadzono właśnie ustawę zezwalającą na rozwód. Od wielu lat pozostawałam w formalnej separacji z Mariem i uzyskanie rozwodu zajęło mi zaledwie kilka tygodni.

Małżeństwo jako swoisty kontrakt zawarty dla zalegalizowania związku dwojga ludzi specjalnie mnie nie pociągało. Moja miłość do Paola nie potrzebowała formalnych gwarancji. Jednak byłoby nam łatwiej żyć w Afryce, gdybyśmy się pobrali. Ponadto chcielibyśmy zapewnić naszym dzieciom poczucie bezpieczeństwa i tożsamości, które daje instytucja rodziny.

Następne miesiące i lata stały pod znakiem przygotowań. Nie zamierzam rozpisywać się tu o operacjach, szpitalach, nowych lekarzach, o nudnych, niekończących się ćwiczeniach rehabilitacyjnych. Nie mogę jednak nie wspomnieć o największym specjalście w swojej dziedzinie, chirurgu z Berna, który z niespotykaną cierpliwością i z wielką precyzją połamał jeszcze raz moją nogę, ułożył ją w odpowiedniej pozycji, wydłużył i jeszcze raz nastawił. To był Profesor Müller. Miałam szczęście, że do niego trafiłam, od pierwszej bowiem wizyty poczułam do niego bezgraniczne zaufanie. Zabrał mi kule i kazał spacerować po swoim gabinecie. Uchwyciłam w jego oczach błysk współczucia, gdy patrzył, jak nieporadnie kuśtykam.

— Mogę sprawić, że będzie pani chodziła jak przedtem, ale musi mi pani pomóc. Będzie to od pani wymagało ciężkiej pracy i cierpliwości. Ale warto. Jest pani za młoda, żeby być kaleką.

Dotrzymał obietnicy. Wprawdzie wymagało to kilku operacji i mnóstwa czasu na rehabilitację, ale ufałam mu całkowicie.

Profesor Müller był moim jedynym przyjacielem w Lindenhof. Przychodził do mojego pokoju wczesnym popołudniem, siadał przy moim łóżku i rozmawialiśmy. Był jedyną osobą, z którą mogłam się porozumieć, gdyż wszystkie pielęgniarki posługiwały się tylko niemieckim. Z profesorem Müllerem toczyliśmy rozmowy po francusku, w języku mojej babki. Paolo ze swoimi córkami przebywał we Włoszech, więc wpadał tylko na krótko. Również Emanuel był daleko; wyjechał z moją matką.

Obok profesora Müllera do moich nieodłącznych przyjaciół należały też ptaki. Któregoś dnia nakarmiłam je okruchami ze śniadania w nadziei, że znowu przyfruną. Zjawiały się rano, jeszcze zanim pielęgniarka przyszła, by rozsunać zasłony. Budziły mnie mocnym pukaniem dziobków w szybę okna. Cieszyłam się z tych wizyt i kiedy wyszłam ze szpitala, przez wiele tygodni martwiłam się, że mnie nie zastaną, ale miałam nadzieję, że następny pacjent też okaże im przyjaźń. Przez następne dwa lata, ilekroć wracałam na kolejne zabiegi do kliniki profesora Müllera, karmiłam ptaki, które dotrzymywały mi towarzystwa. Nie wiadomo tylko, czy byli to ci sami skrzydłaci przyjaciele? W każdym razie zdarzenie to nauczyło mnie, że małe radości często pomagają unieść wielkie ciężary.

## 6. Pierwsze ognisko

...Ogarki dni zakopconych...

T.S Eliot, *Preludia*

(przekł. Michał Sprusiński)

Ślubu udzielił nam burmistrz małej wioski, w której mieszkała moja matka. Miałam na sobie białą sukienkę w czerwone truskawki, dzieci były ubrane w pasujące do niej stroje z czerwonymi wzorkami, a Paolo wystroił się w czerwony jedwabny krawat. Na wszystkich fotografiach,

jakie mam, uśmiechamy się do siebie i wyglądamy na szczęśliwych.

Przyjęcie weselne odbyło się na małej wyspie Burano, gdzie słynna restauracja „da Romano” przygotowała dla nas przewspaniałą ucztę z owoców morza. Popłynęliśmy tam łodzią. Wreszcie znów mogłam poczuć wiatr we włosach i zapach wodorostów, usłyszeć krzyk mew i podziwiać wyspę mającą w blasku słońca niczym miraż.

Zaledwie tydzień wcześniej wróciłam ze Szwajcarii, gdzie z mojej nogi usunięto ostatni kawałek metalu. Profesor Müller dotrzymał słowa. Obie moje nogi były teraz zupełnie zdrowe, dokładnie tej samej długości i mogłam na zawsze odrzucić laskę. Bagaże i bilety do Nairobi już czekały.

Przed odlotem do Afryki miałam do zrobienia jeszcze jedną rzecz. Od dwunastego roku życia prowadziłam pamiętnik. Niemal każdego dnia opisywałam w nim swoje wrażenia, uczucia i przeżycia. Wszystkie pytania, wątpliwości i doznania, które towarzyszyły mojemu dojrzewaniu, były skrupulatnie rejestrowane. Podczas długiej rekonwalescencji możliwość przelewania na papier wszelkich emocji, nadziei i obaw stanowiła dla mnie pociechę i ucieczkę od dręczącego bólu i samotności. Ten dziennik był dla mnie czymś, czym dla innych bywa psychoanalityk, zdrowym sposobem dokonywania duchowego oczyszczenia. W zielonym kufrze podróżnym miałam dwa tuziny zapisanych dzienników. Kiedy podjęliśmy decyzję opuszczenia Europy, całymi tygodniami zastanawiałam się, co z nimi zrobić. Było w nich zawarte całe moje dotychczasowe życie. Nie mogłam tego opasłego kufra zabrać z sobą do Kenii, nie wiedzieliśmy bowiem jeszcze, gdzie będziemy mieszkać, a znalezienie domu mogło z powodzeniem zająć całe lata. Nie mogłam jednak go zostawić. Moje dzienniki nie zawierały wprawdzie nic wstydliwego, ale stanowiły mój osobisty rozrachunek z przeszłością, z wszystkimi ludźmi i zdarzeniami, z którymi się żegnałam. Nawet gdybym zamknęła kufer i zostawiła go pod opieką matki, nie czułabym się spokojna, wiedząc, że ta część mojego życia jest narażona na ludzką ciekawość. Wyjazd do Afryki traktowałam jak ponowne narodziny, a

mój wypadek nauczył mnie, że aby nowa roślina mogła wykiełkować, ziarno musi pęknąć i umrzeć. Kurczowe trzymanie się przeszłości nie jest właściwą drogą postępowania. Postanowiłam więc moje pamiętniki spalić.

Ostatniego popołudnia, które spędziłam w Europie, zebrałam przy pomocy Emanuela sporą wiązkę drewna i w tylnej części ogrodu zbudowaliśmy „stos ofiarny”. Złożyłam na nim moje dzienniki, oblałam je naftą i podpaliłam. Papier natychmiast zajął się ogniem i fala gorąca wzbijała się w czyste lipcowe niebo. Siedziałam na trawie żółtej od jaskrów i błękitnej od niezapominajek, patrząc, jak moja przeszłość płonie i ulatuje na zawsze z dymem. Moja matka, spostrzegłszy ogień, wybiegła przerażona z domu i stanęła jak skamieniała. Jak cała moja rodzina, wiedziała o dziennikach. Wszystko, co po nich teraz zostało, to mała kupka rozżarzonego drewna i popiołu. Pogrzebałam w żarze laskę. Kilka na wpół spalonych kartek uniosło się w powietrze. Ukazał się poczerniały ludzki kształt: tułów... wyprostowana noga... Mama westchnęła ciężko, a ja uśmiechnęłam się do niej uspokajająco. To był mój odrzucony gips, a pod nim stopiony plastik i szerniaste aluminium kul. Wstałam i wrzuciłam do ognia laskę. Byłam gotowa do wyjazdu.

Nazajutrz z Emanuelem, Paolem i jego córkami oraz wielką stertą bagaży, wystartowaliśmy z lotniska w Wenecji. Ruszyliśmy w drogę do Afryki i naszego nowego życia.

## CZEŚĆ II

*Paolo*

## 7. Nowe życie

Nawet najdalszą podróż trzeba rozpocząć od pojedynczego kroku.

Przysłowie chińskie

Zamierzaliśmy rozejrzeć się za jakąś posiadłością, którą mogliśmy kupić i w niej zamieszkać. Paolo myślał o ranczu, gdzie chciał hodować bydło, ale w okolicy musiałoby przede wszystkim być dużo dzikiej zwierzyny. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie będzie łatwe, postanowiliśmy jednak spróbować. Jedną rzeczą była dla nas obojga jasna: nie przyjechalibyśmy do Afryki, żeby szukać przygód i szczęścia, ale dlatego, że zdecydowaliśmy się na pewien sposób życia.

Dzieci były podekscytowane pomysłem przeprowadzki do tak odmiennego i tajemniczego kraju, gdzie lato trwało przez okrągły rok. Emanuel zakochał się w Kenii od razu i to z pasją, która go nigdy nie opuściła. Miejsce to, ojczyzna egzotycznych zwierząt, o których dotąd czytał tylko w książkach, stanowiło ucieleśnienie jego marzeń. Dla niego życie w Kenii od pierwszej chwili stało się wspaniałą, radosną przygodą.

Entuzjazm Paola dla Afryki zwabił przed kilkoma laty do Kenii jego starszego brata, który kupił świetnie prosperującą plantację kawy niedaleko Thiki. Były to jeszcze czasy polowań na grubego zwierza, słynnych białych myśliwych i imponujących safari, nie bardzo się różniących od tych, które celebrował Hemingway. Ale kłusownictwo i degradacja środowiska sprawiły, że sport ten stał się anachroniczny i ostatecznie zakazany.

Pewnego wieczoru w obozie myśliwskim w Voi, niedaleko wybrzeża, brat Paola strzelił do słonia w stadzie i zabił go. Pozostałe zwierzęta nie uciekły, lecz zaatakowały myśliwego, którego ciało znaleziono nazajutrz w kałuży krwi obok ciała ofiary. Kieł słonia przebił mu krocze, powodując całkowite wykrwawienie. Trzy miesiące później jego synek, który pozostawał z dziadkami we Włoszech, umarł we śnie. Przyczyny nigdy nie odkryto. Owdowiała bratowa Paola mimo to postanowiła zostać w Kenii. Na koniec wyszła po raz drugi za mąż za znacznie starszego od siebie mężczyznę i to właśnie oni opiekowali się nami w Nairobi w tych pierwszych dniach naszego pobytu.

Przylecieliśmy w lipcu, kiedy na płaskowyżu kenijskim jest stosunkowo chłodno. Początkowo zatrzymaliśmy się w Nairobi, w cichym hoteliku z pokojami wychodzącymi na duży dziki ogród, z którego widać rzekę. Pierwszego ranka Emanuel, który już od świtu badał teren, wpadł do mojego pokoju zarumieniony z podniecenia, co wydało mi się dziwne, gdyż na ogół bywał bardzo spokojny.

— Pep — wydyszał — widziałem węża. Jestem pewien, że to *Naja nigricollis*. Muszę sprawdzić w mojej księżce.

Okazało się, że miał rację. Tym węzem była kobra.

Wiele lat później, w najdłuższą noc mojego życia, gdy do mego udręczonego umysłu powracały najbardziej nieoczekiwane i dawno zapomniane szczegóły, niczym rozmyte ślady nie rozwiązanej zagadki, przypomniałam sobie to zdarzenie. Pierwszym zwierzęciem, które Emanuel ujrzał w Afryce, był wąż.

Znalezienie wymarzonego miejsca musiało nieco potrwać, a przez cały ten czas nie mogliśmy mieszkać w hotelu, postanowiliśmy więc kupić jakiś dom w Nairobi. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy miły dwupiętrowy dom z szarego kamienia, położony w ogrodzie o powierzchni trzech akrów, gdzie rosło wiele miejscowych drzew i krzewów. Znajdował się on w dzielnicy Gigiri, skąd było blisko zarówno do Muthaigi, gdzie mieszkało wielu naszych przyjaciół, jak i do szkoły, w której nasze dzieci miały rozpocząć naukę angielskiego.

Sama też postanowiłam podszkolić się w tym języku i zaczęłam czytać angielską literaturę w oryginale. Najbardziej lubię biografie, książki



o tematyce historycznej, filozoficznej czy religijnej oraz klasykę prozy i poezji, ale nie mogłam od razu rzucić się na głęboką wodę. Postanowiłam więc uczyć się na powieściach, które na ogół czytuję rzadko. Ze słownikiem na kolanach brnęłam przez nie kończące się tomiszczą, pisane nienaganną angielszczyzną. Czytałam o tuzinach guwernantek, córek wikariuszy albo nauczycieli, zwykle sierot bez grosza, które najmowały się do uczenia zepsutych albo nieszczęśliwych szlacheckich dzieciaków w wielkich gotyckich zamkach Kornwalii, i które niezawodnie zakochiwały się w owdowiałych, przystojnych i ponurych dziedzicach. Wszystkie fabuły były podobne i zgodnie z przewidywaniami kończyły się szczęśliwie. Paolo, który mówił bezbłędnie po angielsku, był bardzo tym rozbawiony i nieustannie kpił z mojego doboru lektur, ale — ciekawo wszystkiego — interesował się tymi sagami i za każdym razem musiałam mu opowiadać niemal całą historię. Przyswoiłam sobie mnóstwo anachronicznych słówek jak: tiurniura, dogena, bałamutka czy krepdeszyn, ale w końcu zdołałam opanować przyzwoity zasób wyrazów. Teraz byłam w stanie czytać to, co naprawdę mnie interesowało i przeważnie rozumiałam, o czym ludzie mówią. Kiedy zaczęłam bawić się grą słów i opowiadać dowcipy gładko niczym w ojczystym języku, poczułam, że wygrałam moją batalię z angielskim. Suahili, w którym jak po włosku pisze się fonetycznie, był łatwiejszy. A że nie miałam żadnych problemów z wymową czy zapamiętywaniem słów, opanowanie go nie sprawiło mi większych trudności. Nieznajomość przynajmniej urzędowego języka kraju, który obrało się za nową ojczyznę, po prostu nie mieściła mi się w głowie, toteż do suahili podeszłam z wielką ciekawością i miłością.

## **8. Przyjaciele w Kenii**

Tylko przyjaciele się liczą.

Guy Burgess

W naszej miłości do Kenii nie byliśmy osamotnieni. Europejczycy, którzy mieszkali tu z wyboru, a nie w charakterze dyplomatów czy

dyrektorów międzynarodowych firm, tworzyli ściśle powiązaną społeczność. Byli to albo potomkowie wczesnych osadników i pionierów, albo ludzie, którzy, podobnie jak my, wybrali Kenię, ponieważ się w niej zakochali. Była to wspólna podstawa, z której wyrastały owe związki. Chyba nigdzie indziej nie potrafilibyśmy się zaaklimatyzować. Wszyscy byliśmy owładnięci miłością do tego kraju i na różne sposoby czuliśmy, że musimy to wykorzystać.

Paolo chciał, żebym poznała jego przyjaciół z dawnych czasów i pierwsze tygodnie spędziliśmy na odwiedzaniu tych ludzi, których część poznałam już wcześniej i których większość mieszkała w głębi kraju. Jednym z pierwszych miejsc, do których Paolo mnie zabrał, było jezioro Naivasha, około godziny jazdy samochodem od Nairobi. Jechaliśmy drogą, z której roztaczała się panorama na wielką Skałę. Na południowym brzegu jeziora leżała posiadłość Blocków, zwana Longonot Farm, zaś po przeciwległej stronie znajdowała się willa należąca do rodziny Rocco. Ich farma, D.D.D. („Dominio Di Doriano”), została tak nazwana od imienia ich syna, a naszego przyjaciela.

Docierało się tam po szerokich schodach, które piły się łagodnymi zakrętami wśród palm i figowców. Pappi i Giselle Rocco większość czasu spędzali w przestronnych, wysokich pokojach na parterze. Przenikała je atmosfera art deco, obecna w architekturze, malowidłach ściennych oraz obrazach i rzeźbach Giselle. W wyłożonej boazerią bibliotece czarno-białe fotografie, pokrywające ściany i wszystkie możliwe półki, odkrywały niezwykle dzieje ich córek, Mirelli i Orii. Z Orią i jej szkockim mężem, Iainem Douglasem-Hamiltonem po raz pierwszy zetknęłam się właśnie dzięki tym fotografiom. Jedną z nich przedstawiała Orię w dniu ślubu, ubraną w długą cygańską spódnicę i szal z frędzlami. Stała na tle krajobrazu targanej wichrami szkockiej wyspy. Obok Iaina z długimi jasnymi włosami, które spływały na welwetową kurtkę z koronkowym żabotem. Jego stroju dopełniały okulary w rogowej oprawie i kraciasta spódniczka. Była tam też fotografia wielkiego stada słoni nad jeziorem Manyara, zrobiona z niebezpiecznie bliskiej

odległości. Nagie dziecko Orii stało na kopcu mrówek i dotykało trąby ogromnej słonicy, przywódczyni stada. Inne zdjęcie przedstawiało grupkę nagich, jasnowłosych i bardzo opalonych dzieciaków Rocców, bawiących się z chudymi Murzyniátkami. Utyłane w błocie, wyglądały jak żywe statuetki z gliny.

Starzy Roccowie mieli wspaniały dar opowiadania. W ich ustach zwykle zdarzenie zmieniało się w legendę.

Na przestronnym tarasie, strzeżonym przez strzeliste cyprisy służący w czerwonych fezach podawali wyszukane aromatyczne potrawy. Stanowiły one kombinację kuchni neapolitańskiej i francuskiej i były dziełem starego Kimuyu. W trakcie jednego z takich lunchów posłyszeliśmy od strony nieba dziwny hałas, a potem naszym oczom ukazał się mały samolot. Zdawało mi się, że celował prosto w nas, lecąc jak szalony kamikadze. Porcelanowe naczynia zaczęły podskakiwać na stole, a koła samolotu minęły dach o kilka cali. Ja o mało nie rozlałam wina, dzieciaki piszczały z radości, a starzy Roccowie udawali, że nic się nie stało.

— To Iain i Oria — powiedzieli niedbale. — Dobrze, że zdążyli na lunch. W ten sposób poznałam Iaina, Orię oraz ich urocze córeczki, Sabę i Dudu. Oria — podobnie jak Mirella — była bardzo kobieca, barwna i egzotyczna. Miała śniadą cerę, głęboki, niski głos i żywe oczy. Zawsze niezłomnie dążyła do jakiegoś niezwykłego celu. Iain pochodził z arystokratycznego szkockiego rodu i zajmował się naukowo badaniami słoni żyjących nad jeziorem Manyara w Tanzanii, gdzie od lat mieszkali. Ten wybór, jak wszystkie inne, wpłynął na przebieg jego życia. Iain obronił w Oxfordzie pracę doktorską na temat słoni i z czasem stał się uznanym specjalistą w swojej dziedzinie.

Tworzyli piękną, oryginalną i szczęśliwą rodzinę inteligentnych ludzi. Stanowili mieszankę włoskiej kreatywności i spontaniczności z francuskim sprytem i szkockim uporem oraz zamiłowaniem do przygód. Od razu poczułam do nich ogromną sympatię. Z upływem lat nasza przyjaźń zacieśniała się, a w końcu nasze losy stały się nierozzerwalne. Ciepło i kultura Rocców sprawiały, że czułam się u nich jak u siebie

w domu i zawsze cieszyłam się na spotkania z nimi. W atmosferze, jaką wokół siebie roztaczali, nigdy nie było nic oczywistego, nic pewnego, co powodowałoby nastrój znudzenia.

Na południowym brzegu jeziora Naivasha rozciągały się tereny należące do farmy Longonot. Wzięła ona swoją nazwę od krateru, który wyrastał tuż nad jeziorem, powyżej złowieszczonego wąwozu Hell's Gate (Brama Piekła), pełnego jeszcze antylop i żyraf. Tutaj mieszkali Blockowie. Ich ojciec przybył z Afryki Południowej na początku stulecia. Cały jego majątek stanowił worek ziemniaków sadzeniaków, który stał się zaczątkiem jego imperium. Gościnność Blocków była powszechnie znana. Przyjaźń była dla nich czymś najważniejszym. W ich domu zawsze spotykało się wielu utalentowanych i wybitnych ludzi z całego świata. Mimo swojej towarzyskiej ogłady i koneksji z intelektualnymi salonami, zarówno Tubby, jak i jego szwedzka żona, Aino, zauroczeni przyrodą Afryki, wybrali spokój farmerskiego życia. Tubby potrafił cieszyć się drobiazgami. Uwielbiał oprowadzać gości po swoim nienaganie utrzymanym warzywniku i bujnym sadzie. Chodził od drzewa do drzewa i kosztował owoce z dziecinną radością i gospodarską dumą, jakiej trudno się było spodziewać po kimś tak światowym. Zaakceptował nas i stał się najbardziej oddanym i niezawodnym spośród lojalnych przyjaciół. Aino była wyrafinowaną, elegancką kobietą i miłą gospodynią, ale nosiła w sobie tajemnicę, o której mało kto wiedział. Kiedy pewnego dnia wyjawiała mi ją, między nami nawiązała się nić porozumienia, która bardzo nas do siebie zbliżyła. Aino straciła swojego ukochanego pierworodnego synka, który w wieku kilku lat zmarł na nieuleczalną chorobę. Sposób, w jaki opisywała to swoje doświadczenie, był niesłychanie wzruszający i pozostawił we mnie trwałą ślad.

Okna ich domu wychodziły na jezioro. Paolo i Emanuel lubili wypływać o świcie na połów moronów. Wyruszali łodzią Tubby'ego i ślizgając się po lustrze wody, po dywanach wybudujących sal wini i i lili wodnych z wielką zręcznością wymijali ogromne łby śpiących hipopotamów. Pelikany, bieliki afrykańskie i nieprzeliczone zastępy wodnego ptactwa krążyły w powietrzu lub czatowały na gałęziach na wpół pograżonych w wodzie drzew. Te pobyty u Blocków były niezapomniane.

W dniach, kiedy poszukiwaliśmy naszego Edenu, sielskie weekendy spędzane razem z nimi dawały nam przedsmak naszego życia w Afryce. Gdy wracaliśmy do Nairobi samochodem pękającym w szwach od świeżych owoców i warzyw, wspominaliśmy bezy z truskawkami, które przyrządzała Aino. Nie tylko ich smak, ale również serdeczna gościnność przyjaciół pozostawały nam w pamięci na wiele dni.

Farma Longonot była zawsze otwarta dla przyjaciół. Tam właśnie poznaliśmy Rubenów. Dziadek Ruben, wywodzący się podobnie jak Blockowie z rosyjsko-żydowskiej rodziny, również przyjechał do Kenii jako mały chłopiec na przełomie stuleci. Pod koniec pierwszej wojny światowej, mając do dyspozycji tylko dwa osły, założył firmę „Express Transport”, która rozrosła się później w ogromne przedsiębiorstwo, dysponujące wielkim taborem ciężarówek i zatrudniające setki pracowników. Jego syn, Monty Ruben, zoolog z zawodu, odznaczał się wielkim zamiłowaniem do fotografii, medycyny i wszelkiego rodzaju urzędzeń. Ten głęboko wrażliwy, lojalny wobec przyjaciół i hojny człowiek okazywał wielką miłość i przywiązanie do Kenii. Podobnie jak Paolo w wielkim stopniu uważał się za obywatela Afryki i zgodnie z jej niepisaną tradycją zaadoptował mnie na członka wielkiej rodziny. Przekonałam się, że zawsze mogę liczyć na jego radę i praktyczną pomoc. Żona Monty'ego, Hilary, była pod względem temperamentu całkowitym jego przeciwieństwem. Uduchowiona i żyjąca we własnym świecie, kochała piękno i kulturę, poezję i mistycyzm, muzykę i przyrodę. Przy tym wszystkim nie zatraciła najpiękniejszej z ludzkich cech, współczucia i troski o innych. Jej towarzystwo wzbogacało mnie i inspirowało. Hilary i ja odczuwałyśmy powinowactwo duchowe, z tą samą intuicją rozpoznawałyśmy rzeczy najważniejsze w życiu. I to był fundament naszej przyjaźni.

Do nowo poznanych przyjaciół zaliczała się też Carol Byrne, ale jakoś nie potrafię sobie przypomnieć naszego pierwszego spotkania. Zdawała się tak efemeryczna, że gdy weszła w nasze życie — jakby na czubeczkach palców — mieliśmy uczucie, że była tam od zawsze. Była jak cień obłoku, nie tknięta przez wiek i nie zniszczona życiem, choć

los nie obszedł się z nią łaskawie. Jej mąż zginął w katastrofie lotniczej, pozostawiając ją z małym synkiem, Samem, uroczym i wrażliwym dzieckiem, kilka lat młodszym od Emanuela. Rozliczne zajęcia i problemy, z którymi musiała się borykać, nie pozostawiły żadnego śladu na jej pięknej, młodej, uduchowionej twarzy. Nie wpłynęły też na jej subtelny sposób bycia. Radziła sobie ze wszystkim z wdziękiem. Jej towarzystwo było wielkim przywilejem, a obecność darem, dzięki któremu czuliśmy się piękniejsi. Uwielbiała książki, muzykę i filozofię Wschodu. Była jedną z tych niewielu osób, które bez reszty realizowały wyznawane zasady, a jej życie zdawało się pełne ładu i harmonii. Mieszkała na zboczu klifu nad rzeką Mbagathi, koło Kitangeli. Jej kryty słomą dom z kamienia i wielkich bali drewna był pełen książek, dywanów, poduszek, muzyki i przedmiotów, które miały własną historię. Podobnie jak gospodyni, ten dom posiadał nieskalaną duszę. Przez ogromne okna można było obserwować zwierzęta, gromadzące się u wodopoju, a na podjeździe spotykało się lwy i nosorożce.

Wszyscy ci ludzie byli członkami wielkiej afrykańskiej rodziny, do której i ja zostałam przyjęta szybciej, niż kiedykolwiek bym się spodziewała.

## 9. Jezioro Turkana

Była to chwila, gdy nagle tęsknota Wstaje w żeglarza duszy obudzona...

Dante Alighieri, *Boska komedia*

(przekł. Edward Porębowicz)

Rzeczą najważniejszą dla nas było eksplorowanie. Ono też miało nam pomóc w znalezieniu miejsca na osiedlenie się. Stąd też jedną z pierwszych rzeczy, jakie nabyliśmy, był samochód z napędem na cztery koła i wyposażenie kampingowe. Na mapie Kenii Paolo zaznaczył miejsca, które mieliśmy po kolei zwiedzać. Z wielkim entuzjazmem

objeżdżaliśmy kraj od Naro Moru u stóp góry Kenii do jezior Naivasha i Baringo; od jeziora Nakuru do parków i rezerwatów Amboseli, Tsavo, Shimba Hills, Samburu, Marsabit i Mara; od pustyni Nguruman i gór Aberdare do arabskich miast na wybrzeżu, Lamu, Kiunga oraz wysp Bajuni i Shimoni na południu, gdzie królowało rybołówstwo.

Jednym z naszych ulubionych miejsc było jezioro Turkana na północy, wówczas jeszcze zwane od imienia austriackiego arcyksięcia jeziorem Rudolfa.

Ostatni odcinek drogi do jeziora Turkana, który przebiegał między czarnymi wulkanicznymi skałami, pokonywaliśmy bardzo powoli. Za wzniesieniem kipiącym żarem i lawą rozciągały się rozległe jałowe przestrzenie, a potem ujrzelśmy ogromną taflę prehistorycznego jeziora, która mieniła się fioletem, szarością, czernią i jadem. Była spokojna i majestatyczna ze swoimi wyspami, które wyglądały jak ogromne uśpione dinozaury.

Początkowo spędzaliśmy tam całe wakacyjne tygodnie, a nawet miesiące. Czasami rozbijaliśmy obóz w Sandy Bay, nagiej żółtej zatoczce okolonej plażą z brązowych otoczków i czarnego piasku. Paolo mógł tam łowić okonie nilowe nawet z brzegu. Są to gigantyczne, lecz ospałe ryby, łatwe do złowienia, gdy już wezmą przynętę. Niektóre są jaskrawo żłociste, inne szaroróżowe z dużymi okrągłymi i zdziwionymi oczami, jak u wszystkich ryb. Oczami, w których ludzie nie potrafią odczytać wyrazu bólu czy cierpienia, więc — jak w przypadku robaków czy mięczaków — czują się rozgrzeszeni za ich śmierć.

Czasami rozbijaliśmy namioty na długich połaciach wydm, pod osłoną wielkiej akacji, w której cieniu dzieci, ubrane tylko w kostiumy kąpielowe, odrabiały popołudniami lekcje. Wiatr nad jeziorem Turkana rzadko przestawał wiać. Deszcze też padały rzadko, z wyjątkiem długiej pory deszczowej w kwietniu, kiedy nagle burze zasnuwały niebo mrokiem. Ogromne fale rozbijały taflę jeziora, które przybrawszy granatowo-czarne i fioletowe barwy, zalewało piaszczyste *luggi*.

Któregoś razu, gdy obozowaliśmy na północ od Loyangelani, u stóp Mount Por, w nocy rozszalała się burza. Mieliśmy dwa namioty, my z Paolem spaliśmy w jednym, a dzieci w drugim. O północy wiatr zaczął wycić ze straszliwą furią, a płótno namiotu niemal uginało się pod naporem ogłuszającego deszczu. Mieliśmy wrażenie, że niebo eksplodowało, a ziemia zdawała się pękać i drżeć jak przed wybuchem wulkanu. Martwiłam się o dzieci, ale nie było sposobu, by wydostać się na zewnątrz. Dał tak porywisty wiatr, że nie mogliśmy nawet rozpiąć suwaka od klapy namiotu. A potem jeden z masztów złamał się i w namiotach zrobiło się całkowicie ciemno.

Wiatr przestał dąć tak nagle, jak zaczął. Szum dochodził jedynie od nowej rzeki, która utorowała sobie drogę i od kilku godzin płynęła w kierunku jeziora. A potem, w ociekającej wodą nocnej ciszy ozwał się chór ptaków i żab. Wyczołgaliśmy się z naszego namiotu i ku wielkiemu zdziwieniu stwierdziliśmy, że drugi namiot pozostał cudownie nieknięty, a dzieci spokojnie spały. Następnego ranka obudziły się jak zwykle wcześniej i były zaskoczone odkrywszy, że po sprzęcie kempingowym, który zostawiliśmy na zewnątrz, właściwie nic nie zostało. Nasze obozowisko wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado, zmiatając po drodze wszystkie garnki i rondle. Krzesła i stoły były powywracane i leżały kilka metrów dalej, a z drzew zwisały kangie i zwoje papieru toaletowego.

Nasze życie nad jeziorem Turkana toczyło się według pradawnych wzorów. Paolo i Emanuel codziennie chodzili na ryby, a ja gotowałam. Naczynia myło się ostrym, nasyconym sodą piaskiem. Pływaliśmy w ciepłej wodzie, obserwując ptaki i krokodyle. Emanuel szukał kameleonów i często pod skałami znajdował małe czarne skorpiony, nocą zaś blade i tłuste jadowite pająki zwane *solefugens*. Posiadał już kilka oswojonych kameleonów, którym nadał imiona dawnych władców angielskich, na przykład Alfreda Wielkiego albo Roberta de Bruce'a. Były to zabawne stworzonka o niezwykle interesujących sposobach zachowań. Poruszały się ostrożnie i nieporadnie, a ich chytre oczka obracały się na wszystkie strony. Emanuel je wprost uwielbiał. Co jakiś czas miewał ten sam sen o zaroślach niebieskiego bambusa, w których roilo



się od pomarańczowych kameleonów. Chodziliśmy też na długie spacery, a wieczorami puszczaliśmy latawce na brzegu jeziora.

Od czasu do czasu Paolo wynajmował w Loyangelani łódź i płynęliśmy wszyscy na grubszy połów. Pamiętam nasze powroty o zachodzie słońca. Siedzieliśmy z ośmioletnim wówczas Emanuelem na dziobie łodzi pełnej ogromnych ryb. Ciepły wiatr, w którym czuło się zapach sody i odchodów wodnego ptactwa, rozwiewał jego proste, jasne włosy. Obejmując go ramieniem, recytowałam mu włoskie wiersze: *Do Sylwii* Leopardiego, Piątą pieśń *Piekle* z *Boskiej komedii* Dantego, poezje Giovanniego Pascoli, Ugo Foscola i Jacopona da Todiego oraz *Jaufré Rudel* Carducciego. Miałam nadzieję, że uda mi się przekazać Emanuelowi te same uczucia, tę samą miłość do harmonijnego rytmu wersów, które pamiętałam i przechowywałam jak skarb dany mi przez ojca. Doznawałam dziwnego, lecz pięknego uczucia, płynąc po rozległym prastarym jeziorze, w samym sercu Afryki i recytując mojemu synowi klasyczną poezję włoską.

Oto mój okręt pod czarnymi żaglami  
pod czarnymi żaglami gna po obcych morzach.  
Urwana kotwica w sercu jątrzy ranę,  
czy chcesz bym do cna krew z niego utoczył.

(G. Carducci, *Passa la nave mia*)

albo:

Słodki trel szarego zimorodka  
nad białym żagleń się unosi  
a chmury rozdęte i groźne  
przygniatają słońce ołowiem.

(G. Carducci, *Jaufré Rudel*)

Emanuel słuchał zapatrzony w dal. Jego skóra pachniała zdrową opalenizną i kochałam go z ledwo uchwytnym bólem, jakby przeżuciem, że moje szczęście nie będzie trwało długo.

## 10. Na wybrzeżu

A pod zachód przybyli do kraju takiego,  
Gdzie owa pora zda się panować bezkresnie.  
Powietrze nad wybrzeżem omdlewa znużone  
Jak strudzonego ciała oddech snem spętany.

Alfred Tennyson. *Lotofagowie*  
(przekł. Zygmunt Kubiak)

Następne lato postanowiliśmy z Paolem spędzić sami i zbadać północne wybrzeże. Dzieci wysłaliśmy do dziadków w Europie i wyruszyliśmy naszym landroverem. Zabraliśmy namiot, nadmuchiwaną łódkę gumową „Zodiac”, sprzęt rybacki i, oczywiście, strzelbę. Pragnęliśmy zwiedzić miasteczka Lamu, Kiunga i Kiwayu. Lamu zawsze przypominało mi Wenecję, choć było o wiele mniejsze i biedniejsze. Podobne ulice o wąskich chodnikach, arabska zabudowa, wysokie, słoczone, łukowato sklepione budynki i promenady wychodzące na lagunę... nawet brud, smród i... koty. Jak Wenecja, miasteczko to przyciągało tłumy ekscentrycznych i wykształconych wędrowców, artystów i hippisów z całego świata. Najprzyjemniej było wybrać się na krótką wycieczkę, zwłaszcza jeśli miało się do dyspozycji łódkę. Można też było wynająć arabski stateczek zwany *dhow*. Nie kończące się, senne i płytkie kanały, porośnięte gęsto mangrowcami, zawsze przypominały mi małe wysepki w Lagunie Weneckiej, które w czasach mojego dzieciństwa były nie zamieszkałe i czyste.

W Lamu zwiedzało się przede wszystkim ruiny. Wszędzie unosił się duszny zapach starej cywilizacji i gnijących ryb. Zatrudniony przez nas w charakterze przewodnika rybak codziennie przynosił nam wielkie ilości świeżych homarów. Nauczyłam się je przyrządzać na wszelakie sposoby. Gotowałam je, dusiłam w maśle i koniaku, smażyłam, podawałam w sosie curry, jako ragout do spaghetti, w sosie winnym do ryżu,

z ziołami, z korzeniami, w pomidorach z oregano, z imbirem i szalotkami... po dziesięciu dniach Paolo przysiągł, że nie zniesie więcej homarów i zrobi wszystko, by zdobyć porządny kawał pieczonego mięsa.

Pojechaliśmy samochodem do Kiwayu. Po drodze w jednej z wsi chcieliśmy nabyć kozę. Jak we wszystkich afrykańskich wioskach osobą, do której należało się w tej sprawie zwrócić, był miejscowy wódz. Okazał się nim gruby mężczyzna o żółtobrązowej cerze, który siedział przed swoją chatą pod bardzo starym drzewem. Miał na sobie luźne kraciaste *kikoi* i wyszywaną czapkę, jaką noszą muzułmanie. Wokół niego kłębiły się chmary nagich dzieciaków i kur grzebiących pazurami w pylistym piasku. Wódz żuł betelowe orzeszki i od czasu do czasu strzykał przed siebie rdzawą śliną. Był ślepy od sarkomy. Młode kobiety, z wyrazem ciekawości w wielkich aksamitnych oczach, krążyły wokół nas, chichocząc wstydliwie, onieśmiałone naszym widokiem. Inne, dojrzalsze wiekiem i doświadczeniem, zbliżyły się do nas z respektem. Wszystkie miały szyje obwieszane naszyjnikami z bursztynu i czerwonych szklanych paciorków, głowy przykryte kolorowym materiałem na modłę arabską, a w uszach i grubych nilotyckich nozdrzach małeńkie, srebrne kółeczka.

Wszędzie panował straszliwy brud i latały roje much, ale nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Przykucnęliśmy przy wodzu i Paolo zaczął pertraktować w sprawie zakupu młodej kózki, którą upatrzył w stadzie pasącym się nie opodal. Nasz rozmówca siedział ze skrzyżowanymi nogami, z wyrazem intrygującego dostojeństwa na twarzy. Nagle odezwał się do nas po włosku, z zaskakującym akcentem z okolic Triestu i, o dziwo, mówił dość poprawnie. Powiedział, że przez wiele lat pływał, zajmując się do pracy na frachtowcach i zwiedził wiele portów w Europie oraz na Środkowym i Dalekim Wschodzie. Mówił wieloma językami, każdym po trochu. Zanim oślepl, widział więcej, niż którykolwiek z mieszkańców jego wioski byłby w stanie sobie wyobrazić.

Spytałam, czy nie tęskni za szerokim światem i ludźmi z dalekich krajów, których poznał w przeszłości. Uśmiechnął się starczym, bezzębnym

uśmiechem mędrca i skinął na kobietę, która przyniosła mu małe zawiąniętko. Było w nim kilka byle jak zwiniętych skrętów z marihuany. Wódz wybrał sobie jeden, a któryś z chłopców usłużnie podał mu ogień. Słodki, aromatyczny dym indyjskich konopi stłumił przykre zapachy suszonych ryb, przejrzałego mango, zjełczałych kokosów, jaśminu i potu ludzi, tak charakterystyczne dla większości wsi położonych na wybrzeżu. Na twarzy wodza wykwitł promienny uśmiech. Wstał, wyprostował się dumnie i majestatycznym gestem ogarnął nędzne chaty, nagie dzieci, kozie bobki, kury i sieci wywieszzone do suszenia.

— Wszystko to jest moje — powiedział uroczyście. — To jest mój dom, a to są moje dzieci. Cóż jeszcze mógłbym chcieć? Widziałem świat, podróżowałem do dziwnych krajów. A teraz, choć nie mogę widzieć, to wciąż mogę wspominać. A gdzież mógłbym wspominać lepiej niż tutaj, siedząc pod tym drzewem, w wiosce, w której się urodziłem?

Był to bez wątpienia szczęśliwy człowiek. Popatrzyliśmy na siebie z Paolem poprzez dym z grubego jointa i zrozumieliśmy się bez słów. Wódz miał rację.

Kózka była biała, chuda i miała wydęty brzuszek. Beczała żałośnie. Jeden z młodszych synów wodza wziął ją na bok i wbił jej w gardło długi ostry nóż. Beczenie nagle ustało.

— Jak mogłeś! — spytałam z wyrzutem Paola. — Taka śliczna kózka. Nie mam zamiaru jej przyrządzać. I nie będę jej jeść!

Na ustach Paola zawisł poządlivy uśmiech. — Dobra. Nie musisz. Sam ją zjem.

Po powrocie do obozu Paolo wziął się za kucharzenie. Zapach pieczonego mięsa był niezwykle nęcący po wielu dniach spożywania homarów, ale dzielnie mu się oparłam. Nie tknęłam koźliny. Paolo, zgodnie z obietnicą, zjadł ją całą z nie ukrywaną przyjemnością i bez cienia wyrzutów sumienia.

Ta wyprawa na wybrzeże dostarczyła mi wielu niecodziennych wrażeń. Różowe kraby piaskowe podchodziły do naszego ogniska i wykraδαły okruchy jedzenia, a potem uciekały z nimi do swych okrągłych,

świeżo wykopanych nerek. Często przedostawały się też do naszego namiotu przez dziurkę przy suwaku. Musieliśmy je wtedy łapać przy świetle latarki i wyrzucać na zewnątrz, gdyż ich chroboczące o płótno nóżki nie pozwalały nam spać.

Pewnej nocy wyrwały nas ze snu podekscytowane głosy. Przez płótno namiotu zobaczyliśmy światelka latarni sunące w ciemnościach w naszą stronę. Paolo pośpiesznie narzucił na biodra *kikoi* i wyszedł na zewnątrz. Spotkał tam grupę mężczyzn z wioski. Wiedząc, że mamy strzelbę i amunicję, zwrócili się do niego z prośbą o pomoc w upolowaniu lwa, który zabił byka. Paolo poszedł z nimi, ale ku mojej uldze lew nie wrócił do swojej zdobyczy.

Innym razem zjawiała się delegacja, by poprosić Paola o łódkę. Wieśniacy chcieli przywieźć z wyspy ciało mężczyzny, który padł ofiarą roju pszczoł. Paolo zgodził się. Szczupłe ciało, zawinięte niczym mumia w białe płótno, wyniesiono pośród jęków i zawodzeń na brzeg. Pochowano je w płytkim grobie na muzułmańskim cmentarzu.

W zapadłych wioskach afrykańskich jest rzeczą normalną, że tubylcy proszą o lekarstwa Europejczyków biorących udział w safari, zwłaszcza jeśli wśród nich znajduje się kobieta. Każdego ranka mój namiot otoczony był kręgiem kobiet z małymi dziećmi. Siedziały na piasku, ze skrzyżowanymi nogami, odziane w jaskrawe *kangi*, zachowując pełną szacunku odległość. W milczeniu czekały, aż się przebudzę i wyjdę przed namiot. Prosiły o środki na rozmaite schorzenia, malarię, bóle, kaszel, biegunkę i jątrzące się tropikalne wrzody — to były ich najczęstsze dolegliwości. Szybko nauczyłam się, że należy im udzielać pomocy codziennie o stałej porze, by resztę dnia mieć wolną dla siebie.

Rybak, Mote, którego Paolo zatrudnił jako przewodnika, był szczupłym, żylastym mężczyzną wzrostu dziecka. Jego brata, łowcę homarów, pożarł rekin. Mote znał wszystkie zatoczki i specjalne miejsca porośnięte gęstymi mangrowcami, gdzie roiło się od ryb. Był niezwykle wesoły i towarzyski i wkrótce za jego przykładem wszyscy wieśniacy

pozdrawiali nas jak starych przyjaciół. Zapraszali nas do swoich mrocznych domów w stylu arabskim, zbudowanych z koralowca i błota, w których unosił się zapach dymu, drewna sandałowego i piżma. Często wano nas aromatyczną herbatą bajuni, a kobiety obdarowywały mnie naszyjnikami z muszelek i bukietkami dzikiego jaśminu. Odwdzięczałam się mydłem, solą i cukrem, a raz dałam im małe lusterko, którym się wszystkie dzieliły, ceniąc sobie bardzo ten prezent.

W drodze powrotnej z wybrzeża Paolo zaplanował spędzenie nocy w Kipini, u ujścia rzeki Tany, na północ od Ras en Ngomeni. Do wsi dojechalśmy po południu, tuż przed zachodem słońca. Zza wysokich wydm dochodziły odgłosy fal rozbijających się o niewidoczną rafę. Za wsią było miejsce, które Paolo poznał już wcześniej. Znajdowało się przy głównym szlaku, a zatem świetnie nadawało się na obozowisko. Była to polana, gdzie wciąż stał chylący się ku ruinie dom. Musiał być od dawna nie zamieszkały, gdyż sprawiał wrażenie zaniedbanego i porzuconego. Ściany łuszczyły się i opadał z nich tynk, a ze szczelin, w których miały swoje gniazda gekony, wyrastały pnącza bugenwilli i pięły się aż do butwiejącego dachu z *makuti*.

Zaczął się wieczorny przypływ. Na wąskie pasmo plaży u podnóża wydm fale wyrzucały wodorosty, kawałki drewna oraz gruzy skalnych zwierzelin, efekt wszystkich wieczornych przypływów na wszystkich plażach Oceanu Indyjskiego. Poczułam niewytłumaczalny smutek. Ogarnęło mnie jedno z tych rzadkich, nagłych, silnych przeczuć, które od czasu do czasu mnie dopadało. Wiedziałam, że nie mogę — po prostu nie mogę — spędzić tam nocy.

Nie chciałam być nierozsądna. W końcu miała to być tylko jedna noc. O świcie i tak wyruszyliśmy dalej do Kilifi. Jednak z tego miejsca emanowało coś wyraźnie złowrogiego, jakaś niezdrowa i pełna grozy aura nie rozwiązanej tajemnicy. Perłowy zmrok poprzedzający równikową noc był półprzezroczysty i tak nierzeczywisty, jakbyśmy znaleźli się w muszli ostrygi. Odwróciłam się do Paola. Ostatni promień światła odbijał się turkusowymi błyskami w jego oczach, fantastycznie kontrastującymi z ogorzałą twarzą. Ciemnobłond włosy, poskręcane i rozwiewane przez wiatr, układały się na kształt aureoli wokół jego głowy.

Wydał mi się majestatyczny, a zarazem szalony, jak prorok z renesansowych obrazów, wstępujący do nieba.

Ujrzałam szarą mgłę nad miejscem, w którym zdarzyło się jakieś nieszczęście. Szarą, kurcząca się aurę wokół człowieka, który wkrótce miał umrzeć. Nigdy się nie myliłam. Odczuwałam to już wcześniej i miałam doznawać wiele razy później. Dar „widzenia rzeczy niewidocznych” jest w naszej rodzinie dziedziczny. Paolo wiedział o tym.

Spojrzał na mnie. To samo światło i ten sam wiatr w moich długich, jasnych włosach. Moja twarz oświetlona pożegnalnym promieniem słońca. Nie wyrażone przecucie i obawa... nie powiedziałam ani słowa.

Powietrze było naelektryzowane emocjami. To tajemnicze miejsce na wydmach w Kipini wywoływało we mnie niepokój, silniejszy niż kiedykolwiek. Nie mogliśmy oderwać od siebie oczu.

— Nie tutaj — zdołałam powiedzieć chrapliwym szeptem — gdzie indziej, ale tutaj nie mogę. Na plaży, w samochodzie, gdziekolwiek. Proszę. To miejsce jest nawiedzone. Nie możemy spędzić tutaj nocy.

Napięcie było do zniesienia. Od pożądania zaschło mi w gardle. Przyciągnął mnie rozpalonymi dłońmi i poczułam jego usta na swoich. Nigdy nie doznałam tak wielkiego pociągu do Paola, jak w tej chwili. Otarłam się policzkiem o jego kłujący podbródek. Przywarłam do niego całym ciałem. Poczułam bicie jego serca.

Noc spędziliśmy na plaży w namiocie pospiesznie rozbitym przy świetle latarni sztormowej.

Wiele lat później dowiedziałam się, że niegdyś w tym opuszczonym domu mieściła się misja. Dwie osoby, jedna po drugiej, popełniły tu samobójstwo, popadły w niewytłumaczalną depresję. Odtąd nikt nie chciał tu zamieszkać. Obecnie miejsce to uchodzi za nawiedzone i sprządzające przedwczesną śmierć na każdego, kto się tu zatrzyma. Paolo wyznał, że kiedyś już spędził tutaj noc.

## 11. Laikipia

Tymczasem Delamere przedostał się przez urwiste wąwozy nie opodal jeziora Baringo — skalistą skarpe wysoką na 4000 stóp — i wyłonił się od północnej strony płaskowzgórza Laikipia.

Elsbeth Huxley, *While Man's Country*

W któryś weekend Paolo postanowił pojechać do Laikipii, regionu, który rozciąga się od góry Kenia do skraju Wielkiego Rowu. To właśnie tutaj pod koniec ubiegłego stulecia zjawiał się Lord Delamere. Był to młody angielski arystokrata, śmiały odkrywca, który po kilkumiesięcznej wędrówce przez zakurzone i cierniste sawanny Etiopii i Somalii dotarł w to miejsce. Przed jego oczami roztoczył się widok łagodnych wzniesień, zielonych pastwisk z żerującymi stadami dzikich zwierząt, liczne rzeki i źródła. Ta kraina mogła przynieść wielkie dochody. Lord Delamere postanowił wykorzystać jej potencjał i po powrocie do Anglii uzyskał koncesję na jej zagospodarowanie jako ziemi uprawnej. To był początek słynnych Białych Wzgórz Brytyjskiej Afryki Wschodniej.

Zatrzymaliśmy się na farmie Colobus na południowym stoku wzgórza Enghelsha, wznoszącego się nad jeziorem Baringo. Farma należała do Antonietty Buonanajuti, która właśnie straciła męża. Jej jedyny syn, Amedeo, kończył studia uniwersyteckie w Stanach Zjednoczonych, toteż Antonietta zastanawiała się nad możliwością sprzedaży farmy, zwłaszcza, że rósł w tym czasie popyt na ziemię uprawną.

Po drugiej stronie wzgórza Enghelsha, wówczas pokrytego jeszcze gęstym lasem, pełnego gerez\*[ang. *colobus monkey*], od których farma wzięła swą nazwę, leżało ogromne ranczo Ol Ari Nyiro. Zajmowało ogromny obszar wzgórz, wąwozów i równin i słynęło z obfitości i różnorodności dzikiej fauny, głównie nosorożców czarnych, słoni i bawołów.



Jej właściciele byli przeważnie nieobecni. Nowy zarządca, Colin Francombe, młody, miły człowiek o otwartym sposobie bycia i szczerym uśmiechu, powitał Paola i zaprosił go na polowanie na bawoły.

Paolowi nic nie sprawiało większej radości niż polowanie pieszo na bawoła w gęstym buszu. Wymagało to cierpliwości, wytrzymałości i umiejętności tropienia konkretnego zwierzęcia przez długie godziny, nawet dni, a ponadto sprawdzania zmieniającego się wiatru, który łatwo potrafi oszukać ludzki węch. Swoją pasję Paolo rozwinął w wyrafinowaną sztukę. Wymagający wielkiej finezji instynkt myśliwego w dość skomplikowany sposób łączył się u niego z fatalnym zamiłowaniem do ryzyka. Ja nie mogłam dzielić z nim pasji polowania, ponieważ nigdy nie zabiłam żadnego zwierzęcia, ale zawsze respektowałam, a czasem podziwiałam, sposób, w jaki on to robił. Paolo posiadał pradawną wysublimowaną mądrość wojownika. Nie był mordercą, lecz myśliwym, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Nie miałam żadnych wątpliwości, że ta jego pasja do polowań będzie ewoluowała, aż pewnego dnia przerodzi się w przyjazną i opiekuńczą postawę człowieka, który za wszelką cenę chce bronić ginącej przyrody.

Z pierwszej wizyty w Ol Ari Nyiro Paolo wrócił pełen zapału i nadziei. Jeździł tam jeszcze kilka razy, aż pewnego niezapomnianego dnia powiedział poważnym tonem:

— Chyba znalazłem miejsce dla nas. Ale musisz je sama zobaczyć.

Ol Ari Nyiro to obszar 400 kilometrów kwadratowych urozmaiconych krajobrazów. Suche, otwarte równiny i busz tak gęsty, że nie do przebycia. Bujny las cedrowy porastający wzgórze Enghelsha i nagie strome skały zapierającego dech w piersiach wąwozu Mukutan. Błękitne wzgórza i akacjowe gaje, otwarte sawanny z samotnie stojącymi drzewami, bezkresny łańcuch kraterów i wulkanów zabarwionych fioletem i różem przez gorąco i odległość, i jezioro Baringo, które mieni się swoimi wyspami 3000 stóp poniżej. Chłodne lekkie powietrze, suche i złote, sprawia wrażenie, jakby człowiek znajdował się na szczycie świata. Ranczo, wyspecjalizowane w hodowli bydła i owiec, zamieszkiwała również dzika fauna. Jednym z pierwszych zwierząt, jakie zobaczyliśmy, był truchtający ku dalekim wzgórzom nosorożec. Obszar ten — jak

pisał przed osiemdziesięcioma laty Delamere — wówczas jeszcze „dosłownie się od nich roi”.

Bogaństwo i piękno tej ziemi poruszyło mnie do głębi, doznałam uczucia *déja vu*. Zarysy wzgórz zdawały się niewytłumaczalnie znajome, jakbym już tu kiedyś była. Miałam wrażenie, że już wcześniej przemierzałam te wąwozy i poznawałam ukryte ścieżki. Było to więcej, niż kiedykolwiek mogłam marzyć, ale jednocześnie dokładnie to, o czym marzyłam.

Stojąc na wzgórzu i patrząc na orły, szybujące cicho i swobodnie w głębi wąwozu, oparłam się o gruzłowaty pień samotnej akacji. Jej gałęzie zwisały nad przepaścią poza krawędź Mugongo ya Ngurue (Świńskiego Grzbietu). Przez długi czas nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Dotknęłam chropawej, spękanej szarej kory. Chciałam poczuć siłę i moc pradawnej mądrości tego niezwykłego drzewa. Pod nami rozciągała się Afryka...

— Tak — powiedziałam i odwróciłam się do Paola. — Myślę, że dotarliśmy na miejsce.

Po latach, miejsce to, gdzie tak często się zatrzymywałam, stało się znane jako „Miejsce Kuki”. Opierając się plecami o drzewo i rozmyślając w samotności, często próbowałam znaleźć wytłumaczenie dla wielu spraw, które wydarzyły się w moim życiu.

W Laikipii wzięły początek jeszcze inne historie, które dopiero miałam poznać.

## 12. Polowanie na bawołu

O, daj mi dom w krainie wędrujących bawołów...

*Home im the Ratine*, pieśń z XIX wieku

Noc spędziliśmy u Francombów. Colin niedawno się ożenił, a jego żona, Rocky oczekiwała pierwszego dziecka. Tworzyli wspianą parę.

Rocky miała rude włosy, oczy w kształcie migdałów i piegi. Była szczupła, wysoka i niesłychanie gospodarna. Pochodziła z rodziny pionierów i farmerów. Jej ojciec podczas wojny dowodził w Birmie kolumną Gurkhów pod generałem Wingatem, a dzięki swoim brawurowym wyczynom został jednym z najmłodszych dowódców brygady w Armii Brytyjskiej. Znany był jako „Wesoły Brygadier”.

Colin, wysoki i przystojny, stale szerzył w uśmiechu równe rzędy białych zębów. Był wszechstronnie uzdolniony, bardzo odpowiedzialny i oddany ranczu oraz jego przyrodzie. Jego ojciec służył jako dowódca dywizji w Królewskich Siłach Powietrznych, a po wojnie przeszedł na emeryturę i osiadł w Kenii. Po śmierci Króla Jerzego VI Księżniczka Elżbieta odwiedziła Kenię ze swoim mężem, Księciem Edynburga. Ojcu Colina powierzono zadanie przetransportowania nowej królowej z Nairobi do Entebbe, skąd miała się udać do Anglii. Był pierwszym pilotem, który wiózł na pokładzie swego samolotu angielską Królową.

Zarówno Colin, jak i Rocky bardzo kochali Ol Ari Nyiro. Powitali nas ciepło, z gościnnością, którą miałam dobrze poznać w nadchodzących latach. Noc była chłodna, a porywy wiatru niosły na swych niestrudzonych skrzydłach krzyki hien i ptaków. Trudno było zasnąć pod grubą warstwą koców. Przed pójściem do łóżka Colin nastawił wielki budzik na bardzo wczesne budzenie i oddał go służącemu, Atipie z plemienia Luo.

Atipa zbudził Paola przed wschodem słońca, kiedy jest najciemniej. Potem oczywiście wypił wczesną, poranną herbatę — to kenijski zwyczaj, do którego zawsze trudno mi było przywyknąć — i natychmiast zagłębił się w ciemną i chłodną noc. Poszli z Colinem tropem groźnego bawołu, ale wrócili na śniadanie, gdyż zranione zwierzę zdołało im umknąć. Potem zamierzali tropić je za pomocą psów.

— Chodź! — powiedział Colin do mnie. I poszłam z nimi.

Pamiętam każdy szczegół tego polowania. Było to moje pierwsze zetknięcie z nie znaną stroną Afryki. Przez długie godziny posuwaliśmy się w prażących promieniach słońca. Colin od czasu do czasu wzbijał nogami tumany kurzu, by sprawdzić kierunek wiatru. Szliśmy cały czas

w równym tempie przez cierniste zarośla i suchą *leleshwę*. Staraliśmy się zachowywać całkowitą ciszę, zważając, by nie potrącić jakiejś gałązki. Wsłuchiwalismy się w najcichsze odgłosy. Aromat szaławii, żywicy i ostry zapach gnoju tworzyły egzotyczny melanz woni. Szliśmy za zwinnym, małym, afrykańskim tropicielem, próbując naśladować każdy jego ruch. Oblizywałam spieczone wargi i z bijącym sercem rozglądałam się czujnie dookoła. Tropicielel przeszukiwał każdą kępkę trawy, oglądał każde źdźbło, szukając śladów krwi rannego bawołu. W pewnej chwili psy pognały naprzód, aż zginęły nam z oczu. Dopiero ich piskliwe i niecierpliwe ujadanie oznajmiło nam, że znalazły ofiarę.

Mężczyźni zamarli w bezruchu. Po szyjach spływał im pot i plamił koszule na plecach. Powoli, bez słowa zniżyli broń, gotowi w każdej chwili oddać strzał.

Bliski trzask łamanych gałęzi przestraszył mnie. Colin i Paolo krzyknęli prawie jednocześnie:

— Szybko, zbliża się! Właż na drzewo!

Szczekanie psów było coraz bliższe. Nagle z zarośli *leleshwy* wypadł ogromny, prychający śliną czarny potwór. Biegł prosto na nas. Nigdzie nie było drzew, na które można by się wspiąć, jedynie tuż za mną rosła mała, nie wyższa ode mnie, ciernista akacja. Z szybkością błyskawicy wdrapałam się na jej wierzchołek, błogosławiąc w duchu profesora Müllera, który postawił mnie na nogi. Paolo i Colin dopadli drzewa i z przyklęku, prawie nie celując, wystrzelili w stronę szarżującego bawołu.

Huk wystrzału przestraszył rozleniwione południem owady, umilkły cykady i ptaki. Ciszę, która zaległa potem, przerwało ciężkie sapanie i powarkiwanie psów. Niemal słyszałam bicie własnego serca.

Bawół padł martwy kilka stóp przed nami. Leżał potężny i groźny, w kałuży brunatnej krwi, która barwiła grube źdźbła trawy. Psy obwąchiwały ostrożnie trupa. Padlinożerne muchy już brzęczały wokół pokrytego pianą pyska, zlatywały się do okrągłych otworów po pociskach i

mętniejących oczu. Zanim Colin zbliżył się do zwierzęcia, rzucił w niego kamieniem. Dowiedziałam się wtedy, że bawół, udając martwego, potrafi nagle zerwać się na nogi i podstępnie zaatakować swojego prześladowcę. Nigdy nie ma się pewności, że nie żyje, dopóki nie rzuci mu się kamieniem we wrażliwe oko. Nasz bawół się nie poruszył, więc mogliśmy podejść.

Brzuch zwierzęcia wydawał się ogromny, a rogi potężne. Żerujące na bawole kleszcze w pośpiechu opuszczały swego żywiciela. Przewodnik psiej sfory położył władczą łapę na martwym cielsku, zgodnie bowiem ze zwyczajem jemu pierwszemu należał się kawałek wątroby. Naganiacz z plemienia Tharaka, który prowadził nas z tak niesłychaną wprawą, wyciągnął nóż i rozciął brzuch ofiary. Wylały się z niego cuchnące, jeszcze ciepłe, pozwijane jelita.

Zanurzywszy w nich rękę po łokieć, odszukał wątrobę i rzucił kawałek psu. Z reszty zręcznie wykroił nożem równą kostkę, tak jak kroi się owoce mango, i wycisnął na nią zielonkawą żółć, niczym sok z cytryny. Następnie z wielką uprzejmością zaferował ten smakołyk mnie.

Chociaż na ogół lubiłam oryginalne potrawy, teraz ze wstrętem odwróciłam głowę. Paolo z Colinem także odmówili. Nie zrażony tym malutki człowieczek wpakował sobie wzgardzony przez nas kąsek do ust. Żółć pomieszana ze śliną ściekała mu po brodzie. Po chwili, młaskając z zadowolenia, wyczyścił okrwawione ręce w suchej, na wpół strawionej zawartości bawolego żołądka, po czym wytarł je o krótkie, połatanie spodnie. Smród łajna i krwi był nieznośny. A on, zadowolony, uśmiechnął się. Po raz pierwszy spostrzegłam jego przenikliwe oczy, cienkie wąsy i szeroko rozstawione, spiczaste, białe zęby. Jego krótką, silną szyję otaczał naszyjnik z jaskrawo-czerwonych paciorków. Na głowie nosił zawadiacko zakrzywiony beret ozdobiony broszą z kłów nosorożca. Miał zwinne, szczupłe, ale doskonale umięśnione ciało człowieka przystosowanego do trudów życia w buszu.

Nim zabrał się do obdzierania bawołu ze skóry, utkwił swój kościsty palec w błękitne niebo, po którym szybowały wysoko ogromne ptaszy-ska. Zbierało się ich coraz więcej i więcej. Były to moje pierwsze sępy.

W Laikipii odbyłam mój chrzest krwi.  
— *Ndege* — powiedział mały człowieczek, wskazując do góry.  
Tak właśnie poznałam Lukę Kiriongi.

### 13. Śmierć słonia

Wspaniale arcydzieło natury, słoń, jedyny wielki, a niegroźny stwór; największy olbrzym spośród wszystkich bestii...

John Donne (1612)

Gdy negocjacje w sprawie zakupu Ol Ari Nyiro były już w toku, Paolo postanowił pewnego dnia zapolować na słonia. Doszło wtedy między nami do poważnej kłótni, gdyż mnie wydawało się to pustą i okrutną zachcianką, której w żaden sposób nie potrafiłam usprawiedliwić.

Gdyby Paolo wówczas wiedział to, co dzisiaj wiemy na temat słoni, o ich wrażliwości i delikatności, ich wzorach rodzinnych i o ich lojalności, a przede wszystkim o niesłychanej inteligencji, to bez wątpienia nigdy nie wybrałby się na to polowanie. Ale kochał polowania i to były inne czasy. W Nairobi tamtych lat roiło się od sklepów oferujących wszelkiego rodzaju sprzęt łowiecki, a także od sklepów pamiątkarskich, gdzie sprzedawano wypchane zwierzęta i trofea myśliwskie — kość słoniową i skóry. Teraz wydaje się to niewiarygodne, ale dwadzieścia lat temu rzeczywiście tak było. Zgodnie z duchem czasu uczeni i wpływowi ludzie polowali wtedy bez jakichkolwiek zahamowań i żadnemu nawet powieka nie drgnęła. Dzisiaj ci sami ludzie stali się bez mała strażnikami ginącej przyrody. Jakąż rzadkością są teraz dzikie zwierzęta i jak bardzo zmienił się ludzki stosunek do nich...

Paolo postanowił udać się na północ i wynajął obóz myśliwski między Garbatulą i Isiolo. Pragnąc zwiedzić tę część kraju, przyłączyłam się do safari, którego nie akceptowałam. Paolo zaprosił też Lukę oraz Colina, który chciał ustrzelić „stufuntowca”, czyli słonia wążącego

co najmniej sto funtów. Już wtedy stufuntowe słonie były w zasadzie nie do znalezienia. Teraz zostały doszczętnie wybite i Colin w istocie nigdy takiego nie spotkał.

Drzewa widlicy tybetańskiej, gorące i suche powietrze, kurz, piasek i wolno sunące wielbłądy były tłem naszej przygody wśród plemion Somali i Boranów. Mężczyźni, przystojni i dzicy, wciąż jeszcze ubierali się w swoje tradycyjne pelerynki, długie kraciaste *kikoi* i turbany. Kobiety zaś, wysokie i dumne, z oczami ciemnymi jak aksamit, przystrojone ozdobami z bursztynu i srebra, chodziły w długich sukniach z zasłoniętymi twarzami lub w spódnicach z kunsztownie wyprawionych skór.

Prowadzeni przez przewodnika z plemienia Somali, przemierzaliśmy pieszko busz, szukając okazałego samca z dużymi kłami. Po drodze często spotykaliśmy ludzi niosących tykwy wypełnione kwaśnym, gęstym wielbłądzim mlekiem. Przy na wpół wyschłych wodopojach, pośród odcisków kopyt wielbłądów, osłów, kóz i wołów można było czasem odnaleźć wielkie, owalne, lekko pofałdowane ślady słoni.

Wieczory spędzaliśmy przy ognisku. Mężczyźni snuli przy piwie swoje opowieści o pełnych fantastycznych przygód polowaniach, a ja ze szklaneczką ouzo siedziałam obok z lekkim uczuciem osamotnienia. Spaliśmy krótko, by tuż przed świtem znowu podjąć trop. Te dwa długie tygodnie pogoni za słoniem, który wciąż był gdzieś przed nami, niewidzialny i — myślałam w duchu nie bez złośliwej satysfakcji — niedosięgly, pozostawiły w mojej pamięci bardzo przykre wspomnienia. Często podchodziliśmy do większych lub mniejszych grup słoni, ale nigdzie nie widzieliśmy odpowiedniego okazu. Po raz kolejny mogłam docenić umiejętności Luki. Jego zwinność i sprawność, z jaką przeprowadzał nas przez sam środek stada, dosłownie między nogami tych ogromnych zwierząt, tak że czuliśmy ich ostry zapach i mogliśmy ich niemal dotknąć, wprawiały mnie w wielki podziw.

W końcu pewnego popołudnia wyszliśmy niepostrzeżenie na grupę trzech słoni, które pasły się pod wiatr. Jeden z nich, duży samiec z

grubymi, choć nieco zbyt długimi kłami, był największym, jakiego dotychczas widzieliśmy. Jego dwaj pobratymcy, byli znacznie od niego mniejsi.

Luka dał znak Paolowi, który spojrzał pytająco na Colina. Ten potrząsnął głową, samiec oczywiście nie ważył stu funtów... może siedemdziesiąt, osiemdziesiąt.

Sądzę, że Paola męczyło już przedłużające się polowanie, a ponadto zdawał sobie sprawę, że mnie to nie bawi, gdyż świadomie usiłowałam na różne sposoby utrudniać im to safari. Przede wszystkim chyba w ogóle nie powinnam była się do nich przyłączyć, ale chciałam być z Paolem, i — oczywiście — zżerała mnie ciekawość niezwykłej przygody.

Paolo rzucił mi szybkie spojrzenie, a ja energicznie potrząsnęłam głową. Obserwowaliśmy słonia, który stał w odległości pięćdziesięciu metrów od naszej grupki. Ignorował nas, co jakiś czas skubiąc gałązki krzewów i wachlując się wielkimi uszami. Po chwili, kiwając swoim wielkim łbem, odwrócił się w naszą stronę z niewzruszonym spokojem. Był świadom naszej obecności, ale nie okazywał zaniepokojenia. Zobaczyłam, jak szczęka Paola odruchowo się zaciska i serce na moment przestało mi bić. Szybko i bezszelestnie zbliżał się do zwierzęcia. Podążałam tuż za nim, nic nie mogłam już zrobić. Czułam własną niemoc, patrząc na szare, mocarne, a tak bezbronne cielsko. Paolo przyłożył karabin do ramienia i wycelował.

Słoń spojrzał na niego i nastawił uszu. Nie chciałam na to patrzeć, znałam śmiertcionośne działanie naboju kaliber 458.

Powietrze zadrgało od huku wystrzału, płosząc jaszczurki. Na moment przestaliśmy oddychać. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe.

To wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Stary samiec gwałtownie uniósł do góry głowę z kłami skierowanymi ku niebu i zastygł w bezruchu. Towarzyszące mu słonie stały zdezorientowane. Wyszunęły przed siebie swe wrażliwe trąby, szukając jakiegoś wytłumaczenia. Raptem nastroszyły uszy w pozorowanym ataku, zatrąbiły dziko, po czym nieoczekiwanie odwróciły się i popędziły w zarośla.

Paolo podbiegł do słonia po swoje myśliwskie *coup de grace*, a ja



za nim. Pośrodku szerokiego czoła zakwitł mały, czarny, zły kwiat. To był strzał w sam mózg.

Słoń to największy ssak lądowy i jego mózg umiera bardzo długo. Popatrzyłam w oko, duże i przezroczyste, ocienione prostymi, zakurzonymi, bardzo długimi rzęsami. Jego źrenica była czarna i jeszcze ruchoma. Zobaczywszy w tym oku własne pomniejszone odbicie, poczułam się bardzo mała. Z przerażeniem i wstydem uświadomiłam sobie, że byłam ostatnia istotą, jaką widział przed śmiercią. Zdawało mi się, że w tym gasnącym żółtym oku dostrzegłam wyraz zdziwienia. Z całego serca próbowałam przekazać zwierzęciu swój smutek i współczucie. Prosiłam go o wybaczenie.

Ogromna łza wezbrała mu na dolnej powiece i potoczyła się po policzku słonia, pozostawiając ciemny, mokry ślad. Nagle jego powieka drgnęła. Nie żył.

Odróciłam się gwałtownie do Paola z oczami pełnymi łez. Poczułam w gardle dławiacą wściekłość i wstyd.

— Jakim prawem...

Paolo patrzył na mnie.

Podszedł do nas Luka i zgodnie ze zwyczajem poklepał Paola po plecach.

— Dobra robota. Strzał prosto w mózg. Gratulacje.

Paolo wciąż na mnie patrzył.

Była to jedna z tych chwil, jakie często się między nami zdarzały, chwila szczególnego porozumienia. Reszta świata w ogóle nie istniała, tylko on i ja. I martwy słoń.

Patrzyłam na Paola rozszerzonymi oczami. Stał smutny i znużony, kręcąc głową, jakby chciał cofnąć to, co się stało.

— Nigdy więcej — powiedział. — Nigdy więcej, przyrzekam.

To był jego ostatni słoń.

Był to także jego pierwszy słoń.

Luka ostrzył nóż, a my poszliśmy po samochód, który zostawiliśmy wiele mil stąd. Gdy przyjechaliśmy, okazało się, że wróciły dwa młodsze słonie i w bezsilnej furii powyrywały zarośla i małe drzewka wokół ciała przyjaciela. Odchodząc, delikatnie przykryły je zielonymi gałązkami.

Tego dnia Paolo był dziwnie cichy. Ja też nie odezwałam się ani słowem i dopiero tuż przed zaśnięciem, przypomniałam sobie, że słoń za-  
bił mu kiedyś brata.

## 14. Dobrzy towarzysze

...za złotych przyjaciół, których miałem...

A.E. Housman, *The Welsh Marches*

Przenieśliśmy się do Laikipii.

Ranczo Ol Ari Nyiro utrzymywało się głównie z hodowli. Było tam pięć tysięcy owiec rasy Dorper, białych, czarnogłowych zwierząt, znanych ze znakomitego mięsa. Ponadto wypasało się sześć tysięcy sztuk borańskiego bydła, które stanowiły mieszanekę brązowych, białych, czarnych lub nakrapianych krętorogich krów, wywodzących się od zebu. Po nich odziedziczyły tłusty garb na grzbiecie, łagodne, cierpliwe oczy i odporność na trudne warunki i kiepską paszę. Podzielono je na wiele stad, po kilkaset sztuk każde, w zależności od płci, wieku i ubarwienia. To ostatnie kryterium było świetnym sposobem natychmiastowego określania, do jakiego stada należy jakaś grupka zagubionych zwierząt. Często zdarzało się, że rozpraszały je drapieżniki czy nagła burza i ich zniknięcie można było stwierdzić dopiero w nocy.

Codziennie po zachodzie słońca zaganiano bydło i owce do odpowiednich *bom*, tradycyjnych okrągłych zagród, skleconych z ciernistych gałęzi. Tam pasterze zwani *wachungai* przeliczali je skrupulatnie, sztuka po sztuce. W przypadku stwierdzenia braku jakichś zwierząt natychmiast wszczynano poszukiwania, gdyż nocą poza *bomą* zagrażały im lwy, lamparty i hieny. Zresztą nawet ogrodzenie z ciernistych gałęzi nie dawało zwierzętom należytej ochrony. Lwy często przeskakiwały przez ogrodzenie i atakowały młode sztuki bydła, powodując niemałe spustoszenie w stadzie. Lamparty i hieny napastowały

owce i młode cielaki, a *wachungai* niewiele mogli zrobić w smolistych ciemnościach nocy. Bili w bębny, strzelali w powietrze z karabinów i... modlili się. W przypadkach powtarzających się napadów, za dnia przygotowywano przynętę i budowano kryjówkę z gałęzi, a Colin lub Paolo wychodzili z Luką w nocy i zasadzali się w czatowni na dzikich napastników. Niestety lwy uparcie wdzierały się do zagród. Ponieważ jako koty są z natury leniwe, wołały zabijać tłuste, uległe krowy i owce, które nie potrafiły uciekać ani stawać do walki.

Zwierzęta z farmy regularnie kąpano, by uwolnić je od pasożytów, głównie kleszczy, które wywoływały mnóstwo chorób, czasami fatalnych w skutkach, jeśli nie rozpoznano ich i nie zaradziło się w porę. Kleszcze były przenoszone przez dzikie bawoły, z którymi nasze zwierzęta stykały się podczas wypasu. Leczniczymi kąpielami bydła i owiec najczęściej zajmował się Colin, a także wyuczeni przez niego ludzie, zwłaszcza Garicha z plemienia Meru, samorodny weterynarz, niezwykle zręczny w swoich umiejętnościach, oraz pasterze Ngobitu i Tunkuri. Kąpiel odbywała się przez zanurzanie i tę praktykę nazywano *menanda*. Od tego słowa w języku suahili nazwano też miejsce, gdzie dokonano kąpieli.

Raz w tygodniu, w tumanie kurzu, pośród gwizdów, beków, ryków i piskliwych nawoływań *wachungai*, stada były grupowane wczesnym rankiem w drewnianych zagrodach, po czym przeganiane pod silnym strumieniem wody. Po wyschnięciu pędziły galopem z powrotem na swoje pastwiska pod troskliwym okiem pasterzy. W popołudniowym skwarze unosiły się później przez wiele godzin muchy i miły, aromatyczny zapach.

Zawsze zadziwiała mnie u pasterzy umiejętność rozpoznawania zwierząt, które powierzono ich opiece. Nadawali im imiona, tak jak my nadajemy naszym kotom czy psom. Pamiętali cechy wyróżniające każde spośród setek stworzeń i zauważali najdrobniejsze zmiany w ich zachowaniu.

Bydło i owce pasły się swobodnie. Na rozległych pastwiskach żerowały tuż pod bokiem dzikich zwierząt. W upalne dni często spotykałam krowy pijące wodę ze zbiornika wodnego razem ze słoniami, które w sposób naturalny tolerowały ich obecność.

Uwielbiałam ten widok.

W pierwszym szczęśliwym okresie w Laikipii nie było dnia, w którym nie nauczyłabym się lub nie doświadczyła czegoś nowego. Moja ciekawość Afryki nie miała granic. Afryka miała tak wiele do zaoferowania.

Na początku zamieszkaliśmy w małej chacie zbudowanej przez naszych poprzedników, której wyposażenie było istic spartańskie, jakby za nic mieli wszelkie wygody. Znajdowała się ona na obszarze, który od największego pobliskiego wzgórza wziął nazwę Kuti. Kuti było usytuowane w północno-zachodniej stronie rancza, około osiem kilometrów od centrum, gdzie znajdowała się główna wieś, warsztat, biuro oraz dom Francobów. Nasz dom był tak skromny, że niewiele było w nim do roboty, więc miałam mnóstwo czasu na poznawanie terenu.

Dla Paola okres ten stanowił ucieleśnienie wszystkich jego marzeń. Jego miłość do przyrody, zwierząt i wolności łączyła się, jak to często bywa, z zamiłowaniem do polowań. Ale w Afryce nie poluje się samotnie, dlatego bardzo nam się przydał Luka.

Jeszcze nim zbudowaliśmy stały dom. Luka każdego popołudnia zjawiał się u nas z uśmiechem na twarzy, zawsze otwarty na przygody. Jego drobna postać jak cień towarzyszyła Paolowi w codziennych wyprawach. Między nimi nawiązała się bardzo szczególna, bliska więź. Taka przyjaźń łączy w Afryce ludzi, którzy spędzają wspólnie mnóstwo czasu na tropieniu tej samej ofiary, tych samych śladów, tych samych marzeń. Kiedy Paolo i Luka ruszali tropem bawołu, często im towarzyszyłam. Traktowałam to jako okazję do penetrowania i stopniowego poznawania mojej nowej ojczyzny, jej egzotycznych mieszkańców, jej tajemnic i dramatów. Przygotowywałam się na moment, w którym będę musiała stanąć oko w oko z moimi najgłębszymi i najprawdziwszymi emocjami.

W tym pierwszym okresie musiałam nauczyć się radzić sobie z rzeczywistością, która była całkowitym przeciwieństwem eleganckiego życia, jakie wiodłam we Włoszech, przywyknąć do innych wartości i

innych obyczajów. Musiałam godzić się z faktami, które nie przystawały do romantycznych wyobrażeń o Afryce, z nieuchronną samotnością i izolacją od ludzi. Pomagał mi w tym mój najwierniejszy towarzysz, Gordon, którego wytrwała i cierpliwa obecność stanowiła dla mnie największą pociechę. Do końca swoich dni będę go wspominać z wielką wdzięcznością i miłością jako jednego z najbardziej oddanych mi przyjaciół, jakich miałam w życiu.

To, że był psem, nie miało żadnego znaczenia.

— Wybierz sobie jednego — powiedział mój znajomy, prezentując szczeniaki.

Wszystkie szczeniaki były zabawne, puszyste i słodkie, ale jeden z nich zdecydowanie się wyróżniał. Miał mądre, poważne i czujne spojrzenie. Popatrzył mi prosto w oczy i od razu wiedziałam, że to właśnie ten. Nazwałam go Gordon, na cześć człowieka, który mi go podarował.

Gordon był krągłym, puszystym owczarkiem alzackim o mądrym, bystrym spojrzeniu. Po swojej babce, czarnym owczarku belgijskim, odziedziczył niebywałą inteligencję. Dał początek wielkiej dynastii dorodnych psów. Od pierwszej chwili, gdy tylko go ujrzałam, stał się dla mnie kimś szczególnym.

Chociaż nigdy nie żałowałam decyzji zamieszkania w Laikipii, dostosowanie się do tak diametralnej zmiany scenerii, rytmu życia, obyczajów, środowiska i ludzi początkowo nie przychodziło mi łatwo. Paolo większość dnia spędzał poza domem, gdyż musiał zapoznać się ze swoimi nowymi obowiązkami. Zawsze wstawał bardzo wcześnie i wychodził przed świtem, a wracał często po zmroku. Nasz nowy dom był dopiero w planach, miejsce na ogród jeszcze nie było wyznaczone, miałam więc mnóstwo czasu, by wszystko przemyśleć i pogodzić się z wyborem, jakiego sama dokonałam.

Moje poczucie samotności i niepewności łągodziło nieodłączne towarzystwo Gordona. Dzięki niemu rzeczy nie znane w jakiś tajemniczy sposób stawały się bliskie, a obce możliwymi do zaakceptowania. Strzegł mnie z wielką lojalnością, odwagą i całkowitym poświęceniem.

W nocy zasypiał, rozciągnięty pod drzwiami, a jego głęboki oddech działał na mnie uspokajająco. Często budził się i szczekał, zaalarmowany przez dziwne odgłosy i zapachy, które przynosił wiatr.

Moim nieodzownym punktem w programie dnia stały się długie spacer z Gordonem. Przedzieraliśmy się przez wyschnięty busz i od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się w cieniu jakiegoś gościnnego drzewa. Kładłam się wtedy, opierając głowę na silnym, zdrowym ciele przyjaciela i drapałam go za uszami albo po nosie. Przyjemność, jaką mu to sprawiało, była dla mnie wielką nagrodą. Przez baldachim liści wpatrywałam się w nieskazitelnie błękitne niebo, które wydawało mi się beznamietne, nieczułe. Z kieszeni szortów wyjmowałam notatnik i pisałam wiersze.

Z dnia na dzień krajobraz i zapachy Laikipii stawały się znajome. Już rozpoznawałam ślady rozmaitych zwierząt. Nauczyłam się odróżniać kaszel lamparta od ryku lwa, parskanie zebry od nerwowego beku impali. Rozpoznawałam nawoływania przelotnych ptaków, krzyk bielika polującego na ryby i zdyszany, chrapliwy głos nosorożca. Nad wszystkim dominowała dostojna, nieruchoma cisza *leleshwy*. W jej gęstwinę wtapiały się nosorożce, równie nieuchwytnie jak niewidzialne mrówniki, których istnienie można było stwierdzić jedynie dzięki obecności dołów, jakie ryły, poszukując termitów. Podobnie jak guzce, w uporczywym poszukiwaniu żeru rozkopywały powierzchnię dróg, stwarzając wielkie zagrożenie dla kierowców. Dowiedziałam się też mnóstwo na temat różnych gatunków akacji i sukulentów oraz jadalnych i trujących jagód. Codziennie chodziłam na spacer z Paolem i Luką lub Gordonem. Często towarzyszył mi też Mirimuk.

Mirimuk był szczupłym mężczyzną w nieokreślonym wieku. Miał bardzo czarną skórę, odbarwione zęby, zapadłe policzki, lekko wypukłe oczy, a jego patykowate, niestrudzone nogi posiadały siłę i sprężystość młodego chłopaka. Mimo to, zdawało mi się, że Mirimuk mógł mieć około sześćdziesiątki. Po wielu latach dowiedziałam się, że wtedy był zaledwie po czterdziestce.

W Afryce wiek jest miarą mądrości. Pierwotna kultura mogła przetrwać dzięki kumulowaniu wiedzy i umiejętności przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie. Starszyzna — na podobieństwo biblioteki — przechowywała w swej pamięci całą wiedzę, jakiej plemię potrzebowało, by przetrwać i rozwijać się. Taką wiedzę uzyskuje się tylko dzięki wiekowi i doświadczeniu, toteż starzy ludzie cieszyli się podziwem i szacunkiem. Młodzi słuchali ich, korzystali z rad w kwestiach spornych i opierali się o ich osąd we wszystkich aspektach swego hermetycznego, wiejskiego życia. Dzięki doświadczeniu własnemu i poprzednich pokoleń starcy mogli przewidywać nadejście pory deszczowej i rozpoznawać wczesne oznaki zbliżającej się suszy. Zнали sekrety zwierząt, tradycyjne lekarstwa ziołowe i magiczne rytuały, dzięki którym potrafili zakarbić sobie przychylność bogów lub złagodzić ich gniew. Tak jak stada słoni przewodzi stara samica, bezbłędnie prowadząca stado do kałuż w wyschniętych korytach rzek i żerowisk, starzy ludzie prowadzili wieś drogą, która zawsze okazywała się najwłaściwsza.

Mirimuk był wprawnym tropicielem. Cichy niczym jego własny cień, prowadził mnie między żółtymi skałami po czerwonych laterytowych ścieżkach. Gdy szliśmy niestrudzenie śladem nosorożca, mój przewodnik otwartą dłonią badał świeże ślady i po ich temperaturze dokładnie określał, jak daleko znajdowało się zwierzę. Podążając za nim krok w krok, bez najlżejszego szmeru, badaliśmy coraz wyraźniejsze odciski jego kopyt. W pewnym momencie Mirimuk przystawał i rozchylając cichutko liście szaławii i *euclai*, wskazywał kościstym palcem wielką szarą masę, która wyrastała przed naszymi oczami. Czuliśmy się bezpieczni, gdyż nosorożce mają słaby wzrok, a podchodziliśmy do nich zawsze pod wiatr.

Zwykle nosorożec spał. Wielki i niewzruszony, wyglądał jak pień zwalonego drzewa, doskonale harmonizującego z otoczeniem.

Czasami wykazywał czujność, wznosząc wysoko pod wiatr czuły na zapachy nos. A gdy kierunek wiatru nagle się zmieniał i nasz zapach płoszył elandy, ich strwożony kłus budził nosorożca, który w mgnieniu oka dołączał do uciekających antylop wśród łoskotu toczących się kamieni i trzasku łamanych gałęzi.

Wędrując przez suche, nieckowate *luggi*, odstraszałyśmy oporne grupki żerujących pawianów, których ostrzegawcze krzyki odbijały się echem w wąwozie i przeganiały z wierchołków akacji i figowców płochliwe nosorogi oraz brązowe papugi. W południowym skwarze brnęliśmy przez mętne bajora, z których Mirimuk czasami czerpał wodę, kpiąc sobie z mojego przerażenia i wstrętu. Niekiedy przysiadaliśmy w cieniu na skale i rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy albo co nam umknęło, a ja dzieliłam się z nim jedzeniem. Zwykle były to po prostu cytryny, które brałam do ugасzenia pragnienia. Lizał je ostrożnie, krzywiąc twarz, ale oczy śmiały mu się w wymizerowanej twarzy. Mówił mało i tylko wtedy, kiedy musiał. Tropiciel nie może pozwolić sobie na dłuższą pogawędkę, jego uszy bowiem muszą być wyczulone na każdy odgłos, który może oznaczać niebezpieczeństwo. Znajomość buszu Mirimuka była niezwykła i nigdy nie zdołam mu się odwdziżyć za wszystko, czego mnie nauczył. Spędziliśmy razem wspaniałe chwile. Czasami niemal wpadaliśmy na śpiącego bawołu. Pewnego razu zaskoczyliśmy słonie przechodzące przez ścieżkę zaledwie kilka metrów od nas. W jednej chwili otoczyło nas całe stado, trąbiąc ostrzegawczo. Serce mi zamarło, zamknęłam oczy. Słyszałam tylko okropne burczenie w ich brzuchach i cichy trzask gałązek, łamiących się pod ich miękkimi poduchowatymi stopami.

Mimo tych zagrożeń z Mirimukiem czułam się bezpieczna, podobnie jak z Luką. Obydwaj znali zwyczaje zwierząt, które tropili. Potrafili przewidzieć każdy ich ruch i intuicyjnie wiedzieli, kiedy można podejść blisko, a kiedy trzeba szybko się wycofać. Któregoś dnia napotkaliśmy ogromnego pytona. Chciał połknąć buszboka, ale się nim zadławił. Długie, ostre rogi przebiły jego cętkowaną skórę, a muchy mięsówki wyżarły już nowy wzór na dużej płaskiej głowie.

Razem z Paolem i Mirimukiem — pewnej gorącej, suchej i wietrznej listopadowej nocy — zasadziliśmy się na bawołu przy tamie Ngobitu. Czatowaliśmy na małym cyplu, który wznosił się na wschodnim brzegu, osłonięty przez rzadkie krzaki *carissy* i *mukignei*. Najpierw pojawiła się grupka elandów, których białoszare sylwetki trudno było dostrzec w



półmroku. Ich rzepki kolanowe klekotały sucho jak kastaniety. Potem nadszedł samotny słoń. Zanurzył stopy w przybrzeżnym mule zaledwie kilka jardów od nas. Czuliśmy jego charakterystyczny, ostry zapach. Wyciągniętą trąbą zasysał galony wody, jak gigantyczną słomką zanurzoną w misce z sokiem.

Wzeszedł księżyc, ustał wiatr i usłyszeliśmy bawoły. Kilka prychnięć i ów szczególny dźwięk toczących się kamieni, który towarzyszy ciężkiemu, choć zwinnemu kłusowi tych ogromnych stworzeń. I oto były: trzy czarne dorosłe samce z fukaniem piły wodę, zanurzone w niej po kolana. Paolo, jak zawsze opanowany i precyzyjny w ruchach, wziął lornetkę i nastawił ostrość. Jeden z bawołów miał szeroko rozstawione rogi i wyglądał na bardzo starego. Najlepszy okaz do odstrzału. Nocą na nie osłoniętym terenie, w świetle księżyca, który rzucał czarne cienie, czułam się mała i zagubiona.

Zamarliśmy w oczekiwaniu. Nawet żaby umilkły. Paolo podniósł sztucer i wycelował. Widziałam, jak zaciska palec na spuście... Nagle kątem oka dostrzegłam dłoń Mirimuka, wykonującą ruch tak szybko i tak cicho, jak atakujący wąż. Wystrzeliła ku ramieniu Paola na znak ostrzeżenia. Ledwo dostrzegalnym kiwnięciem głowy wskazał naprawo, a z ruchu jego warg wyczytaliśmy: *Simba*. Zastygliśmy w bezruchu. Tylko nasze spojrzenia krzyżowały się ze sobą, ale nawet i to zdawało się nam zbyt głośne — kilka metrów w prawo, na kopcu termitów, zwrócone lekko pod wiatr siedziały dwa dorosłe lwy, grzywiasty samiec i jego towarzyszka. Z nosami na wiatr, nieruchome niczym dwa posągi, emanowały siłą i dostojeństwem władców nocy. Było jasne, że czyhały na tę samą ofiarę, ale nawet jeśli nas widziały, to lekcewały tak mizerną konkurencję.

Ugasiwszy pragnienie, bawoły ruszyły wzdłuż brzegu w naszą stronę; za kilka sekund miały przejść między nami a lwami. Paolo i Mirimuk mieli broń przygotowaną do strzału, ale wątpiłam, czy zdecydują się jej użyć. Lew odwrócił się. Przez chwilę jego żółte ślepia popatrzyły prosto na mnie. I skoczył. Serce zamarło mi w piersiach, ale na szczęście wylądował na ostatnim idącym bawole. Zwierzę ugięło się pod ciężarem napastnika z dzikim, przerażonym parsknięciem, a potem

rzuciło się w gęsty busz z lwem wczepionym w grzbiet. Reszta bawołów pognąła w noc, pozostawiając towarzysza na samotną śmierć. Długo przysłuchiwaliśmy się uczującym lwom. Gdy odchodziliśmy, pojawiły się skamlące hieny i szakale.

Od czasu do czasu wspólnie z Paolem zasadzaliśmy się na lwy nie opodal zabitego przez nie wołu. Cisza, krzyk hieny, rytmiczne nawoływania puchaczy, kozodojów i świerszczy, rzekotek i ropuch... A potem ten moment bezruchu, kiedy zbliża się lew. Bezruch nocnej ciszy i wszystkich stworzeń. Daleki samolot — dwa małe czerwone światełka ślizgające się po niebie — pełen nieznanych ludzi, którzy wracają do Europy, nieświadomi naszego istnienia. Od tamtej chwili, ilekroć podróżuję samolotem, zawsze myślę o niewidocznych dramatach, jakie rozgrywają się na ziemi.

Chrzęst kości.... Paolo stał już na nogach z bronią skierowaną na przynętę. Wiatr przyniósł zapach zepsutego mięsa i krwi, towarzyszący uczie lwów. Minęła sekunda. Białe światło latarki wydobyło z mroku masywny kształt pochylony nad ściervem i rozbłysło czerwienią w jego ślepiach jarzących się w ciemnościach. Padł strzał. Lew podskoczył do góry z wyciągniętymi przednimi łapami, jak rozgniewany król w pozłacanej grzywie... Ryk rozdarł ciszę.

Zaby na nowo podjęły swój śpiew.

Laikipia to nie tylko dzikie piękno krajobrazu, woń kurzu i słoni, jaśminu i stokrotek, nie tylko cudowne koncerty ptaków w złote popołudnia. Nie tylko zarysy wzgórz, krótkie, fioletowe zachody słońca, żywe kolory hibiskusa, nieba i żółtych traw. To nie tylko nagły szelest liści potraconych przez spłoszoną kuropatwę, nieoczekiwane spotkanie z lampartem, na którego natknęłam się podczas spaceru w ciepłą księżycową noc.

Był to też całkowicie inny rytm życia i pracy tu w Afryce. W 1975 roku wyglądało to — i dotychczas wygląda — podobnie, jak w czasach pierwszych osadników.

Elektryczność dostarczał generator Listera, który pracował ciężko jak sterane serce. Świece i latarnie sztormowe uzupełniały niedostatek

źródeł światła. Telefon nie istniał. Łączność ze światem nawiązywaliśmy przez radio oraz specjalną linię alarmową o wysokiej częstotliwości, ustanowionej przez policję, tzw. *The Laikipia Security Network*. Korzystały z niej wszystkie farmy i rancza w Laikipii, by w nagłych przypadkach wzajemnie się wspomagać! Tym bardziej, że były to niepokojne czasy tuż przed uzyskaniem przez Kenię niepodległości. Kilka razy dziennie o określonych porach system włączał się i ktoś z nas musiał regularnie potwierdzać odebranie sygnału. Każda farma czy ranczo miały swój numer kodowy. My mieliśmy Deltę 28. Głosy obcych ludzi i przyjaciół ożywały w eterze i przez trzask zakłóceń docierały do nas różne wiadomości. Jakże trudno byłoby nam żyć bez tych podstawowych udogodnień. W krytycznej sytuacji można było powiadomić wszystkich, licząc na ich szybką pomoc. Mnóstwo razy korzystaliśmy z pomocy *Laikipia Security Network*, by wezwać lekarza czy samolot lub po prostu poinformować o jakichś incydentach. Tą drogą otrzymywaliśmy też pilne informacje, które w przeciwnym razie docierałyby do nas po wielu dniach. To było niezwykle rozmawiać z ludźmi, których nigdy się nie widziało, poznawać szczegóły z ich życia, rozpoznawać ich głosy po brzmieniu, nie wiedząc nawet, jak wyglądają.

W Kuti nie było żadnych elektrycznych urządzeń gospodarstwa domowego, bez których w Europie nie potrafilibyśmy się obejść. Wszystko należało robić własnoręcznie, łącznie z pieczeniem chleba czy wyrobem masła ze śmietany. Drewno na opał trzeba było zbierać w buszu i rąbać siekierą. Zanim uprasowało się koszulę, należało zawnoczyć rozpałić ogień, aby rozżarzone węgielki można było włożyć do żelazka. By wziąć kąpiel, rozpałalo się ognisko pod wielkimi kotłami, z których wrząca woda ściekała rurką do wanny. Gotowało się w piecach opalanych drewnem.

W Afryce znalezienie pomocy do prowadzenia gospodarstwa nie sprawiało żadnego kłopotu, zawsze było mnóstwo bezrobotnych. Niestety, wymagali oni solidnego przeszkolenia, a moja znajomość suahili pozostawiała jeszcze wiele do życzenia.

Od samego początku byłam dobrze nastawiona do takiego sposobu życia. Cieszyłam się z powrotu do rytmu życia i zajęć, których we Włoszech pewnie nikt już nie znał, nawet za czasów mojej prababki. To było

zabawne, a nawet całkiem przyjemne i choć z czasem dokonaliśmy wielu ulepszeń, posmak staroświeckości pozostał nie zmieniony. Wiele razy błogosławiłam moją matkę, która zawsze uważała, że niezależnie od przywileju posiadania pomocy domowej dziewczyna powinna nauczyć się gotować i doglądać domu. Aby osiągnąć standard, jaki sobie wyznaczyłam, potrzebowałam inteligentnej, wyszkolonej służby i chęci do uczenia się odmiennego podejścia do prac domowych. W Nairobi bez trudu można było znaleźć wyszkolonych ludzi, lecz na głębokiej prowincji, w okolicach Laikipi i nie było to łatwe. Przeżyłam sporo rozczarowań, aż pewnego dnia los przywiódł do mnie Simona.

Usłyszał o nowych *Wasungu* (Europejczykach) i przyszedł prosić o pracę. Był to młody, może osiemnastoletni mężczyzna z plemienia Turkana, długonogi, szczupły i przystojny, o mądrym spojrzeniu czarnych oczu. Poruszał się z naturalnym wdziękiem i elegancją. Otrzymał rekomendacje Paola.

— Wypróbuj go — powiedział Paolo. — Wiem, że się dogadacie. On jest gorliwy i ma dobre maniery. To syn wodza.

Jak zwykle Paolo miał rację. Polubiłam Simona od pierwszego wejścia.

— Podobno chcesz zostać moim kucharzem. A umiesz gotować?

— Umiem piec chleb. Nauczę się waszego sposobu przyrządzania potraw, jeśli mi pani pokaże.

— Mogę ci pokazać. Jeśli chcesz się uczyć, to nauczysz się wszystkiego.

Simon z wielkim zapałem wziął się do dzieła.

Turkana to plemię pasterzy, koczujących wokół jeziora, które nosi tę samą nazwę. Wypasają tu swoje bydło i kozy. Jest to jezioro fioletońskie i złocieni, z tajemniczymi ciemnoszarymi głębinami, gdzie żyją ogromne ryby, relikty zamierzchłych czasów. Nagłe burze przynieszone przez gwałtowne wiatry marszczą jego lustrzaną powierzchnię. Turkanowie są przystojni i wysocy, przystosowani do pokonywania dużych odległości. Uwielbiają mleko i mięso, a jednym z ich największych przysmaków jest koza pieczona w całości w rozżarzonych węglach, dopóki futro

się nie spali, a mięso nie uzyska miękkości. Spędzanie ogromnej ilości czasu na przygotowaniu naszych dziwnych i ekstrawaganckich potraw, było dla Simona czymś niesłychanie obcym. Lecz mimo to wkładał w nowe zadania całą energię. Z nieukrywaną przyjemnością obserwowałam tego uprzejmego człowieka, który gorliwie i szybko uczył się gotować oraz dekorować potrawy z afrykańskim talentem i fantazją.

— Wy, *Wasungu* — powiedział mi pewnego razu — nigdy nie jesteście naprawdę głodni. Nie tknęlibyście nie dogotowanego, nie dopieczonego i nie wypatroszonego mięsa. Wasze jedzenie musi wyglądać pięknie, bo najpierw musicie najeść się oczami.

Nauczyłam go przybierać talerze liśćmi, cząstkami cytryny i kwiatami. Wkrótce był w tym znakomity, a moja kuchnia dzięki niemu zasłynęła ze swoich przysmaków i wyrafinowanego sposobu ich podawania.

Simon Itot był dumny, lecz pełen dobrej woli, uprzejmy, lecz nigdy nie służalczy. Chodził niespiesznym, posuwistym krokiem. Mówił spokojnie i wzbudzał respekt u innych pracowników. Choć był najmłodszy, stanowisko kucharza dawało mu wśród personelu najwyższy status. Po jednym dniu było jasne, że to on jest szefem.

## 15. Kuti

Po niebie toczą się chmury  
Wietrzysko przez pola gna  
..Daleko stad za górami  
Gdzieś jest mój rodzinny dom.

Hermann Hesse, *Wiersze wybrane*  
( 1902) (przekł. Mirosław Gryka)

Niewiele rzeczy daje mi tak silne poczucie spełniania się jak tworzenie z niczego, budowanie w nienaruszonym środowisku naturalnym miejsca, które chciałabym nazwać swoim domem. Będzie to dzieło miłości i

pokory wobec majestatu afrykańskiej przyrody. Obowiązek respektowania piękna tej ziemi stanowi bowiem nieuchwytną, zarazem naczelną zasadę duchową i estetyczną, która towarzyszy mi w procesie tworzenia.

Po przeniesieniu się do Laikipii nastał czas, by z Paolem rozejrzeć się spokojnie po ranczu i znaleźć jakieś szczególne miejsce, w którym moglibyśmy wybudować nasz dom. Pewnego dnia wybraliśmy się nad wąwóz Mukutan. Stąd roztaczał się wspaniały widok na wszystkie doliny i wzgórza rancza, od Mlima ya Kissu po Kurmakini, od Nagirir po Kutua, hen, aż po strome skały Wielkiego Rowu. Patrząc na ten czysty, majestatyczny krajobraz, nie byliśmy jednak początkowo w stanie dokonać wyboru. Wzgórze Mugongo ya Ngurue z moim ulubionym starym drzewem, królującym nad wąwozem Mukutan, było szczególnie kuszące. Uczucie swobody, przestrzeni i wysokości, jakiego doznawałam, stojąc na jego szczycie, zawsze wywierało na mnie oszałamiające wrażenie. Ale cieszę się, że oparłam się tej pokusie. Ostatecznie postanowiłam rozbudować siedzibę w Kuti, tę pozostawioną nam przez poprzednich właścicieli, tym bardziej że był tam już generator prądu i system pompowania wody ze źródeł Ol Ari Nyiro. Sam dom i urządzenia były bardzo prymitywne i trzeba było włożyć mnóstwo pracy, by móc z nich korzystać.

Dom wznosił się na łagodnym pagórku z szeroką panoramą na łańcuch falistych wzgórz. Ogrodziliśmy około dziesięciu akrów buszu z przeznaczeniem na ogród, zachowując wszystkie akacje i inne endemiczne drzewa.

Każdej najdrobniejszej czynności przy budowie naszej siedziby poświęciliśmy wiele uwagi. W nie kończących się dyskusjach najwięcej sporów wzbudzała sprawa zachowania właściwych proporcji, które stanowią zasadniczą część wszelkich budowli. Rozpocząć trzeba było od dobrego, solidnego zrębu. Wykorzystywaliśmy to, co znaleźliśmy w okolicy: bloki i odłamki laterytu, drewno z naszego lasu i trawę na pokrycie dachu. Nasz dom miał być prosty, ale zharmonizowany z przyrodą, promieniujący atmosferą miłości i przyjaźni. Szczegółami architektonicznymi chcieliśmy zająć się nieco później. W każdym razie budowie naszej siedziby poświęciliśmy, wiele uwagi i troski. Tak też to ocenili

nasi późniejsi goście, którzy stwierdzili, że było to miejsce, gdzie człowiek czuł się swobodnie.

Niewiele wiedziałam o uprawianiu ziemi czy o pracy w ogrodzie. Musiałam się więc i tego nauczyć. Ogrodnictwo w Afryce może przynieść wiele satysfakcji przy minimalnym nakładzie pracy. Jeśli ma się dostęp do wody, wszystko rośnie tak szybko, że już po kilku latach można siedzieć w cieniu drzew, które się własnoręcznie sadziło.

Młode rośliny potrzebują dużo wody. Nasz system wodociągowy czerpał ze źródeł oddalonych o ponad dziesięć kilometrów i nie zdołałby dostarczyć jej w odpowiedniej ilości. Dlatego Paolo postanowił przegrodzić rzekę tamą w dolinie powyżej Kuti. Był to obszar, który słonie uwielbiały, znajdowały tam bowiem cień, pożywienie i wodę. *Olea africana*, *Acacia gerardii* i *Euclea divinorum* — to duże drzewa, które dawały schronienie winago, sowom oraz kotom genetta i oczywiście lampartom. Często chodziłam tam z Gordonem, kiedy tama została ukończona. Powstały dzięki niej zbiornik wodny przyciągał jeszcze więcej zwierząt, zwłaszcza słoni. Na jednej z najwyższych akacji, górującej nad zbiornikiem wodnym zbudowałam platformę widokową. To pozwalało nam obserwować zwierzęta, nie będąc jednocześnie widzianym przez nie, w cudownym poczuciu, że jest się częścią krajobrazu. Mniejszą przyjemność sprawiały mi wizyty słoni w miejscu, które zaczęłam karczować pod ogród.

Musiałam nauczyć się jeszcze wiele na temat miejscowej flory. Z entuzjazmem sadiłam najbardziej atrakcyjne kwiaty i krzewy, lecz wkrótce odkryłam, że słonie gustowały w bardzo różnych gatunkach roślin. Często po porannym przebudzeniu okazywało się, że wiele drzew zostało wyrwanych z korzeniami, a kolczaste kaktusy oskubane, jakby były delikatnymi pędami karczochów. To, co nie smakowało słoniom, przypadało do gustu dik-dikom, impalom i zającom. Stopniowo uczyłam się, które gatunki były niemiłe w smaku dla moich gości i skoncentrowałam się na ich uprawie. Niektórych drzew, na przykład akacji, uchodzących za przysmak słoni, nie chciałam jednak eliminować i kiedy zbudowaliśmy basen, utrzymanie tych olbrzymów poza obrębem ogrodu stało się praktycznie niemożliwe. Stado złożone z pięćdziesięciu

sztuk co noc wdzierało się do ogrodu, niszcząc młode drzewka. Kiedy jeden z nich wpadł do szamba, postanowiliśmy otoczyć naszą siedzibę ogrodzeniem pod napięciem elektrycznym. To wreszcie odstraszało słonie, ale było nieskuteczne, jeśli chodzi o innych intruzów.

Znów zaczęłam prowadzić dziennik. Dzięki tym zapiskom mogłam odtworzyć w pamięci wiele szczegółów z naszego nowego życia.

### *30 lipca 1976*

Przyszedł Ngobitu, by zawiadomić nas, że siedem lwów zabiło kongoni, a cztery inne elanda i krowę. Przyleciał Carletto i razem z Paolem i Emanueleem poszli zapolować na lwy. Straszna ulewa.

### *24 sierpnia 1976*

Obsialiśmy trawnik i zakończyliśmy budowę pomieszczeń kuchennych. Zeszłej nocy do ogrodu przyszedł słoń. Przedostał się przez ogrodzenie od strony *bomy* dla koni. Wyrwał z korzeniami i pożarł trzy młode krzewy pieprzowca i zrobił spustoszenie w nowym ogródku skalnym. Zjadł wszystkie niebieskie jukki, zniszczył akację od strony dołu wykopanego pod basen i wyszedł południową stroną ogrodu.

### *28 sierpnia 1976*

Przy tamie na farmie Colobus hipopotam zabił dziecko. Mordercą okazał się Rastus, pupil Antonietty i strażnicy przyrody musieli go zastrzelić. Co za koszmar, że coś takiego musiało się zdarzyć. W Kuti słonie przez całą noc trąbiły w ogrodzie i nikt nie zmrużył oka.

### *31 sierpnia*

W ogrodzie znowu słonie. Gordon je przegonił, nim zdołały pożreć dwie palmy. Dik-diki uwielbiają młode pączki koralowej bugenwilli.



### *2 września*

Wczoraj w nocy, gdy zapaliłam latarkę, w jej świetle zobaczyłam dziesiątki oczu dik-dików, a rano okazało się, że nowo zasadzone hibiskusy zostały zjedzone. Dziś zasadziliśmy wzdłuż głównego podjazdu szpaler euforbii. Pewnego dnia powinny być imponujące, ale cały personel ostrzega mnie, że słonie za nimi przepadają.

### *4 września*

Nasza ciężarówka wróciła z Colchecchio z piaskiem do budowy basenu. Przyszła wiadomość, że na farmie Carletta piorun zabił dwa byki i cztery krowy! Paolo poszedł zasadzić się na lwy, które mordują cielęta. Niedaleko Kuti wielki samiec lwa zabił byka. Zimno i mokro.

### *5 września*

Paolo przyjechał w strugach deszczu. Zabił trzy sztuki z grasującego stada lwów. Żółte i muskularne cielska leżały z tyłu ciężarówki. Wyglądały jak wielkie śpiące koty.

### *6 września*

Pełnia. Wczorajszej nocy Paolo i Emanuel przeżyli przy Wielkiej Tamie fascynujące chwile. Obok rozszarpanej przez lwy zdobyczy kręciły się dwa szakale. Widzieli też nosorożca i stado bawołów. Potem przyszedł ratei i lampart. Paolo ustrzelił dwa lwy. O wschodzie słońca zaniechał odstrzału trzeciego. Tymczasem ja w Kuti nie mogłam spać, bo Gordon przez cały czas ujadał. Słonie wszędzie dookoła.

### *16 września*

Wczoraj w nocy sześć słoni krążyło przez całą noc po ogrodzie. Paolo poszedł szukać rannego bawołu.

### *3 października*

Znaleźliśmy z Mirimukiem i Luką dwa wielkie kamienie do budowy nowego kąpieliska dla ptaków.

*7 października*

O świcie w moim ogrodzie trzy żyrafy wpatrywały się z zaciekawieniem w dół wykopany pod basen. Wieczorem samotnie czekałam obok przynęty dla lamparta. Setki ptaków przylatują do kąpieliska i podziwiam ich piękno i różnorodność. Mirimuk przyniósł mi strusie jajo.

*15 października*

Wczoraj wieczorem znowu przyszły słonie i zniszczyły osiem akacji, napiły się wody z basenu i wyrwały z korzeniami pieprzowce. Wszędzie mnóstwo łajna. Z Nairobi przylecieli Tubby i Aino.

*9 stycznia 1977*

Wczoraj w nocy słonie cichutko podeszły niemal aż do przejścia do sypialni. Zżarły wszystkie hibiskusy i sukulenty. Zniszczyły drzewka podróżnika i akację, razem z sansewierą, która pod nią rośla. Myślę, że chcą dać nam do zrozumienia, że wkraczamy na ich terytorium. W ciągu dnia są niewidoczne, ale noc należy do nich.

Dom został ostatecznie ukończony. Przykryliśmy go dachem z makuti, a krokwie z czerwonego cedru wypolerowaliśmy aż do połysku. Przywiezione z Europy dywany i meble rozmieściliśmy tak, że sprawiały wrażenie, jakby były tu od zawsze. Dopiero wtedy postanowiliśmy uczcić zakończenie budowy domu i urządzić *ngomę*.

Ubrane w tradycyjne odświętne stroje reprezentacje wszystkich plemion, których członków zatrudnialiśmy na ranczu, przyszły życzyć nam szczęścia. Ludzie z plemienia Meru, którym przewodził Garisha, ubrali się w kolorowe *shuki* i nakrycia głowy. Przyprawieni przez Lukę Tharakowie mieli na sobie spódniczki z wysuszonej trawy, a w rękach ozdobionych grzechoczącymi bransoletami trzymali malowane tarcze. Luka ujawnił jeszcze jedną umiejętność. Przebrany w małpią skórę, odtańczył dla nas — głównie dla Paola — pantomimę przedstawiającą sceny z polowania na lwy. Turkanowie przybyli z Mirimukiem. Kobiety, przystrojone naszyjnikami z błękitnych i czerwonych koralików,

miały na sobie długie, suto marszczone spódnice ze skór, których długie treny wdzięcznie falowały w rytm kroków, przypominających taniec godowy strusia. Mężczyźni Tharaka, udekorowani długimi niebieskimi piórami, śpiewali ochryple, podskakując w miejscu.

Przeobrażenie, jakie dokonało się w naszych afrykańskich robotnikach, wywarło na mnie wielkie wrażenie. Na co dzień widywaliśmy ich w europejskich ubraniach. Teraz, przebrani w swoje tradycyjne stroje, odrzuciwszy postrzępione łachy i zdeformowane buty, przeistoczyli się jak motyle z gąsienic w pięknych, pełnych wewnętrznej radości ludzi. Byli szczupli, zwinni i przystojni, a zarazem pełni dostojeństwa i dumy. Kolorowi i zwinni, swobodni i lekcy, fruując i śpiewając unisono w rytmie tańca, przypominali stado ptaków w pełnej krasie swojego upierzenia godowego.

Naraz, w samym środku uroczystości usłyszeliśmy daleki grzmot. Ziemia zdawała się drżeć jak przed trzęsieniem ziemi. Straszliwe dudnienie dziesiątków stóp, śpiew jak odgłos wiatru... To ludzie z plemienia Pokotów chrapliwymi, gardłowymi głosami wznosili do lśniącego księżyca swą pieśń safari.

Od zachodniej strony Ol Ari Nyiro graniczyła z terenami Pokotów, którzy znacznie dłużej zachowali swoje tradycje i zwyczaje niż inne plemiona. Pokotowie w odróżnieniu od Kikujów, Meru i Kamba, nie są rolnikami, ale zajmują się pasterstwem, myślistwem i zbieractwem. Żyją nad Ol Ari Nyiro od niepamiętnych czasów. Wiedzą wszystko na temat źródeł wodnych, ścieżek dzikich zwierząt i skrótów przez wzgórze.

Kobiety Pokotów miały twarze i włosy natłuszczone mieszaniną koziego tłuszczu i czerwonej ochry. Tej samej barwy były ich długie spódnice z miękkiej zwierzęcej skóry. Wyglądały jak terakotowe figurki przyozdobione miedzianymi bransoletami na szczupłych nadgarstkach i kostkach nóg, z połyskującymi kółkami zwisającymi z wydłużonych uszu. Nawet ich naszyjniki miały ten sam rdzawy kolor: zrobione ze skóry i drewnianych bądź kościanych koralików, nakładały się jedno na drugie, otaczając ich smukłe szyje jak nakrochmalone brązowe kołnierze. Ich piersi były nagie. Głowy miały wygolone po bokach,

ale na czubku wyrastały rudawe kędziory, niczym grzebienie egzotycznych ptaków albo grzywy dzikich zwierząt, co dawało zaskakująco kobiecy efekt. Mężczyźni w czarnych *shukach* do kolan, przystrojeni strusimi piórami, nosili dumnie swe małe ptasie głowy pomalowane na błękit i biel i wysmarowane miksturą z wysuszonego łąjna i ziemi. Jak zawsze, mieli przy sobie długie dzidy, z podłużnymi, ostrymi jak brzytwa ostrzami w pochwach z grubej skóry.

Kręcili się po ogrodzie i tańczyli do wtóru zawodliwych pieśni. Ich uroda i dzikość wprawiała moich europejskich gości w pełne zadumy milczenie. Długo w nocy gardłowe okrzyki mieszały się nieprzerwanym chichotem hien wołających ze wzgórz do księżyca.

Do gotowego domu zaczęliśmy zapraszać gości. W 1975 roku w naszej okolicy nie zostało ich już zbyt wielu. Ol Ari Nyiro był jednym z ostatnich zamieszkałych rancz: uboga gleba, tak jak nasza, nie gwarantowała odpowiedniej paszy dla bydła, ani nie była też najlepsza pod uprawę. Sądzone, że może się tam utrzymać tylko dzika fauna i flora. Ol Ari Nyiro graniczyło od południa z farmą Colobus, należącą do Antonietty Buonajuti, od zachodu, czyli od strony Wielkiego Rowu z rezerwatem Tugenów i Pokotów, a od strony wschodniej z ranczem rządowym, Lwonyek oraz z Ol Morani, będącym własnością Gilberta Colvile'a.

Colvile był niesłychanie zamożnym i ekscentrycznym właścicielem ziemskim. Większość życia spędzał na końskim grzbiecie, nigdy nie miał porządnego domu i przyjaźnił się z Masajami, którzy przezwali go *Nyasore* — Chudzielcem. W latach czterdziestych, ku zaskoczeniu wszystkich, ożenił się z młodą i piękną Dianą Broughton, która była zamieszana w słynny skandal. Plotka głosiła, że jej mąż, Sir Jock Delves Broughton, zamordował kochankę Diany, Lorda Errola, a następnie popełnił samobójstwo.

Po kilku latach Diana i Colvile rozwiedli się, lecz pozostali w przyjaźni. Diana wyszła za Lorda Delamare, a Colvile, umierając, zapisał Dianie cały swój majątek, włącznie z Ol Morani. Na ranczu tym nie było

stosownego domu i nowa właścicielka nigdy w nim nie zamieszkała, ale początkowo formalnie pozostawała naszą sąsiadką.

Ol Morani w języku Masajów znaczy „młody wojownik”, ale do dziś starzy ludzie używają nazwy Nyasore. Ranczo to w końcu zostało wyprzedane jego byłym pracownikom i wielu ludzi z plemienia Turkana wykupiło tam poletka. Tereny Ol Morani były bardziej płaskie niż Ol Ari Nyiro, lecz mimo to była to piękna ziemia, z akacjowymi gajami i otwartymi równinami pełnymi elandów, zebra i żyraf. Dzieci uwielbiały tam jeździć konno, a często ja również urządziałam tam pikniki.

Jeszcze dalej rozciągały się tereny Rumuruti, zasiedlone przez angielskich osadników. Można ich było spotkać w sobotę w „Rumuruti Club”. Zawsze byłam pod wrażeniem tej tradycji Brytyjczyków, gdziekolwiek się znaleźli, zakładali kluby, nawet w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. „Rumuruti Club” nie miał zwartej zabudowy, był raczej zespołem luźno powiązanych ze sobą, prymitywnych chat, skleconych byle jak, bez żadnego konkretnego planu i rozrzuconych pośród gumowych drzew. Było tam boisko do gry w tenisa i bar. Niezbyt wytworny wygląd otoczenia rekompensowało dobre jedzenie i humor właścicieli. Członkowie klubu wspierali go na różne sposoby — my, zdaje się, opłacaliśmy barmana — a na przyjęcia każdy przynosił jakieś specjalne potrawy. W sobotnie popołudnia zewsząd zjeżdżały się stare landrovery, oblepione kurzem lub błotem, w zależności od pory roku. Nakarmione i przebrane w piżamy dzieciaki spały na materacach z tyłu samochodów. Po kilku gemach w tenisa i paru drinkach wszyscy przebieraliśmy się, kobiety w długie wieczorowe suknie, mężczyźni zaś w białe koszule i spodnie, a czasem nawet w smokingi.

Niektórzy ludzie, których tam spotykaliśmy, byli niesłychanie interesujący i z nimi łatwiej się było zaprzyjaźnić. Do takich należał Jasper Evans, właściciel rancza Ol Maisor, gdzie hodował bydło i sporo wielbłądów, a ponadto prowadził też kilka pomysłowych, bardzo awangardowych eksperymentów w zakresie upraw. Lubiłam jego wyważony sposób bycia, niezmacony spokój i delikatność oraz jego filozofię życiową. W jego domu znajdowała się rzadka kolekcja książek i pięknych

starych bibelotów, choć na przykład w wannie widywało się często żółwie i żaby. Jasper kochał zwierzęta i jego goście byli często zaskoczeni, gdy cała ta menażeria wciskała nosy do torebek i kieszeni. Należał do ludzi, z którymi nie trzeba spotykać się często, by czuć się zawsze swobodnie. Z przyjemnością myślę o tym, że staliśmy się — i wciąż jesteśmy — dobrymi przyjaciółmi.

Poza tym byli Cole'owie. Rodzina ta przybyła do Kenii bardzo dawno. Florence Cole, siostra Berkeleya, który przyjaźnił się z Karen Blixen, była pierwszą żoną Lorda Delamere'a. Młody Hugh Cole przyjeżdżał często z synem Tubby'ego Błocka, Jeremym, by razem z Paolem polować na bawoły. Nierzadko zostawali na obiedzie, na noc lub na kilka dni, co w Kenii było naturalne. Nigdy nie pytało się gości, jak długo zamierzają zabawić. Każdy podróżował w niewygodzie przez wiele godzin a nawet dni, dlatego mógł liczyć na gościnność gospodarzy, tym bardziej, że wszyscy co jakiś czas wzajemnie się odwiedzaliśmy. Dzień czy tydzień gościny nie stanowił dla nas większej różnicy.

Do grona naszych przyjaciół należał oczywiście również Carletto. Nasze domy we Włoszech były oddalone od siebie zaledwie o kilka mil, a tutaj jego ranczo, Colcheccio, leżało o kilka godzin drogi od nas. Jak na warunki kenijskie byliśmy zatem prawie sąsiadami. Carletto nie zmienił koncepcji życiowej, jaką wyznawał kiedyś we Włoszech. Nadal był zwolennikiem gargantuicznej namiętności do dobrego jedzenia i trunków i był nad podziw gościnny. Carletto stanowił ogniwo łączące mnie z przeszłością i doznawałam dziwnego uczucia na myśl, że zupełnie przypadkowo znaleźliśmy się w Afryce w tym samym miejscu, choć cały świat stał przed nami otworem.

Pewne zdarzenie jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyło. Któregoś ranka w naszym domu w Nairobi zadzwonił telefon i dowiedziałam się, że żona Carletta, Chiara, zginęła we Włoszech w wypadku samochodowym. Jechała sama i nagle oślepił ją dym z opon, które paliły się na poboczu autostrady. Pędząca z tyłu ciężarówka uderzyła w jej samochód i wgniotła ją w jadący z przodu pojazd. Stało się to początkiem wielkiego karambolu, w którym zginęło szesnaścioro ludzi.

Śmierć Chiary bardzo mną wstrząsnęła. Nie tylko dlatego, że byliśmy blisko zaprzyjaźnione, ale też dlatego, że owej fatalnej nocy, gdy zginęła żona Paola, to właśnie Chiara jechała z Carlettem za nami. Nigdy nie zapomnę jej szczupłych, bosych stóp, zbliżających się do mnie, kiedy wyrzucona z samochodu leżałam bezradna w trawie. Siedziała wtedy ze mną, czekając na karetkę. Przez następne miesiące jej cicha, subtelna obecność przy moim łóżku stanowiła dla mnie ogromną pociechę.

Osierociła trzy niepełnoletnie córki. Najstarsza przebywała w tym czasie razem z moją przyrodnią córką, Livia, w Greensteds, w Nakuru. Zaproponowałam, że pojadę tam po nią, by mogła się zabrać do Włoch w towarzystwie kilku przyjaciół, którzy zamierzali tej nocy lecieć. Byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam prowadzić samochodu, więc wynajęłam taksówkę. Tuż przed szkołą, na zakręcie, jakaś ciężarówka zjechała na pełnym gazie z przeciwnej strony drogi wprost na nas. Mój szofer gwałtownie wykręcił w prawo i minął ją o kilka cali. Wielka, szara masa prześliznęła się obok mnie jak widmo i zaryliśmy w przydrożnym rowie. Odwróciłam głowę: rejestracja ugandyjska, kierowca prawdopodobnie spał albo był pijany. Nie zatrzymał się. Ciężarówka, podskakując w szalonym pędzie na wybojach, zniknęła mi z oczu. Koszula taksówkarza była przesiąknięta potem. Wyczerpany, położył cicho głowę na kierownicy. Gdybym to ja prowadziła w obecnym stanie ducha, już bym była martwa.

Zdenerwowana, z bijącym sercem weszłam do szkoły. Luise czekała na mnie w sypialni, ubrana w najlepszy szkolny mundur. Nie wiedziała, że jej matka nie żyje. Livia stanęła bez słowa przy niej i wręczyła mi małe bukietki kwiatków. Kiedy schyliłam się, by ją pocałować, utkwiała we mnie swoje wielkie brązowe oczy i zrozumiałam, że ona wie. Livia miała niezwykły dar widzenia rzeczy, zanim one się zdarzyły. Trzymając Luise za rękę, wyszłam na zalaną słońcem ulicę. Musiałam zebrać wszystkie siły, żeby się nie rozpłakać. Carletto był kompletnie rozbity śmiercią Chiary i mimo swego radosnego usposobienia nigdy w pełni się z niej nie otrząsnął.

## 16. Zemsta bawołu

...zraniony bawół... zebrał całą swą wściekłość i nieustannie atakował swego rannego prześladowcę.

Baule Bull, *Safari*

Pierwsze dni w Laikipii obfitowały w przygody. 6 lutego 1977 zanotowałam w swoim pamiętniku:

Dziś w Engeleshu jeden z naszych ludzi, Malinge z plemienia Tharaka, został zabity przez bawołu. Był miłym, młodym człowiekiem i dobrym przyjacielem Emanuela. Szli przez busz we trzech: on, Cypriano i jeszcze jeden człowiek z ochrony. Bawół wypadł prosto na nich, przebijając rogami gardło i płuca Malinge'a. Włókł rannego przez ponad pięćdziesiąt metrów, po czym zniknął w buszu. Gdy wybieraliśmy się na obiad, Luka przybiegł i zawiadomił nas o wypadku. Paolo natychmiast poszedł z Colinem szukać groźnego zwierzęcia.

To był wielki samiec. Rogi miał czerwone od krwi. Okazało się, że wpadł we wnyki założone przez nowych osadników z farmy Colobus i skaleczył sobie nogę. To było przyczyną jego furii i agresji.

Malinge leżał w kałuży krwi z otwartymi oczyma, których nie sposób było zamknąć. Colin usiadł przy nim i z wielką delikatnością zwrócił się do niego w suahili. To był piękny gest, nigdy go nie zapomnę. Twarz Malinge'a była spokojna, jakby się uśmiechał. Nasi ludzie poszli dziś zrobić dla niego trumnę.

Teraz jego przykryte kocem ciało leży przed domem. Dookoła palą się ogniska, by odstraszyć hieny. Jutro przyjedzie policja zbadać sprawę, bo tego wymaga prawo.

Drzemiam we mnie obawy, że niespodziewany telefon wcześniej rano lub późno w nocy może zwiastować jedynie tragedię.

Pewnego dnia, gdy akurat wyjechałam do Nairobi — a było to



wkrótce po osiedleniu się w Ol Ari Nyiro — wczesnym rankiem otrzymałam wezwanie radiowe. Połączenie było bardzo złe i jedyne słowa, jakie wyłapałam spośród trzasków, miały dramatyczny sens: „Paolo... wypadek... bawół... szpital w Nairobi.”

Popędziłam do szpitala. Zwróciłam się o pomoc do Renato Rubertiego, znanego neurochirurga, który był naszym przyjacielem i zawsze pomagał nam w takich sytuacjach. Przygotowaliśmy wszystko na przyjęcie Paola. Godziny czekania wlokły się, napięcie było tym większe, że nie mieliśmy żadnych konkretnych informacji. Domyślaliśmy się najgorszego. Kiedy Paolo w końcu przyjechał, byłam niemal zaskoczona, że jeszcze żyje. Pod swą zwykłą opalenizną był blady od utraty krwi. Jego oczy sprawiały wrażenie jeszcze bardziej błękitnych. Uśmiechnął się do mnie i zapalił papierosa, a Colin, który go przywiózł, odsłonił jego udo. Zobaczyłam obrzydliwą, oblepioną zakrzepłą krwią ranę w miejscu, gdzie bawoli róg wbił się w odległości mniej niż jednego cala od tętnicy udowej.

Zraniony bawół zaatakował Paola, który nie zdążył wystrzelić, więc rzucił bezużyteczną broń i zawisł na rogach zwierzęcia, próbując zapobiec ubodzeniu.

Wnet jednak zorientował się, że nie zdoła długo tak wisieć, rozluźnił więc uchwyt i uskoczył w bok, ale potknął się na suchej gałęzi i upadł. Bawół podbiegł do niego od tyłu i wyrzucił go w powietrze, zanim Mirimuk zdążył wypalić ze sztucera.

Paolo spędził w szpitalu kilka tygodni. W tym czasie jego pokój zmienił się w miejsce towarzyskich spotkań. Na tym samym piętrze leżał bowiem też Peter Fauli, zawodowy myśliwy, zraniony przez lwa. Twarz miał pokrytą bandażami, ale mógł chodzić i często zjawiał się w pokoju Paola, by wypić drinka z jego gośćmi.

Do pierwszych przyjaciół, którzy odwiedzili Paola, należał Philip Leakey, którego poznaliśmy na samym początku, kiedy jeszcze szukaliśmy miejsca pod budowę naszego domu. By wówczas wypełnić sobie czymś czas, Paolo wszedł z nim w spółkę, która zajmowała się handlem bydłem, a znajdowała się w Nguruman, leżącym na terenach Masajów, na północ od jeziora Magadi. Teraz Phil przyniósł Paolowi stos rzadkich książek o Afryce, w tym kilka pierwszych wydań. Sympatyczny

pomysł! Część z nich zabrałam do poczytania w domu. Pamiętam, że *Dzienniki* Meinerzhagena opisywały dawną Kenię, w której nosorożce były tak powszechne, że traktowano je jak szkodniki.

Phil był jednym z nielicznych Kenijczyków europejskiego pochodzenia, którzy zostali członkami parlamentu. Był też pierwszym z trzech braci Leakey, którego poznałam. Wysoki i szczupły, miał dziwny, zdecydowany sposób patrzenia ludziom prosto w oczy i coś zaważającego w sposobie bycia, co czyniło go niebywale atrakcyjnym. Kochał rośliny i mnóstwo o nich wiedział. Był bardzo twórczy i miał niezwykle pomysły. Pewnego razu pojechaliśmy z dziećmi do Nguruman i zatrzymaliśmy się w obozie, który Phil rozbił blisko rzeki, gdzie rosły ogromne figowce. Na ich rozłożystych konarach zbudował bajeczny, wielopoziomowy dom dla gości. Ta niesamowita konstrukcja składała się z wielu pokoi oraz przejść prowadzących z jednego drzewa na drugie i więcej mówiła o ich budowniczym, niż mogły wyrazić słowa.

Leakeyowie wywodzili się z rodzin, których członkowie w jakiś sposób się wyróżnili. Rodzice Philipa, Louis i Mary, byli światowej sławy paleontologami. Ich odkrycia, dotyczące życia pierwotnych ludzi w Tanzanii i północnej Kenii, były szeroko komentowane w świecie nauki. Bardzo żałuję, że nie zdążyłam poznać Louisa, który zmarł w 1972 roku, ale za pośrednictwem Philipa poznaliśmy Mary, a później Richarda.

W 1976 roku Philip zaprosił nas do obozowiska w Tanzanii, nieopodal wąwozu Olduvai, gdzie jego matka prowadziła swoje prace wykopaliskowe. Spędziliśmy tam z Paolem i Emanuelem kilka niesłychanie interesujących dni. Mary odkryła właśnie ślady stóp należące do pradawnych mieszkańców tej ziemi, odcisnięte w skamieniałym błocie na brzegu strumienia. Przyglądałam się tym śladom z uczuciem wzruszenia.

Mary miała wspaniały charakter, niezłomną wolę, posiadała nieodparty urok, inteligencję i poczucie humoru. Mieszkała w namiocie z trzynastoma dalmatyńczykami, swoimi ulubionymi psami. Przypomniało mi to dom mojego dzieciństwa, gdzie zawsze było dużo psów.

Od razu ją polubiłam, a nasze pierwsze spotkanie na zawsze zapadło mi w pamięć.

Najstarszego z braci Leakey, Jonathana, poznałam podczas pierwszej podróży do Kenii, gdy zwiedzaliśmy z Paolem jezioro Baringo. Wybraliśmy się do parku serpentologicznego, który Jonathan założył w celu pozyskiwania jadu węży do wyrobu serum. Przy bramie natknęliśmy się na grupkę ludzi niosących wielki worek, w którym ruszało się coś ciężkiego. Wśród tych ludzi był Jonathan. Podeszłam bliżej, zaintrygowana zawartością worka.

— Chcecie zobaczyć? — spytał i rozchylił worek. Był w nim pyton, największy, jakiego kiedykolwiek dotąd widziałam. Po raz pierwszy zobaczyłam węża poza klatką z tak bliskiej odległości. I choć później taki widok stał się dla mnie czymś codziennym, wtedy wywarł na mnie ogromne wrażenie.

Paolo nie był dobrym pacjentem. Przykuty do łóżka, stawał się niecierpliwy i tylko dzięki towarzystwu naszych nowych przyjaciół i rozrywce, jakiej dostarczały ich opowieści, zdołał znieść pobyt w szpitalu. Przy tej okazji odkryłam po raz pierwszy siłę i wartość poczucia solidarności, jaka łączy ludzi w Afryce, gdzie dramaty i niezwykle zdarzenia stanowią chleb codzienny. Gromadne wizyty u chorego przyjaciela z książkami, kwiatami i przemykaną starą dobrą whisky są tu utartym zwyczajem.

W Afryce większość czasu spędza się na powietrzu, a Laikipia była idealnym miejscem do spacerów, biegów i konnej jazdy. Wróciwszy do zdrowia, Paolo poświęcił się nowej pasji, łucznictwu. Rozwinął ją niemal w filozoficzną doktrynę, która zakładała uwolnienie umysłu od chaosu i skoncentrowanie się wyłącznie na istotnym celu. Odizolowany od świata zewnętrznego, skupiał wszystkie zmysły na czynności rzeźbienia łuku. Odnajdywał w tym wielki sens, gdyż nie chodziło mu o to, by uwolnić napięcie emocjonalne za pomocą wypuszczonej ku zwierzęciu strzały, ale by poprzez medytację doskonalić dyscyplinę wewnętrzną. Wędrował przez busz z łukiem przewieszonym przez plecy

jak dawny wojownik. W mojej pamięci ten obraz stał się symbolem swobody. Spoglądając wstecz, widzę teraz, że te pierwsze dni w Laikipii były chyba najszcześniejszymi dniami mojego życia. I gdybym wówczas miała świadomość, którą dał mi wiek i przeżyte smutki, potrafiłabym jeszcze lepiej docenić przywilej poznawania Afryki od wewnątrz w miejscu tak cudownym jak Ol Ari Nyiro.

## 17. Ojcowie Emanuela

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamięci?  
To ojciec z dziecieniem jak gdyby wiatr leci.

J.W.Goethe, *Król Olszyn* (przekł. Władysław Syrokomla)

Pewnego dnia na podjazd naszego domu w Nairobi podjechał zakurzony landrover, załadowany różnymi paczkami, walizkami i sprzętem kempingowym. Spod tej masy wyłonił się Mario z długą brodą i włosami do ramion. Nic nie zostało z przystojnego playboya, który w czasach, gdy go poślubiłam, jeździł ferrari, i ubierał się na via Borbognona. Teraz miał na sobie mocno sfatygowane džinsy i bawełniany podkoszulek. Odbywał właśnie podróż po Afryce w towarzystwie narzeczonej oraz jej dziecka.

Mario samotnie przepłynął Atlantyk i obecnie większość czasu spędzał w Antigui i na Karaibach. Mówił o filozofii buddyjskiej i żeglowniu. Przechodził okres duchowego przebudzenia. Podobała mi się w nim ta zmiana.

Paolo i Mario znali się z dawnych czasów we Włoszech. Choć całkowicie różni, lubili się nawzajem za poczucie humoru. Nigdy nie było między nimi żadnych napięć, bo kiedy zaczął się mój związek z Paolem, Mario i ja byliśmy od wielu lat w separacji. Mario zawsze zjawiał się pod naszymi drzwiami nieoczekiwanie, jadąc, tak jak za pierwszym

razem, w jakąś egzotyczną podróż lub wracając z niej. Przywoził dla wszystkich specjalne i oryginalne prezenty i zasypywał nas opowieściami.

Córki Paola oczywiście były szczególnie nim zafascynowane, głównie Valeria, która wyrastała na piękną kobietę. Dla Emanuela Mario był czymś w rodzaju przyjaciela, którego się lubi, ale którego rzadko się widuje. To raczej Paolo stanowił w jego życiu wzorzec ojca, dając mu wsparcie i miłość. Oryginalna osobowość poszukiwacza przygód, bystry umysł i nietuzinkowe zainteresowania czyniły go niezwykle atrakcyjnym dla każdego dorastającego chłopca. Paolo bez wątpienia był najlepszym przyjacielem Emanuela w dzieciństwie. Brał go na polowania, uczył go zarzucać sieci i łowić ryby. Był ideałem bohatera, do jakiego każdy chłopiec pragnie się upodobnić.

Emanuel dawał Paolowi do czytania niektóre ulubione książki przygodowe. Ostatnio wciąż cytowali afektowaną frazę z opowiadania Wilbura Smitha *Słoneczny ptak*: „Lataj dla mnie, ptaku słońca.” Ten osobliwy cytat, który mieli powtarzać na okrągło przez kilka następnych lat, stał się symbolicznym spoiwem ich przyjacielskiego związku.

Jak prawdziwi kumple, Paolo i Emanuel czerpali korzyści z wzajemnego towarzystwa. Paolo szanował Emanuela, podziwiał jego niezwykłą umiejętność współżycia z ludźmi, mądrość, wiedzę, oraz spokój i zdecydowanie.

Kiedy Paolo zbudował platformę obserwacyjną z chatką z *makuti* nad źródłem Ol Ari Nyiro, poprosił Emanuela o robienie notatek o zwierzętach, które przychodziły tam do wodopoju i solnej lizawki. Emanuel podjął się tego zadania z całą powagą i gorliwie przesiadywał w małej chatce, zapisując swoje spostrzeżenia w notatniku.

Podczas pełni księżyca chodziliśmy tam często, by spędzić noc na podpatrywaniu lampartów, które wabiliśmy przynętą zawieszoną na wysokiej akacji. To było fascynujące siedzieć tak w świetle księżyca i w kompletnej ciszy wsłuchiwać się w dalekie odgłosy zapadającej nocy, rechot żab, krzyki bazantów, dzikich perlic i pawianów, próbując odróżnić cienie zwierząt zjawiających się przy wodopoju. Wyjątkowym

smakoszem soli, którą wykładaliśmy dla zwierząt pod naszą widokową chatką, był stary nosorożec o jasnym ubarwieniu. Paolo nazwał go „Bianco” (Biały). Wstrzymywaliśmy oddech i ustawialiśmy lornetkę na sunący wzdłuż rzeki tajemniczy kształt ospałego Bianca. To był niezapomniany widok.

Emanuel był urodzonym hobbystą. Swoje kolekcjonerskie pasje zapoczątkował zbiorem minerałów i najrozmaitszych muszelek. Całe dni spędzał na katalogowaniu i uzupełnianiu kolekcji porcelanek. Kiedy wyjeżdżał nad egzotyczne morza, takie jak to wokół Seszeli, do brytyjskich Indii Zachodnich i na Madagaskar, z wielkim zapałem poszukiwał na plaży nowych okazów muszli. W ciągu kilku lat Paolo, Emanuel i ja kilka razy jeździliśmy w odwiedziny do Maria, na Antiguę, gdzie mieszkał na swoim wytwornym jachcie zakotwiczonym w angielskim porcie. Wiele razy przepłynął nim samotnie Atlantyk i stał się prawdziwym wilkiem morskim. Korzystając z uprzejmości Maria, wypływaliśmy jego jachtem na Grenadyny i na Wyspy Dziewicze albo wypuszczaliśmy się na pełne wody Atlantyku w poszukiwaniu spokrewnionych z porcelankami *Ciphoma gibbosa*.

Zamieszkują one wśród koralowców rosnących na mieliznach wokół wysepki na południe od Virgin Gorda. Kiedy Emanuel znalazł w końcu pierwszą, maleńką, gładką jak otoczek i do połowy pokrytą śluzowatym, pomarańczowym płaszczem, jego twarz roświetlił triumfalny uśmiech. O porcelankach wiedział absolutnie wszystko. Przeczytał większość poważniejszych publikacji na ten temat, włącznie z bardzo rzadkimi, których szukał uparcie przez całe lata.

Gdy skończył dwanaście lat, zawiozłam go do Londynu na małą operację nosa, której celem było oczyszczenie zatok. Po zabiegu nie wolno mu było przez tydzień podróżować samolotem. Chcąc wypełnić sobie czymś te dni, postanowił wybrać się do Natural History Museum, gdzie w Dziale Muszli spędził wiele godzin, oglądając zgromadzone

tam eksponaty. W końcu poprosił, żebym go tam zostawiała rano i odbierała po południu w umówionym miejscu. Któregoś dnia zobaczyłam dziwny błysk w jego oku, odkrył bowiem porcelankę, która była źle oznaczona. Niektóre odmiany różniły się od siebie minimalnie, łatwo więc było je pomylić. Emanuel zwrócił uwagę jednego z kustoszy na ten błąd i okazało się, że miał rację! W nagrodę pozwolono mu sprawdzić pudełka z porcelankami, które jeszcze nie były zidentyfikowane i oznaczone.

Za pieniądze, które otrzymał jako prezent za operację, postanowił kupić muszelki. Ktoś z przyjaciół zasugerował miejsce niedaleko księgarni Foyles. Byłam nieco rozczarowana, ujrawszy nędzny mały sklepik, zapchany gablotkami i stertami skrzynek. Ale Emanuel obrzucił pomieszczenie spojrzeniem eksperta, zadał sprzedawcy kilka specjalistycznych pytań, na które otrzymał odpowiedzi świadczące o respekcie i szacunku dla jego wiedzy, po czym zdecydowanym tonem powiedział do mnie:

— W porządku, Pep. Możesz mnie tu zostawić na cały dzień. Trochę tu pomogę. To dla mnie po prostu raj.

Chodził tam codziennie, za każdym razem kupując fantastyczne okazy rzadkich muszli. Największą dumą było jego ostatnie trofeum, osławiona *Aurantium*, złota monetka, o której marzył od kilku lat.

Od dziewiątego roku życia Emanuel prowadził dziennik. Każdego dnia bez wyjątku opisywał wszystkie wydarzenia, których był uczestnikiem lub świadkiem. Tego dnia, pod datą 20 sierpnia 1978, w swoim typowym suchym stylu zanotował:

W moim posiadaniu znalazły się wreszcie: *Cypraea Schilderorum*, *Spurca*, *Decipiens*, *Edentula*, *Acicularis*, *Pulchri*, *Eburnea*, *Humphreysi*, *Irrorata*, *Nebrites*, *Xanthodon*, *Comptoni*, *Ur-sellus* oraz *Aurantium*. Kupiłem je za 300 dolarów. *Decipiens* i *Pulchrę* dostałem w prezencie. Wydałem całe 500 dolarów, które podarował mi Mario. Mam teraz w swojej kolekcji ponad 87 różnych gatunków porcelanek. Pep poszła na kolekcję do Mirelli [Ricciardi]. Dziś umarł papież.

W tym samym roku, 10 grudnia Emanuel zapisał:

...pojechaliśmy z Livia i Paolem nad Wielką Tamę łowić czarne bassy. Złapaliśmy jednego bardzo dużego i sporo małych, które jednak wypuściliśmy. Później mieliśmy zapolować z Colinem na bawołu, ale przyleciał Robin Hollister swoim samolotem i poszliśmy się z nim spotkać. Podczas startu silnik odmówił posłuszeństwa i samolot się rozbił. Robinowi nic się nie stało, ale samolot to kompletny wrak.

Robin był atrakcyjnym młodym mężczyzną, którego rzadko widywaliśmy, choć znaleźliśmy go od lat i bardzo lubiliśmy. Przeżyć taki wypadek! Samolot był całkowicie skasowany, ale Robin wyszedł z tego bez szwanku, nawet bez jednego zadrapania! To było czymś doprawdy niespotykanym. Ten dziwny incydent, jak się potem okazało, stanowił zapowiedź ciągu przedziwnych zdarzeń, w których wspólnie z Robinem mieliśmy uczestniczyć, ale owego dnia w grudniu 1978 roku jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

## 18. Pembroke House

W latach niego dzieciństwa, w moich szkolnych latach miałem druhów serdecznych, miałem kompanów do zabaw. Teraz wszyscy odeszli i nie ma tamtych znajomych twarzy.

Charles Lamb, *The Old Familiar Faces*

By móc wspólnie z Paolem doglądać rancza, musiałam zrobić coś, co jest niezwykle trudne i bolesne chyba dla każdej matki, musiałam wysłać Emanuela do szkoły z internatem. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu, gdyż mój syn miał wówczas zaledwie dziewięć lat i był niezwykle wrażliwym dzieckiem. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, czytając, pisząc albo porządkując imponującą kolekcję porcelanek. Konieczność zamieszkania w ciasnej zbiorowej sypialni, bez żadnej prywatności, była dla niego bardzo bolesna. Nie



potrafiliśmy jednak znaleźć innego rozwiązania. Emanuel był za mały, by go zostawić samego w domu. Moje przyrodnie córki były o kilka lat starsze. Livia przebywała w internacie w Nakuru, starsza zaś od niej Valeria mieszkała u przyjaciółki w Nairobi i tylko na weekendy przywoziłam ją na ranczo.

Szkoła znajdowała się w Gilgil. Zbudowano ją u stóp wysokiej skarpy, ciągnącej się aż do rzeki Kinangop. Od chwili powstania tej szkoły, we wczesnych latach dwudziestych, całe pokolenia osadników posyłały do niej swoich synów. Jej godłem był czerwony gołąb na niebieskim polu. Gołębie pocztowe były wielką namiętnością fundatora szkoły, pana Pembroke'a i w dawnych czasach używano ich do przesyłania do Gilgil wyników szkolnych meczów. Jeszcze w czasach Emanuela mottem szkoły było aroganckie zdanie: *Anglus, in Africa sto.*

W tym to przybytku Emanuel spędził trzy ostatnie lata swojego dzieciństwa. Tam nie miał już swobody wyboru co robić z czasem, w co się ubierać i co jeść, toteż z wielkim poczuciem winy zostawiłam go pod opieką obcych ludzi. Mój mały smutny chłopiec za wszelką cenę starał się być dzielny. Z jasnymi, krótko obciętymi włosami, w niewyszukanym szarym mundurku stał w tłumie podobnych sobie nieszczęśliwych malców. Po chwili stanowczy dźwięk kościelnego dzwonu wezwał ich do szkolnej kaplicy.

Wieczorem po powrocie do domu ukryłam się w pokoju Emanuela, w którym wyraźnie czuło się jego niedawną obecność i zapisałam po włosku w moim dzienniku:

A potem odjechałam. Silnik wykrztusił z siebie gryzący kłęb spalin, zaszło już słońce, a stanowczy dzwonek wezwał dzieci do budynku. Mój maleńki, w szarym, za dużym blezerze, z nazbyt krótko ostrzyżoną czupryną... Poszedłeś, a w twoich szeroko otwartych oczach wciąż jeszcze pełgały chłopięce marzenia... Jakim prawem zostawiłam Cię w tym obcym ogrodzie? Twoje łóżko wciąż pachnie Twoim dziecięcym ciałałem. Chciałabym je utulić, śpiąc dzisiaj w Twoim łóżku. Kocham Cię...

Teraz, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że szkoła Pembroke House dała chyba Emanuelowi coś, czego przy mnie, jako jedynak nigdy by nie zaznał. Żyjąc pod kloszem, w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa, jakie zapewniała mu nasza obecność, nie osiągnąłby niezależności i zdolności przetrwania w dziwnym, obojętnym, a być może nawet wrogim świecie. Nie poznałby sensu przewodnictwa, zdobywania przyjaciół i pewności siebie, gdyby nie to nowe otoczenie.

Pod koniec pierwszego semestru zapytałam Emanuela, jak mu tam było i obiecałam, że jeśli będzie czuł się bardzo nieszczęśliwy, poszukam jakiegoś innego rozwiązania. Przyznał, że nie był szczęśliwy i że często tęsknił za domem.

— Ale — dodał z typową dla siebie uczciwością i wspaniałomyślnością — pierwszy semestr zawsze jest najtrudniejszy. Nie miałem żadnego prawdziwego przyjaciela i, wiesz mamo, wszystko było inne niż w domu. Chciałbym jednak zostać przez jeszcze jeden semestr, żeby zobaczyć, jak to jest.

Zawsze uważałam, że wartość człowieka można ocenić po tym, jakich ma przyjaciół. Emanuel zawsze miał starszych, spokojnych i miłych kolegów. Należał do nich między innymi Charlie Mason, który później został przewodniczącym samorządu uczniowskiego w Pembroke. Jego rodzice mieszkali w Kilifi i ponieważ często nie mogli zabierać go do domu na przerwę między semestrami, Charlie spędzał ją z nami w Laikipii. Chłopcy doskonale się ze sobą porozumiewali. Obydwaj z pasją uprawiali jazdę konną, żeglarstwo i rybołówstwo. Miły, uprzejmy, lojalny i dobroniosny Charlie był uroczym gościem i bardzo przyjemnie spędzało się z nim czas. Teraz, będąc już oficerem Marynarki Brytyjskiej, wciąż kontaktuje się ze mną. Często przysyła pocztówki z najbardziej egzotycznych miejsc, albo fotografie, z których uśmiecha się do mnie ta sama miła, choć trochę zmieniona przez lata twarz.

By zapewnić Emanuelowi nieco swobody, wysłałam mu do Pembroke jego konia, Cindersa, na którym mógł w wolnych chwilach galopować po polach. W tamtych czasach w szkole panowały bardzo surowe zasady i rodzicom pozwalano na odwiedziny tylko raz na dwa

miesiące. Za każdym razem, gdy przejeżdżałam tamtędy w drodze do Laikipii, zbierało mi się na płacz. Było to szczególnie przykre w sobotnie lub niedzielne popołudnia, kiedy lekcje się nie odbywały, a mimo to nie mogłam odwiedzić mojego syna. Chcąc osłodzić nieco życie zarówno sobie jak i Emanuelowi, wymyśliłam niewinny fortel. Przy drodze do Laikipii, tuż obok mostu kolejowego znajdował się koński padok, do którego wchodziło się przez drewnianą bramę. Emanuelowi nie wolno było wychodzić poza teren szkoły, ale mógł dojeżdżać do samej bramy, więc umówiliśmy się, że pod kamieniem przy lewym słupie owej bramy będę mu zostawiała listy lub drobne prezenciki. W okolicy nie było jednak kamieni odpowiednich rozmiarów i w końcu musiałam przywieźć jeden z Nairobi. Był wielki, szary i bardzo rzucał się w oczy na tle czerwonożółtej, piaszczystej ziemi Gilgil. Czasami przy bramie kręcili się jacyś ludzie i musiałam czekać, by móc ukryć przesyłkę. Koniec końców jednak mój pomysł zadziałał i fakt posiadania tego sekretu ubarwił nieco monotonne życie Emanuela.

Sukcesy w nauce zapewniały Emanuelowi pewne przywileje, wśród których najbardziej sobie cenił pozwolenie na pisanie listów do domu po włosku. Dzięki temu mógł ćwiczyć umiejętność posługiwania się tym językiem. Ponadto owe listy nie były cenzurowane i mógł w nich dokładnie opisywać wszystko, co się działo. Chociaż Emanuel zwykle był zbyt rozsądny, by dawać się wciągnąć w rozmaite psoty, to jednak przyznawał się, że otrzymuje łagodne kary fizyczne, wciąż bardzo modne we wszystkich tego rodzaju szkołach. Powodem tych kar za każdym razem było „trzymanie węży w szafce”. Lecz po odkryciu na dachu szkoły gniazda żmij sykliwych, nauczyciele sami poprosili Emanuela, by je stamtąd zdjął i wkrótce stał się uznanym „ekspertem” we wszystkim, co miało jakiś związek z gadami.

Później, wspominając dni spędzone w Pembroke, pod nagłówkiem: „Moje pierwsze węże” Emanuel zapisał:

Przebywałem wtedy w Pembroke House, w szkole z internatem w małym mieście Gilgil, leżącym 150 km na północny-zachód od

Nairobi. Było tam sporo węży, ale udało mi się złapać tylko kilka, które pod silną presją nauczycieli musiałem wypuścić. Moim jedynym wężem był prążkowany gnębisz, często spotykany gatunek łąkowy, którego schwytałem w czapkę na boisku szkolnym. Wokół Pembroke było mnóstwo gnębiszów, widziałem ich więc sporo... Złapałem też małego łagodnego węża żywiącego się ślimakami, który niestety uciekł mi z szafki. Poza tym miałem kilka małych węży domowych i łąkowych... Pamiętam, jak pewnego słonecznego poranka dyrektor zabrał nas podczas lekcji na pole golfowe. Przechodząc przez kępę wysokiej trawy, nagle podskoczył na trzy stopy do góry, a tuż spod jego stóp wyprysnął długi brązowy wąż, na którego nadepnął... W Pembroke zabiliśmy dużo żmij, włącznie z tą, która zakłóciła mecz krykieta, prześliznąwszy się między nogami sędziego... Chłopaki roznieśli ją w pył kijami...

Po trzecim semestrze Emanuel przywiózł mi i wręczył z dumą specjalny prezent: wyprawioną skórę żmii sykliwej o pięknym wzorze. Do tej pory wisi na półce z książkami w moim pokoju w Laikipii.

Pembroke House okazał się pozytywnym doświadczeniem w życiu Emanuela, który po wielu latach wspominał tę szkołę z typową dla siebie ironią i z humorem: „Jak na więzienie, wcale nie było tam tak źle”.

## **19. Pierwszy wąż**

Pewnego dnia, Pep, ty też zrozumiesz ukryte piękno węży.

Podczas wakacji szkolnych zwykle jeździliśmy na wybrzeże. Potrzebowaliśmy nadmorskiego powietrza, gdyż klimat wzgórz był suchy i wietrzny, a poza tym Paolo uwielbiał łowić ryby. Na małej gumowej

*dinghy* dokonywał niezwykłych sportowych wyczynów, które zachęciły go do podjęcia prób połowów na otwartym morzu. W pierwszym sezonie złowił sporo marlinów i zdobył trofeum za największego makrelosza schwytanego poza „Mnarani Club”. Połowy na pełnym morzu stały się jego nową pasją.

Upodobaliśmy sobie Kilifi. Gorące, balsamiczne powietrze, nasyczone wilgocią jak dojrzały owoc stanowiło miłą odmianę po chłodnych nocach w Laikipii, które przy ognisku z grubych polan spędzaliśmy owinięci w koce. Lubiłam zapach kokosów i morskich wodorostów, powiewy wiatru od oceanu i długie spacery po plaży w poszukiwaniu muszelek i różnych dziwnych niespodzianek, które morze pozostawiało w przybrzeżnych kałużach. Wieczorami siedziałam w ogrodzie, oparta o pień największego baobabu. Obserwując wieczorny przyływ, czekałam na powrót łodzi Paola, „Umeme”. Usiłowałam rozpoznać sylwetki moich mężczyzn, którzy stali na pokładzie z rozwianymi włosami i machali do mnie, a po kolorach wywieszonych flag zgadywałam, jaką rybę złapali.

Paolo zaprzyjaźnił się z mieszkańcami kenijskiego wybrzeża, którzy jak on pasjonowali się połowami. Byli to w większości emerytowani farmerzy, którzy sprzedawszy swoje gospodarstwa coraz liczniej napływającym osadnikom, pokupowali domy i łodzie, w których spędzali swój wolny czas. Każdy z nich ponad wszystko pragnął schwytać największą rybę, jaka pływała w oceanie. Ale wśród nich byli też prawdziwi pasjonaci — żeglarze. Wszyscy w rodzinie zaprzyjaźnionego z Emanuelem Charliego Masona uprawiali ten sport. Spotykało się też autentycznych kolekcjonerów, jak chociażby Jessopowie w Shimoni, którzy zgromadzili słynną na całym świecie kolekcję muszli. Niestety byli i tacy, którzy topili swą nostalgię za „dawnymi, dobrymi czasami” w dzienne. Jeszcze inni, jak Diana Delamere i jej świta, nosili się z wyższością bohaterów dawno minionych czasów, kiedy śmietanka towarzyska z tak zwanej „Szczęśliwej Doliny” pędziła beztroski żywot w ogromnych majątkach Białych Wzgórz albo nad brzegami jeziora Naivasha, spotykając się na wyścigach konnych, bądź przyjęciach w „Muthaiga Club”.

Mimo to lubiłam Dianę. W jej sposobie bycia, głębokim, aro-ganckim tonie głosu, wymuskanej fryzurze i nieskazitelnym makijażu tkwiła jakaś niezłomność i siła. Kiedy jej łódź, „Biały Niedźwiedź” za każdym razem przystrojona wielką ilością flag, przybijała do brzegu, Diana zawsze schodziła z niej świeża i wyprostowana, osnuta mgłą tajemnicy. Nie sposób było nie ulec czarowi jej legendy.

Przez dwa tygodnie połowów w Shimoni na przełomie lutego i marca, kiedy był szczyt sezonu, wprowadzała się do „Pemba Channel Fishing Club”, do pokoju numer jeden. Wieczorami przebierała się w powiewne szyfonowe suknie i przy wódce z cytryną i ostrygach w sosie tabasco przyjmowała z królewską gracją wyrazy hołdu od wszystkich obecnych tam mężczyzn. Opowieści o dawnych przygodach, ludziach, którzy od dawna nie żyli, ulubionych koniach i pamiętnych bankietach odślaniały się jak fotografie w starym albumie.

„Shimoni Fishing Club” był ulubioną przystanią miejscowych rybaków. Składał się z kilku chat i ogrodu porośniętego baobabami i krzewami bugenwilli, z widokiem na kanał Pemba. Paolo cenił sobie Shimoni ze względu na obfite połowy. Spędzał tam większość lutego i marca, a ja często go odwiedzałam. Osobiście nie przepadam za połowami na otwartym morzu, dlatego czas spędzałam głównie na czytaniu i pisaniu wierszy. Maia Hemphill, żona właściciela, każdego dnia wysiadywała w ogrodzie, nasłuchując wieści z łodzi rybackich i bez końca robiąc na drutach sweterki dla wnucząt. Miało się wrażenie, że czas w Shimoni zatrzymał się na zawsze. Każdy nowy dzień przybierał barwy fal napływających z otwartego morza i burzących się na koralowych rafach. Miłośnicy połowów wypływali o wschodzie słońca i wracali przed zachodem z wielkimi rybami, które ważono i ekspediowano potem w ociekających wodą pikapach do miasta. Wieczorami chodziłam boso po szorstkiej trawie, wypatrując pierwszych gwiazd, które mrugały nad tajemniczymi srebrnymi baobabami. Nocą spałam pod moskitierą w wilgotnej pościeli, pranej w morskiej wodzie. Dni niepostrzeżenie przechodziły w tygodnie, życie płynęło szybko, czas zbliżał mnie nieuchronnie do momentu, w którym będę musiała stawić czoło tajemnicy życia.

Od wczesnego dzieciństwa Emanuela pociągały gady. Kolekcjonował kameleony i węże, których się bałam i których nie akceptowałam w naszym domu. Ale w Pembroke ta jego pasja zaczęła się rozwijać i gdy skończył dziesięć lat, to właśnie ja podarowałam mu pierwszego węża.

Nasz powrót do Nairobi odłożyliśmy o parę dni, gdyż zbliżały się właśnie urodziny Emanuela. Szukaliśmy więc jakiegoś prezentu, ale w Kilifi nie sposób było czegokolwiek dostać. Jedynym czynnym sklepem okazała się ciemna nora, gdzie sprzedawano niewiele poza mąką z wołkami zbożowymi, cukrem, fasolą i mięszem pomarańczy. Na targu z północnej strony zatoki można było natomiast kupić limony, jajka, mango, suszone ryby, orzechy kokosowe i chili — a więc raczej nic, co dziesięcioletni chłopiec chciałby otrzymać na urodziny.

— Musisz poczekać na prezent — powiedziałam mu — chyba, że znajdziesz coś, co chciałbyś dostać.

Było gorące styczniowe popołudnie, takie jak wiele innych w Kilifi i udaliśmy się do niewielkiego parku serpentologicznego, który składał się z walącej się rudery z bambusów i przegniłych desek, przykrytej strzechą z *makuti*. W ciemnych klatkach spały dziwne gady, budzące się od czasu do czasu na karmienie. Dostawały szczury, ptaki, kozy albo króliki, w zależności od swoich rozmiarów. Było tam też parę oswojonych pytonów, z którymi goście mogli robić sobie zdjęcia.

Przez ostatnie lata wiele razy odwiedzaliśmy to miejsce. Tamtejszy pracownik, Mohammed, powitał nas jak dawno nie widzianych przyjaciół; w Afryce czas płynie wolno i wspomnienia są trwalsze. Kiedy Emanuel wziął jednego z mniejszych pytonów Alego, i pozwolił mu wypełznąć na siebie, a potem owinąć się wokół szyi, wstrząsnęło mną dziwne przecucie, tak silne, że wieczorem zapisałam w moim dzienniku: „... żółądek skurczył mi się, jakbym patrzyła w ciemną i przerażającą otchłań...”

Wąż zwinął się wokół cienkiej szyi Emanuela, kładąc głowę na jego uniesionej dłoni. Emanuel spojrział na mnie. W jego aksamitnych oczach było pytanie i determinacja, którą zaczynałam respektować.

— Pep, wiem, co chcę na urodziny.

Poczułam suchość w ustach i spytałam: — Chyba nie węża?

— Dlaczego nie? Przecież obiecałaś.

Zaczęłam gorączkowo szukać wyjścia z sytuacji: — One nie są na sprzedaż.

— Nie zaszkodzi zapytać

— Nie, absolutnie nie — odparłam, chcąc zyskać na czasie. Właścicielem parku był Peter Bromwell, powszechnie znany jako Bwana Nyoka. Mieszkał w osobliwym domu, niegdyś wspaniałym, lecz teraz znajdującym się w opłakanym stanie, w zatoczce przy Taka-Ungu, tuż obok domu, który kiedyś należał do Denysa Finch-Hattona, a później do Cole'ów. Zostały one zbudowane u ujścia zatoki po dwóch przeciwnych stronach starego muzułmańskiego cmentarza. Miejsce to uchodziło za nawiedzone. Mówiono, że nocą można tam zobaczyć duchy, które zawodzą przy wtórze pobrzękujących łańcuchów, albo inne, które w czasie pełni księżyca fruwały w powietrzu i zbierają się pod wybranymi baobabami, omijanymi z bojaźnią przez miejscowych ludzi. Wybrzeże było obszarem, na który Arabowie spędzali niewolników, by potem przetransportować ich w dalszą drogę. Więziono ich w naturalnych jaskiniach wzdłuż brzegu, a gdy nadciągał przypływ, pod osłoną nocy wywożono ich w ładowniach *dhow*, wraz z ładunkiem przypraw, kością słoniową, kokosami, skórami i rogami nosorożców.

Dom Bwana Nyoki został zbudowany przez jego teścia, człowieka o wyrafinowanym guście, w ogrodzie pełnym kwiatów, który schodził tarasowo ku zatoce. W dawnych czasach wciąż roił się od gości. Służący odziani w białe *kanzus*, czerwone fezy i haftowane kamizelki serwowali drinki na tacach ze srebra i mosiądzu. Życie towarzyskie toczyło się na patio albo w pokojach udekorowanych znakomitymi meblami Lamu, cennymi rzeźbami i autentycznymi chińskimi wazami. Na ścianach wszystkich pokoi umieszczone były pod przeróżnymi kątami długie, wąskie lustra, które służyły gospodarzowi do dyskretnego podglądania gości. Pozwalały mu one jak w kalejdoskopie widzieć wszystkie kąty pokoi. Właściciel był głuchy i opanowany lękiem, że zostanie



obrabowany lub zamordowany.

Do tego osnutego tajemnicą i pajęczynami domu niewielu ludzi przychodziło w moich czasach. Ja poszłam tam tylko raz, by odebrać Livię, która została zaproszona na noc przez córkę właściciela, Winkle. Ta niesamowita dziewczynka mieszkała tam sama ze swoimi starszymi się rodzicami. Nigdy nie chodziła do szkoły, ale za to знаła wiele sekretów przyrody.

Ów dom był nieprawdopodobną rupiecarnią rzeczy niegdyś pięknych, ale straszliwie zaniedbanych. Piasek naniesiony przez niezliczone monsuny zasłał mozaiki podłóg grubym dywanem, po którym pełzały żółwie i węże. Nietoperze i jaskółki siedziały na rzeźbionych gzymsach, paskudząc na kruche i drogie wazy z epoki dynastii Ming. Kozy nieskazitelnie czystej rasy wylegiwały się na wyświechtanych arabskich kobiercach. Wielka zardzewiała lodówka rozwierała swą otwartą paszczę na obszerną i pustą jadalnię. Długi stół był zastawiony dla trzech osób wyborną, choć obtłuczoną porcelaną, na której piętrzyły się cudownie pachnące, smakowite potrawy... Miejsce nierealne jak scena z filmu.

Bwana Nyoka został wiele razy pokąsany przez węże, na które polował na piaszczystych, zamieszkałych przez gady wydmach wybrzeża. Ludzie mówili, że nie przeżyje kolejnego ukąszenia. Był to szczupły, brodaty mężczyzna w okularach o nieokreślonym wieku. Zwykle chodził ubrany w szorty i sandały, a często bez koszuli, odsłaniając opalony, muskularny tors młodego mężczyzny. Miejsce, w którym na pewno można było go spotkać, stanowił bar w „Mnarani Club”. Przesiadywał w nim popołudniami wraz ze swoją żoną, kobietą niepospolitej, choć nieco wyblakłej urody. Zawsze okupowali dwa pierwsze stołki po prawej stronie przy wejściu. Chcąc dotrzymać słowa danego Emanuelowi, dopadłam go tam z nadzieją, że odmówi mojej prośbie. Zanim jednak zapytałam, wiedziałam, że się zgodzi.

— Oczywiście — powiedział. — Sprzedawanie węży to mój zawód.

Nie dam jednak żadnego z już oswojonych. Te są dla gości. Mam młodego, którego właśnie schwyciłam. Przy odrobinie cierpliwości powinien dać się łatwo oswoić. Ma jakieś trzy stopy, po pięćdziesiąt szylingów za stopę. Oplaca się.

Mniej niż dziesięć dolarów za pytona, taniej niż materiał na sukienkę — pomyślałam ze zdziwieniem.

Mały wąż był piękny i lśniący. Nie bez oporów dotknęłam go, kiedy wił się wokół ramienia Petera, ostrożny i gotowy do ataku. Przez głowę przebiegła mi myśl, że prawdopodobnie on bał się bardziej niż ja. Był zimny i suchy, gładki, silny i śmiertelnie groźny. Nie był jadowity, ale siła dusiciela, jego ruchliwy czarny język, szkliste oczy bez wyrazu, stanowiły symbol niebezpieczeństwa. Emanuel nie posiadał się ze szczęścia. Kiedy spojrzał na mnie, jego pierwszy wąż owinął się wokół jego delikatnej dziecięcej szyi, a mnie na moment przeszył mimowolny dreszcz i po raz drugi tego dnia mroczne przeczucie opłotło mi serce.

— Jesteś pewny? — szepnęłam z nadzieją. — Może powinienes jeszcze...

— Nazwę go Kaa — odpowiedział Emanuel. Zawsze lubił Kiplinga. — Pomożesz mi go oswoić, Pep? Kiedy wrócę do szkoły, musisz się nim zajmować codziennie, żeby się do nas przyzwyczaił. Przyrzeknij mi. To łatwe. On jest delikatny.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Miałam poczucie, że wraz z tym pierwszym wężem weszliśmy w nowy okres. Wiedziałam, że na tym jednym się nie skończy, ale zgodziłam się opiekować tym złowróżbnym, niemy potworem. Trzeba było go karmić. Trzeba było go czyścić, pielęgnować, ćwiczyć, oswajać. Obiecałam Emanuelowi, że będę to robiła. Jego ostatnie słowa przed powrotem do szkoły dotyczyły Kaa.

— Nie sądzisz, że jest piękny? Pewnego dnia, Pep, ty też zrozumiesz ukryte piękno węży.

Tyle razy powtarzał to zdanie, a ja przez lata próbowałam przezwyciężyć swój instynktowny strach. W końcu przemogłam go, ale tylko raz zobaczyłam w węzach piękno.

Zbyt późno.

## 20. Jajo

Muzyka, jak bolesne tchnienie Boga.

John Keats, *Endymion*

(przekł. Mirosław Gryka)

Postanowiliśmy z Paolem nie mieć dzieci. Jego córki i Emanuel dobrze się dogadywali i nie chcieliśmy naruszać tej kruchej równowagi między nimi. Poza tym nieszczególnie pociągała mnie perspektywa przechodzenia przez całe to zamieszanie związane z narodzinami dziecka. Miałam jeszcze wiele do zrobienia, a jeszcze więcej do odkrycia. Emanuel, Valeria i Livia byli już dorosłymi dziećmi i to pozwalało mi przyłączać się do Paola podczas wypraw i podróży.

Jednak wczesnym latem 1979 roku Paolo przeżył niezwykłą przygodę, która skłoniła nas do ponownego przemyślenia kwestii dziecka.

Paolo właśnie wrócił z Europy i po dniu spędzonym ze mną w Nairobi postanowił pojechać na ranczo. Wyruszył wieczorem po kolacji, chociaż w Kenii, gdzie ruch drogowy jest niesłychanie niebezpieczny, nie powinno się jeździć po zmroku. Paolo jednak lubił prowadzić w nocy. Czuł się wtedy bardziej odprężony, a droga za Gilgil była faktycznie dość spokojna. Włączywszy muzykę, Paolo jechał w stronę Laikipii. W jego głowie kłębiło się od myśli. Ranczo, problemy do rozwiązania, radość z powrotu do Afryki. Za Gilgil, za skrzyżowaniem, tuż przed Ol Kalau, jakiś samochód wyminął go na pełnym gazie i zatarasował mu drogę. Z nowego błękitnego volvo wysiadł uśmiechnięty młody mężczyzna, ubrany w elegancki garnitur i krawat. Mężczyzna zbliżył się do samochodu Paola i uprzejmie się z nim przywitał. Paolo opowiadał później, że nawet przez sekundę w jego głowie nie powstało żadne podejrzenie. Myślał, że to policjant po cywilnemu albo ktoś w tym rodzaju. Ale chwilę później zobaczył wycelowany w swoją głowę pistolet. Mężczyzna Powiedział: „Wysiadaj, to jest napad.”

Z volvo wysypała się banda bosonogich oberwańców. Paolo naliczył może siedmiu mężczyzn ubranych w łachmany, wyglądających na dzikusów, uzbrojonych w maczety i motyki. Nie miał wyboru, wysiadł w chłód gwiazdzistej, styczniowej nocy.

Okazało się potem, że napastnicy ukradli volvo uniwersyteckiemu wykładowcy, którego znaleziono nazajutrz przywiązanego do drzewa w Langata. Musieli jak najszybciej zmienić pojazd, gdyż obawiali się policyjnych blokad.

Zabrali Paolowi zegarek, buty i całe ubranie, z wyjątkiem slipek i turkusowego jedwabnego krawata, który mu podarowałaś. Zanim wsiedli do jego samochodu, otworzyli bagażnik volvo i próbowali wepchnąć go do środka. Krzyczeli do niego w języku kikuju. Paolo opierał się... i wtedy zauważył, że w bagażniku leżał nieruchomy, powykęcany i do połowy przykryty kocem jakiś człowiek. Był to Afrykańczyk — żył jeszcze — poruszał lekko palcami, jakby w błagalnym geście. Paolo już bez oporu wszedł tam, klapę bagażnika zatrzaśnięto i volvo, a za nim drugi samochód ruszyły w wielkim pośpiechu.

Przez cały czas słyszał muzykę Griega. Nikt nie troszczył się o ustawiony na auto-rewers magnetofon albo nie potrafił go wyłączyć. Muzyka dodawała Paolowi odwagi. Szukając w ciemnościach, wymacał jakieś narzędzia. Za pomocą klucza francuskiego próbował sforsować zamek, ale bezskutecznie. Przez ten czas samochód zdążył zjechać z szosy i podskakując na wyboistej, błotnistej drodze mknął w zawrotnym pędzie ku niewiadomemu. Paolo spodziewał się najgorszego. Myślami wnikał w głąb swojej duszy, zadawał sobie pytanie o sens istnienia. Ezoteryczna muzyka Griega pomogła mu w zrozumieniu tajemnicy życia i poznaniu tajemnicy śmierci. Intensywność tego przeżycia sprawiła, że czuł się, jakby w ciągu kilku godzin wiele razy umierał i rodził się na nowo. Machinalnie jednak wciąż próbował otworzyć zamek. Jego towarzyszył leżał niemy i bezwolny, sparaliżowany przez szok i strach.

Upływający czas odmierzało tylko bicie serca. Wspomnienia przychodziły i odchodziły... Potem samochód zatrzymał się nagle i muzyka

ustała. Drzwi się otworzyły. Paolo usłyszał kroki zbliżające się do bagażnika i przez cienki, twardy metal poczuł złowrogą bliskość bandytów. Ktoś wsunął kluczyk do zamka, by ich wyciągnąć i zabić. Klucz obracał się i obracał, ale kłapa nie puszczała: w swoich desperackich próbach wydostania się Paolo zablokował zamek.

Słyszał przytłumione głosy Kikujów, którzy naradzali się, co z nimi zrobić, aż wreszcie postanowili zostawić ich zamkniętych w bagażniku na pewną śmierć, gdyż na dalekim trakcie leśnym przez wiele tygodni nikt by ich nie odnalazł. Po chwili Paolo usłyszał warkot swojego samochodu i zapadła głucha cisza.

Nie poddawał się, wciąż próbował odkręcić oporne rygle zamka, pchając, cisnąc, aż na koniec udało mu się otworzyć kłapę... i narodził się na nowo. Czuł się jak pisklą, które wykluło się z jaja... *a riveder le stelle*.

Popatrzył w górę na zimne, jasne gwiazdy, wciągnął głęboko do płuc balsamiczne leśne powietrze, i objął wszystko nowym spojrzeniem... To było prawdziwe odrodzenie. Leżący dotąd nieruchomo w bagażniku człowiek nagle z niego wyskoczył i Paolo znalazł się nieoczekiwanie w jego niedźwiedzim uścisku. Potoczyli się obaj w trawę. Człowiek krzyczał głosem nabrzmiałym ulgą: „Ndugu yangu!” („Mój brat!”). Szli ręką w rękę po błotnistych leśnych traktach i o świcie doszli do głównej drogi. Przejeżdżające z rzadka samochody nie chciały zatrzymywać się przy dwóch dziwacznie wyglądających, niemal nagich mężczyznach. Kiedy wreszcie jakiś odważny kierowca się zatrzymał i zabrał ich, dotarli z nim do komisariatu policji w Ol Kalau.

Po tym incydencie często zastawałam Paola zamyślnego. Gdy wracałam do domu, pokój wibrował tą samą muzyką Griega, albo jego ulubionymi *Adagio* Albiniego lub *Kwintetem* Boccheriniego. Oczy Paola zdawały się świecić nowym blaskiem, miał w nich hipnotyczną głębię człowieka, który zajrzał śmierci w oczy i ponownie wrócił do życia. Paolo nieustannie mówił o swojej śmierci, dawał mi instrukcje, dobierał muzykę na swój pogrzeb. Wciąż mi powtarzał, że to była ostatnia jego ucieczka, na jaką los mu pozwolił. „Wyczerpały mi się życia” mówił do naszych przyjaciół. A do mnie: „Chciałbym, żebyś trzymała mnie za rękę, kiedy będę umierał. Wiem jednak, że umrę w samotności. Pamiętaj o muzyce. Przyrzeknij, że nie zapomnisz muzyki

Wenecji.” Chciał być pochowany na ranczu, a pod głową mieć małą poduszczkę, którą mu kiedyś wyhaftowałam, z datą naszego ślubu i jego imieniem. Wybór miejsca należał do mnie, ale miało to być miejsce „z którego widać wzgórze”.

Po tym wypadku Paolo coraz częściej składał wizyty u *wazee* Pokotów w Churo. Ci starzy mężczyźni przesiadywali wokół sękaty akacji, której szary pień był tak samo pomarszczony jak ich torsy. Może byli rówieśnikami tej akacji? Palili dziwne trawy, żuli mocny tytoń i wachali cierpką tabakę, która przyprawiała ich o kichanie. Pili mocny napar z ziół i sfermentowanego miodu, zagryzając go dziwnymi nasionami, które wyszukiwali w buszu. Pochodziły one ze strąków rośliny, która wyrasta po deszczach, a ich tajemnicza chemia wywołuje profetyczne sny. Według tradycji, tylko starzy ludzie mieli prawo spożywać te nasiona, ponieważ mogły one na trwałe zaburzyć umysły młodych mężczyzn.

Twarze starców były jak maski wykonane z błyszczącego drewna, pociemniałe od dymu wielu ognisk. Z daleka wszyscy wyglądali tak samo, przez upodabniające ich fryzury: kuliste, błyszczące od tłustej niebieskiej farby. By uzyskać taki efekt, stosowali błękitny proszek używany zwykle do barwienia płótna. Niektórzy z nich przystrajali się w prymitywne kolczyki ze szklanych paciorków lub kości. Jeden z nich był ślepy i jego białe, niewidzące oczy tkwiły nieruchomo w wychudzonej twarzy. Inny wymalował sobie jaskrawożółte okulary na nosie i wokół oczu: prawdziwy stary czarownik. Paolo często przysiadł się do nich. Oni zaakceptowali go, a on dzięki ich sztuce i znajomości środków halucynogennych zyskał wgląd w inne obszary swojej świadomości.

Za którymś razem poczęstowali go swoimi nasionami. Ich smak — opowiadał później — był gorzki, jakby trawiasty i Paolo poczuł się po nich dziwnie źle. Lecz wkrótce jego umysł zaczął się rozjaśniać, jakby ktoś nagle otworzył okno na magiczny krajobraz. Poczuł, że przenosi się w inny wymiar, w którym dął silny wiatr. Trawa wokół nich zdawała się fosforyzować, a po niej sunęły bezszelestnie dwa lamparty. Nagle jakaś siła wyrzuciła go do góry i spostrzegł, że szybuje wysoko niczym

sęp i swoimi ptasimi oczyma wyraźnie widzi w dole maleńki samochód sunący drogą z Nyahururu w kierunku Ol Ari Nyiro.

Pokazał mi potem jedno z tych nasion. Było wielkości grochu, jedwabiste i pokryte białą, połyskliwą skórką. Dał mi je, ostrzegając, że bym nie próbowała i choć bardzo mnie kusilo, posłuchałam go. Trzymałam je przez wiele lat, aż stało się kruche i łamliwe, a ja nigdy nie zdołałam wykryć, z jakiej rośliny pochodziło. Pokotowie, których o to pytałam, udawali, że nic o tym nie wiedzą. W końcu nasionko nie było lekarstwem dla kobiet ani obcych i szanowałam ich sekret. Nawet Philip Leakey, któremu je kiedyś pokazałam, nigdy o nim nie słyszał i nie potrafił go rozpoznać. Na koniec wsadziłam je do ziemi, ale życie z niego już uszło i tajemnicza roślina nigdy nie wykiełkowała.

Miłość Paola do mnie przekształciła się niemal w bałwochwalcze uwielbienie. Coraz częściej pisywał do mnie listy i wiersze prosząc, że bym na nie odpowiadała. Ja też od wielu lat pisałam poezje, więc na rocznicę naszego ślubu podarował mi antyczny, inkrustowany mosiądzem sekretarzyk z Zanzibaru. Wewnątrz były jakieś starożytne klejnoty, fantastyczny stary srebrny pasek i notatka, którą zachowałam do dziś:

„Ta szkatułka jest przeznaczona na twoje wiersze, które tak bardzo kocham. Niech życie nigdy nie uczyni nas głuchymi na głos duszy. Proszę, mów do mnie.”

To było mniej więcej w tym czasie, kiedy pewnego popołudnia, przyjechawszy do Laikipii, zastałam Paola leżącego na naszym łóżku z baldachimem i wpatrującego się w wielkie strusie jajo, które zawiesił na środkowej belce za pomocą niewidocznej, nylonowej nitki.

— W tym jaju jest wiadomość dla ciebie — powiedział, patrząc mi prosto w oczy. — Jeśli chcesz ją przeczytać, musisz rozbić skorupkę.

Sprawił wrażenie, jakby chciał wystawić na próbę moją ciekawość, ale ja nie chciałam rozbijać tego jaja.

— Możesz je otworzyć, kiedy tylko zechcesz. Ale nie musisz. Ja tylko chcę, byś wiedziała, że jest w nim wiadomość dla ciebie. Bardzo ważna. Któregoś dnia będziesz musiała się dowiedzieć.

W jego głębokich, błękitnych oczach nie było uśmiechu, a ciemnozłote włosy czyniły go podobnym do pogańskiego boga. Jajo wisiało nad naszym łóżkiem przez kilka następnych miesięcy, a ja nigdy nie pomyślałam, by rozbić jego gładką skorupkę. Jakoś czułam, że jest ono jak wyrocznia, coś, czemu zadaje się pytania w chwili wielkiej wagi, a nie tylko z czezej ciekawości. Paolo nie odpowiadał na żadne z moich pytań. Patrzył tylko na mnie intensywnie i bez uśmiechu, jakby już wiedział więcej, niż mógł mi powiedzieć. W takim momencie zdawał się daleki i nieosiągalny. Jego oczy były przezroczyste jak źródłana woda i czułam, że coraz bardziej go kocham. Usiadłam obok niego na łóżku, a on wziął mnie za rękę. W dotyku jego skóry było zawsze coś, czemu nie potrafiłam się oprzeć, jakieś elektryzujące przyciąganie. Wręczył mi małą książeczkę. Były to *Iluzje* Richarda Bacha. Na pierwszej stronie napisał:

„Dla lśniącego jaja, które sprawiło, że moje iluzje poszybowały daleko, poza śmierć.”

Nie rozbiłam jaja. Wisiało tam, rok po roku, aż pewnego ranka, po najdłuższej nocy mojego życia, nagle zrozumiałam, co oznaczało. Wtedy już nie potrzebowałam go rozbijać...

Bezpośrednio po zdarzeniu w porwaniu Paolo poprosił mnie, żebym miała z nim dziecko. To stało się jego *idée fixe*, absolutną obsesją. Czułam, że jego życie wkrótce dobiegnie kresu i że powinniśmy mieć dziecko jako żywy dowód naszej miłości. Ponadto, miało być ono sposobem na przedłużenie jego życia ze mną. Zaczął interesować się reinkarnacją i często miewał przeczucia i sny. Kiedy pewnego ranka obudziłam się w naszej sypialni w Nairobi, znalazłam go wpatrującego się we mnie z wyrazem nieprawdopodobnej czułości i miłości na twarzy.

— Czekałam, aż się obudzisz, bo chcę opowiedzieć ci mój sen.

Śnił o swoim ojcu, który zmarł przed kilkoma laty, dokładniej w 1973 roku, i do którego był bardzo przywiązany; o swoim bracie Franco, zabitym przez słonia w Kenii; o Mariangeli, swojej pierwszej żonie, która zginęła w tamtym pamiętnym wypadku samochodowym; i o Chiarze Ancilotto, która w 1975 roku również została zabita w wypadku. Widział ich stojących na schodach przed wielkimi rzeźbionymi drzwiami,



które przypominały drzwi domu w Kipipiri, w którym przez ponad rok mieszkał z Mariangela podczas ich pierwszego pobytu w Kenii. Często opowiadał mi o Kipipiri, dość wytwornym domu u stóp gór Aberdare nad Kinangop i o tym, że dom ten był znany z tego, że sprowadzał nieszczęście na swoich mieszkańców. Większość poprzednich właścicieli przedwcześnie zginęła w wypadkach. Raz pojechałam z Paolem obejrzeć to miejsce i rzeczywiście, roztaczała się wokół niego atmosfera grozy i posępności, a ciemna, mroczna góra w tle, wywierała przytłaczające wrażenie, mimo iż wspaniała ogród z równo przyciętymi żywopłotami, tworzącymi skomplikowany labirynt, był przepiękny. Za nic w świecie nie chciałam przekroczyć progu tego domu. Czasami miewałam bardzo silne przeczucia i Paolo szanując je, nie namawiał mnie dłużej na pozostanie w tym miejscu.

Wszystkie te osoby z jego snu czekały na niego w ciszy, a ojciec otworzył drzwi i zaprosił Paola do wejścia.

Wkrótce potem Paolo miał następny sen: urodziło nam się dziecko i wszystko było przygotowane, by to uczcić. Były obie jego córki, Emanuel i oczywiście ja. A Paolo?

— Byłem tam, a jednocześnie mnie nie było. Widziałem i słyszałem i byłem sobą, ale nie taki, jaki jestem teraz. Byłem jakby dzieckiem.

Jeszcze nie skryształizowane przeczucie przemknęło mi przez głowę:

— Gdybyśmy mieli dziecko, to czy zaufałyś mi, że zdołam je sama wychować?

— Absolutnie. Często marzyłem, że mam taką matkę jak ty.

Paolo przez cały czas śnił i mówił o dziecku. To miała być dziewczynka. W liście, który mi napisał w styczniu 1979 roku, przed odlotem do Laikipii nowym samolotem, który nazwał od mojego imienia „KUK”, zanotował tajemniczo:

„Zamierzam polecić z naszą małą córeczką; nic zapomnij zapleść jej warkoczyków.”

Wtedy nie byłam jeszcze nawet w ciąży.

Córki Paola od dawna przebywały we Włoszech i Szwajcarii, gdzie kończyły studia. Starsza, Valeria, wtedy siedemnastolatka, wyrosła na

piękną, promienną, młodą kobietę, o czarującym sposobie bycia. Odnosiła sukcesy w szkole i cieszyła się wielką popularnością wśród znajomych. Jednak właśnie wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich i konsternacji Paola, postanowiła porzucić studia i zamieszkać z Mariem — moim pierwszym mężem, a ojcem Emanuela — w którym, jak wiedziałam, była szaleńczo zakochana od dzieciństwa. Mario przechodził duchową i religijną przemianę, toteż wyjechali razem do Indii i zamieszkali w ashramie. Wprawdzie nie byli ze sobą spokrewnieni i Mario naprawdę kochał Valerie, ale Paolo przeżył szok i czuł się zdradzony.

Właśnie to zdarzenie skłoniło mnie, by zadośćuczynić pragnieniu Paola. Ponadto, jeśli chciałam urodzić jeszcze dziecko, nie mogłam zbyt długo zwlekać. Miałam trzydzieści sześć lat. To była trudna decyzja, ale kochałam Paola. Zgodziłam się i po kilku tygodniach nasze upragnione dziecko było w drodze, więc oboje nie posiadaliśmy się z radości.

Rozpoczęliśmy przygotowania i Paolo, który kochał morze i łódzie, postanowił zamówić kołyskę w kształcie kanu, „żeby mała mogła pływać po morzu życia.” Zamówił ją w Shimoni, dokąd co roku jeździł łowić ryby.

Właśnie po nią w marcu 1980 roku ruszył w podróż samochodem na odległe wybrzeże. Małe kanu, wyłobione z pnia drzewa mango, było zbyt długie, by się zmieścić w samolocie.

## 21. Przeczucie

Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi,  
Niż się wydaje naszym filozofom.  
Drogi Horacjo.

W. Shakespeare, *Hamlet*  
(przekł. Stanisław Barańczak)

Paolo nie żyje.  
Wszystko stało się tak szybko — ciężarówka, która nagle zajęła

mu drogę na stacji benzynowej przed Hunter's Lodge, na trasie do Mombasy; pisk hamulców, zgrzyt metalu o metal, cisza, tupot biegnących ludzi. To się zdarza codziennie...

Paolo, z twarzą rozbitą o kierownicę, z karkiem złamanym pod wpływem potwornej siły uderzenia...

Jego ciało uwięzione między tablicą rozdzielczą a wykrzywionym siedzeniem...

Kołyska w kształcie łódki, którą wiozł dla naszego nie narodzonego jeszcze dziecka pozostała nietknięta. Dużo później odkryłam maleńkie, niemal niewidoczne zadrapanie na jej dziobie.

Jaka była ostatnia myśl Paola, tego nigdy się w tym życiu nie dowiem. Czy widział, kto okradł go z pieniędzy, czyje szalone dłonie zdarły z jego nadgarstka zegarek? Kim byli rabusie? Nie zdołali tylko zrabować obrączki ślubnej, którą mu podarowałam. Zachowała się na palcu szczupłych, opalonych dłoni ukrytych pod rozbitą głową greckiego boga o pięknych jasnych włosach, które uwielbiałam dotykać. Lecz czy to miało jakieś znaczenie? Jego już nie było.

Prawdę o śmierci poznałam już wcześniej. Miałam wizję. Widziałam ten wypadek, czułam go w swojej głowie niemal tak namacalnie jak gorące marcowe słońce na moich zalanych łzami policzkach.

Siedziałam właśnie w ogrodzie i rozmyślałam nad tym, że bugenwilla jest jedynym kwiatem, który sprawia wrażenie, jakby nie cierpiał z powodu suszy. Czekałam na Paola, który wracał z Shimoni z łóżeckiem dla dziecka. Byliśmy zaproszeni na kolację. I nagle ta wizja, której nie mogłam się pozbyć. Oczyma wyobraźni z zadziwiającą wyrazistością ujrzałam zmiażdżony impetem zderzenia samochód Paola. Następny obraz mojej wizji był równie plastyczny: twarze przyjaciół spottniałe w gorącym słońcu, ich łzy nad trumną, otwarty grób w otoczeniu bananowców... Usłyszałam odległy głos Paola:

— Chciałbym, żebyś trzymała mnie za rękę, kiedy będę umierał. Wiem jednak, że umrę w samotności. Zapamiętaj tę muzykę. Przyrzeknij, że będziesz pamiętała muzykę Wenecji.

Jakże kiedykolwiek mogłabym zapomnieć?

Łzy rozszerzyły mi oczy, w gardle czułam dławiący ból. Jak we śnie

szłam w kierunku domu. W zwolnionym tempie, jakbym odprawiała wielokrotnie przedstawiany rytuał, wybrałam kasetę i włożyłam ją do magnetofonu. Wkrótce fale dźwięków wypełniły pokój, coraz głośniejsze i głośniejsze, a ja siedziałam w oszołomieniu, z sercem ciężkim od nieznośnej rozpacz. Nastawiałam tę samą kasetę wciąż na nowo, dopóki ogród nie okrył się wieczornym cieniem, a służący, jak codziennie o tej porze, nie przyniósł lodu i nie zaczął zasuwac zasłon. Obecność Paola była wyczuwalna w powietrzu bardziej niż kiedykolwiek, mimo to jednak wiedziałam, że odszedł z mojego życia na zawsze. Zachowywałam się, jakby prowadziła mnie jakaś niewidzialna siła. Kiedy w pokoju zrobiło się ciemno i Bitu wszedł, by zapalić świece, powoli wstałam i poszłam do mojego pokoju, by włożyć ciemną suknię ciężową. Wiedziałam, że wkrótce przyjdą powiedzieć mi, że mój mąż nie żyje...

Kiedy przyjechał pierwszy samochód, byłam już gotowa.

To był Tubby Block, przyjaciel z czasów szczęśliwej młodości. Rozpacz malująca się na jego twarzy zmieniła się w zdumienie, gdy uprzedziłam jego słowa:

— Wiem. Paola już nie ma. Sam mi to powiedział. — Dotknęłam mojego brzucha. — Ale tak naprawdę, to on jeszcze się nie urodził.

## 22. Pierwszy pogrzeb

Pożegnanie jest potrzebne, by znów można było się spotkać.

Richard Bach, *Iluzje*

Nigdy nie zapomnę zapachu gardenii i dotyku mięsistych płatków... Tego dnia przewoziliśmy samolotem ciało Paola, by je pochować.

Był gorący, późny poranek. Wyjeżdżałam z domu z poczuciem, że wszystko się zmieni w moim życiu i nic, co dotąd znałam, nigdy już się

nie powtórzy. Miałam pełną świadomość, że moja percepcja jest intensywniejsza, zmysły wyostrzone i że każdy szczegół tego, co czuję i widzę, na zawsze wyryje się w głębi mojej istoty, jakbym urodziła się na nowo.

Miałam na sobie białą bawełnianą suknię ciężową i stojąc w drzwiach, spoglądałam od jakiegoś czasu na kaskadę fioletowych bungenwilli, tworzących iluzoryczne tło dla różnokolorowych samochodów, które przecież niedługo odjadą. Silna woń gardenii napłynęła od dużego krzewu, który rósł nie opodal. To wszystko razem wzięte: zapach, wspomnienia, żal, gorąco i jeszcze nie narodzone dziecko — sprawiło, że zakreśliło mi się w głowie...

Paolo już nigdy nie zerwie dla mnie gardenii, i nie poda jej szerokim gestem, jakby mnie delikatnie atakował floretem. Paolo... przystojny jak nomad, giętki jak tancerz flamenco, elegancki jak dostojnik... Mógł być wojownikiem każdego plemienia na ziemi, rybakim na każdym morzu. Paolo miał niezwykłą osobowość. Był jednym z tych rzadkich ludzi, którzy czują się swobodnie i robią wrażenie na wszystkich, gdziekolwiek się pojawią. Nasze wspólne życie było przepojone szczęściem. Szłam z nim do końca jego drogi pełnej przygód, w których dane mi było uczestniczyć i wspomagać go w trudnych chwilach. A mimo to czułam rozpacz, że nie byłam z nim, kiedy umierał. Miałam wrażenie, jakbym nieświadomie go zawiodła. Zerwałam gardenię i wyszłam na skąpany w słońcu plac przed domem. Wszyscy ludzie zamilkli, odwrócili się, by na mnie spojrzeć i zaczęli podchodzić. W ich skupionych, zasmuconych twarzach wyczytałam odbicie mojego żalu.

Ktoś schwycił mnie za łokieć. Była to młoda, gorąca dłoń, która chciała dać mi wsparcie. Odwróciwszy się, ujrzałam zaczerwienione, ale suche oczy mojego syna, przepełnione cierpieniem i determinacją., by ukryć z godnością ból. Pomyślałam o nim z dumą. Chociaż miał dopiero czternaście lat, wiedziałam, że śmierć Paola uczyni z niego dojrzałego człowieka, tak jak czyni to ze wszystkimi, którzy doświadczają jej po raz pierwszy.

Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, co ta śmierć uczyniła ze mną. Świadoma słów „już nigdy”, czułam jednocześnie, że owej nocy, kiedy

Paolo zginął, wypełniła mnie jakaś nowa siła i w głębi ducha wiedziałam, że nie zostałam sama. Byłam jego przyjaciółką, kochanką, towarzyszką i żoną; nosiłam też w łonie jego dziecko. To wszystko miało sens; teraz będę jego matką.

— Chodźmy — powiedziałam, ściskając mocno opaloną dłoń, która zaofiarowała mi pomoc. *Andiamo a seppellire Paolo.*

Złote ziarenka kurzu zawisły w nieruchomym powietrzu. Mimo straszego upału moje ręce były zimne i wilgotne.

W trumnie leżał Paolo w krótkich spodenkach khaki i w czystej, pasiastej koszuli z podwiniętymi rękawami. Gołe, szczupłe stopy były obute w sandały. Ktoś ułożył mu ręce na brzuchu, jakby Paolo spał. Nie widziałam jego poranionej twarzy, ponieważ zakrywała ją chustka. W aseptycznym pokoju panował nienaturalny chłód, a mimo to zewsząd unosił się zapach śmierci.

Nad ciałem Paola bez ustanku bzyczała jakaś mucha. Koncentrowałam się na niej, wpatrywałam się w nią, śledziłam jej lot wysoko pod sufit i z powrotem ku ziemi... Nikt się nie odezwał, kiedy podchodziłam do trumny. Po raz ostatni patrzyłam na ciało ukochanego mężczyzny. Powoli przesuwałam dłonią nad jego nogami, jego włosami. Dotknęłam czerwonej chustki, walcząc z chęcią odsłonięcia jego twarzy, ale ktoś — chyba nasz przyjaciel, Amedeo? — potrząsnął ostrzegawczo głową. Zanim mnie tu przyprowadzili, wszyscy błagali, żebym nie patrzyła na twarz Paola, żebym pamiętała o dziecku: twarz mojego męża była już tylko krwawą maską. Chciałam zachować wspomnienie jego pięknego oblicza, ale jednocześnie czułam, że zniosłabym każdy, nawet najgorszy widok. Wcisnęłam mu na sztywny palec obrączkę ślubną, a na pierśi położyłam jedną z dwóch gardenii. Potem, trzymając go za rękę, schyliłam się, by ją ucałować. Palce były zimne jak lód i suche niczym skóra węża.

Ktoś zaniósł się szlochem. Ktoś wyszedł. Jeszcze raz, ostatni, pieściłam jego ramiona, nogi, ściskałam zimne jak metal stopy.

Ale nawet ten ostatni raz musi się kiedyś skończyć.

Próbowałam mówić do niego bez słów. Dokąd odszedł? Czy mnie

widział? Czy czuł, jak bardzo go kocham? Rozejrzałam się dookoła... mucha zniknęła. Zapanowałam nad sobą

— Jego już tu nie ma. Zawieźmy go do domu.

Przyjaciele popatrzyli w milczeniu i podążyli za mną.

Słońce poraziło moje oczy, jakbym wyłoniła się na powierzchnię ze starego grobowca.

\*

Lot do Laikipii w słoneczny dzień, kiedy zostawia się za sobą drapacze chmur Nairobi, jest zawsze niezwykłym przeżyciem. Niebo było błękitne, cętkowane złotawymi obłokami. Na wysokości jeziora Naivasha przyłączyło się do nas stado pelikanów i leciało za nami aż do Ol Bolossal. Paolo byłby szczęśliwy.

Góry Aberdare... ich bambusowe i cedrowe lasy ustąpiły miejsca żółtym równinom z kępami akacji i *strambami*, w których przycupnęły gliniane, kryte strzechą chatki. Wokół nich brązowe, spragnione deszczu pola oraz niewielkie stada kościstych krów i kóz... Zbliżaliśmy się do jeziora Nakuru, którego brzegi okupowały różowe flamingi.

Srebrnoszara droga do Nyahururu i Kinamby, po której suną maleńkie samochody i ciężarówki, nagle się kurczy i zanika. Zza zielonych wzniesień wąwozu Mukutan wyłania się jak czarowny sen jezioro Baringo.

Lecieliśmy samolotem Cherokee 6, a pilot, nasz przyjaciel, płakał przez całą drogę. Ja przyciskałam sobie do twarzy gardenię, ale jej aromat nie był w stanie przytłumić zapachu śmierci.

Powietrze wypełniła słodkawa, dusząca woń więdnących kwiatów. W samolocie było bardzo gorąco, brzuch miałam nabrzmiały, usta bardzo suche. Kiedy ostatnio coś piłam? Wszystko było osnute nierealnością złego snu, który zdawał się nie mieć końca. Paolo nie żył. Paolo nie żył, a jego ciało leżało samotne w trumnie, zrobionej ze lśniącego

drewna przez jakiegoś obcego człowieka, którego to wszystko nic nie obchodziło. Trumna spoczywała na skórze ogromnego elanda — memento dawno minionej myśliwskiej przygody.

Niemal w jednej chwili pola ustąpiły miejsca gęstym zaroślom *leleshwy*. Obniżyliśmy lot. Widziałam Wielką Tamę i słonie, które gasiły w niej pragnienie; rozpoznawałam czerwone szlaki, ogród Colina Francombe'a z wysokim drzewem gumowym. Biegnące zakosami stado elandów wzbijało tumany kurzu. Cień samolotu, jak wielki ptak, wystraszył rodziny guźców, a egipskie gęsi i czaple wzbily się do lotu od tamy Nyukundu.

Dotarliśmy na miejsce. Wszystkie inne samoloty już tam stały. Było ich co najmniej dwanaście, ustawionych w równym rzędzie na małym lądowisku. Wszyscy czekali na nas, spoglądając w górę. Wiele razy latałam z Paolem. Teraz leciałam, aby go pochować.

Przed wylądowaniem postanowiłam jeszcze raz, ostatni raz przelecieć z nim nad ziemią, którą tak kochał. Przyglądałam się cudownym wzgórzom Ol Ari Nyiro, skąpanym w złotych promieniach południa. Sięgnęłam do tyłu i położyłam dłoń na trumnie, jakbym chciała dotknąć ręki Paola. Spojrzałam w oczy pilota i powolnym kolistym ruchem palca dałam mu do zrozumienia, że chcę odwlec chwilę lądowania. Zrozumiał natychmiast, jakby myślał o tym samym. Zniżyliśmy lot i przemknęliśmy nad uniesionymi, zdziwionymi twarzami w stronę wzgórz.

Niemal dotykając koniusek drzew, kierowaliśmy się do źródeł Mukutanu i jeszcze dalej, do Mugongo ya Ngurue, Ol Donyo Orio, Nagirir, Kuti i w stronę Engeleshu z jej pasmami trawy. Zatoczyliśmy koło nad ranczem, potem jeszcze raz, i jeszcze. Bolesna i nieodwołalna chwila... Skinęłam głową. Wracaliśmy.

Wylądowaliśmy i nim kurz opadł, ktoś otworzył drzwi samolotu. Znalazłam się w objęciach pasterza Garishy ubranego w ten sam stary, porwany zielony pulower, który nosił zawsze, i jak zwykle lekko cuchnącego bydłem. Większość ludzi płakała, niektórzy głośno, inni po cichu, i nikt nie rozmawiał. Wszyscy mieli na sobie eleganckie stroje: mężczyźni — garnitury i krawaty, a kobiety — białe suknie.



Bez słowa włożono trumnę na półciężarówkę toyoty. Ta cisza i ten tłum ludzi zdawały mi się nierealne.

Za kierownicą usiadł mój szwagier, który nie spał podczas lotu z Europy i w swym czarnym garniturze dziwnie odznaczał się w tłumie gości. Niemal czułam, co myślał. Drugi i ostatni z jego braci zginął w Afryce. Ktoś pomógł mi wsiąść; wszyscy traktowali mnie, jakbym nagle stała się krucha i słaba, a przecież, o dziwo, nigdy nie czułam się silniejsza. Nosłam przecież w sobie mojego drugiego, żywego Paola.

Warkot silnika przerwał ciszę, odwróciłam głowę: Emanuel siedział z tyłu obok trumny, dotykając jej dłonią w geście miłości, rozpaczy i tęsknoty. Jego oczy były osnute bólem, ale suche... I to spowodowało, że węzeł w moim gardle nagle puścił i po raz pierwszy tego dnia zapłakałam.

Psy jak zwykle przybiegły powitać samochód, merdając ogonami i skacząc, ale zanim samochód się zatrzymał, zaczęły skomleć, położyły uszy po sobie i usiadły zniechęcone, patrząc na mnie i drżąc. Ukryłam twarz w sierści Gordona, by otrzeć łzy.

Dom tonął w kwiatach, służący wystroili się w fezy i najlepsze białe uniformy, stół czekał zastawiony na przyjęcie gości. Wszyscy podeszli i ściskając mi i Emanuelowi dłonie, szeptali *Pole*. Twarze, jak wycięte w drewnie maski, wyrażały rezygnację wobec niezłomnego prawa przyrody — po życiu nieuchronnie przychodzi śmierć. Simon długo trzymał moją dłoń w swoich suchych i szorstkich rękach.

Ogród płonął kwiatami bugenwilli i hibiskusa, jak zawsze w ostatnie suche tygodnie marca przed długą porą deszczową. W gorącym, nieruchomym powietrzu tysiące ptaków śpiewały swą pieśń życia. Zlatywały się tutaj z otaczającego buszu i zatrzymywały na odpoczynek podczas krótkich migracji, wabione przez małą oazę zieleni i wody, cienia i pożywienia. Niebieskie szpaki otaczały tłumnie ptasie kąpieliska, a

gołębie, tkacze i zielonopióre papugi dziobały ziarno, które nawet dzisiaj wysypała im jakaś troskliwa ręka. To niezwykle, że w tym stanie oszołomienia rejestrowałam znajome rzeczy, najdrobniejsze szczegóły. Trzmiele kołowały wokół petrii, a z wierzchołków drzew dobiegało zrzedliwe krakanie jakichś dużych ptaków.

Z samochodu wyniesiono trumnę i ustawiono w cieniu *acocan-tery*, gdzie usiadłam z psami.

Siedziałam z Paolem po raz ostatni w naszym grodzie, który wykarczowaliśmy z buszu w ciągu długich lat. Nasz sen o Afryce spełnił się i każdego dnia uczyliśmy się coraz więcej o tym dzikim, pięknym kraju na skraju Wielkiego Rowu, który stał się naszą ojczyzną.

Myślałam o przygodzie, którą przepojone było całe nasze wspólne życie. Nie przypominam sobie ani jednej nudnej chwili; nuda była nam czymś zupełnie nie znanym. Odszedł poeta, jakim był Paolo, i romantyczny rycerz, żarliwy kochanek i bohater Emanuela. Absurdem jednak wydało mi się, że nasza wspólna droga dobiegła kresu. Lecz, rzecz niesłychana, czułam jego obecność bardziej niż wtedy, gdy był z nami. Miałam wrażenie, że unosi się gdzieś i chroni mnie, osłaniając światłem.

Po raz ostatni szłam z Paolem. Trumnę nieśli jego przyjaciele, Emanuel w białych spodniach kroczył tuż za mną. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć i poczułam nieznośny smutek: jego ukochany ojciec-towarzysz opuścił go i jego świat zadrżał w posadach. Lecz mimo to szedł wyprostowany, panując nad emocjami. W jego zaczerwienionych oczach dostrzegałam cienie, których znaczenia nie potrafiłam odczytać, ale szczupłe ramię, które mi podał, nie było już ramieniem dziecka. Szliśmy pogrzebać również jego marzenia.

Przed grobem ktoś zapobiegliwie ustawił zielony namiot, by osłonić mnie przed słońcem. Wykopana, pokryta kwiatami ziemia leżała na kopcu, gotowa, by przykryć nią trumnę. Dokładnie jak w moim przeżuciu, wszystko było otoczone bananowymi liśćmi.

W cieniu dużego krzewu siedziała nieruchomo grupa odzianych w kolorowe *shuki* kobiet z niemowlętami przy piersi albo uwiązanymi na plecach. Nic nie mówiły, tylko patrzyły wilgotnymi oczami jak smutne

gazele. Tłum przybliżył się. Widziałam Orię, Carol, Aino, wszystkie ubrane w białe spódnice, jak anioły.

Po raz ostatni przed pochówkiem mówiłam do Paola.

Przez te wszystkie lata wytworzył się u nas zwyczaj pisania do siebie, nawet kiedy mieszkaliśmy w jednym domu i dzieliliśmy jedno łóżko. Wymienialiśmy listy, wiersze albo krótkie, ciekawe notatki. Od Paola przychodziły one często wraz z niezwykłymi prezentami, które zawsze zadziwiały mnie troskliwością i czułością. Pewnego razu na pierwszy dzień wiosny przysłał mi ogromny krzew pokryty kwieciami, na rocznicę ślubu kuferek z mosiądzu, a sekretarzyk z kości słoniowej z Zanzibaru, kiedy prosił mnie o wiersz na swoje urodziny, parę bardzo starych łyżew tego dnia, kiedy znów zaczęłam chodzić.

Tej nocy, gdy umarł, pisałam do niego aż do rana. Postanowiłam przemawiać do niego najprostszymi słowami. Nie miałam wielkiego wyboru.

Twoje oczy były koloru wody:  
tak, jesteś wodą.

Były czyste jak niebo:  
tak, jesteś niebem.

Twoja skóra, spalona słońcem,  
była jak ziemia Kenii:  
tak, jesteś jej gorzkim pyłem.

Na wieki,  
na wieki,  
na wieki, Paolo,  
stałeś się tym wszystkim.

To były słowa mojego requiem. Złożyłam kartkę papieru i wrzuciłam ją do otwartego grobu wraz z tym, co pozostało z gardenii. Kwiat opadał powoli i bez szmeru, jak piórko.

Colin podał mi łopatę. Wbiłam ją w czerwoną glebę i rzuciłam na trumnę pierwszą grudkę ziemi. Spadła z głuchym odgłosem. Podałam łopatę mojemu synowi. Był jedynym mężczyzną, który mi jeszcze pozostał.

Przyszła mi do głowy myśl, którą szeptem przekazałam Colinowi, a on skinął głową. Luka, Mirimuk i wszyscy ludzie z ochrony w swoich zielonych uniformach stanęli w szeregu i oddali salut w powietrze, celując w niebo. Był to ostatni salut myśliwych, który odbił się echem od wzgórz.

Powietrze wypełniły płynne dźwięki *Kwintetu* Boccheriniego, muzyki napisanej w Wenecji, pod której urokiem Paolo pozostawał przez wiele lat i w końcu wybrał na swój pogrzeb. Słońce uśmiechnęło się do tej muzyki. Dotzymałam obietnicy.

Na grobie zasadziłam małe drzewko, które pewnego dnia wyrośnie z jego ciała, wysokie i smukłe jak on, byśmy go mogli widzieć i dotykać.

Przy zbiorniku wodnym odezwał się słoń, tak blisko, że wszyscy byli zadziwieni. Biały orzeł szybował wysoko nad grobem, zataczając powoli wielkie koła. Wkrótce wszystkie twarze uniosły się, by go obserwować. Był to rzadki widok i w tej chwili nosił w sobie znaczenie symbolu. Wróciły do mnie słowa Paola i powiedziałam cicho:

„Lataj dla mnie, ptaku słońca. Lataj wysoko.”

Kochałam go.

Ta noc była gorąca, a strusie jajo zwisało z belki łóżka z tajemniczym przesłaniem Paola.

Może kryło w sobie odpowiedź na moje niespokojne pytania, może ukołoby mój ból, gdybym je rozbiła... Czułam jednak, że muszę się oprzeć temu pragnieniu. Nie był to dobry czas na taki akt niecierpliwości.

Paolo był wciąż obecny przy mnie, w łóżku, niemal namacalny... Słyszałam jego oddech, coś delikatnego zdawało się pieścić moją twarz

z bezgraniczną miłością. Poczulałam trzepot w moim łonie. Paolo nie żył, ale oto teraz poruszał się żywy po raz pierwszy wewnątrz mnie. Jajo mogło poczekać. Dziecko musiało się urodzić. Wtedy może będę mogła przeczytać wiadomość od niego.

Zamknęłam oczy i poddałam się wspomnieniom i bólowi. Sama z nie narodzonym dzieckiem, którego on tak pragnął, otoczona muzyką, którą przyrzekłam mu zagrać w dniu pogrzebu, poddałam się wyrokom przeznaczenia. Afryka właśnie zażądała zapłaty i mogłam to tylko zaakceptować i próbować się tego nauczyć.

List, który do mnie napisał pierwszego stycznia tego roku, wkrótce po tym, jak dowiedział się, że jestem w ciąży, wciąż leżał w sekretarzyku z Zanzibaru, który mi podarował. W nocy — po wielogodzinnej rozmowie z nim, tak jakby był ze mną i słuchał moich słów — jeszcze raz przeczytałam ten list:

To będzie rok naszej córeczki! Pragnąłbym jednego, żebyś dała jej duszę podobną do twojej, żebyś prowadziła ją przez zawile zakamarki życia, aż po horyzont, z którego można zapanować nad światem. Pozwól jej unieść się na skrzydłach i naśladować twój motyli lot. Niechaj unosi się leciutko jak złoty pyłek. Kocham was obie. P.

## CZEŚĆ III

*Emanuel*

## 23. Czas oczekiwania

Wspomnieniem tonę  
W czasy minione  
I płacząc.

Paul Verlaine, *Piosenka jesienna*  
(przekł. Leopold Staff)

W dniu pogrzebu Emanuel pojechał po południu na swoim koniu do chaty nad wąwozem Mukutan. Wrócił szybciej, niż się spodziewałam i przyszedł prosto do mojego pokoju. Trzymał książkę, w której na prośbę Paola opisywał zwierzęta zaobserwowane przy solnej lizawce.

— Widziałem tam Bianca i stado złożone z dwunastu elandów. Potem przyszły dwa samce bawołów. Były też słonie, które połamały drzewa na wzgórzu za Marati Ine. A w trawie na dachu znalazłem węża. I to! — Wręczył mi cieniutką kartkę papieru, złożoną na cztery części.

Poczułam, jakby wiatr wspomnień wionął z przeszłości. Było to pismo Paola. Bez daty.

Drogi Emanuela

Tęsknię za tobą. Ta chatka bez ciebie jest inna. Kiedy odejdę, zrób to dla mnie i zaopiekuj się tym miejscem. Pamiętaj. Lataj dla mnie, ptaku słońca. Lataj wysoko. Do zobaczenia, Ema.

Paolo

Popatrzyliśmy na siebie. Oczy Emanuela pociemniały z żalości. Wciąż trzymając notatkę, objęłam go. Jego głowa sięgała mojego ramienia. Właśnie skończył czternaście lat.

— Tak, Ema. Teraz ty będziesz się nami opiekował.

— Wiesz, ja już nie mam po co żyć. — Głos mu się załamał.

Byłam zbyt znużona, by to skomentować. Emanuel zawsze mówił to, co naprawdę myślał.

Od tamtej chwili wszedł w nową rolę gospodarza. Siedział teraz u szczytu stołu, przyjmując odpowiedzialność za codzienne problemy. Służba zaczęła do niego się zwracać w sprawach utrzymania, które wcześniej należały do Paola. Nauczył się kroić mięso, a wieczorami roznosił drinki. Nawet gdy był jeszcze dzieckiem, można było na nim polegać. Jako młody mężczyzna również był odpowiedzialny. Jego obecność i mądrość stanowiły dla mnie wielką pociechę.

Przyjaciele na zmianę dotrzymywali mi towarzystwa, ale dom i ogród, wzgórze i wąwozy odbijały się pustym echem. Nie było już Paola...

„...Miłość jest nieśmiertelna, śmierć zaś to tylko horyzont, a horyzont to tylko ograniczenie naszych oczu”, zacytował Jack Błock w swoim liście z kondolencjami.

Azyl znalazłam w swoich wierszach i pamiętniku, który pisałam codziennie, jakby wciąż rozmawiając z Paolem. Moim nowym zwyczajem stały się wieczorne spacerowanie z psami. Uwielbiałam tę porę tuż przed zachodem słońca, kiedy wszystko w Laikipii zdaje się pokryte złotym kurzem, a żółte światło otacza delikatną mgiełką kontury wzgórz. Jak na subtelnym gobelinie o delikatnej barwie szalwii srebrzysta zieleń *leleshwy* przeplata się z ciemną, świetlistą *eucleą*. Woda przy tamach odbija niebo, rodziny egipskich gęsi rysują na jej gładkiej powierzchni ciemniejsze smugi, a pelikany łowią ryby w małych, świetnie zorganizowanych grupkach, jak tancerze. Uwielbiałam spacerować z psami. Wołałam je po imieniu, a one przybiegały, domagając się pieszczoty. Każdego musiałam podrapać po nosie albo za uszami. Czasami spotykaliśmy bawoły, a często słonie, które cicho skubały listki z górnych gałęzi akacji. Usiłowałam zachowywać się jak najciszej, mając nadzieję, że psy oprą się chęci atakowania ich, co zawsze kończyło się niebezpieczną



szarzą słońi i haniebną ucieczką moich czworonogów. Wracalam, gdy ostatnie cienie przed zmierzchem ozywialy sie w gestym buszu, niczym wielkie bawoly wsluchane w cisze. Emanuel byl spokojniejszy niz zazwyczaj. Zrobil sobie tableau z fotografiami przedstawiajacymi szczesliwe dni i caly swój wolny czas poswiécal pracy nad *Studium makrelosza kenijskiego* z rysunkami, tekstem i fotografiami. Mial to byc prezent dla Paola... Kiedy ukończył swoje dzieło, na pierwszej stronie napisal:

Mojemu ojcu, Paolo, który nauczyl mnie cenic kunszt polowów na pelnym morzu oraz wyzwanie, jakie przedstawia soba ten wspanialy, choc niebezpieczny sport. Emanuel.

28.3.1980.

Tymczasem brzuch mój nabrzmiewal i nieuchronnie zblizal sie czas porodu. Codziennie pielęnowalam grób Paola. Kazalam polozyc na nim wielka, podluzna skale, która do tej pory tkwi tam pod gigantyczna euforbia. Paolo lubil spotykac sie przy niej z przyjaciolmi i dlatego nazwalismy ja Bobonghi ya Paulo. Jego kamien nagrobny wazyl ponad dwie tony. Przy pomocy Emanuela Colin wyrzebil w nim prosty napis: PAOLO, a pod spodem date jego smierci: 19.3.1980.

Pewnego dnia wrywalam chwasty spomiedzy mlodej portulaki, która zasadzilam obok grobu. Zaglebiona we wlasnym wewnetrznym monologu, pragnelam w jakis sposob skontaktowac sie z Paolem. Myslam, ze skoro rzeczy takie jak muzyka, zapachy czy swiatlo uobecniają z tak realna wyrazistoscia minione nastroje, miejsca i ludzi, to owe nastroje, miejsca i ludzie musza istniec naprawde, obiektywnie, choc poza ksztaltem i czasem.

Mialam w pamieci wiele zaslyszanych opowieści na temat umierajacych ludzi i zapachów, które w dziwny sposob wypeľnialy powietrze. Takim przypadkiem byla smierc mojej babki, wyjatkowo pobożnej kobiety, a przy tym poteznego medium. Moja matka opowiadala, ze kiedy weszla do sypialni, w której nieboszczka spoczywala przed pogrzebem, woń gardenii — ulubiony zapach babki — przenikala caly pokój, chociaz kwiatów wcale tam nie bylo.

Koncentrując się na tej myśli, modliłam się o jakiś znak. Nie było żadnego szczególnego zapachu, który mogłabym skojarzyć z Paolem, nie używał balsamów ani wód po goleniu. A mimo to powietrze wypełniała intensywna woń jakiegoś środka odkażającego czy dezodorantu, słodkawa, kojarząca się z medykamentami, niezbyt przyjemna i zdecydowanie sztuczna. Zapach napływał spod moich palców, którymi wyrywałam chwasty. Był tak mocny, nagły i tak pamiętny, że z emocji aż zaschło mi w ustach.

Ten właśnie zapach przenikał kostnicę... kiedy poszłam tam, by pożegnać się po raz ostatni z Paolem, przed wywiezieniem jego zwłok do Laikipii. Teraz, kołysząc rękami, jakbym trzymała w nich małe pisklę, pobiegłam do mojej matki, która przyjechała z Włoch w związku z urodzinami dziecka. Chciałam mieć świadka tego dziwnego zdarzenia.

— Czujesz coś? — zapytałam z nadzieją, jakby to wszystko było dziełem mojej wyobraźni.

— Tak, bardzo silny... jakiś odkażacz albo coś... co to jest? — rzekła matka, marszcząc nos.

Kiedy powiedziałam jej, co się stało i jakie było moje jedyne skojarzenie z tym zapachem, nie wyglądała na zdziwioną.

— Zawsze wiedziałam, Kuki, że jesteś trochę nie z tej ziemi — powiedziała cicho. — Jak twoja babcia. Nic, co ciebie dotyczy, nie może mnie zdziwić.

Ta dziwna woń długo jeszcze się utrzymywała. A potem, w trzy lata później, wróciła do mnie, jeden jedyny raz i to w taki sposób, że wiedziałam, iż ten pierwszy raz nie mógł być przypadkowy.

## 24. Sveva

Niezadługo, chwila wytchnienia na wietrze, a inna kobieta znów zrodzi mnie.

Kahlil Gibran, *Prorok*

(przekł. Teresa Truszkowska)

— Czy kiedykolwiek widziała pani tak błękitne oczy? — Lekarz trzymał dziecko przede mną, bym mogła je zobaczyć. — Śliczna dziewczynka. Brawo!

Przez wiele długich miesięcy czekałam na ten moment, wsłuchując się w kopnięcia i delikatne oznaki życia tej małej tajemniczej istotki. Odpoczywałam, a popołudniami haftowałam murek na poduszce napis: DLA DZIECKA PAOLA. Odżywiałam się zdrowo, uprawiałam ćwiczenia, przechodziłam testy i szczegółowe badania — nic złego nie mogło zdarzyć się przy narodzinach dziecka Paola. Wciąż słuchałam muzyki Boccheriniego, która działała na mnie kojąco.

Ze względu na moje niedawne przeżycia oraz wiek lekarz zasugerował, że gdyby poród się opóźnił, wywoła go sztucznie. Spodziewana data rozwiązania była jak dobry omen: 18.8.80.

Określonego dnia dziecko urodziło się w naturalny sposób. Była 4.35 rano. Ważyło osiem funtów i miało pięćdziesiąt pięć centymetrów długości.

Do szpitala w Nairobi przyjechałam w świetnej formie fizycznej i w nie gorszym nastroju. Pielęgniarka co chwila przychodziła do mnie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Rodziłam. Ze słuchawek, które miałam na głowie, płynęła muzyka, pogrążając nas — dziecko i mnie — w falach czystej harmonii. Muzyka, którą Paolo kochał i wybrał na swój pogrzeb, stała się tłem dla jego ponownych narodzin.

Jest taki niepowtarzalny moment, pierwsze spotkanie matki i jej nowo narodzonego dziecka... Pierwsze spojrzenie na to tajemnicze stworzenie, które przez całe miesiące wylęgało się w zaciszu macicy, a teraz zdawało się odrębną, na zawsze niezależną istotą ludzką, o cechach odziedziczonych po pokoleniach przodków.

Wyciągnęłam ręce. Kształtna główka, jędrna skóra, ciemnozłoty puszek włosów i niezwykle u nowo narodzonego dziecka — wyraźne, intensywne, rozumne spojrzenie.

— Proszę cię o znak, daj mi jakiś znak — modliłam się w myślach.

Powoli, niemal z rozmysłem, wciąż patrząc mi nieprzerwanie w oczy, zagięła wskazujący palec lewej rączki, a pozostałymi schwyła moją dłoń. Poczulałam ulgę i radość.

— Witaj z powrotem w domu — szepnęłam, zanim wreszcie zasnęłam.

Byłam pewna, że dziecko powinno być repliką Paola, a zatem chłopcem. Paolo wiedział jednak lepiej niż ja.

Nazwałam ją Svevą, imieniem wybranym przez Paola, na drugie dałam jej Paolo. Swewowie byli wojowniczym plemieniem, które na początku dziesiątego wieku zaatakowało Italię od północy i osiadło na Sycylii. Ich jasne włosy i niebieskie oczy wciąż jeszcze można spotkać u niektórych Sycylijczyków, zwykle bardzo ciemnych. Było to rzadkie, piękne imię, które świetnie pasowało do wyglądu naszej córeczki.

W ciągu jednego dnia mój pokój w szpitalu stał się oranżerią, wypełnioną po brzegi wszelkiego rodzaju kwiatami i roślinami, które znosili przyjaciele. Przynosili też szampana. Zewsząd bez przerwy napływały listy i telegramy. Do opieki nad Svevą zaangażowałam nianię. Była to tęga kobieta z plemienia Kikujów. Na imię miała Wanjiru i była matką sześciorga dzieci. Była bardzo bystra, miła, wykształcona, odpowiedzialna i z poczuciem humoru. Przyszła do szpitala z Emanuelem. Wpłynęła do mojego pokoju jak wielka łódź i zacumowała sprawnie u kołyski. Wzięła dziecko na ręce i podniosła je wysoko, rozkosznie gruchając:

— *A musijana!* (Dziewczynka).

Sveva uśmiechnęła się jasnym, bezzębnym uśmiechem.

— *Makena!* (Radosna) — zawołała Wanjiru po kikujusku.

Od pierwszej chwili wiedziałam, że między nimi zapanuje wielka miłość. W istocie, Wanjiru na zawsze pozostanie drugą matką Svevy.

Kiedy po kilku dniach wróciłam do domu w Gigiri, zobaczyłam, że cały tonie w kwiatkach.

Oria przyniosła koszyk specjalnych ciasteczek w kształcie serca, upieczonych przez jej starego kucharza Kimuyu. W wytwornym naczyniu stało młode drzewko akacji z notatką zaadresowaną do Panny Svevy Gallmann i ze słowami: „Witaj w domu, Sveva. To drzewko, które twój tata tak bardzo kochał, przyniesie ci szczęście i pomyślność”.

Ulubionym ptakiem Paola była mewa, która przypominała mu morze. Wszedłszy do dziecięcego pokoiku Svevy, zobaczyłam na jednej z

jasnobłękitnych ścian namalowane z wielkim kunsztem wspaniale lecające mewy i dryfujące chmurki. Był to prezent od Daviny Dobie, malarki i naszej przyjaciółki. Zostawiła też notatkę: „...kocham was i małą Paolę, zawsze, nawet z daleka”.

W kilka dni po narodzinach Svevy poleciliśmy do Ol Ari Nyiro. Było to bardzo dziwne uczucie wracać do Laikipii z dzieckiem Paola w ramionach. Psy jak zwykle wybiegły, by nas przywitać. Obwąchiwały maleńkie stopki Svevy, nieśmiało i delikatnie dotykając je nosem.

Mój pokój czekał wraz z tajemniczym strusim jajem. Wspięłam się na łóżko i potrząsnęłam nim lekko, by je zawiadomić, że wróciłam. Przyniosłam też maleńką rączkę Svevy do gładkiej, kremowej skorupki. W nocy, przy świetle świecy i ognia z kominka, jeszcze raz przyjrzałam się jajku, jakby było ono tajemniczą twarzą, która pod obojętną miną ukrywa jakiś sekret. Jajo wpatrywało się we mnie wyimaginowanymi oczyma... bez słów. Być może chodziło tu o nieustanne domysły, próby zrozumienia przyczyn i symbolu, którego było nosicielem. Jeszcze nie byłam gotowa. Jeszcze nie mogłam go rozbić.

By uczcić narodziny Svevy, poleciłam zarznąć i upiec owcę i anulowałam wszystkie zaległe długi mojej służby. Wszyscy pracownicy przyszli przywitać Sveve i życzyć jej szczęścia, jak to jest tu w zwyczaju. Patrzyli na nią, dotykali jej różowych paluszków, chichotali na widok barwy jej oczu i włosów — zupełnie jak ojca — i przynosili jej podarki z jajek, kogutów i talizmanów z paciorków.

Z czasem zaczęli nadawać jej imiona. Kainda było tarakańskim imieniem, którym nazwał ją Luka i które znaczy „Dziecko myśliwego”. Garisha nadał jej w języku Meru imię Kaweria, czyli „Kochająca”. Najbardziej jednak przylgnęło do niej kikujuskie Makena, «Radosna», wybrane przez Wanjiru z powodu wesołego usposobienia Svevy. Mirimuk przyszedł, popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

— Paolo wrócił. Ziarno, które zasiał, nie zginęło. On jest teraz tą dziewczynką i cieszymy się, bo znowu będzie opiekował się naszą

*shambą*. — Położył rękę na głowie Svevy i splunął na nią strumieniem śliny w tradycyjnym błogosławieństwie plemienia Turkana. — Jambo, Paulo — powiedział swoim ochrypłym głosem. — *Asante wa kurudi* (Dziękuję, że wróciłeś).

Bardzo pokochałam Mirimuka za jego bystre oczy, za pełne dobroci, choć zarazem pełne rezerwy zachowanie, za cierpliwość i skromną dietę złożoną z *posho* i mleka, jego niezależność i dumę, która mieszała się z szacunkiem i gorliwością. Opiekował się Svewą, Emanuelem i mną, było to oczywiste. Odwdzięczyliśmy mu się za tę opiekę. Wybrane przez niego imię dla Svevy poruszyło we mnie najgłębszą strunę.

## 25. Susza

Na tej wysokości człowiek budził się rankiem i myślał: „Jestem tu, gdzie powinienem być”.

Karen Blixen, *Pożegnanie z Afryką*

(przekł. Józef Giebułtowicz)

Pochowaliśmy Paola 22 marca.

Wypatrywaliśmy oznak deszczu. Marzec dobiegał końca, a na czystym błękitnym niebie nie było nawet śladu chmur. Wiał silny wiatr, który zginał zasadzone niedawno wiotkie pieprzowce. Młode drzewko akacji na grobie Paola trzeba było podeprzeć słupkiem z bambusa, by uchronić je przed złamaniem. W rozpalonych dolinach unosiły się tumany kurzu; cieniutka warstwa pyłu pokrywała krotony i wiecznie zielone rośliny.

Pokotowie wypalali swoje pastwiska i strumienie ognia zdawały się spływać ze wzgórz niczym lawa. Kilka razy niebo stawało się szare i ciężkie, więc patrzyliśmy z nadzieją na wschód, skąd zwykle przybywały do Laikipii deszcze, ale słyszeliśmy tylko wycie wiatru, który dobywał nowe dźwięki z dziupli starych drzew. Bajorka powysychała, a poziom

wody przy tamach osiągnął najniższy możliwy stan. Z dnia na dzień pastwiska stawały się nędzniejsze i bardziej suche. Bydło zaczynało słabnąć i przez cętkowaną skórę przeświecały im już żebra, a garby zwisały luźno.

Pewnej nocy obudziło mnie wściekle warczenie i szczekanie psów. Ktoś szaleńczo dobijał się do drzwi.

— *Chui!* — krzyczał niecierpliwie strażnik. — *Chui nakula mbwa!* (Lampart pożera psy!). — Z trawnika od strony salonu dobiegały odgłosy zażartej walki.

Na noc wyłączy się generator prądu i dla takiego krótkowidza jak ja nie jest rzeczą łatwą zapalić po ciemku lampę parafinową, znaleźć i załadować strzelbę, odszukać latarkę, a potem przejść na bosaka po zimnej, pokrytej rosą trawie w kierunku niewidzialnej, czającej się gdzieś bestii.

Lampart, przygnany głodem i zaatakowany przez siedem psów, wskoczył na jedno z młodych drzewek akacji. W błysku latarki jego żółte oczy i obnażone kły wyglądały dziko i przerażająco. Wyczuwszy mnie, psy wzmożyły swoje mężne ataki. Szczekanie stawało się coraz bardziej zajadłe, a jeden z psów próbował wskoczyć na drzewo. Lampart szybkim ruchem schwycił go w swoje pazury. Ponaglana rozpaczliwym skowytem ofiary, wystrzeliłam w powietrze, ale upadła mi latarka. Lampart wykorzystał ciemność i uciekł — o co mi właśnie chodziło — a moje psy ruszyły za nim w zacieklej gonitwie. Ich ujadanie mieszało się z płaczącym kwileniem rannego pobratymca. Tym razem obyło się bez większych obrażeń, ale napaści lamparta na psy stały się częstym zjawiskiem. Wiele razy Colin Francombe musiał przyjeżdżać do Kuti ze swoimi narzędziami chirurgicznymi, by zająć się poważniejszymi ranami psów.

W połowie czerwca Colin wyjechał ze swoją rodziną na dwa lata do Anglii. Po raz pierwszy od naszego przybycia do Afryki byłam pozbawiona jego pomocy i wsparcia.

Z powodu suszy bydło zaczęło zdychać. Początkowo padały dwie lub trzy sztuki dziennie. Z tym jeszcze John Mangicho, pomocnik zarządzający oraz pasterze Ngobitu i Tunkuri mogli sobie poradzić. Kiedy

jednak liczba padnięć wzrosła do dziesięciu lub więcej na dzień, posłałam po Jaspera Evansa. Był to sąsiad, z którym Colin polecił mi się kontaktować w nagłych przypadkach. Przyjechał natychmiast. Jasper należał do ludzi, których nie sposób wyprowadzić z równowagi. Był flegmatyczny i niezwykle opanowany. Patrząc jak z absolutnym spokojem omawia mój problem, stojąc na werandzie z ciepłą wódką w jednej ręce, a kapeluszem khaki w drugiej, poczułam się naprawdę pokrzepiona. Dawał logiczne, sensowne instrukcje i zalecał stosowne lekarstwa. Ostatnia uwaga, jaką rzucił mi przed odjazdem, była typowa dla jego stoickiego podejścia:

— Masz sześć tysięcy sztuk bydła. Nie martw się utratą setki.

Jednak ja się martwiłam. Osłabione suszą bydło stało się podatne na wszelkie choroby, na które w innych okolicznościach byłoby odporne. Tym razem krowy zaczęły chorować na przenoszona przez bawoły infekcję odkleszczową, na którą nie było lekarstwa. Przed powrotem Colina padło ponad czterysta sztuk i to dało mi lekcję, której nigdy nie zapomnę. Od tej pory zaczęłam znowu przygotowywać na wypadek suszy zapasy kiszzonek z trawy i roślin pastewnych, aby uniknąć dramatycznej sytuacji na przyszłość. Pastwiska przy Engeheleshy musiały być odmłodzone. Myślałam, by zasiać w tym miejscu kukurydzę na ziarno spożywcze dla moich robotników. Część niestrawnych dla ludzi, zielonych łądyg i plew można by użyć na kiszonkę dla bydła. Nigdy więcej susza nie powinna nas zaskoczyć.

Tymczasem coraz częściej zaczęły mnie niepokoić raporty o kłusownictwie. W posiadłości obfitującej w dziką zwierzynę i otoczonej osadami mogłam tolerować pewien margines kłusowniczej działalności. Pokotowie na naszej północno-wschodniej granicy byli niesłychanie biedni. Zamieszkiwali Ol Ari Nyiro od niepamiętnych czasów, ponieważ niegdyś było to ich terytorium, na którym hodowali bydło i kozy. Od czasu do czasu w celu zdobycia mięsa zabijali włócznią elanda i nigdy nie potrafiłam ich za to potępić. Kłusownictwo na niewielką skalę nigdy nie stanowiło problemu, aż do późnych lat siedemdziesiątych, kiedy zorganizowane bandy somalijskich handlarzy kości słoniowej i



rogów nosorożców zaczęły kusić Pokotów obfitym zarobkiem. Ceny, jakie oferowali za róg, przewyższały ich roczne dochody, czemu Pokotowie nie potrafili się oprzeć.

W tym czasie zatrudnialiśmy na ranchu szesnastu ludzi prywatnej ochrony. Ich zadaniem było patrolowanie całego obszaru, tak by żadne wtargnięcie obcych nie pozostało nie zauważone. Byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo zarówno inwentarza domowego, jak i dzikich zwierząt. Dzięki nim nie ukradziono nam ani jednej sztuki bydła, a jest to spore osiągnięcie jak na obszar położony tak blisko ziemi Samburów, których młodzi wojownicy porywali cudze bydło przy pełnej akceptacji swojej społeczności plemiennej. Nasza ochrona była uzbrojona głównie w łuki i strzały. Większość ludzi z ochrony należała do trudniącego się myślistwem plemienia Tharaka, zamieszkującego obrzeża Parku Narodowego Meru. Znali oni wszystkie tajemnice kłusowników, ponieważ kiedyś sami uprawiali ten proceder. Byli mali i muskularni, wytrzymali i odważni, potrafili iść za tropem przez wiele godzin. Ich szefem był Luka. Wśród ochroniarzy znajdowali się również ludzie z plemienia Turkana, wyżsi, o długich kończynach — niestrudzeni piechurzy, którymi dowodził Mirimuk. Było też kilku Somalijczyków, przebiegłych, wyrachowanych i szaleńczo odważnych, kierowanych przez Husseina Omara. Strzelby mieli tylko trzech dowódcy. Wkrótce stało się oczywiste, że szesnastu ludzi wyposażonych w łuki i strzały nie wystarczy do skutecznego patrolowania całego rancha, jak również do walki z zorganizowaną i dobrze uzbrojoną kłusowniczą organizacją.

Czułam się podwójnie osamotniona w zetknięciu z wszystkimi problemami, które teraz spadły na moje barki. Pierwszy poważny problem stanowiła ziemia, za którą nagle stałam się odpowiedzialna; od tego zależała nasza przyszłość.

Wielu moich starych przyjaciół z Włoch z troską zastanawiało się, jak sobie poradzę, sama, w sercu Afryki, jedynie w towarzystwie dorastającego syna, z dzieckiem Paola w łonie, bez telefonu, bez dróg dojazdowych, na farmie otoczonej przez tysiące akrów buszu, gdzie niebezpieczeństwo groziło mi nie tylko ze strony dzikich zwierząt, ale też

ludzi zdecydowanych zabić każdego, kto stanie między nimi a ich zdobyczą. Wielu pisało do mnie lub też przyjeżdżało osobiście, prosząc mnie, żebym zmieniła decyzję, sprzedała ranczo z zyskiem i wróciła „do domu”. Jednak myśl o wyjeździe ani razu nie powstała w mojej głowie. Nawet w najczarniejszych chwilach samotności, kiedy czekające mnie zadania wydawały się nie do pokonania, a rzeczy, z którymi musiałam się samotnie uporać, ponad moje siły, nie mogły zmienić mojego postanowienia.

Moją pierwszą — symboliczną — decyzją było pochowanie Paola w Laikipii, a nie wysłanie go do Włoch, jak oczekiwano. Kochał tę ziemię i wiedziałam, że postępuję zgodnie z jego życzeniem. Już to stanowiło dostateczny powód, by tu zostać i nazywać Laikipię i ranczo Ol Ari Nyiro swoim „domem”.

Człowiek przywiązuje wielką wagę do tego, gdzie zostanie złożony po śmierci. Miejsce, w którym pracował i żył, gdzie leżą jego przodkowie i pewnego dnia on sam spocznie, jest święte. Jeśli nie można wybrać miejsca urodzenia, to przynajmniej każdy powinien mieć prawo do wyboru miejsca swego pochówku. Dlatego na grobie Paola zasadziłam jego ukochane drzewo akacji, drzewo *par excellence* afrykańskie. Pewnego dnia korzenie dosięgną jego ciała i żywiąc się nim, drzewo przeistoczy się w Paola, który stanie się żywą częścią ukochanego krajobrazu. Dlatego postanowiłam oprzeć się naciskom i nie wyjeżdżać do Europy, by tam urodzić dziecko. W ciągu niespełna roku Paolo umarł, został pochowany i w postaci Svevy na nowo urodził się w Afryce.

Postanowiłam zostać w tym kraju. Pewnego dnia Emanuel mógłby zacząć kierować ranczem. Wszystko na to wskazywało. Jego pasja do nauk przyrodniczych nie była słomianym ogniem. Wierzyłam, że po studiach uniwersyteckich wróci z nowymi ideami, by, stosując nowoczesne metody naukowe, rozwijać nasze ranczo, tak jak zawsze tego pragnęliśmy z Paolem — ostrożnie zachowując równowagę między rozwojem a ochroną środowiska. Ja ze wszelkich sił poszukiwałam możliwości zachowania tej ziemi w naturalnym stanie. Nie mogłam zawieść Paola. Mając w Colinie kompetentnego i lojalnego pomocnika,

którego szanowałam i któremu ufałam, byłam w stanie przetrzymać pierwsze najgorsze miesiące mojego samotnego gospodarowania.

Najważniejszym zadaniem była dla mnie jednak ochrona zagrożonych wyginięciem gatunku zwierząt. Na sąsiednich ranczach Laikipii nosorożce były na przykład wybijane w błyskawicznym tempie i istniała obawa, że wkrótce nie zostanie ani jeden, z wyjątkiem chronionych w ogrodzonych rezerwach, należących do garstki świątłych i perspektywicznie myślących ludzi. Wraz z zakazem polowania w 1977 roku, wszelka dzika zwierzyna stała się własnością rządu. Ranczerom pozwalamo kontrolować wszystko, co ich zdaniem zagrażało ich własności, ale ochrona zwierząt na prywatnej ziemi nie była stricte ich sprawą. Toteż zwierzęta te nadal ginęły.

Ol Ari Nyiro zastałam tętniące życiem. Chciałam je nadal chronić, nawet jeśli teoretycznie nie było to moim zadaniem i nikt nie oczekiwał, że to zrobię. Musiałam je chronić ze względu na Paola, ze względu na Emanuela i ze względu na szacunek do samej siebie. Wszystko jednak zależało od tego, czy zdołam przeprowadzić swój plan.

Farma Colobus była poszatowana na małe *shamby*, gdzie brakowało już miejsca dla dzikich zwierząt. Las cedrów i podo, stare czarne akacje, zostały wycięte i przerobione na węgiel drzewny. Na łąkach stokach wzgórz, niegdyś pokrytych gęstwiną dzikich kwiatów i lian, nie pozostawiono miejsca do życia gerezom i rzadkim ptakom. Wszystko obsiano kukurydzą. Domy osadników i zaorane pola wyparły stada bawołów i antylop z ich naturalnych pastwisk.

Gdybym wyjechała, to samo stałoby się tutaj. A dokąd poszłyby zwierzęta? Las w Engeleshu stanowił jedyną sporą połąć pierwotnej puszczy, jaka pozostała w tej części Laikipii. Bogactwo flory było na ranczu wyjątkowe ze względu na jego zróżnicowany teren. Nie zniósłabym myśli, że wszystko to nieodwołalnie ulegnie zniszczeniu przez osadnictwo. Pomysł sprzedania czegoś tak pięknego dla zysku zdał mi się wstrętny. Nade wszystko pragnęłam udowodnić sobie, że zasłużyłam na to, by stać na straży tej ziemi.

Siedząc na szczycie wzgórza w Mugongo ya Ngurue, spoglądałam na jezioro Baringo, na nienaruszone klify wąwozu Mukutan. Pieściłam dłonią chropowaty pień starej, poskręcanej akacji, która była nieodłącznym elementem tego krajobrazu. Była tam na długo przed naszym przybyciem. Będzie tam wciąż, kiedy ja odejdę. Nie tylko nie miałam prawa niczego zniszczyć w tym naturalnym zakątku świata, ale miałam obowiązek aktywnie włączyć się w jego ochronę. Przywilej oglądania go każdego dnia w jego nienaruszonym pięknie musiał być okupiony moją ciężką pracą. I to miał być mój wkład i spadek po mnie, który chciałam zostawić przyszłym pokoleniom.

Wraz z narodzinami Svevy moje życie uległo całkowitej zmianie. Na moich barkach spoczywały wszelkie obowiązki właścicielki rancza, gospodyni i matki, a dodatkowym obciążeniem było dziecko, które trzeba było regularnie karmić i którym nieustannie trzeba się opiekować. Ponieważ nie chciałam zostawiać jej samej, kupiłam sobie nosidelka i zabierałam Svewę wszędzie, dokąd chodziłam, jak robią wszystkie afrykańskie matki. Postanowiłam także zgodnie z zaleceniem lekarza karmić ją przez dwa lata piersią. Kiedy teraz o tym myślę, była to jedna z najmądrzejszych decyzji, jaką kiedykolwiek podjęłam. Poza tym do zajmowania się praktyczną stroną, związaną z opieką nad dzieckiem zatrudniłam Wanjiru, która natychmiast i na zawsze stała się członkiem naszej rodziny. W końcu nauczyła się włoskiego i podróżowała z nami, a Sveva traktowała ją jak drugą matkę.

Colin wrócił pewnego dnia ze swojej podróży i zabrał się do dzieła, by uporać się ze wszystkim, czego nie można było odłożyć na później. Przy jego pomocy zaczęłam wyznawać się na bydle i problemach rancza. Nauczyłam się mówić o interesach i radzić sobie ze skomplikowanymi sprawami jak wpływy i wydatki, terminy płatności i tym podobne. Przede wszystkim nauczyłam się podejmować decyzje, które były o tyle trudne, że wpływały na życie wielu zatrudnionych na ranczu ludzi. Ale przygotowywałam też plan akcji ochrony dzikiej zwierzyny: byłam zdecydowana osiągnąć sukces bez względu na koszty.

## 26. Śmierć nosorożca

Jest to przemożne pragnienie, by nie tylko chronić naturalne środowisko, ale przywrócić mu pierwotny stan.

Laurens van der Post, *A Walk with a White Bushman*

Pewnego dnia, w dolnym biegu rzeki, Luka znalazł w wąwozie Mutukan ciało kolejnego nosorożca. To był Bianco, wielki samiec, który regularnie przychodził pić ze źródeł pod naszą chatką widokową. Śmierć Bianca znaczyła dla mnie wiele, był przecież naszym ulubieńcem. Stwierdziłam, że nadszedł czas, by zatrzymać tę falę okrucieństwa i bezmyślności. Skonsultowałam się z Colinem.

Od końca 1979 do końca 1980 roku zostało — łącznie z Biankiem — zabitych dziewięć nosorożców. Trzeba było podjąć natychmiastowe działania, inaczej uśmiercone zostaną wszystkie pozostałe zwierzęta. Aby ochrona przed kłusownikami dała należyty efekt, potrzebowaliśmy zwiększonej liczby strażników i stosownego wyposażenia: strzelb, aparatów radiowych, mundurów i odpowiednich środków transportu. Colin mógł zająć się szkoleniem nowych pracowników ochrony i pokierować akcją. Ode mnie wymagało to zrzeczenia się części zysków i zainwestowania ich w utrzymanie dodatkowego personelu oraz wypłacania mu pensji. Susza i jej skutki odbiły się negatywnie na hodowli bydła, co z kolei wpływało na obniżenie zysków z jego sprzedaży, w sumie było to więc ogromne obciążenie. Jednakże miałam poczucie odpowiedzialności za tę ziemię. Gdy przyjechaliśmy tu z Paolem, stanowiła ona raj dla dzikiej zwierzyny, nie mogłam więc się poddać. Musiałam jej strzec, a pierwszym krokiem do tego było wzmocnienie ochrony. Dałam Colino- wi *carte blanche* w kwestii zatrudnienia tylu ludzi, ilu potrzebował. Skład ochrony został podwojony i liczył teraz trzydziestu dwóch ludzi, jednakże nie stać mnie było na wyposażenie ich.

Z pomocą przyszedł Richard Leakey. Wtedy jeszcze go nie znałam, ale przed wieloma laty zetknęłam się z jego bratem, Philipem. Richard

piastował urząd wiceprezesa East African Wildlife Society (Wschodnioafrykańskiego Towarzystwa Ochrony Dzikiej Przyrody) i dyrektora muzeów należących do tego towarzystwa. Był młody i cieszył się sławą bezwzględnego, ambitnego i nie tolerującego głupoty człowieka. Philip, który znał dobrze Colina i wiedział o naszych problemach, zasugerował, by zwrócić się o pomoc do Richarda. Zorganizował nam nawet spotkanie w biurze Richarda, w muzeum.

Pierwszy szczegół, który zawsze zauważam w człowieku, to jego oczy. Pwne oczy Richarda emanowały inteligencją, humorem i ciekawością. W jego osobie był jednak jakiś niepokój, jakby za wszelką cenę nie chciał tracić czasu, potrafił jednakże głęboko i całkowicie koncentrować się na jednym temacie i zajmować się nim z całym oddaniem. Powitał mnie słowami:

— Mnóstwo o pani słyszałem. — Uśmiechnął się. — Wyłącznie dobre rzeczy...

— Ja o panu również, chociaż nie wyłącznie dobre.—Odpowiedziałam uśmiechem. — Ale przywykłam sama kształtować własne opinie o ludziach.

Rozmawialiśmy o ranczu, o dzikich zwierzętach, sposobach chronienia ich i o moim postanowieniu wydania walki kłusownictwu. Natychmiast pojął problem, współczuł mi i obiecał pomoc. Miałam całkowitą świadomość, że nigdy by mnie nie poparł, gdyby nie wierzył, że to, co próbowałam osiągnąć, było tego warte.

O! Ari Nyiro słynęło z tego, że tutaj zdomowała się największa liczba afrykańskich czarnych nosorożców, które żyły na prywatnych terenach w Kenii: był to fakt znany i bezcenny z punktu widzenia zachowania dzikiej przyrody i prowadzonych badań. Nosorożce te potrzebowały ochrony, ich strata byłaby niepowetowana.

Richard, żegnając się ze mną, powiedział:

— Bardzo interesują mnie pani koła. Może któregoś dnia pozwoli mi je pani zbadać.

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym on mówi. Byłam zaskoczona i zaczęłam się sobie przyglądać, podejrzewając, że może mam jakieś dziwne plamy. Richard wyjaśnił, że kiedy przelatywał nad moim ranczem w drodze do Koobi-Fory, zauważył niespotykane koliste kształty

ciemniejszej i bardziej zagęszczonej roślinności, które wyznaczały granice obwodu dużych przestrzeni na ranczu i chciał zbadać, co to mogło być. Pomysł ten wydał mi się ekscytujący.

Zorganizowanie aparatów radiowych i starych strzelb kalibru .303 dla ochrony zajęło Richardowi kilka tygodni, a wówczas mogliśmy rozpocząć naszą kampanię antyklusowniczą. Od pierwszego spotkania zawiązała się między nami długotrwała współpraca, oparta na wzajemnym szacunku i zaufaniu, która z biegiem lat przekształciła się w prawdziwą przyjaźń.

Richard dążył do swych celów ze świadomą determinacją i wielką inteligencją. Był pracoholikiem. Pracował jak ktoś, kto nie chce tracić cennego czasu. Wstawał na długo przed wschodem słońca i kładł się wcześniej do łóżka, unikając wieczorami spotkań towarzyskich. Ten tryb życia pozwalał mu na niezwykle efektywną pracę. Nie miał cierpliwości do ludzi, którzy myśleli wolno, nielogicznie czy głupio, ale był bardzo uczciwy i uwielbiany przez swoich pracowników. Mógł się poszczycić nieprawdopodobnymi osiągnięciami i słuchając, jak rozprawał o antropologii czy czymkolwiek innym, trudno było nie ulec jego czarowi. Sądzę, że Richard nauczył się cenić swój czas, kiedy z powodu poważnej infekcji musiał poddać się transplantacji nerki i myślał, że już niewiele mu go zostało. To właśnie jego brat podarował mu jedną ze swoich nerek, a zarazem szansę życia. Richard był amatorem dobrego jedzenia i win oraz żeglarstwa, któremu oddawał się z pasją w okolicach Lamu, gdzie miał dom. Był znakomitym i godnym zaufania pilotem, ale latanie traktował wyłącznie jako szybki sposób podróżowania, a nie jako przyjemność samą w sobie. Za bardzo cenił swoje życie, by podejmować ryzyko, więc podczas pory deszczowej unikał latania. Jak wszyscy członkowie rodziny Leakeyów kochał psy i kilku potomków Gordona stało się jego ulubieńcami. Richard miał też wspaniałą, wyjątkową rodzinę. Bardzo polubiłam jego żonę Meave oraz córki, Samirę i Louise, bystre, żywe dziewczynki, które uwielbiały jeździć na wielbłądach i często przyjeżdżały do Laikipii.

\*

Zadanie, które sobie postawiłam, było ogromne i trudniejsze, niż pierwotnie sądziłam. Bardzo zaczynała ciążyć mi samotność, której nie mogło mi wypełnić ani dziecko, ani przyjaciele. Przeżywałam najcięższe chwile mojego życia, ponieważ jednak postanowiłam zostać w Kenii i osiągnąć tu jakiś sukces, w nocy płakałam w poduszkę, a w dzień z werwą zabierałam się do roboty.

Córki Paola były daleko. Starsza, Valeria, która w czasie, gdy jej ojciec zginął, przebywała z Mariem w Indiach, o wszystkim dowiedziała się kilka miesięcy później z przypadkowego telefonu do swojej babki. Cieszyłam się, że był z nią Mario, który pomógł jej otrząsnąć się z szoku. Śmierć Paola bardziej dotknęła szesnastoletnią wówczas Livię. Bystra, oryginalna, artystycznie uzdolniona, nieobliczalna i niesłychanie wrażliwa, Livia nigdy nie była łatwym dzieckiem. Śmierć matki wywołała pewną emocjonalną pustkę, której żadna miłość i troskliwość nie była w stanie do końca wypełnić. Livia była ukochaną córką Paola, toteż jego odejście jeszcze spotęgowało u niej owo poczucie pustki.

Emanuel był ze mną. Miał czternaście lat i, jak się spodziewałam, dzielnie sobie radził: pogrążał się w nauce i zatapiał smutek po stracie Paola w książkach oraz w swojej pasji, która na swój sposób mogła zastąpić dawne atrakcje. Była to niezwykła i niebezpieczna pasja, którą przejawiał od wczesnego dzieciństwa i której mimo wszystko nie przeciwstawiałam się.

Węże.

## 27. Niebezpieczna pasja

I znalazł węża, co najprzemysłniejszym jest z wszystkich zwierząt żyjących na polu.

John Milton, *Raj utracony* (przekł. Maciej Słomczyński)

W Ol Ari Nyiro mieszkał stary pasterz z plemienia Turkana. Miał długą, siwą, kręconą brode — wielka rzadkość u ludzi z tego plemienia.



Owa broda czyniła go podobnym do Świętego Józefa i tak go właśnie z Paolem nazywaliśmy. Pasterz miał szlachetne oblicze, dumny i piękny profil, jak święci namalowani na sklepieniach kościołów. Pewnego dnia przyniesiono go do mnie z jedną nogą ohydnie nabrzmiałą od ukąszenia węża, który uciekł nie zauważony, a mógł być bardzo jadowity. Było to moje pierwsze doświadczenie z wężami w Laikipii.

Simon, który wszelkie sprawy Turkanów brał sobie do serca, przyszedł, by mnie o tym zawiadomić i z zatroskaną miną zaprowadził mnie do owego pasterza. Leżał nieruchomo na trawniku, oczy miał zamknięte, był owinięty zniszczonym kocem i jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przypominał umierającego świętego z kościelnego fresku. Obok niego stał Ngobithu, czekając, aż podejmę jakieś działania.

Byłam przyzwyczajona do leczenia wszelkiego rodzaju chorób, które zdarzały się na ranczu, od dziecięcego kaszlu, przez zakażenia, aż do odwodnienia i problemów kobiecych. Złożyłam nawet kilka połamaanych kończyn i wyleczyłam sporo naderwanych ścięgien. Owo bezgraniczne zaufanie do moich cudotwórczych zdolności było wzruszające i dawałam sobie jakoś radę z mniej poważnymi chorobami. Dotąd nie miałam jednak do czynienia z ukąszeniem węża. Teoretycznie wiedziałam, co należy robić, ale nie byłam pewna, jakie będą efekty praktyczne. Tym razem, na szczęście, bóg Turkanów miał oko na swego syna i na mnie.

Wstrzyknęłam mu serum, zaaplikowałam kortyzon, środki przeciwbólowe i uspokajające oraz dałam mu do wypicia trochę słabej, osłodzonej herbaty. Chory przez cały dzień leżał na moim trawniku, doglądany przez pewną staruszkę, a ja w regularnych odstępach czasu przychodziłam sprawdzić, co się z nim dzieje. Do wieczora opuchnięcie znacznie zmalało i Święty Józef wyglądał lepiej. Z czasem całkowicie wydobrzył, ale uznał, nie bez pewnej logiki, że skoro uratowałam mu życie, powinnam się nim teraz opiekować i odmówił pracy na ranczu. Sterczał koło Centrum, owinięty w swój koc, a przy czapeczce miał strusie pióro, które kiwało się przy podmuchach wiatru. Aż pewnego dnia odszedł, jak to często robią Turkanowie, i nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Paolo nie znosił węży i czuł do nich odrazę. Pewnego dnia, na początku naszego pobytu w Laikipii, został przywieziony do domu przez Arapa Rhono. Zaskoczona zobaczyłam, że wysiada z samochodu, ścisnąc głowę obydwoma rękami. Jego lewe oko było dwa razy większe niż zwykle, nabiegłe krwią i spływały z niego obrzydliwe żółte krople. Paolo polował tego dnia na czarne bassy w tamie Engelesha, kiedy usłyszał rozpaczliwy krzyk bażanta, dobiegający z wysokiej trawy na brzegu, bardzo blisko niego. Pochylił się zaciekawiony i wtedy to się stało: błyskawiczny ruch w łodygach papirusa, srebrne prysznicie w obnażone oko i piekący ból, który go oślepił. Nigdy nie widział plującej kobry. Nastroszony bażant odszedł, kulejąc i głośno gładząc z oburzenia.

Przemyślałam nabrzmiałe oko zimnym przegotowanym mlekiem, starając się nie poddawać lękowi, jaki odczuwałam, a po kilku dniach Paolo znów był zdrowy, choć narzekał, że utracił ostrość widzenia w tym oku. Ta przygoda jeszcze wzmogła jego nienawiść do węży. Jeśli zaś chodzi o zainteresowanie nimi Emanuela, to Paolo nigdy specjalnie tego nie podzielał ani nie popierał.

Emanuel i Paolo uwielbiali się wzajemnie. Darzyli się bezgraniczną przyjaźnią. Dzielili tę samą pasję do życia na wolności, do swobody, do polowań, rybołówstwa, przyrody i safari. Przeżyli wspólnie wiele przygód. Pamiętam zdarzenie na krótko przed śmiertelnym wypadkiem Paola, kiedy wraz z Luką poszli tropić starego rannego samca bawołu. Paolo wrócił kulejąc, wsparty na ramionach Emanuela. Obaj byli brudni, oblepieni zakrzepłą krwią, obaj mieli na ustach ten sam ironiczny uśmiešek.

— Emanuel uratował mi dziś życie — powiedział Paolo, spoglądając w oczy Emanuela. Znaleźli byka po wielu godzinach tropienia, w bardzo gęstym buszu i tamten rzucił się na nich. Paolo zwlekał ze strzałem do ostatniej chwili, by stwierdzić, że nie ma ani jednego naboju. Nic nie był w stanie zrobić, bo zwierzę było już tuż przy nim. Upadł do tyłu, a parszający bawół deptał po jego ciele ciężkimi kopytami, gotowy ubóść go ogromnymi rogami. Emanuel stał sparaliżowany tuż za Paolem, trzymając swój karabin przygotowany do strzału.

— Byłem pewien, że Paolo zginie — powiedział cicho — więc postanowiłem wystrzelić ostatnią kulę i uciekać. Bałem się, że trafię w Paola. Byk był tak blisko, że mogłem go dotknąć. Był olbrzymi. Strzeliłem i uciekłem. A potem odwróciłem się i zobaczyłem, że go zabiłem... Paolo odskoczył w porę na bok, bo byk by go zgniół. To było... bardzo ekscytujące.

Po śmierci Paola zainteresowanie Emanuela węzami oczywiście wzrosło. Pozbawiony teraz podniecających przeżyć, jakich dostarczało towarzystwo przybranego ojca, postanowił zagłuszyć ból po jego utracie dziwną i niebezpieczną pasją, której mógł się w Laikipii swobodnie oddawać.

Owa pasja zaspokajała wrodzoną predyspozycję Emanuela do analitycznej pracy naukowej. Podobnie jak przedtem było z muszelkami, teraz zajął się węzami z tą samą powagą, determinacją i precyzją. W czasie nauki w Pembroke jego zainteresowanie stało się tak powszechnie znane, że w nagrodę za celujące wyniki w egzaminach dostał książkę o afrykańskich węzach. Teraz zabrał się do skrupulatnej i metodycznej nauki o nich, skupując wszelkie możliwe publikacje na ten temat.

Zgodnie z moimi przewidywaniami po Kaa przyszła kolej na wiele innych węży. Emanuel rozwinął w tym względzie jakiś szósty zmysł, który pozwalał mu znajdować węże tak, jak inni znajdują grzyby, szarotki albo rzadkie kamienie. Wiedział, gdzie szukać i czego szukać. Wczesnym rankiem wyjeżdżał na swoim koniu, Cindersie i otwierały się przed nim ogromne przestrzenie, rojące się od węży. Kiedy wracał, do siodła miał przytroczone ciężkie worki z żywym ładunkiem, a jego oczy lśniły bezgraniczną pasją.

Zajął jedną ze stajen, którą wypełnił klatkami wszelkich rozmiarów. Węże były tam mierzone, ważone i fotografowane. Przez kilka dni lub tygodni Emanuel obserwował je, karmił i czyścił, uważnie zapisując wszelkie istotne szczegóły w *Dziennikach węży*, które codziennie uaktualniał. O dziwo, swój osobisty pamiętnik pisał po włosku, *Dzienniki węży* natomiast prowadził w języku angielskim.

Po zebraniu wszystkich potrzebnych informacji o poszczególnych okazach, wypuszczał je, ale często dopiero po kilku miesiącach, a w kilku przypadkach dopiero po latach. Później tak wspominał ten okres:

Na serio zająłem się węzami po śmierci mojego ojca, w marcu 1980 roku. To były dni nauki i zacząłem od łagodnych i półłagodnych okazów, ale wkrótce, oczywiście, przerzuciłem się na bardziej jadowite gatunki.

Kiedy stajnia przestała Emanuelowi wystarczać, wezwałam naszego *fundi*, Arapa Langata i poprosiłam, żeby zbudował coś w rodzaju niecki dla węży w dolnej części naszego ogrodu. Była podobna do zbiornika na wodę, otoczona dookoła kamieniami, a wewnątrz znajdował się mały staw, kamienie różnych rozmiarów, piasek i żwir. Emanuel zasiał tam trawę, posadził sukulentę, krzaczki i papirusy. Wkrótce w tym małym ekosystemie zamieszkały żaby, jaszczurki, agamy, wszelkiego rodzaju owady, dwa żółwie i mnóstwo węży.

Niektóre węże żywią się myszami, więc Emanuel zaczął hodować myszy. Jeśli któryś z jego podopiecznych zdechł, urządzał mu sekcję zwłok, wpisując wszystkie szczegóły do dziennika, następnie zdierał skórę, którą preparował i suszył. Niektóre rzadkie okazy konserwował w formalinie i często przybiegał do kuchni w poszukiwaniu pustych słoików po dżemie. Będąc w Nairobi, zaczął odwiedzać park serpentologiczny oraz Oddział Herpetologii tamtejszego muzeum, gdzie stał się bardzo popularną postacią. Podarował muzeum wiele okazów, które do dziś stoją tam na półkach, opatrzone białymi i niebieskimi karteczkami, na których swoim starannym pismem notował szczegóły w rodzaju:

#### WHITE-LIPPED SNAKE (WAŻ BIAŁOWARGI)

(*Crotaphopeltis Mutamboeia*)

25.4.80 — 4.6.80

Długość: 22 cm 5 mm — 30 cm

Laikipia

E.P.-G.

Emanuel zaczął korespondować z herpetologami z różnych części Afryki. Zyskał pewną sławę w kraju, nawet poza kręgiem naszych znajomych, a w samej Laikipii daleko poza granicami rancza. Ludzie spoza rancza mówili o nim: *Kijana wa Nyoka* (Młodzieniec od węży). Jednakże nasi pracownicy nazywali go z czułością *Mueanda*, co w języku plemienia Meru znaczy „ten, który troszczy się o innych”.

Jego pasja jeździecka ustąpiła miejsca nieuniknionej u chłopców w tym wieku miłości do motocykli. Codziennie rano wyruszał swoją nową, lśniącą yamahą, którą dostał na urodziny, i wracał z workami pełnymi węży. Rozwinął „radiową sieć węzową” i wynagradzał ludzi za schwytane okazy. Wiadomości o znalezionych gadach zaczęły napływać przez radio z całego rancza. Chwymano je często w najmniej spodziewanych miejscach: w rowie dzielącym nas od Ol Morani, przy kopcach termitów, jamach guźców, dziuplach drzew, szczelinach skalnych i *bomach* dla bydła.

Niektóre z nich były jadowite, czego zawsze się obawiałam i pierwotnie zakazałam Emanuelowi zajmowania się nimi. Niestety, na próżno. Czułam, że nie jestem w stanie udźwignąć odpowiedzialności za taki rozwój wypadków, postanowiłam więc naradzić się z Mariem i ustalić z nim, czy można Emanuelowi pozwolić na rozwijanie tego niebezpiecznego hobby.

Pewnego dnia w październiku 1980 roku z Nairobi zadzwonił telefon i odezwał się znajomy głos:

— Mówi Valeria. Przyjechałam, żeby spotkać się z siostrą. Mario jest ze mną i chciałby odwiedzić Emanuela.

W ten sposób Mario znów wkroczył w nasze życie. Ze swoją długą brodą wydawał się młodszy i jeszcze bardziej atrakcyjny niż dotąd. Valeria sprawiała wrażenie dojrzałszej i szczęśliwszej. Oboje byli ubrani w rdzawoczerwone barwy swojego guru i nosili jego zdjęcie zawieszony na naszyjniku z drewnianych koralików. Jak zwykle, przywieźli prezenty. Pokonawszy w sobie pewne opory spowodowane lojalnością wobec Paola, nie pochwalającego związku swojej córki z Mariem, Emanuel poddał się przyjemności ponownego spotkania ze starym

przyjacielem, który przecież był jego ojcem. Grali w szachy, czytali razem książki, puszczała latawce, jeździli konno, chodzili na krótkie polowania, a z czasem Emanuel zaczął regularnie wyjeżdżać z Mariem i Valerią w podróże żeglarskie po greckich wyspach.

Kiedy naradzałam się z Mariem w sprawie gadów, oboje zgodziliśmy się, że Emanuel jest dostatecznie dojrzały i kompetentny, by można mu było zaufać. Wiedział, czego chce i co robi, a jego zainteresowanie węzami było wyraźnie trwałe.

Uważałam, że nigdy nie należy u dziecka tłumaczyć prawdziwych zainteresowań. Tak rzadko przekształcają się one w żarliwą pasję, że my jako rodzice powinniśmy być jedynie dumni, pozwalając im rozwijać się naturalnie i swobodnie. W końcu na chłopców w tym wieku czyha w Afryce mnóstwo innych niebezpieczeństw. Emanuel dokonał swego wyboru i zgodnie stwierdziliśmy, że był wystarczająco odpowiedzialny, byśmy pozwolili mu przy nim trwać.

Jakoś w tym czasie zdarzył się pierwszy wypadek.

Dzień zapowiadał się jak wiele innych w Laikipii: wrzesień, śpiew ptaków dobiegający z wierzchołków drzew, światło słonecznego poranka rzucające pochyłe cienie na trawnik, jaskrawość rózu i czerwieni bugenwilli, ramiona *euphorbii candelabry* wyciągnięte do nieba i kilkumiesięczna Sveva, wciąż ssąca pierś. I wtedy Emanuel podszedł do mnie, ściskając się za dłoń i ledwo panując nad rozdzierającym bólem.

— Pep — powiedział prosto z mostu — ugryzła mnie żmija. Chyba powinienem pojechać do lekarza. — Jego ręka była paskudnie spuchnięta, skóra naciągnięta i spurpurowiała.

Zgodnie z instrukcją dałam Emanuelowi środki przeciwhistaminowe i przeciwbólowe, ale był uczulony na tak wiele rzeczy, że nie miałam odwagi wstrzyknąć mu przeciwjadu w obawie przed negatywną reakcją. Natychmiast połączyliśmy się przez radio z doktorem Lowi, który mieszkał w najbliższej wiosce, Nyahururu, wtedy zwanej jeszcze Thompson's Falls i wysłaliśmy do niego Emanuela.

Doktor Lowi stanowił postać niemal jak z powieści: stary i przygarbiony, ale o nienagannych manierach. Był Żydem czeskiego pochodzenia, przybył do Kenii po drugiej wojnie światowej i założył praktykę

w Thompson's Falls, gdzie nie przestrzegano specjalnie ani higieny, ani medycznych procedur, ale gdzie zdołał pomóc niezliczonej liczbie ludzi, a wielu uratować życie. Emanuel pojechał do niego z moją matką, która wciąż była z nami, i kierowcą.

Z chwilą, gdy dotarli do Thompson's Falls, ręka była dwukrotnie większa, a ból promieniujący w górę ramienia rozdzierający. Dr Lowi zrobił Emanuelowi zastrzyk z kortyzonu i serum, a potem obserwował przez godzinę, czy nie wystąpi jakaś reakcja. Tym razem nie było żadnej.

Tymczasem ja czekałam przerażona, siedząc samotnie w domu ze Svevą. Jediną nadzieją było to, że może ten wypadek wyleczy Emanuela na zawsze z jego zamięłowania do węży. Czekałam, aż cienie w ogrodzie wydłużyły się, a psy przybiegły, by wyciągnąć mnie na wieczorny spacer. W końcu samochód wrócił i wysiadł z niego Emanuel, który wydał mi się bledszy i szczuplejszy. W wolnej ręce trzymał... worek na węże. Pełny.

— To jest syczący wąż piaskowy, Pep. Złapałem go przy bramie. Jest ogromny i ślepy na jedno oko. — Uśmiechnął się. — Nazwę go Loyamuk.

Loyamuk był starszym pasterzem Turkana, który zarządzał *bomą*. Jedno oko miał ślepe i przesłonięte jaskrą.

Na moje dociekliwe pytania na temat leczenia i samopoczucia Emanuel odpowiadał niedbale:

— Tak, potwornie mnie boli... jeszcze do tej pory... Ale wszystko będzie w porządku. Nie martw się. Muszę zanieść Loyamuka do niecki.

Ruszył przez ciemniejszy ogród. Szedł teraz jakoś inaczej, długimi, lekkimi krokami, balansując na swoich opalonych na brąz, smukłych nogach. Miał na sobie krótkie spodenki, koszulę khaki z rękawami podwiniętymi do łokci, uwidaczniającą jego proste ramiona. .. Wiedziałam, że choćby nie wiem co się stało, zawsze będzie lubił węże. Nie był już chłopcem. Wyglądał jak Paolo.

Ow wypadek i ta ogromna liczba węży, które Emanuel do tej pory zgromadził, wymagały kogoś do pomocy. Tego kogoś wybrał sam spośród garstki pracowników rancza, którzy lubili węże i nie bali się ich.

Powszechna wśród Afrykańczyków zasada głosi, że „najlepszy wąż to martwy wąż”. Sympatia dla tych gadów jest czymś wyjątkowym.

Pomocnikiem Emanuela został młody Turkana, Joseph Ekai. Pracował jako robotnik sezonowy, ale w wolnym czasie zgłaszał się do Emanuela i pomagał mu chwytać węże. Emanuel był pod wrażeniem tego chłopaka i bardzo dobrze się wspólnie dogadywali. Teraz zatrudniliśmy Josepha w pełnym wymiarze i ustaliliśmy, że będzie „człowiekiem od węży”. Lubił tę pracę i był w niej znakomity. Nie tylko pomagał Emanuelowi łapać niebezpieczne gady, ale czyścił klatki i nieckę, i w ogólności asystował mu przy doglądaniu wciąż rosnącego węzowego królestwa. Niecka stała się obiektem fascynacji dla gości, którzy spędzali przy niej mnóstwo czasu, obserwując kłębiący się na jej dnie gadzi świat. W stawie, otoczonym papirusami i obrazkowcami, zamieszkały żaby. Pływały w nim wszelkiego rodzaju węże, które ześlizgiwały się po piaszczystym wzniesieniu. Węże łąkowe, jajożerne i piaszkowe, *white-lips* oraz niebieskie i pomarańczowe agamy opalały się na skałach lub na małych krzaczkach *carissy* i euforbii, które Emanuel zasadził pośrodku. Do sukulentów, które wypuszczały brązowe, cuchnące zepsutym mięsem kwiaty, zlatywały się roje owadów. Z kolei te przywabiały ptaki. Węże budziły się ze swojej apatii, by je upolować. Mnóstwo się tam działo.

W końcu Emanuel postanowił przenieść do niecki żmije sykliwe i życie tam nagle przycichło. Tych gadów nie lubię najbardziej. Są grube i leniwe, zupełnie pozbawione gracji, którą mają zielone węże łąkowe, czy aury mistycznej grozy, jaką posiada kobra. Jest w nich coś złego i pospolitego, co napawa mnie odrazą. Emanuel w swoim *Słowniku często spotykanych węży Afryki Wschodniej*, który wówczas opracowywał, ale nigdy nie ukończył, opisuje je tak:

ŻMIJA SYKLIWA (*Bitis Arietans Arietans*)

KLASYFIKACJA:

Rodzina: Viperidae

Typ: *Bitis*

Gatunek: *Bitis Arietans Arietans* (Merrem)



#### OPIS:

Umaszczenie: Żółte, brązowawe lub szare.

Wzór: Błady pasek na czubku głowy między oczami i kilka czarnych szewronów o jasnych brzegach wzdłuż grzbietu. Ogon ma poprzeczne obwódki, a podbrzusze jest białe i regularnie nakrapiane.

Na dwóch kolejnych stronach ciągnie się szczegółowy opis:

#### ZWYCZAJE:

W ciągu dnia niekiedy wygrzewa się w słońcu, często można ją spostrzec na drogach. Gdy się do niej podchodzi, błyskawicznie ucieka. Potrafi świetnie kamuflować się w trawie, czego efektem jest mnóstwo ukąszeń u ludzi i zwierząt domowych. Żmii sykliwej przypisuje się odpowiedzialność za największą liczbę wypadków śmiertelnych, ma na swoim koncie 75% poważnych ukąszeń, jakie zdarzają się w Afryce. Bezpośrednio przed atakiem zwykle ostrzegawczo syczy, a średnia prędkość ruchu ciała podczas ataku wynosi w przybliżeniu 2,36 m/sek. Często układa się przy szcurzych ścieżkach i czeka na swoją zdobycz. Ofiarę kąsa i wypuszcza, następnie pełźnie po jej śladach i kiedy znajdzie ją martwą, połyka w całości od strony głowy.

#### LECZENIE UKĄSZEŃ:

Jad = haematoxis lub cytotoxic — niszczy komórki krwi i ciała oraz atakuje tkanki. Jeśli została wstrzyknięta śmiertelna dawka, a leczenie nie daje efektów, śmierć następuje w ciągu kilku dni. W przypadku ukąszenia przez żmiję sykliwą najważniejszy jest odpoczynek i bezruch. Objawy szoku można leczyć za pomocą środków przeciwbólowych zawierających aspirynę i kodeinę. NIE WOLNO stosować opasek uciskowych. Jeśli pojawią się symptomy zatrucia, należy podawać serum zgodnie z instrukcją, najlepiej żeby to zrobiły osoby o wykształceniu medycznym.

E.P.-G. ukąszony trzykrotnie, brak objawów.

Dopóki tego nie przeczytałam, nie miałam pojęcia, że Emanuel został kiedykolwiek dotąd ukąszony przez tę straszną zmiję.

Joseph Ekai nie bał się schodzić do wężowej niecki, by skosić trawę czy przyciąć krzewy. Był wysoki i muskularny, silnie zbudowany. W odróżnieniu od szczupłych na ogół ludzi z plemienia Turkana, miał szeroko rozstawione kości policzkowe, które przydawały jego twarzy krągłości. W jego oczach i całej postaci było jakieś szelmstwo, które nie wydawało mi się nieprzyjemne, ponieważ tonował je wielką naturalną uprzejmością. Kiedy się uśmiechał, co zdarzało się bardzo często, stwierdzało się z zaskoczeniem, że brakowało mu wszystkich górnych przednich zębów — wybił je podczas bójki czy upadku, nigdy nie miałam całkowitej pewności — i zostały mu tylko dwa bardzo białe, zaostrome kły. Na kimś, kto widział go po raz pierwszy, widok ten sprawiał dosyć szokujące wrażenie, gdyż wielkie, obnażone dziąsła i spiłowane kły upodabniały go do plującej kobry. W Afryce istnieje zwyczaj nadawania ludziom przezwisk, które na ogół mają związek z ich wyglądem bądź charakterystycznymi zachowaniami. Czasami podyktowane są miłością, niekiedy zaś ironią czy pogardą, niezależnie jednak od przyczyny zawsze są trafne i nad wyraz dowcipne. Jak należało się spodziewać, Joseph Ekai został nazwany „Mapengo”, co w języku suahili znaczy „szeroka otwarta przerwa”. Był odważny, bardzo lojalny i naprawdę kochał przyrodę. Podobnie jak kiedyś Luka z Paolem, często wypuszczał się z Emanuelem na poszukiwanie węży i czynił pożytek ze swych umiejętności nabytych w latach nieskrępowanego dzieciństwa.

Afrykańskie dzieci, wciąż żyjące w dzikim środowisku, gdzie nie założono jeszcze szkół i misji, mają wiele czasu, by uczyć się prosto z Księgi Natury tego, co dzieci miejskie próbują poznać za pośrednictwem jej żalonych surogatów — mniej lub bardziej rzetelnie wydanych książek. Pilnując małych stad kóz czy wielbłądów, często spędzają swój czas od wschodu do zachodu słońca na penetrowaniu lasów i sawann. W upalne, leniwie płynące godziny, kiedy muszą uciekać od bezlitosnego słońca w cień ciernistych zarośli, z naturalną ciekawością i

wrażliwością biorą udział w nie kończącej się lekcji przyrody. Podglądają tkacze, które budują swe misterne gniazda na cienkich gałązkach, gdzie nie mogą ich dosięgnąć węże ani drapieżniki. Obserwują mikroskopijny świat owadów oraz ich intensywne życie: pracowite żuki gnokajki, termyty, pracowite mrówki żniwiarki czy straszliwe *siafu*, które zostawiają za sobą śmierć i czyste szkielety, czy perfekcyjnie kamuflujące się w gałęziach drzew patyczaki i liście. Idą za głosem miodowodów do wydrążonych pni i uczą się wykradać z nich cenny miód. Ich oczy potrafią dostrzec najmniejszy ruch w trawie, a ich uszy rozpoznać każdy dźwięk. Pieśń ptaków i wiatru, piski i szurania, pomruki i porykiwania, chrząkania, prychania i pogwizdywania, szczekania i wycia: wszystkie dźwięki w tej orkiestrze i chórze przyrody nie mają dla nich żadnych tajemnic. Są świadkami zalotów i narodzin, poznają wszelkie sekrety życia i z pełną dystansu akceptacją rozumieją już od najmłodszych lat, że śmierć jest nieuchronnym elementem pewnej całości. Poprzez obserwację zachowań dzikich zwierząt uczą się sposobów przetrwania i rozpoznawania jadalnych i leczniczych części roślin. Wszystko to stanowi tło dla ich harmonijnego wzrostu w zgodzie z prawami natury.

Ludzie ci mogą swoje niepowtarzalne, instynktowne umiejętności wykorzystywać do ochrony — lub do zabijania — zwierząt, które tak świetnie znają.

Lecz obecnie ci właśnie ludzie są narażeni na niebezpieczeństwo, podobnie jak ogromne stada zwierząt, które niegdyś wędrowały po Wzgórzach, i jak dziewicze afrykańskie lasy, przestrzeń bowiem, którą do tej pory zajmowali, szybko się kurczy. Odkąd nastały misje, ze swoimi szkołami, kościołami i sklepami pełnymi dziwnych rzeczy, które można nabyć wyłącznie za pieniądze, życie wolnych afrykańskich pasterzy zmieniło się na gorsze. Kazano im siać ziarna nie znanych roślin i wierzyć w obce religie, które mącą ich niewinne umysły. Zamiast tradycyjnych *shuk* ze zwierzęcych skór, które chroniły ciało przed zimnem i skaleczeniami w gęstym buszu, noszą teraz jaskrawe nylonowe szmaty. Za te szmaty muszą płacić pieniędzmi, których nie mają, a potem prać to niepraktyczne ubranie proszkami chemicznymi, zanieczyszczając strumienie.

Ich kultura narażona jest na niebezpieczeństwo. Ich umysły zostały obciążone pojęciami i zasadami, których nie potrzebują i nie potrafią pojąć. Nowa generacja zapomina, co ich matkom i ojcom zapewniało przetrwanie i szczęśliwe życie w nie zepsutym cywilizacją środowisku. A przecież jeszcze tak niedawno afrykańskie dzieci mogły uczyć się instynktownie, poprzez doświadczenie, i potrafiły opanowywać tajemnice tej ziemi.

Tacy jeszcze byli Luka, Mirimuk, Hussein, Silas, Ekiru, Lother, Cypriano, Sabino, i taki był „człowiek od węży”, Mapengo.

Jednym z ulubionych miejsc polowań Emanuela i jego pomocnika były strome klify wąwozu Mukutan. Jest to najbardziej malownicze miejsce w Ol Ari Nyiro, tuż na krawędzi Wielkiego Rowu — urwiste kaniony pokryte bujną roślinnością, strome ściany skalne, które upodobały sobie orły i sępy płowe, oraz strumień o nazwie Mukutan, oznaczającej „spotkanie”. Płyne on zygzakiem przez głębokie wąwozy, by potem spotykać się z otwartą niziną przestrzenią jeziora Baringo. Obfitość wody, osłonięcie od wiatrów, różnice wysokości i temperatur pozwalają żyć tu wielu najprzeróżniejszym gatunkom roślin, ptaków i węży.

Emanuel uwielbiał schodzić do ogromnych, obwieszonych lianami i dzikimi aloesami wodospadów, gdzie woda rozbijała się na granitowych otoczakach. W ich pobliżu znajdował dziesiątki węży zielonych. Mapengo miał szczególną wprawę w chwytaniu tych pięknych, nieszkodliwych, podobnych do klejnotów stworzeń o czarnych paciorkowatych oczach. Należało być szybkim i przygotowanym do błyskawicznego zanurkowania w wodę, lub przeszukiwania wysokiego poszycia, gdzie zwykle znikają jak zielone duszki.

Ulubione miejsce polowań stanowiła też Maji ya Nyoka („Woda Węży”), znana również jako Python Pool (Sadzawka Pytonów). Był to śliczny duży staw, otoczony palmami daktylowymi i papirusami. Ów staw zasilany był przez niewielką kaskadę wody, opadającą z masywnych szarych kamieni, pomiędzy których wyrastały figowce. Rzadko spotykane aloesy przetykane pomarańczowymi kiściami kwiatów i pałkowate orchidee, zwisające z najwyższych drzew, czyniły Maji ya Nyoka miejscem magicznym. Z wody wystawało kilka otoczaków i jeśli

podeszło się bardzo cicho, często można było zaskoczyć wygrzewające się na nich pytony. Jeśli nie były ociążałe i odrętwiałe po niedawnym posiłku, zwykle ześlizgiwały się do wody, nie marszcząc nawet jej powierzchni. Emanuel i Mapengo chwyтали je i znosili do domu dziesiątkami. Niektóre były grubsze od ludzkiej nogi, fantastycznie silne i wszystkie liczyły ponad dwanaście stóp długości. Chłopcy zawsze nosili ze sobą mnóstwo worków różnych rozmiarów. Emanuel opowiadał, że jeśli wężowi zakryje się głowę, wówczas sam, z własnej woli spokojnie wpełza do worka i popada w odrętwienie, dopóki znów nie obudzi go światło. Przy małych wężach stosuje się następującą technikę: na prawe przedramię naciąga się, jak wywinietą na lewą stronę rękawiczkę, worek, a swobodną dłonią chwytą głowę węża, następnie wywraca się delikatnie worek na drugą stronę i pozwala wężowi wpełznąć do środka: w czasach Kaa nawet ja całkiem niezłe potrafiłam to robić.

Pewnego dnia w 1981 roku dotarła do nas informacja, że w małej dolince między tamą Nyukundu a Lwogwagipi widziano węża niespotykanych rozmiarów. Epizod ten opisuje Emanuel w swoim pamiętniku prowadzonym po włosku:

31 stycznia

Ndegwa powiedział mi, że niedaleko tamy Nyukundu widział ogromnego pytona. Kiedy do niego podszedł, wąż nie poruszył się, jakby właśnie skonsumował gazelę albo owcę. Jutro pójdziemy sprawdzić, bo dziś jest już za późno...

1 lutego

Obudziliśmy się o piątej i poszliśmy z Ndegwą i czterema innymi ludźmi szukać pytona. Colin też poszedł. Szliśmy około 10 minut, zanim znaleźliśmy go śpiącego za ścianą tamy, rozdętego i zwiniętego wokół *leleshvy*... Zrobiliśmy mnóstwo zdjęć, kiedy próbował atakować... Złapanie go zajęło mi pół godziny i sześcioro ludzi musiało nieść go do samochodu. Zauważyłem długi kolec, który przebił mu skórę, więc tym, co miał w brzuchu musiał być jeżozwierz... Trzymałem go za

głowę, ale kiedy dotarliśmy do samochodu, rzucił się na Mapengo i zatopił zęby w jego płaszczu, na szczęście nie uszkadzając ciała... W Centrum zmierzylśmy go (14'11"), zważyliśmy (112 funtów) i wypuściliśmy w tym samym miejscu...

Podczas pobytów w Laikipii Emanuel codziennie wieczorem brał prysznic, przebierał się w modne dżinsy i koszulę i przychodził do salonu. Wysoki i poważny, z naturalnym wdziękiem serwował wszystkim drinki, pełniąc honory gospodarza. Z każdym zamieniał kilka słów, a potem siadał zawsze w tym samym miejscu, by pisać swoje pamiętniki. Kiedy jechał do Nairobi, opiekę nad gadami powierzał Mapengo, ale nawet w szkole oddawał się swojej pasji. Założył tam popularny „Klub Węży”.

Po śmierci Paola ustaliliśmy, że zamiast jechać do Anglii na dwa ostatnie lata, jak poprzednio planowaliśmy, Emanuel będzie nadal uczęszczał do szkoły w Nairobi, żeby nie rozbijać jeszcze bardziej rodziny. Świetnie zdał egzaminy wstępne i po Pembroke House poszedł prosto do Hillcrest, gdzie wcześniej uczyła się jego przyrodnia siostra, Valeria. Dyrektor szkoły Hillcrest skierował do mnie następującą notatkę:

Droga Pani Gallmann,

Byłbym wdzięczny, gdyby skłoniła pani syna, żeby nie zostawiał w klasach worków zawierających niebezpieczne gady.

Epizod, który zdarzył się pewnej niedzieli w Nairobi, kiedy poszliśmy odwiedzić Carol Byrne w jej domu w Kitangeli, może służyć za typowy przykład pasji Emanuela. Otóż Emanuel i syn Carol, Sam, łazili po kamienistym dnie rzeki Mbagathi, szukając węży, a my siedziałyśmy na brzegu i gawędziłyśmy. Naszą rozmowę przerwał dobiegający głos Emanuela:

— Chodźcie! Chodźcie szybko! — Niecierpliwość w jego tonie i fakt, że nigdy nie krzyczał, skłoniły nas do natychmiastowej reakcji.

Zbiegałyśmy po stoku i zobaczyłyśmy Emanuela, który po pas zanurzony w wodzie walczył z jakimś ogromnym wijącym się stworzeniem.

Woda rozpryskiwała się na wszystkie strony. Cętkowany, grubszy od ramienia ogon śmigał w powietrzu, pryskając na nas. Sam stał na kamieniu i obserwował tę scenę z mieszaniną podziwu i grozy. Wijącą się bestią okazał się ogromny pyton i było jasne, że łatwo się nie podda. Emanuel niemal zniknął w wodzie.

Przypomniała mi się opowieść Philipa Leakey, którego dom stał nie opodal nad tą samą rzeką. Przed kilkoma laty pływając tu, został schwytyany przez ogromnego pytona i o mało nie utonął. Siła nawet małego dusiciela jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do jego rozmiarów, a ten musiał mieć dobrze ponad dziesięć stóp długości.

— Szybko! — Emanuel wynurzył się z pluskiem. — Carol, złap za środek. Pep, chwytaj ogon. Ja trzymam głowę. Muszę go zmierzyć. Macie centymetr?

Ani Carol ani mnie nie postąpiło w głowie, żeby go nie posłuchać. Emanuel mówił w taki sposób, że rzeczy najbardziej nieprawdopodobne brzmiały najnormalniej w świecie. Posłusznie weszliśmy do wody i schwytałyśmy węża. Był ciężki, mokry, śliski i niesłychanie silny. Nic dziwnego, że nie zamierzał pozwolić się złapać.

— Do sąsiadów jest bliżej niż do domu — powiedział podniecony Sam. — Na pewno będą mieli centymetr.

Poprowadził nas w górę krętą ścieżką, a my szliśmy za nim, taszcząc wijącego się węża. Dziwaczna procesja, w zmiętych, ociekających wodą ubraniach wspinała się z sapaniem po stromym wzniesieniu. To był istny koszmar. Pyton miotał się, a my nie mieliśmy nic, by przykryć mu głowę i go uspokoić. Kiedy byliśmy w połowie drogi, jego odbył skurczył się, a następnie otworzył i wytrysnęła z niego cuchnąca fontanna, mijając nas o kilka cali.

— Nigdy w życiu — dyszała zaskoczona Carol — nie przyszłoby mi do głowy, że nawet dla moich własnych dzieci mogłabym się tak poświęcić...

Dotarliśmy na miejsce. Ścieżka się urwała i wyszliśmy na płaski trawnik, gdzie przy późnym niedzielnym śniadaniu siedziała grupa ludzi. Nie zapomnę wyrazu ich twarzy i oczu wpatrujących się w nas znad filiżanek kawy, jak też otwartych, zastygłych w bezruchu ust. Oni też pewnie nigdy nie zapomną tej sceny: na czele dziecko, a dalej

nieznajomy młody człowiek, ociekający wodą i dwie mokre kobiety w napadzie chichotu, trzymający wijącego się węża o kilka stóp dłuższego od człowieka.

— Dzień dobry — powiedział Emanuel najzupełniej spokojnym tonem, usiłując jednocześnie trzymać mocno gada. — Czy moglibyśmy poprosić o coś do zmierzenia tego okazu?

Cała ta historia była tak nieprawdopodobnie absurdalna, że nikt nie zaproponował i całe towarzystwo w jednej chwili rzuciło się do działania. Jakaś dziewczynka pobiegła i wróciła z całówką, którą wręczyła Emanuelowi, zachowując przy tym bezpieczną odległość. Ktoś przyniósł aparat fotograficzny. Przytrzymaliśmy węża. Trzynaście i pół stopy. Samica. Emanuel puścił ją, a my wszyscy odskoczyliśmy na sporą odległość.

— Nazwę ją Carol. — Kiwnął lekko głową, uśmiechając się swoim niezwykłym, czarującym uśmiechem. — Dzięki za pomoc.

Wąż zwinął się, sycząc prowokująco, po czym kilkakrotnie skoczył do przodu, próbując atakować. Nie poddawał się, a Emanuel z rozpostartymi rękami, poruszając się przed nią na ugiętych nogach, wyglądał jak torreador. W końcu „Carol” ześliznęła się po stoku do swojej rzeki, której wspomnienie zaczęło już blednąć w jej gadzim mózdzku. Moja przyjaciółka patrzyła na mnie i na Emanuela, potrząsając głową, a wszyscy pozostali zanosili się śmiechem.

Rok 1981 stał się szczególnym rokiem w życiu i dojrzewaniu Emanuela. Chociaż rozpacz po stracie Paola zostawiła w nim głęboką ranę, która nigdy nie zdołała się zabiścić, zaczął ni stąd, ni zowąd mieć więcej czasu dla przyjaciół i na towarzyskie spotkania. Poza tym odkrył istnienie dziewcząt.

## 28. Młody mężczyzna

... Choć zginą kochankowie, lecz nie zginie miłość...

Dylan Thomas, *A śmierć utraci swoją władzę*

(przekł. Stanisław Barańczak)

Dziennik, który Emanuel pisał codziennie w latach 1981-1982, roi się od notatek o wężach, pełen jest skrawków węzowych skór oraz



rysunków i fotografii węży. Opisywał też szczegółowo swoje codzienne zajęcia, coraz częściej pojawiały się w nich także wzmianki o przyjaciółkach, zarówno chłopcach, jak i dziewczętach. Emanuel cieszył się dużą popularnością. Niezwykła wiedza, jaką zgromadził, bogate i urozmaicone życie, zdolności językowe, sposób, w jaki potrafił opowiadać o różnych zdarzeniach, w połączeniu z wdziękiem i subtelnym poczuciem humoru, sprawiały, że był szalenie atrakcyjny. Ponadto wyrastał na bardzo przystojnego młodego mężczyznę, a po Mariu odziedziczył naturalną swobodę w kontaktach z dziewczętami. W jego dzienniku zaczęły pojawiać się nazwiska i adresy, a telefony do niego nie urywały się. 4 listopada 1981 roku zanotował rzeczowo: „Poszedłem na dyskotekę z Rockym. Spałem z Juliettą”.

Chociaż Julietty nigdy nie poznałam, znałam dobrze Rocky'ego Mathewsa, chłopaka o kilka lat starszego od Emanuela, syna Terry'ego, niegdyś wytrawnego zawodowego myśliwego, który po utracie oka zajął się rzeźbieniem dzikich zwierząt, zresztą z wielkim powodzeniem. Miał czterech synów i nie dziwię się, że Emanuel, który tęsknił za męskim towarzystwem Paola, ciągnął do aktywnego, męskiego świata Mathewsów. Rocky należał do grupy przyjaciół, którzy podzielali zainteresowania Emanuela węzami, a jednocześnie znał już świat młodzieżowych prywatek, samochodów i szerszej swobody. Chodzili z Emanuelem do tej samej klasy i zawiązała się między nimi głęboka, trwała przyjaźń.

Wychowywanie dzieci w Kenii ma wielkie zalety. Nie jest to wyłącznie sprawa klimatu, przestrzeni, możliwości uprawiania wszelakich sportów przez cały okrągły rok, zdrowej żywności czy wciąż jeszcze czystego środowiska. Kenia jest krajem prawdziwie kosmopolitycznym. Oprócz miejscowej ludności afrykańskiej, mieszka tu wielka społeczność Azjatów i Arabów, zaś Nairobi, stolica państwa, a zarazem siedziba obcych placówek dyplomatycznych i wielu międzynarodowych organizacji, zamieszкана jest przez ludzi wszelkich narodowości, ras i kolorów skóry. Dzieci, kształcone przez rodziców o otwartych umysłach, od wczesnych lat uczą się, że odmienny wygląd, inny sposób

ubierania się, spożywanie innych potraw i czczenie innych bogów jest czymś najzupełniej normalnym, i że wszystko to jest nie tylko możliwe do zaakceptowania, ale też interesujące, wzbogacające i godne szacunku.

Nasz dom w Nairobi był w tamtych czasach nieustannie pełen młodych ludzi. Przychodził Toon Ganegraff, młody Holender, który — jak Charlie Mason — od samego początku chodził z Emanuelem do szkoły. Rodziny ich miały domy w Kilifi, toteż przez długie lata chłopcy pozostawali ze sobą w bliskim kontakcie, tworząc wraz z Emanuelem niemal nierozzerwalną trójkę. Toon miał rude włosy, dziwnie zakrzywiony, upstrzony piegami nos i — podobnie jak Charlie — za każdym razem, kiedy go widziałam, zdawał się o kilka stóp wyższy niż poprzednio. Na każde półrocze przyjeżdżali do Laikipii i spędzali czas na świetnej wspólnej zabawie: jeździe konnej, uprawianiu sportów, w których Charli i Emanuel celowali, polowaniach na króliki, wycieczkach, pływaniu albo łowieniu tilapii i czarnych bassów w tamach.

Pojawiał się też Mukesh Pandit, szczupły czarnowłosy chłopiec w okularach, niezwykle cichy i wrażliwy. Pochodził z bogatej hinduskiej rodziny, która mieszkała nie opodal. Emanuel szczególnie lubił tego chłopca, u którego pociągała go orientalna filozofia i zwyczajnie. Ilekroć widziałam ich razem, zawsze uderzało mnie dziwne podobieństwo w wyrazie ich oczu — refleksyjna, głęboka mądrość, zupełnie nie przystająca do ich młodego wieku.

Odwiedzał nas Ray Matiba, którego ojciec był ministrem w kenijskim rządzie. I syn ambasadora Hiszpanii, Felipe Garcia-Banon, z którego rodzicami blisko się przyjaźniłam.

Był również młody człowiek, którego ani Emanuel, ani ja wówczas jeszcze właściwie nie znaleźliśmy. Emanuel korespondował z nim tylko i od czasu do czasu rozmawiał przez telefon, ale pozostawał pod jego głębokim wrażeniem. Ów chłopiec nazywał się Michael Werikhe i mieszkał w Mombasie, gdzie trenował psy obronne dla firmy zajmującej się montażem części. Jednak jego pasją były dzikie zwierzęta, zwłaszcza nosorożce i, o dziwo, węże. Pod koniec 1982 roku podczas urlopu odbył 500 kilometrowy marsz z Mombasy do Nairobi, by zebrać

pieniądze na ratowanie kenijskich czarnych nosorożców, które w owym czasie były straszliwie trzebione. Dla towarzystwa zabrał z sobą małego pytona i szedł, owinąwszy go sobie wokół szyi. Z Emanuelem skontaktował go ich wspólny znajomy i do tej pory pamiętam komentarz mojego syna po pierwszej rozmowie telefonicznej z tym człowiekiem.

— Wiesz, Pep — powiedział — Michael jest niezwykły. On naprawdę zna węże i troszczy się o nie. Poza tym przeszedł tyle kilometrów, żeby ratować nosorożce, a jeszcze nigdy w życiu nawet żadnego nie widział! Oczywiście zaprosiłem go na przyszły rok do Laikipii, żeby zobaczyć. Będzie mógł przyjechać na następny urlop, pod koniec roku.

Pojawiały się też dziewczyny, ponieważ jednak zwykle były młodsze i nie wolno im było prowadzić samochodu, odwiedzały nas rzadziej, chociaż telefon wciąż dzwonił i mnóstwo różnych dziewczęcych głosów wciąż prosiło Emanuela. Ostatnio była Ferina. Pół Brytyjka, pół Hinduska, miała rudawozłote włosy, mnóstwo kobiecości i radosne usposobienie. Cieszyła się wielkim powodzeniem u chłopców i kiedy w końcu ją poznałam, zrozumiałam, dlaczego.

Chociaż Emanuel był spokojny, niezależny i świetnie czuł się we własnym towarzystwie, wielką radość sprawiało mu leż niedawno odkryte życie towarzyskie i — naturalnie — prywatki.

Na początku 1983 roku wpadliśmy na pomysł zorganizowania w Laikipii pewnych uroczystości inaczej niż dotąd. Emanuel nigdy nie wydawał jeszcze prawdziwego przyjęcia. To miała być szczególna uroczystość z okazji jego osiemnastych urodzin i chcieliśmy urządzić je tak, żeby wszyscy mieszkańcy rancza mogli na swój sposób w nich uczestniczyć. Emanuel miał zaprosić swoich przyjaciół, a ja moich — ranczerów z sąsiedztwa, którzy mieli przyprowadzić ze sobą swoje drużyny i wraz z naszą drużyną uczestniczyć w rozmaitych konkursach, związanych z bydłem, końmi, osłami czy wielbłędami, oraz grach zręcznościowych, takich jak rzut dzidą, wspinanie się po natłuszczonym słupie, czy strzelanie z łuku do celu. Wymyśliliśmy też coś w rodzaju całodniowego festynu z jedzeniem, napojami i tradycyjnymi tańcami, nagrodami dla zwycięzców i nocną dyskoteką na zakończenie całej imprezy. Chcieliśmy to nazwać „rodeo”. Ustaliliśmy datę, bliską dnia urodzin

Emanuela i codziennie robiliśmy plany, dodając kolejne szczegóły. Bardzo cieszyliśmy się na myśl o organizacji i spędzeniu tego święta z całym tłumem gości. W stosunkach między Emanuelem a mną zawsze było bardzo dużo miłości, wzajemnego zaufania i przyjaźni. Nie miałam przed nim żadnych tajemnic i ze wszystkiego mu się zwierzałam, wiedząc, że mogę liczyć na jego rozsądną radę. Nie był wylewny i rzadko okazywał uczucia, ale nigdy też nie pozostawał obojętny i stać go było na nieoczekiwane urocze gesty. Na moje urodziny, 1 czerwca, kiedy Kenia obchodzi swoje narodowe święto i cała Laikipia tonie w zieleni i kwiatach, Emanuel pojechał na swoim motorze i przywiózł mi całe naręcza *gloriosy superby*, wspaniałej dzikiej czerwonej lilii, którą uwielbiałam.

Pamiętam późny wieczór któregoś weekendu w Nairobi, kiedy leżałam z grypą w łóżku. Usłyszałam, jak biegnie po schodach po dwa stopnie naraz i puka do moich drzwi. Wszedł, trzymając w objęciach wielkiego, uplecionego z poskręcanych bananowych liści, gruzłowatego słonia, na którym zawiesił girlandę w różowej bugenwilli.

— Kiedy wyjechałem dziś rano — opowiadał z uśmiechem — zobaczyłem starego kalekę, który na rogu Kitisuru Road próbował sprzedać swoje dzieło. Nikt się nie zatrzymał. Kiedy wracałem wieczorem, on wciąż tam stał z tym słoniem, a padał deszcz, więc się zlitowałem. — Popatrzył na słonia krytycznie. — Jest raczej obrzydliwy, nikt by go nie kupił. Po prostu zrobiło mi się tego człowieka żal. — I podał mi słonia, wywijając ręką i zginając się w kpiarskim ukłonie: — Dla ciebie, Pep. — Postawił go w kącie pokoju, gdzie słoń dotąd stoi.

Emanuel potrafił współczuć, wyjątkowo jak na chłopca w tym wieku. Potrafił też głęboko kochać i troszczyć się o innych. Jak wszystkie dzieci, Sveva często budziła się w nocy z powodu koszmarów, przeziębienia czy jakichś innych dolegliwości. Ja sypiam bardzo lekko, najdrobniejszy szmer wystarcza, by natychmiast wytrącić mnie ze snu, więc w ciągu kilku sekund dobiegałam do pokoju Svevy na końcu korytarza. Emanuel jednak na ogół mnie ubiegał i już tam siedział przy jej

łóżeczku, trzymając ją za małą rączkę i delikatnie ją uspokajając.

— Wszystko w porządku, Pep — szeptał. — Idź z powrotem do łóżka. Ja mogę się nią zająć.

Był starszy od siostry o czternaście lat i ona go uwielbiała. Nosił ją na ramionach, czasami przebierał ją dla zabawy w swoje wielkie koszule i swetry. Uczył ją nowych słów i opowiadał różne historyjki, jak Paolo opowiadał kiedyś jemu. Sveva siedziała całymi godzinami obserwując, jak obdzierał węże ze skóry, jeździła z nim na motorowe przejażdżki. Patrząc na niego, zdrowego i silnego, gdy trzymał ją w ramionach i kłusowali razem na koniu wokół zalanego słońcem ogrodu, często myślałam o tym, jak szczęśliwą rodziną mimo wszystko byliśmy i jak uprzywilejowane były moje dzieci, mogąc wzrastać w atmosferze piękna i swobody 01 Ari Nyiro. Jestem pewna, że to właśnie Emanuelowi Sveva zawdzięcza swój naturalny, bezpośredni sposób kontaktowania się z młodymi ludźmi, który czyni ją miłą i czarującą.

Po Paolu Emanuel odziedziczył pasję do łowienia ryb, a po obu swoich ojcach miłość do morza. Za życia Paola Emanuel stał się dobrym rybakiem i przeżyli wspólnie wiele wypraw oraz mnóstwo sukcesów. Kilka żaglic i pierwszego małego marlina Emanuel złapał w wieku jedenastu lat. Po śmierci Paola i przyjściu na świat Svevy od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy na wybrzeże, zwykle do Kilifi. Emanuel wypływał naszą łodzią i przywoził mi do ugotowania ryby: bonito, tuńczyki, *colecole*, barakudy albo umbryny, a raz nawet małego rekina.

Siedząc oparta plecami o największy baobab w Kilifi, wciąż czekałam na tę jedną samotną postać, która pomacha do mnie z pokładu, po czym pokazywałał Svevie jej dużego brata w łodzi. „Umeme” trąbiła trzykrotnie... i znikwała w zatoczce za palmami. Pewnego razu Emanuel wszystkich nas zaskoczył, kiedy, choć tak jeszcze młody, wyciągnął na pokład wielkiego tuńczyka żółtopłetwego, który straszliwie walczył i był najcięższy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zostały schwyte podczas zawodów Tia Maria w Shimoni. Dzięki temu Emanuel zdobył puchar. Zawsze brał udział — jak przedtem Paolo — w zawodach o

puchar Lady Delamere, prestiżowym konkursie organizowanym co roku w lutym przez Dianę z „Mnarani Club”. Było to wielkie wydarzenie sportowe i towarzyskie, które Emanuela szczerze bawiło i na którym gromadziła się cała rybacka społeczność.

Dla uczczenia pamięci Paola co roku fundowałam trofeum za największego błękitnego marlina złowionego u wybrzeży Kenii. Była to rzeźba z brązu, przedstawiająca skaczącą rybę, którą Paolo był zafascynowany i która tyle razy mu się wymknęła. Z tej okazji Emanuel jeździł ze mną do Mombasy i wręczał trofeum podczas uroczystej kolacji w starym „Mombasa Club”.

Któregoś razu w 1982 roku, przejeżdżając przez Kilifi, by wręczyć nagrodę, dowiedziałam się, że Diana jest chora. Wybraliśmy się z Emanuelem i Sveva, by odwiedzić ją w jej eleganckim letnim domu z północnej strony zatoki. Zbudowany na dużej parceli w cieniu egzotycznych krzewów i wysokich palm dom zdawał się pełen spokoju i majestatu. Okalały go wypięszczone trawniki, które ciągnęły się aż do morza. Zastaliśmy Dianę w pokoju z werandą, wypełnionym kwiatami i roślinami doniczkowymi. Siedziała w swoim łóżu z baldachimem, wsparta na jedwabnych, haftowanych poduszkach. Miała na sobie szlafrok obszyty jedwabnymi marszczonymi lamówkami. Makijaż i manicure były jak zwykle perfekcyjne, srebrnoblond fryzura nieskazitelna, jakby oczekiwała gości. Wyglądała pięknie, była od niej chłodna obojętność, uniemożliwiająca określenie wieku. Odgrywała po mistrzowsku rolę żywego mitu i przyjmowała nasz hołd jak zasiadająca na tronie królowa.

Sveva była wtedy maleńka, ledwo zaczynała chodzić. Z bujną gęstwiną jasnych loków, oczkami o barwie błękitnej emalii i złotawą skórą wyglądała jak cherubinek. W swojej białej koronkowej sukieneczce tak kontrastowała z obejmującą ją Wanjiru, że aż zapierało dech. Diana, która — choć za dziećmi nie przepadała — zawsze doceniała piękno, powiedziała:

— Wybierz sobie, kochanie, jakiegoś misia.

Jeden z kątów pokoju i niemal wszystkie kanapy oraz krzesła zawalono były miami rozmaitego wieku i rodzaju. Niektóre wyglądały, jakby

były ulubieńcami dawno nie żyjących dzieci z epoki wiktoriańskiej. Miały wytarte, wyświecone futerka i brakowało im paciorkowatych oczek. Inne były ogromne i puchate, większe od przeciętnego dziecka. Sveva wskazała jednego z mniejszych, brązowego, parchatego, na wpół pożartego przez mole miśka z naderwanym, dyndającym uchem.

— To niezwykle, że właśnie tego wybrałaś — powiedziała zaskoczona Diana. — To był ulubiony misio Toma, kiedy Tom był dzieckiem.

Zaprotestowałam wobec tego. A na to Diana rzekła:

— Nie, oczywiście, że może go sobie wziąć. Tom na pewno by się ucieszył. Misie tak naprawdę są dla dzieci.

Lord Delamere był już w tym czasie chory i rzadko pokazywał się publicznie czy u Diany. Wolał chłodny klimat swojego pokoju w Soyasambu niż wilgoć i upał wybrzeża. Zresztą w kilka miesięcy później umarł. A Sveva, pośród swoich lalek i kukiełek do dziś trzyma tego śmiesznego misia, który dotrzymywał towarzystwa małemu lordowi podczas samotnych nocy w dziecięcym pokoju w Elementaita, w początkach kolonizacji Kenii.

Niektórzy przyjaciele włączyli nas do swego najbliższego grona i po śmierci Paola stali się nam w naturalny sposób bardzo bliscy. Do takich należeli Oria i Iain Douglas-Hamiltonowie, których zaraz po naszym przyjeździe do Kenii poznaliśmy w domu Rocców nad jeziorem Naivasha. Oria miała wiele ciepła, inwencji i artystycznych talentów, kipiała pozytywną, macierzyńską energią i jako prawdziwa przedstawicielka rodu Rocco zawsze była skora do niezwykłych wyskoków. Była znakomitym fotografem. Jej figlarne, niespokojne piwne oczy były wyczulone na wszystko, co niezwykle. Kochała Afrykę, głęboko umiłowała jej ziemię i zwierzęta. Na przestrzeni lat Oria stała się dla mnie prawdziwą siostrą. Iain, pamiętam, miał wtedy włosy do ramion, a na jego twarzy malował się zawsze lekki uśmiech, który mógł się nagle rozszerzyć i całkowicie zmienić wyraz twarzy. Iain zdawał się niedosięgły i tajemniczy, jakby ożywiany jedynie niezłomną wolą doprowadzenia do zwycięstwa swojej kampanii ratowania słońi, o których chyba

wiedział więcej niż ktokolwiek inny w Afryce. Ten znakomity zoolog i uczoney o przeogromnej wiedzy i intuicji posiadał cechy rycerza-idealisty, a także charyzmę uczestnika dawnych wielkich przygód. Chociaż większa część jego pracy związana była teraz z biurkiem i komputerem, w buszu po prostu rozkwitał. Uwielbiałam podchodzić z nim słonie w Laikipii i tropić je z helikoptera. Jako pilot miał opinię ryzykanta, ale podróże z nim sprawiały mi wielką przyjemność. Iain latał z gracją i elegancją, jak czynili to chyba wszyscy pierwsi piloci w swoich małych, krzepkich dwupłatowcach. I jak oni potrafił wystartować i wylądować praktycznie wszędzie: na plaży, na drodze albo na polanie w buszu, co zresztą robił, czasami dla zabawy, a czasami z konieczności. Był urodzonym pilotem i czułam się z nim całkowicie bezpiecznie, gdyż instynktownie wiedziałam, że umiałby sobie w powietrzu poradzić w każdej sytuacji.

Do ulubionych przyjaciół Emanuela należały — mimo iż były znacznie młodsze, a kilka lat różnicy odgrywa w tym wieku wielką rolę — Saba i Dudu Douglas-Hamilton, rozkoszne, śliczne, niezwykle żywe dziewczynki, które uwielbiałam i które często przyjeżdżały do Laikipii ze swoimi rodzicami. Datą, o której nigdy nie zapominali, była rocznica śmierci Paola.

Ta rocznica stała się zresztą szczególną okazją do spotkań i wspomnień „z dala od szalejącego tłumu” dla małej grupki kochających się przyjaciół. Była czymś kojącym i pokrzepiającą dla wszystkich, pewną nową formą przyjęcia, podyktowaną przez miłość i troskę.

Paolo często mówił, że chciałby, by bliscy przyjaciele czcili jego pamięć w formie przyjęcia, więc co roku coś takiego urządzałam.

Zjawiało się około tuzina osób: Tubby i Aino, Carol i Sam, Douglas-Hamiltonowie, kilkoro przyjaciół Emanuela oraz Colin i Rocky, którzy przyjechali z Centrum ze swoimi dziećmi. Wieczorem udaliśmy się spacerem do grobu. Był pokryty kwiatami, a wokół leżały dywany i jaszkrawe *kangi*, na których siedliśmy w otoczeniu psów. Były świece, kadzidła i ogniska z *mutamayo* — dzikiej oliwki, której pełno rośnie w Afryce. Emanuel usiadł przy mnie, a Sveva na moich kolanach. Miałam więc wokół rodzinę, przyjaciół, no i wspomnienia. Czegóż jeszcze mogłam sobie życzyć?



Powiedziałam kilka słów, krótki wiersz, który napisałam, by uczcić pamięć Paola, a potem była „jego” muzyka, *Kwintet* Boccheriniego, który wypełnił noc, płynąc aż do cichych gwiazd. Przy zbiorniku z wodą zatrąbiły słonie. Strzeliły korki szampana, napełniliśmy kieliszki. Emanuel wstał z dodatkowym pełnym kieliszkiem w dłoni. To było jego zadanie. Wznosiliśmy toast za Paola. Potem rozległ się brzęk rozbijanego szkła. To kieliszek uderzył o nagrobek i rozprysł się na drobniutkie kryształowe kawałki. Wystrzeliły następne korki i znów napełniliśmy kieliszki. Wyrazu oczu Emanuela nie sposób było odgadnąć, kiedy usiadł i nieoczekiwanie pocałował mnie w policzek ciepłymi, suchymi wargami.

Rok wcześniej, na kilka dni przed ową rocznicą, któregoś wieczoru znalazłam pod moją poduszką list od Emanuela. Był przesycony subtelnym bólem i nostalgią. Przelał w nim na papier swoje nadzieje, swoje poczucie przynależności i swoją miłość do Paola, którego nazwał „ojcem”. Był to dla mnie bardzo smutny list, gdyż podyktowały go ból i rozpaczliwa tęsknota, na którą nie miałam lekarstwa. Siedząc na łóżku, czytałam go ze ściśniętym sercem:

### *Pamięci Paola*

Mamy teraz w Laikipii jeden z najcieplejszych miesięcy. Ze wschodu wieje gorący wiatr, który wysusza na pieprz wszystko, co napotka, zmieniając zielone pastwiska w jałowy ugór. Jest to też czas wypalania pól. Nie lubię tego palenia, bo niszczy część bujnego życia zwierząt, które chronią się w wysokich złotych trawach, ale wiem też, że jest to konieczne, bo kiedy nadejdą deszcze, ten ugór zmieni się w zielone morze życia.

O ile przyjdą.

Tutaj na północy życie zależy od wody, która spada z nieba, i jeśli deszcz nie przyjdzie, to rzeki i zbiorniki wodne skurczą się i wyschną, a zwierzęta powymierają.

Siedzę sobie na szczycie wzgórza i patrzę na tumany kurzu pędzące po wielkiej wysuszonej równinie. Myślę o stadach słoni, bawołów i elandów, stąpających spokojnie w porannej mgłę; myślę o zielonym dzięciole, wyśpiewującym pieśń deszczu, który

może nigdy nie nadejść, o złocistym majestatycznym pięknie słońca zachodzącego za wzgórzami Mukutanu i myślę też o wspaniałej urodzie tej ziemi, która należy do nas.

Zastanawiam się, czy naszym dzieciom dane będzie oglądać tę ziemię taką, jaka jest ona teraz, bo czyż coś tak pięknego może długo trwać?

Mam nadzieję, że zazną tego szczęścia i że opowiedzą swoim dzieciom o Laikipii, o pięknym ogrodzie pełnym kwiatów, o małym wzniesieniu pośrodku pustkowia, samotnym drzewie cierniowym, którego korzenie sięgają bardzo głęboko w ziemię, w której złożyliśmy mojego ojca na jego ostatnie safari. Paolo patrzy na swoją ziemię; jego oczy to pączki z cierniowego drzewa; jego głos to szept wiatru w gałęziach. Paolo na zawsze pozostanie tu, na tej ziemi, nikt go z tą ziemią nie rozłączy, z jego domem i z Laikipią...

LATAJ DLA MNIE, PTAKU SŁOŃCA. LATAJ WYSOKO.

Emanuel

## 29. Aidan

Wokół nas panowała cisza, w której tylko wiatr grał, i czystość niezwykle odległa od ludzkiego świata.

Wilfred Thesiger, *Desert, Marsh and Mountain: The world of a nomad*

Życie, jak koncert, składa się z wysokich i niskich dźwięków, pauz i porywających pasaży, które odbijają się echem ogłuszających uderzeń serca.

W moim życiu, jak w życiu większości ludzi, były emocje wypełniające moje serce, głosy, których szukałam, by odpędzić samotność i ciszę, i wreszcie romantyczne uniesienia przeradzające się w pokusę, której nie chciałam przewyciężyć. Zdarzyło się spotkanie, które na jakiś czas przeniosło mnie z powrotem w dni wczesnej młodości, w kruchą namiętność związku bez żadnej przyszłości.

Był spacer po plaży o zachodzie słońca, różowe kraby, które drażniły fale, tańcząc na cienkich, długich nóżkach, niczym duchy. Był wiatr i cisza nadciągającego zmierzchu, palmy, kropelki słonej wody na wargach i powiekach, jazda na nartach wodnych w morskiej zatoczce. Były hipopotamy, niespokojnie porykujące nocą i słońce, co o wczesnym poranku sączy się przez płótno namiotu. Były wieczory wypełnione muzyką i podniecające uczucie „życia chwilą”. Był zachód słońca i świadomość, że może nie być jutra, że rzeka życia nieustannie płynie, niosąc z sobą nasze marzenia i smutki.

Na kanwie życia widnieje wiele wyszytych wzorów, ale nić mojego związku z Paolem nigdy nie została przerwana — nawet przez jego śmierć — gdyż nasza miłość sięga tak głęboko jak zasilane podziemnymi źródłami rzeki, które pojawiają się i znikają w głębi ziemi, by znów płynąć w ukryciu do swego ujścia.

Sprawozdanie z mojego życia w Afryce nie byłoby pełne czy szczerze, gdybym pominęła pierwszego mężczyznę, którego pokochałam po śmierci Paola, pozostawił on bowiem w moim życiu niezatarty ślad.

Pewnego dnia otrzymałam zaproszenie na wesele jednej z córek Jasperów, które miało się odbyć w jakimś odległym i nie znanym mi miejscu. Aż do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy pojadę, bo oznaczałoby to, że musiałabym pojechać do Nairobi z Wanjiru i Sveva, a potem, kierując się mapą, odszukać to miejsce gdzieś niedaleko Gilgil.

Od śmierci Paola, od której upłynęło prawie dwa lata, nie jeździłam samochodem do Nairobi. Zawsze wybierałam lot samolotem. Z początku powodem była ciąża, a później, po urodzeniu Svevy, po prostu tak było wygodniej. W każdy piątek zabierałam Emanuela ze szkoły, jechałam na lotnisko Wilson i z którymś z przyjaciół leciałam samolotem Paola do Ol Ari Nyiro. Od czasu do czasu Emanuel zostawał na weekend u przyjaciela.

Droga do Laikipii była bardzo kiepska, ale ostatnio naprawiono ją i pokryto nową nawierzchnią. Mimo to rano pomyślałam, że ta uroczystość

stanowi świetną okazję, by wrócić między ludzi z mojego dobrowolnego wygnania. Czułam się dobrze i lubiłam te wiejskie wesela. Lubiłam też Jaspera. Nie wiedziałam jeszcze, że decyzja ta będzie miała nieoczekiwany wpływ na moje życie, tam bowiem poznałam Aidana.

Mówiło się o nim często, ale rzadko widywało w towarzystwie, zaś Paolo wyrażał się o nim z wielkim szacunkiem. Aidan był wzorowym ranczerem, który w nietuzinkowy sposób przeżywał życie jak przygodę. Spędzał wiele godzin w samolocie, doglądając swego ogromnego, rozrzuconego na wielkim obszarze majątku. Krążyły pogłoski, że kiedy tylko mógł, znikał na pustyni w pobliżu granicy z Etiopią, gdzie przez całe tygodnie wędrował, badając nowe tereny i szukając okazów rzadkich roślin. Swoje imię zawdzięczał wujowi, który podobno przez jakiś czas był najemnikiem sułtana Omanu, a potem w Iranie został zjedzony przez lwa. Aidan był człowiekiem o wielkiej charyzmie, emanowało z niego coś, co trudno było zdefiniować.

Pochodził z niezwyklej rodziny uczonych i farmerów, której członkowie przybyli do Kenii w początkach kolonizacji, dzięki czemu zdołali stworzyć wielkie dominium ranczerskie, a zarazem uniknąć rozgłosu. Po latach młodości spędzonych w atmosferze nieograniczonej afrykańskiej swobody i po studiach w Europie Aidan przejął zarząd nad rodzinnymi dobrami, osiągając tak znaczący sukces, że stał się czymś w rodzaju żywej legendy. Po tym, co o nim słyszałam, wykształciłam sobie jakiś jego obraz, który naturalnie bardzo chciałam skonfrontować z żywą postacią.

Wyobrażałam go sobie jak kenijskiego farmera o samotniczym usposobieniu. Sądziłam, że może dobiegać sześćdziesiątki, że jest wysoki, szczupły i ogorzały, z czupryną białych włosów i oczyma nawykłymi do patrzenia na bezkresne dzikie równiny.

Na farmie, gdzie miało odbyć się wesele, zastałam tłum gości, głównie właścicieli ziemskich z głębi kraju. Jak na większości tego typu imprez w Kenii reprezentowane tu były wszystkie pokolenia: jasnowłose i piegowate dzieciaki ze swoimi *ayah*, kobiety wystrojone w kwieciste suknie i mężczyźni, nawykli do krótkich spodenek khaki, ubrani teraz

w ciemne garnitury i krawaty. Goście skupieni w małych grupkach rozrzuconych po trawniku, popijali drinki, śmiejąc się i rozmawiając.

Zaczęłam witać przyjaciół, zatrzymując się to tu to tam, gawędząc z każdym z osobna. I wtedy ktoś powiedział:

— Poznałeś już Aidana?

Stałam w grupce czterech czy pięciu mężczyzn, którzy trzymali kufle z piwem. Nie miałam pojęcia, którym z nich był Aidan: dwóch już znałam, ale pozostali wyglądali bardzo młodo.

— Mam na imię Aidan — powiedział najwyższy, kłaniając się i dotykając kapelusza z szerokim rondem.

Słońce wychwyciło ciemnochabrowy błysk w jego oczach. Byłam zdziwiona — wydał mi się o wiele młodszy, niż sobie wyobrażałam i choć to zabrzmiało naiwnie, krzyknęłam:

— Tyle o panu słyszałam. Myślałam, że jest pan o wiele starszy! Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat.

— Ja też mnóstwo o pani słyszałem — odpowiedział szarmancko — i sądziłem, że jest pani o wiele starsza!

Roześmiałam się. Obserwowałam go z zainteresowaniem. Poważny ton, który zdawał się dla niego charakterystyczny, zabarwił jego głos, kiedy powiedział:

— Podziwiam panią za to, że po śmierci męża pozostała pani na swojej ziemi. Dzielna z pani kobieta. — Czułam, że rzeczywiście tak myślał. Jego twarz była nieruchoma i zamyślona, kiedy dodał. — My, właściciele ziemscy, powinniśmy trzymać się razem.

— Właściciele ziemscy? — powiedziałam z namysłem, bo bardzo często właśnie nad tym się zastanawiałam. — Nie czuję się jak właściciel ziemski. Nie mogę zaakceptować, że my tę ziemię rzeczywiście posiadamy. Ona była przed nami i będzie po nas, kiedy umrzemy. Myślę, że tak długo, jak żyjemy, powinniśmy się o nią troszczyć jako jej administratorzy, i to najlepiej jak potrafimy. Ja nawet się tu nie urodziłam, a to, że mogę być odpowiedzialna za kawałek Afryki, uważam za swój wielki przywilej.

Zapanowała cisza i zrozumiałam, że coś się stało. Może moje stwierdzenie sprawiło, że uznał mnie, właśnie w tym momencie, za kogoś

wyjatkowego. Jego oczy spojrzały na mnie bardzo intensywnie, a w ich kącikach i na jego czole pojawiło się mnóstwo zmarszczek.

— Tak, ma pani rację — powiedział powoli, patrząc mi prosto w oczy. — Nigdy wcześniej nie myślałem o tym w ten sposób. Podoba mi się pani filozofia. Można się od pani wiele nauczyć. — Nie żartował. W jego opalonej twarzy oczy świeciły silnym blaskiem, który przypominał mi, niemal przyprawiając o ból, inne niebieskie oczy, bezpowrotnie utracone.

Spojrzałam na niego, próbując powstrzymać nagłe bicie serca. Jego włosy były poskręcane, niemal jak u Afrykańczyków, ale złotobrązowe. Te włosy, piękny etruski nos, doskonale wykrojone usta nad wyraźnie rzeźbionym podbródkiem, prosta szyja i dumna głowa przydawały mu klasycznego wyglądu. Przypominał antyczny posąg. Był najwyższy z obecnych tu osób i rozciągał aurę arystokratycznej gracji i męskości, kontrastującej z łagodnością i delikatnością wrażliwego człowieka, który kocha życie. Intrygowało mnie męskie piękno emanujące z jego szczupłej sylwetki, szerokich ramion, długich nóg, szczupłych nadgarstków, silnych dłoni o wąskich, ale stwardniałych palcach, nawykłych do ciężkiej pracy. Patrzył mi głęboko w oczy, a ja czułam, jak nogi się pode mną uginają. W głowie miałam tylko jedną myśl, która odganiała wszystkie inne: „On jest taki jak Paolo”. Połknęłam przynętę. Nic się nie zmieniło, dookoła kłębiło się mnóstwo ludzi, ale cała jego uwaga była skupiona na mnie, a moja na nim. Reszta się nie liczyła.

Po raz pierwszy w ciągu dwóch lat, odkąd umarł Paolo, poczułam pociąg do innego mężczyzny. Nie byłam na coś takiego przygotowana i instynktownie czułam, że się poważnie zakocham.

Zdawał się mieć wszystko, co dla mnie było atrakcyjne u mężczyzny. Otaczała go aura przygody i pionierskich czasów, które odeszły już w przeszłość. Postrzegałam go jako kogoś, kto potrafiłby sprostać największemu niebezpieczeństwu, kto jest odważny i odpowiedzialny, prowadzi spełnione i szczęśliwe życie z dala od miast i tłumów, pod bezkresnym niebem Afryki. Był człowiekiem przyzwyczajonym do przywództwa i podejmowania ryzyka. Miał dziwny sposób mówienia

krótkimi, urywanymi zdaniami, jak ludzie małowówni i nie przywykli do prowadzenia towarzyskich rozmów. Jego niski, poważny głos wydawał mi się wzruszający, a staroświecki szyk zdań — czarujący i miałam poczucie, że święcie wierzył w każde słowo, które wypowiadał. Był rycerski, uważny, choć tkwiła w nim ta nieuchwytna aura tajemniczości. Natychmiast zapagnęłam wiedzieć więcej, poznać głębię tego człowieka. A niesłychane fizyczne podobieństwo do Paola sprawiało, że nie potrafiłabym mu się oprzeć. Nie opierałam się.

Przed pożegnaniem zaprosiłam go na drinka, kiedy następnym razem będzie w Nairobi. Mógł nigdy nie przyjechać. Tydzień później przyjechał.

Potem zjawiał się u mnie często, zawsze nieoczekiwanie. Kochałam go jak kogoś, kogo zawsze szukałam. On kochał mnie, tak jak kochał pustynię: przy mnie mógł czuć się całkiem swobodny, jak wtedy, gdy był na północy ze swoimi ukochanymi wielbłędami.

Utrzymywaliśmy ten związek w tajemnicy, ponieważ Aidan miał rodzinę, o którą musiał się troszczyć, ja zaś świetnie rozumiałam, że był rozdarty między uczucie do mnie a poczucie uczciwości i obowiązku. Był to jedyny cień, jaki padał na nasz wspólnie spędzany czas.

Aidan zjawiał się w nocy, wnosząc z sobą powiew otwartych przestrzeni i ilekroć przyjeżdżał, doznawałam wrażenia, jakbyśmy znów odnaleźli się po wielu latach. Fascynowało mnie w nim intrygujące połączenie dzikości i wyrafinowania. Często przywoził z sobą mały, zniszczony tomik poezji, które czytywał mi swoim głębokim, męskim głosem aż do świtu. Wiersze Tennysona, Kiplinga czy Wordswortha odwoływały się do romantycznych stron jego awanturniczej natury, a mnie prznosiły w czasy młodości i poezji, którą recytowaliśmy z ojcem. Często też ja czytałam mu moje opowiadania. Chwile te były dla mnie bardzo cenne. Świece paliły się, a w tle grała cicho muzyka. Czas nie istniał. Kiedy mój kochanek odjeżdżał wraz z pierwszym światłem poranka, zdawało mi się, jakby był postacią ze snu. Wracając do łóżka, często sama siebie pytałam, jak długo potrwa ta niezwykła przygoda i jak bardzo będę cierpiała, kiedy obudzę się do rzeczywistości.

Tęskniłam za nim. Nigdy nie wiedziałam i nigdy nie pytałam, kiedy — i czy w ogóle — znów go zobaczę. Mijały dni. Mijały tygodnie i znów materializował się przed moimi drzwiami, przynosząc z sobą swój czar, jakiś drobny prezent i ciepło pustynnego wiatru. Nauczyłam się niczego od niego nie oczekiwać, gdyż wiedziałam, że dawał mi wszystko, co mógł. Przyjmowałam jego obecność jako dar. Poruszał we mnie głęboką strunę, zapalał coś, co przekraczało czas i granice. Cudowność naszych spotkań, ich jakość rekompensowała rzadkość odwiedzin.

Jedyną osobą, która wiedziała o istnieniu Aidana w moim życiu, był Emanuel. Zwierzałam mu się, mogąc liczyć na jego dyskrecję i ciche wsparcie. W ich charakterach było pewne podobieństwo. Stosunki między nimi polegały na wzajemnym szacunku i instynktownej sympatii, jak mężczyzny z mężczyzną. Potrafiłam ich sobie świetnie wyobrazić idących razem w ciszy jakimś zapomnianym, północnym szlakiem.

Lubiłam marzyć, że pewnego dnia to się zdarzy.

### 30. Wąż wskrzeszeniec

Wszystko zważyłem i przywiodłem na myśl,  
Wielka otchłań przeszłość moją wchłania  
I przeszłość w wielkiej się waży otchłani  
Na szalach życia i umierania.

W.B. Yeats, *Lotnik z Irlandii przeczuwa swą śmierć*  
(przekł. Artur Międzyrzecki)

Święta wielkanocne spędziliśmy z rodziną Douglas-Hamiltonów. Było wspaniale. Wcześniej rano chodziliśmy z Orią, Iainem i Luką na spacer, by podglądać słonie. Miały one swoje ulubione miejsca przy Tamie Paola w Kuti i przy zbiorniku pod platformą widokową wybudowaną na ogromnej gerardii. Wdrapywaliśmy się na drzewo i ukryci



wśród gałęzi jak ptaki w gnieździe — sami nie będąc widziani — obserwowaliśmy zwierzęta, które przychodziły tam ugasić pragnienie. Słonie były tak blisko, że czuło się ich zapach, a w całkowitej ciszy południa jedynymi odgłosami, jakie słyszeliśmy, było ssanie trąb w zamulonej wodzie i burczenie w słoniowych brzuchach.

Któregoś ranka Emanuel pojechał na swoim motorze odwiedzić Ferine, która na kilka dni zatrzymała się u swojej rodziny nad jeziorem Baringo. W powrotnej drodze, wieczorem, kiedy tylko wjechał na teren naszego rancza, skończyła mu się benzyna, więc wezwał nas przez krótkofalówkę. Zabrawszy pełen pojemnik paliwa, pojechałam wraz z Sabą go odszukać. Znalazłam motor na środku ścieżki, ale Emanuela nigdzie nie było. W kurzu nie widziałam nawet śladów jego butów, jakby rozpląnął się w powietrzu.

Tymczasem zapadł zmrok. Szukałyśmy Emanuela i właśnie wtedy, gdy już zaczynałam się martwić, posłyszaliśmy dziwaczny chichot, dobiegający gdzieś z góry. Emanuel siedział na samym wierzchołku akacji, popijając piwo i drwiąc z naszego strachu. Kazałam mu natychmiast zejść z drzewa. Wciąż roześmiany napełnił bak paliwem i zapuścił motor. Saba wskoczyła na tylne siedzenie, a ja wsiadłam do samochodu i ruszyliśmy w drogę.

W światłach reflektorów oczy nocnych stworzeń fosforyzowały w ciemności. Przyglądałam się jadącym przede mną młodym. Z rozwianymi włosami, rozgadani i poszturchujący się nawzajem, zdawali się w tej majestatycznej, afrykańskiej nocy ucieleśnieniem młodości, szczęścia i wolności...

Nazajutrz przygotowałam na lunch gigantyczne wielkanocne jajko dla Svevy i po czekoladowym zajączku dla wszystkich. Orią zrobiła zdjęcia Emanuelowi. Siedział u szczytu stołu na miejscu należącym kiedyś do Paola, trzymając na kolanach Sveve. Saba i Dudu trzymały w garściach łagodne zielone węże łąkowe i piaszkowe, a szyje ich oplatały osobliwe girlandy węzowych ciał.

Potem ruszyliśmy wzdłuż rzeki, by urządzić piknik z barbecue przy źródle Mukutanu. Po drodze znaleźliśmy młodego elanda zabitego niedawno przez lwa. Nie opodal zgromadziło się już mnóstwo sępów.

Emanuel i Luka wykroili dla nas kawałek mięsa, a resztę zostawiliśmy lwu. Emanuel jechał na swojej błękitno-żółtej yamasze, a gdy wyprzedzał nasz samochód, Oria zrobiła mu zdjęcie.

Po powrocie zauważyłam, że dzieciaki coś kombinują, a wieczorem Kipiego i Rachel weszli, uśmiechając się chytrze, i podali mi na srebrnej tacy okrągłą czekoladową babkę. Okazała udekorowana sproszkowanym kakao, barwionym cukrem i drobnymi kwiatkami babka okazała się po prostu wielką kupą słoniowego łajna.

Na zakończenie wieczoru Emanuel i dziewczynki Hamiltonów, które wyglądały prześlicznie w swoich trykotowych kombinezonach w lamparcie cętki, tańczyli na dachu salonu. Emanuel włączył swoją ulubioną kasętę: „Heat of the Moment”. Iain, Oria i ja siedzieliśmy na podłodze i robiliśmy im zdjęcia. Te szczęśliwe chwile na zawsze pozostaną w mej pamięci.

W świąteczny poniedziałek rano otrzymaliśmy przez radio wstrząsającą wiadomość, że Jack Block nie żyje. To nieszczęście stało się podczas łowienia pstrągów w jakiejś rzece w Chile. Ciała nie odnaleziono. Nie było wiadomo, czy Jack utonął, czy też zmarł na atak serca. Jego brat, Tubby, zaledwie przed kilkoma dniami był ze swoją żoną w Laikipii z okazji rocznicy śmierci Paola. Żałowaliśmy Jacka. Bardzo zaangażowany w ratowanie dzikich zwierząt i w turystykę, stał się w kraju popularną postacią, szanowaną i podziwianą zarówno przez Afrykańczyków, jak i Europejczyków. Był to człowiek niezwykle żywy i interesujący, wrażliwy i lojalny, toteż nie potrafiliśmy pogodzić się z myślą, że spotkała go taka dziwna, dramatyczna śmierć w tak odległym kraju.

Wiadomość ta bardzo nas zasmuciła i zakłóciła świąteczną atmosferę. Znow zaczęłam rozmyślać o cienkiej granicy, która dzieli nas od niebytu. Popadłam — jak zresztą wszyscy — w refleksyjny nastrój. Postanowiłam nazajutrz pojechać do Nairobi i złożyć Tubby'emu kondolencje.

Po południu Emanuel poprosił, żebym wybrała się z nim do Wielkiej Tamy na ryby. Pojechalśmy, lecz nie czułam się usposobiona do takiej

rozrywki. Przez cały czas siedziałam na brzegu, zagadując do Emanuela, który wyciągał jednego czarnego bessa za drugim.

Siedząc tak na skalistej czerwonej ziemi, mówiłam mu o tymczasowości naszego przebywania na ziemi, o znaczeniu życia tu i teraz. Mówiłam o Paolu i jego miłości do tego miejsca, o naszym obowiązku zachowywania równowagi między tym, co dzikie, a tym co oswojone. Jeszcze raz powiedziałam mu o swojej ostatniej woli na wypadek, gdyby coś się ze mną stało. Słuchał w ciszy, pozornie zaabsorbowany łowieniem. Kiedy skończyłam, złożył wędkę, odsunął ją ostrożnie na bok i podszedł do mnie. Usiadł tuż przede mną, spojrzął mi prosto w oczy i powiedział poważnym tonem:

— Dobra, Pep. Wszystko zrozumiałem. A teraz ja ci chciałem powiedzieć, co masz zrobić, jeśli to ja umrę pierwszy.

Słońce zachodziło za ścianą tamy i w wieczornym cieniu nie widziałam dobrze jego oczu. Tuż obok nas wylądowało stado pelikanów, balansując szerokimi białymi skrzydłami tak, że nie pojawiła się nawet najdrobniejsza zmarszczka na gładkiej powierzchni wody.

— Ty nie możesz umrzeć. Masz siedemnaście lat — powiedziałam, ale nawet mnie to zaprzeczenie wydało się jakieś niepewne i słabe.

Emanuel nie zwrócił uwagi na moje słowa i ciągnął dalej.

— Chciałbym być pochowany blisko Paola i żeby na moim grobie też rosło akacjowe drzewko. Co do muzyki, to życzylibym sobie *Bolero* Ravela. Pod głową chciałbym mieć tę poduszkę, którą mi uszyłaś i na której wyhaftowałaś „NIE, PEP”. Na rocznicę — szampana. I, tak jak ty mówiłaś do mnie, też chciałbym, żebyś żyła nadal i opiekowała się Siewą.

W przyptywie lęku, jaki ogarnął mój umysł, zrozumiałam jednak, że musiał o tym myśleć już wcześniej. Lustrzaną taflę wody zmaciła jakaś ryba. Głośne gadanie ptaków zapowiadało zbliżanie się nocnej ciszy. Mój głos zabrzmiał jak głuchy szept:

— A na co miałbyś umrzeć w twoim wieku?

Nagły uśmiech zmienił jego twarz i w tym momencie już wiedziałam,

co powie. Ścisnął mnie za rękę, jakby chciał mnie pocieszyć. Jego głos był spokojny, ciepły, z lekkim odcieniem ironii, jakby wyjaśniał dziecku coś, co jest oczywiste. Wybrał suahili, jakby egzotyczny język bardziej pasował do egzotycznej śmierci:

— *Nyoka tu.* (Po prostu wąż.)

Wstał. Wpatrywałam się w jego długie, wysmukłe nogi, w długich do kolan butach. Do tej pory nie zauważyłam, jak bardzo urósł w ciągu ostatnich miesięcy. W bezruchu przed nastaniem nocy ciemność zapadała szybko, malując szarości i czernie na tym, co przed kilkoma sekundami było jeszcze płynnym złotem i żywym ciepłem. Miałam wrażenie, jakbyśmy tylko my dwoje zostali jeszcze na świecie. Zadrżałam.

— Proszę cię, nie! Jeśli ty umrzesz, to będzie także koniec dla mnie!

Podniósł swoją wędkę, ryby i ruszył w kierunku samochodu. Wyczuwałam, że się uśmiecha.

— Nie, Pep. Ty to przetrwasz. Poradzisz sobie. Chodźmy oczyścić te ryby.

Odpowiedź zamarła mi na ustach. Jechaliśmy w ciszy do domu.

Po intensywnym weekendzie wszyscy zdawali się zmęczeni. Emanuel jak zwykle pisał swój dziennik, wyciągnąwszy przed siebie szczupłe, muskularne nogi w obcisłych dżinsach. Biała koszula z okrągłym, rozpiętym kołnierzykiem i niebieska kamizelka uwydatniały jego młody, silny kark. Oria zrobiła jeszcze kilka zdjęć przy stole. Udało jej się uchwycić poważne oczy Emanuela w migotliwym świetle świec i ciemną czuprynę jego włosów.

Douglas-Hamiltonowie wyruszyli na wybrzeże wczesnym rankiem następnego dnia. Emanuel zawiózł ich samochodem na pas startowy. Nim oddalili się w swoim kierunku, zawrócili nad Kuti, by przelecieć nisko nad grobem Paola. Przewidziawszy, że Iain dla żartu zmusi mnie do położenia się brzuchem na trawie, przytuliłam się plecami do najwyższej petrii i posłałam kilka całusów.

Zaraz potem pojechałam do Nairobi, by spotkać się z Tubbyem. Ciało Jacka w końcu odnaleziono i stwierdzono, że umarł na atak serca. Może pękło z radości, że złapał największego w życiu pstrąga?

Nieco później na farmie Longonot w Naivashy miała się odbyć msza żałobna za duszę Jacka. Obiecałam, że na pewno na niej będę. Tego samego dnia wróciłam do Laikipii. Czulałam jakiś niepokój, dręczyły mnie złe przeczucia i chciałam być z moimi dziećmi.

W domu wszystko zdawało się w najlepszym porządku. Jednak następnego ranka Emanuel powiedział mi, że uciekła mu kobra, samica. Martwił się, ponieważ miała jakąś poważną infekcję i postanowił ją za wszelką cenę odszukać.

Bawiłam się właśnie ze Svevą, małym, krągłym, jasnowłosym aniołkiem, kiedy Emanuel przybiegł do nas. Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że zdarzyło się coś, co go zmartwiło. Wąż zwiisał mu bezwładnie z ramion, sprawiając wrażenie martwego. Był większy i grubszy, niż sobie wyobrażałam. To była kobra.

— Zabiłam ją — oznajmił Emanuel tonem rzeczowym, ale z odcieniem żalu. — Mapengo i ja wypłaszaliśmy ją dymem z jamy, gdzie się schowała. Przesadziliśmy z tym dymem i się udusiła. Serce przestało jej bić. Jest prawie martwa. To moja wina.

Na ogół potrafiłam przewidzieć zachowania Emanuela. Tak było i teraz. Spostrzegłam, że jakaś myśl zaświtała mu w głowie i przypomniałam sobie epizod, który zdarzył się przed kilkoma dniami, kiedy Colin, wdmuchując przez rurkę powietrze do płuc na wpół martwego cielaka, przywrócił go do życia. Wywarło to na nas wielkie wrażenie i Emanuel zadawał wtedy mnóstwo pytań. Teraz nagle wstał z wyrazem niezłomnego postanowienia w oczach i poszedł w kierunku domu z wężem zwisającym mu z szyi jak gruby, mokry ręcznik. Przez ramię rzucił tylko:

— Wezmę z barku jedną z tych twoich srebrnych słomek do drinków.

Na znak znużenia całą tą historią przymknęłam oczy. Wyglądało na to, że to się nigdy nie skończy, choć w przypadku Emanuela coś tak absurdalnego jak ratowanie jadowitej kobry metodą usta-usta, zdawało się

czymś zupełnie normalnym. Wyczuwając moją rozpacz, zatrzymał się i podszedł na chwilę, by mnie uspokoić.

— Ona już nie ma jadu. Właśnie plunęła mi z nory w gogle. — Wskazał na gogle wiszące na szyi, zapaskudzone szarą, lepką śliną.

Wzdrygnęłam się.

Kiedy wrócił nieco później, zobaczyłam, że mu się udało. Twarz miał rozjaśnioną, zmienioną tak, jak tylko jego twarz potrafiła się zmieniać. Opowiedział mi, jak serce kobry znów zaczęło bić i jaką radość sprawiło mu to, że pobudził ją do życia. Tego wieczoru opisał całą historię bardzo szczegółowo w swoim dzienniku i zakończył: „...i jeśli będzie żyła, nazwę ją «Wskrzeszeniec», ponieważ ze śmierci powróciła do życia”.

Kobrze to się udało.

### 31. Koniec świata

— Kto to jest Mungu? — spytałam.

— Mungu mieszka tam wysoko — odpowiedzieli — i Jeśli chce, żebyś żył, to żyjesz, a jeśli chce, żebyś umarł, umierasz.

Llewelyn Powys, *Confessions of Two Brothers*

Ten dzień zaczął się jak każdy inny w Laikipii: pukaniem do drzwi mojej sypialni. To Simon, z uśmiechem na ustach i słowami: *Jambo, Memsaab* — wniósł herbatę. Potem, merdając ogonami, wpadły psy, by się ze mną przywitać — na policzku poczułam ich zimne nosy. Wy-smukła sylwetka Simona rysowała się na tle okna, kiedy rozsuwał zasłony, wpuszczając do środka rozszalałe słońce. Było już gorąco. Deszcz się spóźniały. 12 kwietnia 1983, Wielkanoc. Zaraz potem weszła Sveva, obejmując swoją ulubioną afrykańską lalkę. Miała dwa i pół roczku — jasnowłosa cherubinek o głębokich, błękitnych oczach i pięknej, smagłej, brzoskwiniowobrazowej skórze, jak skóra Paola.

Piłam herbatę, kiedy Emanuel zapukał i wszedł, a za nim jego pies

Angus, duży, żółty owczarek alzacki, najdorodniejszy z synów Gordona. Emanuel stanął przy moim łóżku. Był w szortach i koszuli khaki z podwiniętymi rękawami. U jego paska zwisał nóż i nieodłączne szczypce do chwytania węży. Podziwiałam, jak bardzo wyrósł, jakie miał szerokie ramiona i jak bardzo męski był jego wygolony podbródek. Miał siedemnaście lat. Przystojny młody mężczyzna o łagodnym usposobieniu, błyskotliwym umyśle i intrygującej osobowości, co sprawiało, że był bardzo atrakcyjny dla dziewcząt.

— *Buongiorno*, Pep — powiedział swoim „nowym” męskim głosem. — Czy mógłbym dostać kawałek gumki?

Wiedziałam, do czego mu była ta gumka potrzebna. Używał jej do obwiązywania kawałka folii na brzegach wysterylizowanego słoika. Potem przyciskał szkło do zębów jadowych śmiercionośnej żmii sykliwej. Pod wpływem ucisku na gruczoł jadowy jego zawartość wytryskiwała do słoika. Emanuel potem krystalizował jad, stosując jakiś proces chemiczny. Znaleźliśmy gumkę.

— Idę wydoić węże.

— Nie znoszę, kiedy to robisz — powiedziałam z niezadowolaniem. Popatrzył mi dziwnie prosto w oczy i powiedział z leciutkim odcieniem rozbawienia:

— Ty zawsze się martwisz. Robiłem to dziesiątki razy.

Wiedziałam, że w gruncie rzeczy ma rację.

Nagle jego twarz zmienił nieoczekiwany uśmiech. Dotknął czule policzka Svevy i wyszedł, a psy za nim.

Stałam w drzwiach, patrząc, jak odchodził w świetle wczesnego poranka. Jego długi cień kładł się na trawie, a promienie słońca skrzyły się w jego złotych włosach. Szedł sprężystym krokiem w szpalerze kwitnących krzewów i drzew akacjowych, ze szczypcami do chwytania węży u pasa. Minął basen i zbliżył się do węzowej niecki. Był młody, silny i piękny... i już nie mój.

Patrzyłam za nim z dziwnym uczuciem niepokoju, który niczym ob ręcz zaciskał się na moim gardle. Kiedy znikł mi z oczu, trawnik zdał się nagle pusty. Westchnęłam i poszłam wziąć prysznic. Sveva ze swoją lalką ruszyła za mną. Wycierałam właśnie włosy ręcznikiem, kiedy usłyszałam walenie do drzwi. Było ono tak gwałtowne, że wprawiło w

drżenie szyby. Poczulałam nagłą suchość w ustach. Przestałam wycierać włosy i zawołałam:

— Kitu gani? (Co się dzieje?)

— *Mama*. — Tylko Mapengo, pomocnik od węży nazywał mnie tak familiarnie. Był to pełen szacunku sposób zwracania się Afrykanów do zamężnej kobiety. Ton jego głosu przyprawił mnie o dreszcze. Był zmieniony i nienaturalnie niski.

— *Mama, iko taabu kidogo...* (Jest mały problem.)

— Emanuel? *Nyokal* (Wąż?)

— *Ndiyo*. (Tak.)

— *Terepupa?* (Zmija sykliwa?)

— *Ndiyo*.

— *Wapi?* (Gdzie?)

— *Gikoni*. (W kuchni.)

Wielkim wysiłkiem woli postanowiłam nie popadać w rozpacz. Jeszcze nie teraz. Nawet przez sekundę nie przestawałam myśleć. Wiedziałam, że nie mogę tracić czasu pozwalając sobie na histerię. Byłam sama, nie mogłam liczyć na pomoc. Od lotniska dzieliło nas dwadzieścia minut drogi samochodem, a od domu Colina odległość ośmiu kilometrów. Byłam jedyną osobą, która umiała prowadzić i jedyną, która potrafiła pomóc. Wiedziałam również, że jeśli stracę głowę, to nic go nie zdoła uratować... Uratować go? Instynktownie wiedziałam, że jest już za późno, lecz musiałam próbować na wszelkie możliwe sposoby.

Tego dnia i przez następne zrzucałam warstwy mojego jestestwa tak, jak wąż zrzuca swoją skórę. Wychodziłam z siebie, obserwując z zewnątrz własne poczynania i znów powracałam w moją cielesną powłokę, spotykając w niej udręczoną duszę.

Teraz patrzyłam, jak jedna część mnie oderwała się i zapanowała nad drugą.

Ta nowa Kuki narzuciła na siebie wczorajsze, zmięte ubranie i niczym sprawny, pozbawiony uczuć robot, chwyciła krótkofalówkę i okulary, bez których nic by nie widziała. Nim dobiegła do drzwi, już wołała przez radio, starając się nadać głosowi spokojne i wyraźne brzmienie:



— Emanuela ugryzła żmija sykliwa! Żmija sykliwa! Bardzo poważnie! Wezwijcie latających lekarzy! Natychmiast! Ja już z nim jadę!

Powtórzyła tę informację dwukrotnie, po angielsku i w suahili, a upewniwszy się, że wiadomość dotarła gdzie trzeba, cisnęła krótkofalówkę, po czym rzuciła się w stronę kuchni. Kamienie w korytarzu były zimne pod jej biegnącymi, bosymi stopami. Dotarła na miejsce.

Ściany kuchni były zielone, a cisza wisiała jak całun. Afrykanie stali w bezruchu, jak tylko oni potrafią. Ich pozbawione wyrazu oczy zwróciły się na nią, a potem skierowały ku podłodze.

Emanuel siedział nieruchomo na betonie, z twarzą zwróconą do okna. Z przytłaczającym uczuciem nierzeczywistości uklękła przed nim. Z jego otwartych ust wypryskiwały pęcherzyki zatrutej śliny. Jego skóra była szara, oczy wytrzeszczone i szkliste. Nie drgnął nawet, gdy zamachała mu ręką przed oczami, nie widział.

W tym momencie znowu stałam się matką.

Prawą ręką Emanuel obejmował lewą, gdzie na czubku wskazującego palca pozostał maleńki czarny ślad po nacięciu nożem. Ani śladu krwi! Ukąszenie żmii!

Spojrzałam na jego palce o krótko przyciętych paznokciach i moszą bransoletkę wokół nadgarstka, prezent od dziewczyny, której już nie pocałuje. Delikatnie ujęłam go za rękę i zaczęłam wysysać ranę. Ssałam i ssałam, ale nic z niej nie wychodziło.

Gdzie jest adrenalina, gdzie on ją schował? Czy jest czas, żeby jej szukać? Serum!! W lodówce! Szybko! Wyrwałam drzwi lodówki z zawiasów — efekt nadludzkiej siły, niemocy i rozpacz.

— *Emanuel! Emanuel ascoltami. Ti taglio la mano?* Czy mam ci odciąć dłoń? Czy mam ci odciąć ramię? — Bezsensowne pytania, poddyktowane beznadzieją i rozpaczą. Emanuel umierał i wiedziałam, że nic nie jestem w stanie na to poradzić. Kiedy otrzymał śmiertelną dawkę jadu, wygrzebał się jeszcze z węzowej niecki i dowlókł do kuchni, gdzie upadł. Na skutek straszliwego wysiłku trucizna szybciej dotarła do serca. Jego krew krzepła.

— *Emanuel!* — krzyczałam zdesperowana, próbując nawiązać z nim

kontakt, jeszcze raz usłyszeć jego głos, przywrócić mu świadomość — czy również ogłuchł? To chyba nie działo się naprawdę. Jego powieki drgnęły, a oczy popatrzyły na mnie z nieprawdopodobnym znużeniem; dostrzegłam w nich leciutki błysk rozpoznania.

— *Mamma* — wyszeptał chrapliwie. — *Muoio, mamma*. (Umieram, mammo.) — Zduszony głos nie był już jego głosem. Był pozbawiony wszelkiego wyrazu.

Na chwilę pociemniało mi w oczach i przestałam oddychać. Ból w mojej piersi dorównywał jego bólowi.

Nazwał mnie matką po raz pierwszy w życiu. To były jego ostatnie słowa.

Później doszukiwałam się w jego głosie nuty żalu, bólu, czy przerażenia. Ale była w nim tylko pewność, przeświadczenie nieuchronnej śmierci. Rozumiał i akceptował wszystko, co się działo. Wielokrotnie pogryziony przez żmije, miał świadomość — a ja nie — że kolejny raz może okazać się śmiertelny.

Jego oczy znów zaszyły mgłą, a ciało zeszytywniało. Wciąż trzymając go za rękę, spojrzałam w oczy Simona. Wyczytałam w nich to, czego nie potrafiłam jeszcze zaakceptować. Jak wszyscy pozostali czekał na sygnał, na rozkaz, co robić dalej. Mój głos zabrzmiał nienaturalnie spokojnie i jakby z oddali. To była ta druga Kuki.

— Simon, Mapengo. *Weka yeye kwa gari maramoja. Bebayeye pole pole. Sisi nakwenda saa hi*. (Zanieście go ostrożnie do samochodu. Nie pozwólcie mu się ruszać. Zaraz jedziemy).

Ze wszystkich rzeczy, które dotychczas przeżyłam i które kiedykolwiek przyjdzie mi przeżyć, najgorszą była ta beznadziejna podróż z moim umierającym synem bez żadnej szansy na ratunek. Wynieśliśmy go jak kłodę drewna i ułożyliśmy na tylnym siedzeniu samochodu. Simon trzymał głowę Emanuela na kolanach, a Mapengo wskoczył do bagażnika. Hałas silnika zagłuszył krzyki Svevy. Ogrodnicy i służba domowa patrzyli na nas w milczeniu.

Nacisnęłam pedał gazu i jednocześnie klakson — wystartowałam. Wzbijając tumany kurzu, w ogłuszającym hałasie, którego nie słyszałam,

bez litości wgrzyzając się kołami samochodu w kamienistą drogę, wciąż przerzucałam wzrok na lusterko wsteczne. Odbijała się w nim poszarzała twarz Emanuela i jego nieobecne oczy. Ponad wszystko pragnęłam go trzymać, całować i dotykać, ale musiałam prowadzić i koncentrować się na drodze.

Dwie żyrafy przecięły nam drogę przy *bomie* w Kati Kati. Z oddali dochodziło trąbienie wystraszonych słoni. Tuż przed Centrum o mało nie potrąciłam oślego zaprzęgu i w tym momencie poczułam w kończynach ból, który napływał falami. Moje łono kurczyło się, jakbym miała rodzić. Usłyszałam czyjś lament: kto to był?

Głowa Emanuela w lusterku. Wpatrywałam się w swoją twarz z otwartymi ustami: krzyczałam. Ręka Simona odwróciła lusterko, żebyśmy nie mogła w nie patrzeć.

Zatrzymałam się na trawniku za domem Colina. Smród przypalonych opon i pisk hamulców zawisł w powietrzu. Wypadłam z samochodu. To wyglądało jak film w zwolnionym tempie: Colin, Rocky, ich dzieci, psy... wszyscy szli w naszym kierunku. W ich oczach widziałam nieme pytanie.

— On nie żyje — powiedziałam po prostu. Mój głos, jak i moje ciało, nie należał już do mnie. Wszystko było jednym wielkim odrętwieniem.

Odchodziłam od zmysłów. Przeżyłam piekło i umarłam z Emanuelem i teraz świat mógłby już się zapaść i wchłonąć mnie ze wszystkim, na czym mi dotąd zależało.

Ale to nigdy nie jest takie proste.

Colin już otwierał drzwi, wyciągał go, badał puls, słuchał bicia serca.

— Nie. Jeszcze żyje! Szybko, no, dalej Ema! Szybko, Kuki. Oddychanie usta-usta. Natychmiast. Ja będę mu masował serce.

Ta druga Kuki z kamiennym obliczem pochyliła się nad twarzą chłopca. Wdmuchiwała, niezliczoną ilość razy, powietrze do jego ust. Głowa leżąca na jej udach była ciężka, wargi zimne. Powietrze uciekało spomiędzy nich wraz ze śliną. Colin rytmicznie uciskał klatkę piersiową Emanuela.

Jak długo to trwało, nie mam pojęcia. Czas się nie liczył. Nie istniało nic prócz twarzy mojego syna, jego ust, moich ust i rozpaczliwej nadziei. Modliłam się do nieznanego Boga, który daje nam życie. Obiecywałam mu wszystko, co miałam i wszystko, czym byłam, w zamian za to jedno, za życie mojego chłopca.

Bóg mnie nie słyszał.

Wlewałam życie w Emanuela, wydmuchując je z siebie wraz z całą moją miłością. Wdychałam i wdychałam, aż w końcu poczułam ciężką dłoń na moim ramieniu i usłyszałam głos — głos Colina.

— Przestań Kuki, on odszedł. O cholera! O cholera, Ema! On odszedł, już nic nie możesz zrobić.

Z wolna uniosłam głowę i spojrzałam na niebo Afryki. Pierwsze przerwały ciszę cykady. A potem krzyk tysięcy ptaków. Przez baldachim liści widziałam płynące bezgłośnie obłoki. Czekałam aż ziemia się rozstąpi i wszystkich nas pochłonie. Ale życie toczyło się dalej. Wzgórza były tak samo błękitne, a wiatr tak samo łagodny.

Usłyszałam jakby z oddali swój głos:

— To był mój syn.

Palce Colina wpiły mi się w ramię. Spojrzałam w górę, szukając uśmiechniętej twarzy mojego chłopca — czy unosił się jak uwolniony ptak nad wierzchołkami drzew?

— Dokąd odszedł?

Głos Colina załamał się w cichej odpowiedzi:

— On na ciebie patrzy, Kuki. Jest tam w górze z Paolem. Mają z ciebie niezły ubaw.

Kochany, dobry Colin. Wypowiedział słowa, które nie mogły mnie pocieszyć. Spojrzałam w mądre oczy Simona i w ich przepastnej głębi zobaczyłam swój żal. Spojrzałam na Mapengo. Płakał bezgłośnie.

— *Wapiyeye?* (Dokąd odszedł?) — powtórzyłam, nie oczekując odpowiedzi.

Czas się zatrzymał.

Cicha grupa Afrykańczyków otoczyła nas kołem. Nie widziałam, kiedy nadeszli. Teraz spostrzegłam ich bose, szczudłowate nogi, jak

*bomy* na drewnianych słupkach, ich połatane spodnie, stare *shuki*, bose stopy, gumowe sandały, zniszczone wysokie buty do safari. Prześliznęłam się wzrokiem po ich twarzach bez wyrazu.

Głowa Emanuela na moich nogach była coraz cięższa. Siedziałam, patrząc w jego martwą twarz. Cień wąsów na jego górnej wardze. Małeńkie znamię na policzku, którego nigdy wcześniej nie zauważyłam. Skórzany rzemyk wokół silnej szyi z amuletem Turkana, który mu nie pomógł. Piwne oczy były szkliste i otwarte, odbijało się w nich niebo, którego już nie widziały. Jeśli miałam żyć nadal, to teraz nastąpił punkt zwrotny. Koło życia przestało się toczyć i odtąd już miało obracać się tylko wokół własnej osi.

Wytałam usta i nos Emanuela. Musnęłam włosy na czole, żeby je uładzić. Pocałunek... dwa pocałunki, by na zawsze zamknąć mu oczy. Powieki były kruche, jak płatki gardenii.

Tak znowu śmierć. Znowu umarłam. Jeszcze jeden etap mojego życia się skończył.

I jeszcze raz się narodziłam. Ta druga Kuki wstała i usłyszałam, jak mówi:

— Zawieźmy go do domu i pochowajmy.

Promień słońca dotknął moich policzków. Było to zimne, martwe słońce.

## **32. Najdłuższy dzień — najdłuższa noc**

Lepiej jest umrzeć, gdy wciąż włosy twe jasne,  
w niesfornych lokach ułożą na ziemnej poduszce,  
jeszcze tylko twa matka poprawi knąbrny kosmyk,  
lekko, leciuteńko, by cię więcej nie skrzywdzić.

Giovanni Pascoli, *L'Aquilone*  
(przekł. Mirosław Gryka)

W ciszy, jak we śnie, złożyliśmy tę dziwną skorupkę, która kiedyś była Emanuelem, z powrotem do samochodu. Wślizgnęłam się na tylne siedzenie. Złożywszy jego głowę na kolanach, delikatnie całowałam jego

włosy, jego twarz, czego nie robiłam od czasu, gdy był małym chłopcem, lekko, leciusiętko, by nie zbudzić mego śpiącego dziecka.

Colin prowadził. Samochód jechał wolno. Wieść się już rozniosła i wszyscy wylegli na drogę. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy stali bez ruchu, jak milczący szpaler drzew. Samochód przejechał powoli przez cichy tłum.

Widziałam jak przez mgłę... ośli zaprzęg, słonie skubiące listki akacji, uciekającą żyrafę... Świat zdawał się nieporuszony. Guźce biegly z wyprostowanymi ogonami od *menandy* w Kuti. Zatrzymaliśmy się przed bramą. Wysłaliśmy Mapengo przodem, by zawiadomił ludzi i dopilnował, żeby Wanjiru zabrała Svewę. Była jeszcze małą dziewczynką, chciałam więc sama powiedzieć jej o śmierci Emanuela.

Ogród — wciąż ten sam. Zielona oaza kwiatów, krzewów, drzew i tysięcy niewidocznych ptaków, których beztruskich treli dzisiaj nie słyszałam. Żółto-błękitna yamaha, ukochany motocykl Emanuela, stał oparty o ścianę garażu, tam, gdzie go niedawno postawił. Z siodełka wisało kilka pustych worków na węże.

Przejechaliśmy przez trawnik pod wejście do sypialni.

— Gdzie? — spytał Colin.

Bez wahania, jakbym to zawsze wiedziała, odpowiedziałam:

— Na moje łóżko, po stronie Paola.

A gdzież by indziej !

Podczas gdy przygotowywano łóżko — deska, czyste zielone prześcieradło — czekałam w samochodzie pod tym samym drzewem, pod którym trzy lata wcześniej stała trumna Paola. Gdy przenoszono ciało mojego syna do pokoju, przypomniałam sobie, jak po raz pierwszytrzymałam go w ramionach: w innym świecie, w innym życiu, w Wenecji. Inna ja.

Przed laty, tamtej nocy, spadł śnieg. Zza okna sączyła się szara cisza, przerywana łamiącym się, stłumionym przez odległość krzykiem niewidocznych mew nad kanałem. Kołyska mego dziecka była biała, z koronkami. Ostrożnie, by nie uczynić mu krzywdy, wsunęłam na niego białą sukieneczkę ustrojoną wstążeczkami.

Teraz, kiedy leżał nieporuszony na łóżku, zdejmowałam z niego zmięte, poplamione ubranie khaki i przebierałam go rytualnie w czyste krótkie spodenki, wojskową koszulę, która kiedyś należała do Paola. Pamiętałam, że bardzo pragnął ją mieć; trzymałam ją jakbym na ten właśnie moment. Guzik po guziku, niezdarnymi palcami zapinałam ją lekko, leciuteńko, by nie zrobić mojemu dziecku krzywdy.

Obecność Colina, który pomagał mi bez zbędnych słów, podtrzymywała mnie na duchu. Trzymał miskę i po kolei podawał mi gąbkę, ręcznik, grzebień. Podczas gdy robiłam to, co musiałam, nie opuszczała mnie natrętna myśl: „Już nigdy więcej!”.

Kiedy Colin rozciągnął zasłony baldachimu nad łóżkiem, odwróciłam głowę. Nasze oczy jednocześnie spojrzały na strusie jajo. Wisiało wciąż w miejscu, w którym umieścił je Paolo, na środkowej belce baldachimu. Było matowo białe i niesamowite w swoim tajemniczym przesłaniu... miłości... śmierci... nadziei... może mądrości?

— Kuki — powiedział Colin — teraz musisz je rozbić. Teraz albo nigdy.

Miał rację. Cóż mogło się jeszcze zdarzyć?

Pociemniało mi przed oczyma, na jedną błogą chwilę straciłam poczucie rzeczywistości. Trwało to może kilka minut, a potem twarz Colina znów wyłoniła się z ciemności. Patrzył na mnie z niepokojem. Jego wytężone i baczne spojrzenie mówiło mi, że nie śniłam. Budziłam się do prawdziwego koszmaru.

Najdelikatniej jak potrafiłam, czesałam włosy Emanuela. Czarne, nienaturalne cienie rozlały się po jego twarzy. Brzydka fala śmierci i trucizny brała go w swoje posiadanie.

Pragnęłam być sama. Colin, respektując moje pragnienie wyłakania się w samotności, wyszedł mówiąc:

— Zawiadomimy przez radio twoich przyjaciół. Ktoś musi dotrzymać ci towarzystwa.

Chciałam pozostać sama ze swoimi myślami i zmierzyć się z czymś, z czym musiałam się zmierzyć. Wiedziałam, że ludzie przyjadą na pogrzeb. Pogrzeb Emanuela... Ależ to absurd! Jeszcze kilka chwil wcześniej

— kilka godzin temu żył... a teraz jakby upłynęły setki lat, całe tysiąclecia. Teraz już nie ma nic.

Przekazałam Colinowi to, co powiedział mi Emanuel... Kilka dni temu? Czy to było tylko kilka dni temu? Chciał mieć wielkie przyjęcie... muzykę i tylu przyjaciół, ilu da się powiadomić. W końcu przecież miało to być jego ostatnie przyjęcie. Poprosiłam też Colina, by załatwił wszelkie formalności i upewnił się, że nie będzie żadnej sekcji. Nie było takiej potrzeby. Wiedzieliśmy, jak to się stało. Pokiwał głową. Jak zawsze mogłam na niego liczyć.

Colin ujął moje ręce w swoje wielkie dłonie i popatrzył mi w oczy. Bez słowa spoglądałam na niego suchymi oczyma. On tylko się uśmiechnął. Tak długo, jak długo będziemy żyli, żadne z nas nie zapomni, przez co razem przeszliśmy. Drzwi zamknęły się za nim, pogrążając pokój w półmroku.

\*

Przez resztę dnia siedziałam przy Emanuelu. Tylko raz wyszłam z pokoju i zajrzałam do kuchni. Odniosłam wrażenie, że wszyscy, którzy tam wcześniej byli, zamarli w tych samych pozach, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Żaloba, niczym *shuka* osłaniała ich twarze. Czekali na moje polecenia.

Mówiłam cicho, dziękując im za troskę. Powiedziałam, że Bóg zabrał to, co dał, a my możemy tylko godzić się z tym, czego nie potrafimy zmienić. Poprosiłam, by wrócili do swoich zajęć i przygotowali wszystko na przyjęcie wielu gości. Jedzenie, picie, czyszczenie sreber, kwiaty w każdym pokoju, w każdym wazonie.

— *Endela na kazi. Funga chungu kwa roho, na angalia mbele. Kaza who, na apana sahou yeye. Akunainja ingine kusaidia mimi sasa* (Idźcie do pracy. Uciszczone serce i spojrzcie przed siebie. Nabierzcie otuchy i nie zapominajcie o nim. To jedyny sposób, w jaki możecie mi teraz pomóc.)

Spojrzałam na Mapengo. Nigdy nie widziałam tak przygnębionej twarzy. Spytałam, czy wie, który to był wąż. Wiedział. Młoda samica schwytała przed kilkoma miesiącami. Tak, rozpoznałby ją. Poprosiłam, żeby mi ją przyniósł. Nie różniła się niczym od innych żmij sykliwych.



Była tak samo gruba i ohydna, odpychająco ospała. Nie wiedziała, że była przyczyną mojego nieszczęścia. Mapengo błagał, żebym pozwoliła mu ją zabić. Potrząsnęłam głową. To nie była wina żmii. Pewna myśl zakiełkowała w mojej głowie. Kazałam Mapengo włożyć żmiję do worka, a ten worek do koszyka.

— Jutro powiem, co z nią zrobić.

Poszłam poszukać Svevy. Bawiła się cichutko, siedząc obok płaczącej Wanjiru. Wzięłam ją na kolana i, najdelikatniej jak umiałam, powiedziałam, co się stało.

— Jutro, a może nawet dziś wieczorem zobaczysz w domu mnóstwo ludzi.

— Dlaczego? — zapytała.

— Będzie wielkie przyjęcie.

Spytała, dla kogo — do jej urodzin było przecież jeszcze trochę czasu.

— Dla Emanuela — powiedziałam — bo odszedł od nas.

— Dokąd odszedł?

— Do papy.

— Dlaczego? — Oczy pociemniały jej ze zdziwienia.

— Bo papa go kochał i wezwał do siebie.

— Ja też go kocham. Dlaczego musiał odejść? — głosik jej się łąmał. — Jeśli on jest z papą, to nigdy go już nie zobaczę. — Sveva nigdy nie widziała swojego ojca.

— Teraz nie. — Spostrzegłam z rozpaczą, że mówię również do siebie. — Ale pewnego dnia, kiedy cię wezwą, zobaczysz się z nimi. Wszyscy pójdziemy tam, gdzie oni są teraz. Emanuel poszedł wcześniej. Wiesz, że on zawsze chodził szybciej od nas. — Ucałowałam jej ciepłe, pachnące mydłem włosy i wróciłam do pokoju. Świat żywych zostawiłam na zewnątrz.

Zapaliłam świecę i kadzidła. Wpatrywałam się w młode, martwe ciało. Całe jego życie rozbłysło w mojej pamięci obrazami wspólnych zabaw, pierwszych słów, które do mnie wypowiedział, pierwszych kroków. I ten jeden szczególnie obraz: kiedy z dumą podarował mi skórę węża.

Na stoliku przy łóżku stała fotografia, którą zrobiłam dawno temu. Spoglądał z niej na mnie swoimi smutnymi, mądrymi oczyma. Wokół jego szyi owijał się mały pyton. To był Kaa, jego pierwszy wąż, prezent ode mnie. Pamiętam, że kiedy wywoływałam to zdjęcie, doznałam jednego z moich tajemniczych przeczuć. — Wąż był jego przeznaczeniem! Emanuel też o tym wiedział.

Warkot samolotu. Przyleciały moje przyjaciółki, by mnie wesprzeć w tych trudnych chwilach. One także przeżyły swoje wielkie tragedie. Carol straciła swojego ukochanego mężczyznę w katastrofie samolotowej, a synek Aino zmarł na leukemię. Ściszone głosy, dźwięk zbliżających się kroków i oto były. Ktoś cichutko wszedł do pokoju i objął mnie. W oczach Carol tkwiła ta ponadczasowa mądrość. Wiedziałam, że mi współczują. Nie było potrzeba wielu słów, nikt inny nie zrozumiałby lepiej mego bólu.

Z wolna zapadał zmrok. Nowy, straszliwy dźwięk wdzierał się do mnie przez zamknięte drzwi. Kopano grób.

Najdłuższy dzień mego życia szybko chylił się ku końcowi. Jakiś samochód zbliżał się w niemal całkowitych ciemnościach. Przez głowę przemknęła mi myśl: Aidan! Czyżby już wiedział? Bardzo lubili się z Emanuelem. Warkotliwy odgłos wciąż się wzmaczał. Szyby zdrząły. Iain, tylko Iain latał w ten sposób. Douglas-Hamiltonowie wracali.

Wieści rozchodzą się po Kenii jak pożar buszu. Do zmroku dom był pełen naszych przyjaciół. Słyszałam, jak podchodzą pod drzwi pokoju. Coraz więcej kroków, szeptów za drzwiami... Przylatywali samolotami, przyjeżdżali samochodami albo miejscowymi taksówkami. Twarz miałam mokrą od łez innych ludzi.

Nastała noc i w ciszy rytmiczny dźwięk kopania zdawał się wzmacniać. Nie wytrzymałam, zamknęłam za sobą drzwi i poszłam zobaczyć to na własne oczy. Za progiem, z podwiniętym ogonem leżał Angus, pies Emanuela. Pysk złożył żałośliwie na przednich łapach, a uszy przypłaszczył z rozpaczy. Mój pies, Gordon, jakby respektując pierwszeństwo swojego syna do żałoby, siedział w oddaleniu na trawniku.

Przy grobie Paola paliło się ognisko. Skierowałam się w stronę jego światła. Ciche rozmowy umilkły, gdy podeszłam. Na chwilę ustał głuchy, tępy odgłos kilofów i łopat. Z prostokątnej dziury, wykopanej głęboko w twardej ziemi pachnącej grzybami, wyjrzały spocone twarze. Ktoś wyszeptał:

— *Pole*.

Czarne twarze, białe twarze, młode i stare... Wszyscy po kolei kopali grób mojego syna.

Dotknęłam miękkiej kory młodego lecz silnego drzewka, które było Paolem. Podziękowałam wszystkim i skierowałam kroki do mojego zamkniętego pokoju, który stał się świątynią. Ostra kwietniowa trawa kłuła mnie w stopy.

W nocy przyszedł Colin z dokumentami do podpisu. To był akt zgonu mojego syna. Nie pytałam, jak zdołał go załatwić, ale jakoś mu się udało. Próbując opanować drżenie rąk, w rubryce „Przyczyna zgonu” zaznaczyłam krzyżykiem punkt: „zabity przez zwierzę lub węża”. — Czyżby wąż nie był zwierzęciem? — A na końcu dokumentu złożyłam swój podpis, tak jak niegdyś zrobiłam to w Wenecji pod aktem urodzenia.

Wzięłam pióro i papier do pisania. Najdłuższa noc dopiero się zaczęła. Czuwając przy Emanuelu, chciałam opisać wszystkie swoje uczucia. — Ostatnia rozmowa z moim synem. Pisałam przez całą noc. Co jakiś czas wychodziłam do ogrodu i patrzyłam na płonące ognisko. Góra ziemi i kamieni stawała się coraz wyższa. Moja suknia trzepotała w chłodnym, wschodnim wietrze.

Colin uprzedził mnie, że po ukąszeniu żmii po pewnym czasie następuje silny krwotok pośmiertny. Przygotowałam stos starych tetrowych pieluch. Gdy z nozdrzy Emanuela zaczęła sączyć się krew, otarłam je delikatnie. Idąc spalić pieluchę pod kuchnią, zauważyłam, że Angus gdzieś zniknął.

Raz czy dwa razy zdawało mi się, że pierś Emanuela jakby się uniosła. Przykładałam ucho do jego serca, ale to było tylko złudzenie. Jego biedne młode ciało pozostało nieruchome i zimne jak kamień. Moje ostatnie chwile z nim sam na sam... Po raz ostatni patrzyłam na niego,

mówiłam, błagałam, wspominałam, szłam po omacku przez tajemnice przeznaczenia, próbując znaleźć przyczynę jego śmierci.

Skorupa strusiego jaja nad łóżkiem była tak samo pusta jak martwe ciało Emanuela. Czy na tym właśnie polegała tajemnica Paola? Sztywnymi palcami zapisałam moje ostatnie słowa. Chciałam dotrzymać obietnicy... Być dzielna i nie zawieść go.

Nad ranem krwawienie ustało. Zużyłam wszystkie pieluszki. Jeszcze raz umyłam twarz mojego dziecka. Jej kształt się nie zmienił, ale była teraz czarna jak twarz Afrykańczyka.

Przeszukałam szafkę, chcąc znaleźć coś do odstraszenia wszechobecnych much. Znalazłam truciznę na owady, którą zostawił ktoś z naszych przyjaciół. Wtarłam trochę płynu w ciało Emanuela. W nozdrza uderzył mnie słodkawy, dziwnie znajomy zapach. Ten sam, którym przesycona była kostnica w dniu pogrzebu Paola. Dokładnie taki sam zapach unosił się nad jego grobem, kiedy go porządkowałam. Kolejny tajemniczy znak. Później, zaskoczony moim nagłym pytaniem, Amedeo powiedział, że takim samym płynem natarł ciało Paola. Kolejny tajemniczy związek, którego nie potrafiłam rozwikłać. Wszystko było możliwe, absolutnie wszystko, skoro mój syn umarł w Afryce. W oszołomieniu zakryłam jego twarz czystą chusteczką. Czerwony hibiskus na jego piersi zwiądl.

Kiedy gwiazdy zbladły, grób był gotowy. Ukończyłam moje requiem. Najdłuższa noc dobiegła końca. Wysłam na zewnątrz, gdzie spotkałam Iaina. Jego bystre, piwne oczy patrzące zza okularów zdawały się przemęczone. On też przez całą noc czuwał. Położyłam znużoną głowę na jego ramieniu, a on wziął mnie za rękę i poszliśmy do grobu. Ognisko wciąż płonęło. Wielki kopiec ziemi i kamieni piętrzył się nad głębokim dołem, na którego skraju przykucnął Mapengo. Przemawiał w swoim języku do Angusa, a pies tulił się do jego nóg. Na długie miesiące, które miały nadejść, stał się jego nieodłącznym cieniem.

Powiedziałam Iainowi, jakie będą słowa mojej mowy pożegnalnej w czasie ceremonii pogrzebowej. Poprosiłam, by ostatni raz powiedział

wiersz Dylana Thomasa, który kiedyś recytował mnie i Emanuelowi.

— Chyba nie będę w stanie — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Strasznie lubił Emanuela.

— Jeśli ja zdołam wykrztusić słowo, to ty też.

Iain kiwnął przytakująco głową. Milczące porozumienie zostało zawarte. W porannej rosie zakwitł nowy kwiat hibiskusa. Zerwałam ich kilka, żeby zanieść mojemu synowi.

Weranda i salon pełne były ludzi o zaspanych twarzach i zapuchniętych oczach. Służba, pomna na moją prośbę, ze wzruszającą troską nakrywała w pośpiechu stół do śniadania, jak każdego innego dnia. Rachel o nieprzeniknionej twarzy, wywodzącej się z plemienia Nandi, składała perfekcyjnie białe serwetki. Miejsce Emanuela u szczytu stołu zostało przygotowane jak zwykle. Jeszcze wczoraj siedział tam, pałaszując jajka na bekonie. Nie mogłam znieść myśli, że ktoś inny mógłby zająć to miejsce, które pierwotnie należało do Paola. Pod wpływem impulsu wyrwałam jeden kwiatek z bukietu, który niosłam i położyłam go przed talerzem Emanuela.

— Nikt nie będzie siedział, Rachel, na krześle naszego *kijany*.

— Spojrzała na mnie. — Ani dziś, ani jutro. Będiesz zrywała jeden z tych czerwonych kwiatów, które on kochał i będziesz kładła go tutaj, na tym stole, do każdego posiłku. Od tej chwili to będzie nasz nowy *desturi* (zwyczaj).

Skinęła milcząco głową. Nie umiała ani czytać, ani pisać, ale to rozumiała natychmiast. W Afryce *desturi* był czymś świętym i akceptowanym bez zastrzeżeń. Rachel dopełnia tego obowiązku po dziś dzień.

Ludzie wciąż napływali. Samochody, samoloty... Dom jak ul wibrował od stłumionych dźwięków, szeptów, głosów. W pewnej chwili usłyszałam tupot wielu kroków i długi, przeciągły, żalony szloch. Był przesycony tak wielką rozpaczą, że powstrzymałam oddech. Otworzyłam drzwi... W otoczeniu grupy zasmuconych młodych ludzi stała dziewczyna w sukni z surowego jedwabiu. Wszyscy chłopcy byli ubrani w marynarki i krawaty. Dziewczyny w eleganckich sukniach, jakby

przyszły na przyjęcie. Wszyscy pocieszali zapłakaną dziewczynę gestami pełnymi czułości i oddania. Jej rudawoblond włosy kontrastowały z oliwkową skórą. Usta miała pełne. Była piękna. Migdałowe, nakrapiane złotem oczy były zapuchnięte od płaczu, a twarz mokra od łez. Przyciskała do piersi naręcze kwiatów, jakby czerpała z nich siłę i pocieszenie. Nigdy jej nie poznałam, lecz jeszcze zanim przemówiła, wiedziałam, że to była Ferina. Ona też go kochała. Miała może piętnaście lat. Otworzyłam po prostu ramiona, cicho wymawiając jej imię, i przyjąłam jak córkę.

W nocy zdecydowałam, co zrobić ze strusim jajem. Nie było sensu pozostawiać go dłużej w naszym pokoju. Jeśli zawierało w sobie jakieś przesłanie, musiałam je odczytać natychmiast. Teraz albo nigdy.

Gdy wniesiono trumnę i złożono w niej ciało Emanuela, poprosiłam o nożyczki. Ostrożnie wspierałam się ku belce i przecięłam nylonową nić tuż przy węzłku, który niegdyś zawiązał Paolo. Już nigdy nie dowiem się, co napisał w liście do mnie, ukrytym w skorupie jaja. Pozostawił mi wybór, co z nim zrobić. Jego turkusowe oczy były nieprzeniknione, gdy mi o tym mówił. Teraz niosłam jajo z myślą, że złożę je wraz z zawartą w niej tajemnicą jako wielką ofiarę dla Emanuela. Tajemnica ukryta w jajku zostanie pogrzebana wraz z tajemnicą śmierci. Obydwie skorupy — jajo i ciało Emanuela — były puste.

Dusza Emanuela wykluła się ze skorupy.

Nasi przyjaciele wynieśli Emanuela tam, gdzie kiedyś stała trumna Paola. Jeszcze raz ujęłam w dłonie rękę mojego syna. Między palcami trzymał swoje szczypcy do chwytania węży, nasze fotografie i nasze listy. Spojrzałam na niego.

Ostatni raz. Ostatni raz. Ostatni raz.

Skinęłam głową, by zakryto wieko. Młodzi przyjaciele Emanuela podnieśli trumnę... Ruszyłam samotnie za nimi.

Do grobów szliśmy w ciszy.

### 33. Drugi pogrzeb

Gdzie to wszystko odeszło?

W bezruchu popołudnia stałam nad pustym jeszcze dołem. Obok mnie Oria i biedna, zrozpaczona Livia. Dorastała razem z Emanuelem, kochała go jak brata. Właśnie przyjechała do Nairobi, zadzwoniła do mnie i dowiedziała się o jego śmierci. Kolejny cios. Po śmierci matki i ojca odszedł również jej przyjaciel, Emanuel.

Iain poprosił, by zgromadzeni podeszli bliżej. Trumna wisiała nad dołem na grubych sizalowych linach. Na jej wieku leżało serce z czerwonych goździków. Na czarnej wstążce można było odczytać imię — Ferina.

Stałam w cieniu akacji zasadzonej na grobie Paola, obserwując Mampengo. Był ubrany w najlepsze, długie spodnie. Czekał ze zwieszoną głową na mój znak. Tuż obok niego przysiadł Angus, a u jego stóp leżał mały koszyk.

Przybyli wszyscy pracownicy rancza. Kobiety w kolorowych *shukach* i naszyjnikach z mosiądzu i paciorków. Mężczyźni w swych odświętnych strojach. Tłum stał półkolem wokół trumny. Wszyscy patrzyli na mnie, a ja miałam wrażenie, że uczestniczę w jakimś nierealnym widowisku. Myślę, że istnieje jakiś próg bólu, granica, za którą wkracza się w bezmyślne odrętwienie. Świadoma najdrobniejszych szczegółów przeżywałam te chwile, starając się zapanować nad sobą. Ema nie chciałby, żebym się poddała. Jeszcze nie teraz.

Ptaki krakały na szczytach drzew. Rozgrzane powietrze falowało. Patrzyłam na te wszystkie młode, zasepione twarze. Odkrycie, że śmierć może sięgnąć nawet po nich, że nawet młodość ich nie chroni, wstrząsnęła nimi. Stali zbici w gromadkę jak stado przerażonych ptaków. Jeszcze niedawno bawili się razem z Emanuelem — teraz go opłakiwali. To nowe doświadczenie bezpowrotnej straty kogoś bliskiego uczyni ich dojrzałymi, lepszymi, mądrzejszymi.

Już wcześniej przemyślałam sobie przebieg całej ceremonii. Musiałam panować nad głosem i zrealizować swój plan krok po kroku,

słowo po słowie — mogę, muszę, poradzę sobie. Pomyślałam o ojcu i o tym, czego mnie nauczył...

Oria dotknęła mnie gorącymi palcami. Oczy miała zapłakane i było w nich tyle ciepła, tyle współczucia i mądrości, że poczułam się mniej samotna w mojej matczynej rozpacz. Biała suknia Orii pasowała do mojej. Wielu gości ubranych było w biel: przypominali procesję żałobników z greckiej płaskorzeźby, którzy nagle ożyli. To miejsce, to zdarzenie, rozpacz, przytłumione szlochy, ptaki, wiatr i słońce: cała scena zdawała się jakby ze snu. A może to jest sen... Emanuel nie umarł... Zaraz tu przybiegnie, uściska mnie, psy zaczną szczekać z radości, wszyscy będziemy się śmiać, ten makabryczny żart raz na zawsze się skończy...

Stałam przed trumną... Ludzie czekali na moje słowa. Musiałam zacząć. Raz jeszcze poczułam dziwne rozdwojenie.

Ta druga Kuki mówiła powolnym, zmęczonym głosem:

Jeszcze wczoraj  
śmialiśmy się razem.  
Dziś z twoimi przyjaciółmi  
jestem tu, by żegnać cię, Emanuelu.

Pochowałam męża — było ciężko.  
Jedyne go żegnać — wbrew naturze...  
Bólu matki,  
czy są słowa, które cię ukoić mogą?

Byłeś mężczyzną,  
choć zaledwie chłopcem.  
Życ mógłbyś jeszcze  
z pewnością siebie człowieka dojrzałego.

Umierałeś bez obaw,  
śmierć przyjąłeś godnie, jak gościa,  
którego jednak przyjąć trzeba.



Byłeś dzielny i byłeś urodziwy,  
dawałeś miłość i brałeś miłość,  
a szczerą przyjaźń rzucałeś jak złoto  
do skarbca pamięci swoich przyjaciół.

Każdemu stałeś uśmiech  
promienny jak słońce o świcie,  
który przyrzeka dzień wielkiej przygody  
wszystkim pięknym ludziom.

Siedemnastoletni, nad wiek mądry,  
stawiałeś wciąż pytania, niecierpliwy wiedzy.  
Czy już poznałeś wszystkie odpowiedzi?  
Mój synku, mój Emanuelu...

Pytam cię, gdzie jesteś?  
Bo tu tylko twoje ciało.  
Czy słońcem jesteś  
na niebie Afryki?  
Czy wędrujesz nad chmurami? Czy opadasz z deszczami?  
Czy wiatrem jesteś,  
mój Emanuelu?

Będę cię szukać,  
w każdym ptaku,  
w pąku każdego kwiatu,  
w czerwonych zachodach słońca  
i w każdym wijącym się wężu.

Wszystko, co piękne,  
Co młode i dumne,  
Wszystko, co silne, dobre  
I niewinne...  
Nie zapomni ciebie.

Byłeś niezwykły,  
niezwykłe też miałeś życie  
i śmierć twoja niezwykajna była...

Dla tych, którzy pozostali,  
pytania muszą starczyć za odpowiedź.  
Jaki jest sens takiej straty?

Kochamy cię Emanuełu,  
lecz gdzie kierować tę miłość?

Jak była długa twa podróż?  
Czy już dotarłeś na miejsce?

„Lataj dla mnie, ptaku słońca.  
Lataj wysoko”  
tak napisał ci kiedyś mój mąż, Paolo

Kocham cię

Mój głos załamywał się. Zamknęłam oczy, próbując znaleźć się  
gdzie indziej...

Mokra od łez twarz Livii spoczęła na moim ramieniu. Ktoś położył  
na nim rękę. Iain dotrzymał słowa. Opanowanym, silnym głosem przy-  
wołał słowa walijskiego poety w wierszu pod tytułem: *A śmierć utraci  
swoją władzę.*

A śmierć utraci swoją władzę. Nadzy umarli będą jednym  
Z człowiekiem pod zachodnim księżycem i w wietrze;  
Gdy spróchnieją ich kości do czysta obrane,  
Będą im świecić gwiazdy u łokcia i stopy;  
Chociaż szaleni, odzyskają rozum,  
Powstaną znowu, chociaż potonęli w morzu:  
Choć zginą kochankowie, lecz nie zginie miłość;  
A śmierć utraci swoją władzę.  
(przekł. Stanisław Barańczak)

Ciszę, która zapadła po ostatnich słowach Iaina, wypełnił płacz ludzi i śpiew afrykańskich ptaków.

Potem, nieoczekiwanie wystąpiła Oria. Ujęła mnie za rękę i swoim chrapliwym szeptem, który zyskiwał siłę przy każdym kolejnym słowie, mówiła słowa pełne smutku i współczucia.

Usłyszałam szloch Feriny. Klęczała nad grobem z twarzą ukrytą w dłoniach. Pochylony nad nią Ricky próbował ją uspokoić. Jej płacz powoli przeszedł w cichy jęk.

Teraz była kolej Colina. Poprosiłam, by przemówił w suahili, tak by pracownicy rancza mogli wszystko zrozumieć i uczestniczyć w tej ceremonii. Jego słowa były proste i wzruszające.

„Przyszedliśmy tutaj, by pochować Emanuela, naszego *kijaną*”.

Jego głos załamał się na moment...

„...naszego *kijaną*, który odszedł z tego świata.

Od wzgórza Engehesha, przez źródła Ol Ari Nyiro, po górę Ol Donyo Orio wszystko to należało do niego. Mimo swoich młodych lat był naszym przewodnikiem i nikt nie powinien nosić urazy w sercu, był bowiem człowiekiem dobrym i uczciwym.

Znaliśmy go wszyscy. Jeszcze raz mówię, nie było człowieka w tej *shambie*, który by go nie lubił. Serce miał bowiem szczere i czyste i zawsze szedł za jego głosem.

Młodość to młodość, a szczęście to szczęście. Dziś jest dzień nieszczęścia: nasz *kijana* nie żyje.

Każdy idzie własną drogą. Jest ktoś, kto przychodzi i odchodzi, zabierając z sobą swoją mądrość. Jest ktoś, kto zostaje na zawsze, a my go oplakujemy, kiedy umiera. Ludzie tego miejsca, Ema był z nami!

Od małego chłopca do rosnącego młodzieńca żył pośród nas. Kochaliśmy go wszyscy, gdyż był, jak mówię, mężem dobrego serca i wszyscy jesteśmy co do tego zgodni.

Teraz musimy chwalić naszego Boga, albowiem On pozwolił umrzeć

Emanuelowi wśród nas. Nie za morzem, nie za górami. On umarł między nami, tutaj. I tutaj pozostanie wśród nas, na tej ziemi, którą ukochał, gdyż taka była jego wola. I taka jest nasza wola. Nie zapomnimy go”.

Rozbrzmiało *Bolero* Ravela. Pierwsze dźwięki uniosły się, niezdeterminowane jeszcze, ale już zapowiadające swoje wspaniałe crescendo. Przyjaciele schwycili liny i powoli, cał po cału, opuszczali do grobu trumnę z moim synem. Wśród tłumu przebiegł głuchy pomruk. Załkało dziecko. Muzyka potężniała, wchłaniając dźwięki szlochów, głosy ptaków i unosząc z sobą falę niemego bólu.

Mapengo spojrział na mnie, a ja pokiwałam głową. Koszyk został opuszczony do grobu. Ostatni wąż Emanuela.

Colin podał mi łopatę. Jej lśniące ostrze nie cięło dotąd gleby. Wbiłam ją w czerwoną ziemię u moich stóp. Ten sam gest, jak niegdyś na pogrzebie Paola. Ziemia spadła na wieko trumny. Podałam łopatę Livii. Potem szła z rąk do rąk, dopóki dół nie wypełnił się ziemią.

Mapengo przyniósł młode drzewko akacjowe, które Rocky wykopał nad rzeką. Tak jak poprzednio dla Paola, posadziłam je teraz na grobie Emanuela. Pewnego dnia korzenie osiągną jego ciała, które nakarmi drzewko, stając się wraz z nim częścią tego krajobrazu.

Teraz wybrana siedmioosobowa grupa z Mirimukiem i Luką wypaliła żałobny salut dla Emanuela. Wystrzał odbił się echem od wzgórz. Z ciemnych drzew zerwały się ptaki. Wszystkie twarze zwróciły się ku górze, jakby w oczekiwaniu, że Emanuel spojrzy na nas z nieba. Delikatnie złożyłam mój kwiat na świeżym grobie.

Pójdę już. Wrócę tu później. Dziś, jutro, będę wracać przez resztę mego życia.

Muzyka zamarła.

Drugi dzień mijał bardzo powoli. Niewiele z niego pamiętam. Wszystkie siły skupiłam na tym, by przejść przez tę ceremonię godnie i nie załamać się. Teraz siedziałam w rogu salonu wśród swoich przyjaciół i rozmawialiśmy. Mówiłam, mówiłam i mówiłam.

Czułam się niepotrzebna, zagubiona i pusta. Mówiłam o dniach, które już minęły i które nigdy nie wrócą.

Przy grobach płonęło pomarańczowe ognisko. W którymś momencie wstałam i wyszłam z pokoju w kierunku jego światła. Po drodze osunęłam się bezgłośnie i zapadłam w bezprzytomne odrętwienie. Potem ktoś zaniósł mnie do łóżka.

### 34. Ostatni wąż

...i mówić będę rzeczy twoim głosem,  
jak we mgle konie, które poszły w jesień

Pablo Neruda, z tomu *Poezje*  
(przekł. Krystyna Rodowska)

Obudziłam się w łóżku, nie pamiętając zupełnie, jak się w nim znalazłam. Byłam ubrana. Przez dwa poprzednie dni nie jadłam ani nie spałam. Czułam pustkę w głowie. Po jakimś czasie zauważyłam brak jaja na belce baldachimu. A więc to wszystko zdarzyło się naprawdę! Zastanawiałam się, po co mam wstawać. Wiedziałam, że nadejdą trudne dni, ciągnące się w nieskończoność. Czy był sens żyć, żeby się przekonać, co przyszłość mi przyniesie.

Na dywanie przy łóżku coś się poruszyło. Gordon? Nie, to była Livia. Długie brązowe włosy przesłaniały jej twarz. Przykryła się pledem i spała przy mnie, by dotrzymać mi towarzystwa. Zapewne nie chciała też pozostać sama ze swoim nieszczęściem. Biedna Livia. Bładoróżowe światło przeświecające przez zasłony zapowiadało kolejny słoneczny dzień. Było jeszcze bardzo wcześnie, tuż po wschodzie słońca. Ptaki zaczynały już swoją poranną krzątaninę. Zdjęłam zmięte ubranie, umyłam twarz, nałożyłam szorty Emanuela i jedną z koszul Paola, po czym wysliznęłam się z pokoju. Nasze psy, Gordon i Nditu, powitały mnie za progiem, merdając ogonami i niespokojnie obwąchując moje bose stopy.

Zajrzałam do pokoju Emanuela. Jego zielona wiatrówka wisiała na oparciu krzesła, jakby za chwilę miał po nią wrócić. Dziennik leżał na biurku z zakładką na 11 kwietnia, dniu jego śmierci. Usiadłam na krześle i rozejrzałam się bezradnie dookoła. W tym pokoju zawsze panował porządek. Książki stały w równych rzędach na półkach, a obok nich wisiały lśniące czystością instrumenty do chwytania węży, na ścianach były rozpięte skóry gadów, a wśród nich najwspanialsze trofeum — skóra olbrzymiej żmii sykliwej. W powietrzu unosił się słodkawy zapach węży.

Strona pod datą 12 kwietnia była pusta. Emanuel zawsze pisał wieczorami. Wzięłam jego pióro i zanotowałam na tej stronie: „Emanuel umarł dziś. Został ukąszony przez jedną ze swoich żmii sykliwych. Miał siedemnaście lat.” Pod datą 13 kwietnia dopisałam: „Pogrzeb Emanuela”... Odłożyłam pióro i spojrzałam na zakładkę. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że był to list, który napisałam do niego w styczniu z okazji jego ostatnich urodzin. Przeczytałam go. Był po włosku:

*„...życzę ci szczęśliwych dni i mnóstwa przygód... życzę ci przede wszystkim, żebyś nauczył się akceptacji... gdyż tylko przez akceptację odkryjesz tajemnicę istnienia... i będziesz szczęśliwy zarówno w tłumie ludzi, jak i w samotności... i wykorzystasz wszystko, co zdarzy ci się w życiu — twoje radości i twoje smutki — do tego, by stać się lepszym człowiekiem, tak by nawet śmierć była dobra, ponieważ jest to część tej gry”.*

Wpatrywałam się długo w moje własne słowa. Zapomniałam o nich. Miałam rację. Gra życia i śmierci. Przekartkowałam nie zapisane strony. Spomiędzy nich wypadła notatka zaadresowana do Michaela Werikhe. Było to zaproszenie na pobyt w Laikipii. Michael mógł tutaj zobaczyć nosorożce, których nigdy dotąd nie widział. Może była to ostatnia rzecz, którą Emanuel napisał. Postanowiłam pamiętać o jego życzeniu.

Nie zapisane kartki, jedna po drugiej obracały się w moich palcach jak nadchodzące dni mojego życia. Puste strony do wypełnienia. Czym?

im? Wszyscy moi mężczyźni odeszli. A Aidan? Co stało się Aidanem? Wczoraj nie przyjechał na pogrzeb swego młodego przyjaciela. Z pewnością miał jakiś powód. Może przebywał teraz gdzieś na północy, gdzie nie docierały do niego żadne wiadomości. Pragnęłam mieć go przy sobie, położyć głowę na jego ramieniu...

Zostałam sama... z dzieckiem Paola.

Emanuel odszedł, a ja nie umiałam być sama. Jeśli strony jego dziennika były nie zapisane, to dni mojego życia nie mogły pozostać puste i stracone. Wiedziałam, że jakość i wartość tego, czym je wypełnię, zależy — jak zawsze — ode mnie. Drugi rozdział mojego życia został zamknięty. Musiałam iść naprzód i jak najlepiej wykorzystać czas, który mi jeszcze pozostał. Dla Svevy. Dla Paola. Dla Emanuela i dla siebie samej. Postanowiłam zacząć od zaraz.

Jeszcze raz wzięłam pióro i pod datą 14 kwietnia napisałam starannie: „Dziś wypuściliśmy wszystkie węże Emanuela”. Zamknęłam dziennik. Oddychając głęboko, wyszłam w światło dnia.

Cóż innego mogłam zrobić z węzami? Czyż nie tego by chciał Emanuel? Zbiorę wszystkich jego przyjaciół, którzy jeszcze zostali i wypuścimy wszystkie węże.

Dymy z dogasającego ogniska tkwały delikatną pajęczynę w chłodnym porannym powietrzu.

Na grobie Emanuela kwiaty zaczynały już więdnąć. Cieniutkie listki młodej akacji, którą zasadziłam w dniu pogrzebu, otwierały się ostrożnie na światło słońca. Jego przyjaciele, zbici w ciasną gromadkę, tulący się do siebie dla ciepła i wygody, spali zawinięci w śpiwory i koce na mokrej ziemi wokół grobu. Podeszłam cichutko, by ich nie obudzić. Lecz ktoś już się poruszył. Po chwili wszyscy zaczęli budzić się ze snu. Spuchnięte oczy, blade wydłużone twarze, na których rysował się żal. Patrzyłam na nie ze smutkiem i miłością. Powiedziałam im wczoraj, że wszyscy są moimi dziećmi. Ich garnitury i białe koszule, ich piękne sukienki były zmięte. Przyszli ubrani jak na przyjęcie. Później dowiedziałam się, dlaczego.

Przed kilkoma tygodniami Emanuel poprosił Ferine, by podczas wakacji przyjechała do nas na ranczo. Odmówiła, obawiając się, że prawdopodobnie rodzice jej nie puszcza.

— I tak przyjedziesz — powiedział. — Przyjedziesz w kwietniu.

— Skąd wiesz? — zapytała zdziwiona.

— Przyjedziesz na mój pogrzeb.

Nie uwierzyła mu. Dlaczego miałyby wierzyć? Byli przecież młodzi i pełni sił, a śmierć była dla nich daleką i mglistą rzeczywistością, należąca do świata ludzi starych i chorych. Zaśmiała się kpiąco:

— A w co mam się ubrać na twój pogrzeb?

Jego oczy były poważne i nieprzeniknione, tak też Ferina przez chwilę naprawdę się bała.

— Wieczorową sukienkę. Tę, którą masz teraz na sobie. Ładnie ci w niebieskim. Wszyscy musicie przyjść ubrani jak na przyjęcie.

Zrobili tak.

Ferina nie mogła sobie wybaczyć, że wtedy mu nie uwierzyła. Ta świadomość ją złamała. Powiedziała mi o tym wiele tygodni później.

Przecierając oczy, dzieciaki prostowały się i podchodziły jedno za drugim, żeby mnie uścisnąć.

— Zjedzcie śniadanie, a potem wypuścimy wszystkie węże.

Odeszłam, krocząc przez poranny ogród.

Podczas śniadania — w miejscu, przy którym zawsze siedział Emanuel — leżał na stole świeży czerwony hibiskus. Rachel pamiętała o nowym zwyczaju.

Ricky Mathews i Mapengo opróżnili wszystkie klatki i nieckę dla węży. Setki niejadowitych i śmiertelnych gadów powkładali do worków i poszewek na poduszki. Dzieciaki wskoczyły na tył mojego pikapu. Zanim ruszyliśmy, zerwałam bukiet czerwonych hibiskusów. Dołączyli do nas Iain, Oria, Carol, Aino, i Livia, która trzymała Svewę. Udaliśmy się wszyscy do źródeł Ol Ari Nyiro.

Zaparkowałam samochód przy Marati Ine. Dwa gnu obserwowały



nas bez lęku swoimi wielkimi wilgotnymi oczami. Przed nimi defilował dziwny pochód, ze mną i z Iainem na czele. Szliśmy w kierunku źródeł. Za nami dzieciaki w zmiętych sukienkach, rozpiętych białych koszulach. Dźwigały worki pełne węży. Sveva siedziała Livii na plecach, śmiejąc się radośnie z tej przygody.

Na błotnistym brzegu wszędzie były odcisnięte ślady bawołów. Ogromne ważki krążyły nad mętną wodą w godowym tańcu, niepokojąc chmary małych muszek. Białe motyle wirowały w powietrzu, a ich drżące skrzydełka zdawały się opadającymi ku ziemi płatkami kwiatów.

Ricky otworzył worek. Pierwsza wypełzła Bahati, samica kobry, którą Emanuel reanimował przed kilkoma dniami wolności. Bahati żyła, a on nie. Z początku poruszała się wolno, ale wkrótce potem otrząsnęła się z apatii i sunęła coraz szybciej i szybciej. Patrzyłam za nią, póki nie zniknęła w niskich zaroślach. Pomyślałam o Emanuelu, który też znalazł swoją wolność... w śmierci, poza czasem i trwaniem.

Węże jeden po drugim wypełzały z worków: śliskie i szybkie zielone węże łąkowe, syczące węże piaskowe, białowargie, pytony, węże jajorodne i domowe, by ze świstem zanurkować w niespokojny nurt Mukutanu. Na koniec przyszła kolej na żmije. Ricky ostrożnie i fachowo, jedną po drugiej, wpuszczał do wody. Niektóre poruszały się wolno, inne szybkimi skokami, jeszcze inne wślizgiwały się bezgłośnie do rzeki. Pomagałam je wypuszczać, w imię Emanuela darowałam im wolność.

Kiedy ostatni wąż zanurzył się w nurcie Mukutanu, rzuciłam do wody czerwony hibiskus. Zawirował na falach i dotknął lśniącej, trójkątnej głowy, która odpływała ku wolności. Głowa przybrała nagle kształt serca, a płatki kwiatów przypominały krople krwi. W promieniach słońca nurt rzeki mienił się barwami tęczy. I wtedy gdzieś w moim wnętrzu usłyszałam chłopięcy głos, który mówił: »Pep, pewnego dnia ty też zrozumiesz ukryte piękno węży».

— Masz rację. Teraz widzę to piękno. — Odpowiedziałam cicho.

Ostatnia żmija zniknęła mi z oczu.

W gorącej ciszy południa usłyszałam jakiś hałas. Na niebie pojawił się mały biały samolot. Od razu wiedziałam, że to Mario i moi rodzice. Rejs, który wykupili, by zdążyć na pogrzeb, został odwołany i spodziewałam się ich dzisiaj. Pobiegłam do samochodu ze Svewą na rękach.

Kiedy dojechałam do Kuti, już tam byli. Nie widzieliśmy się ze sobą od wielu lat. Mogłam sobie tylko wyobrazić tę podróż, której powodem była śmierć syna i wnuka. Moja matka kochała Emanuela ponad wszystko. Była załamana, ale za wszelką cenę starała się panować nad sobą. Widziałam, ile wysiłku ją to kosztowało. Objęła Svewę, przemawiając do niej czule. Ojciec spojrzął na mnie swymi zielonymi oczami, których wiek nie pozbawił blasku. Uścisnęliśmy się w milczeniu, wyrażając tym wszystko, czego słowa nie były w stanie wypowiedzieć.

Domyśliłam się, że Mario poszedł na grób Emanuela. Pobiegłam tam. Mario leżał na grobie, tuląc twarz do świeżo usypanej ziemi. Jego ciałem wstrząsał bezgłośny spazm. Wycofałam się.

Wkrótce potem ziemia zadudniła od galopu końskich kopyt. To był Mario. Pędził z szaleństwem w oczach jak jeździec Apokalipsy. Wrócił dopiero w nocy. Następnego dnia wyjechał i nigdy odtąd go nie widziałam.

## CZEŚĆ IV

*Później*

## 35. Samotne spacerzy

Cisza ogromna zstępowała  
Muzyką na nie serce

Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, cz. VI  
(przekł. Zygmunt Kubiak)

Straszną rzeczą była cisza... wspomnienie oddalającego się Emanuela, jego cichnącego głosu, a potem znów wspomnienie równych, energicznych kroków w korytarzu... i niemy żal na twarzy Mapengo.

Bezlitosny był też widok motocykla, teraz bezużytecznego a kiedyś codziennie mytego i dogładanego przez Emanuela.

Okrutne było puste miejsce przy stole, gdzie przy każdym posiłku kładziono czerwony hibiskus. Krzesło w salonie, gdzie siadał, by pisać swój dziennik. Zacienione okna jego pokoju, gdzie wszystko zostało na swoim miejscu, tak jak było.

Okrutne były też listy zaadresowane do niego, które wciąż przychodziły z uniwersytetu w Stanach, dokąd już nie pojedzie.

Okrutne były świeżo wywołane zdjęcia ze świąt Wielkanocnych, które Orią przywiozła mi do obejrzenia.

Jego oczy, czule i poważne, obserwujące mnie znad migoczących świec i te niezgłębione, powleczone mgiełką tajemnicy, patrzące na mnie znad płataniny zielonych węży łąkowych, i te, spoglądające znad czekoladowego jaja na świątecznym stole.

Okropną rzeczą był też widok Emanuela na nieostrym zdjęciu z ostatniego pikniku przy źródłach... jak oddala się na swoim motorze w

chmurze pyłu, pochylony do przodu, w krótkich spodenkach, z obnażonym młodym torsem, pędząc w kierunku ciemnego pasma wzgórz i nie odwracając się za siebie.

Ten piękny chłopiec ze zdjęcia, którego złożyłam w trumnie, jeszcze raz zatańczył dla mnie na cedrowych deskach werandy wraz z Sabą i Dudu.

A najgorszą rzeczą ze wszystkich była świadomość, że umarł na zawsze.

Została tylko niezmienna magia krajobrazu Afryki. Poranki rozpoczynały się bladym, różowofioletowym niebem, które przeświecało przez szarości odchodzącej nocy. Potem odzywały się ptaki. Gdy srebro dnia roztopiało się w złoto, a rosa ulatniała się w ciepłe coraz wyżej stojącego słońca, czyste błękitne światło kolejnego świtu zastawało mnie już gotową do drogi. Nawet w czasie najgłębszego smutku miałam poczucie uzdrawiającej siły przestrzeni, która mnie otaczała. Postanowiłam więc jak najwięcej spacerować.

Przed śmiercią Emanuela uwielbiałam przedzierać się przez wysoki busz, czując się jego częścią, odkrywając stopniowo jego tajemniczy język, tak stary jak sama Ziemia. Potem potrafiłam spacerować już tylko po Laikipii, traktując to jako formę terapii. Aby uzdrowić duszę, musiałam zmęczyć ciało.

Mój ojciec został jeszcze na kilka dni. Ten czas spędziliśmy spacerując od rana do wieczora i wspominając nasze wspólne wędrówki po wzgórzach Veneto. W ciszy, w rytmie naszych kroków odnawialiśmy stare więzi i zażyłość, ale wiedziałam, że strata mojego syna była doświadczeniem, którego z nikim nie mogłam tak naprawdę dzielić. Kiedy ojciec odjechał, wędrowałam sama.

Na początku mój umysł, przytępiony przez żal i rozpacz, pełen był chaotycznych myśli, wspomnień, głosów i krzyków, i wciąż błądził w labiryncie pytań, na które nie było odpowiedzi. Potem stopniowo zaległa w nim cisza i spokój. Zewnętrzne dźwięki i to, co stanowi o esencji natury — jej piękno — dotarło do mnie z całą intensywnością. Moje zmysły wyczuły się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Wyjeżdżałam samochodem przed wschodem słońca, wysiadałam gdziekolwiek i przemierzałam dziesiątki mil w towarzystwie Luki lub

Mirimuka. Prosiłam tylko kierowcę, Karanję, by przyjeżdżał po mnie w określonym czasie do miejsca, które było celem mojej wędrówki. Często przechodziliśmy między stadami śpiących nosorożców, bawołów czy pasących się słoni. Podkradaliśmy się jak najbliżej do elandów, dopóki nie poczuły naszego zapachu i nie uciekły, skacząc wysoko przez zarośla. Wonie buszu początkowo chłodne i orzeźwiające, wkrótce tężały w ciepłe słońca, rozsiewając mocny aromat korzeni i egzotycznych owoców i mieszając się z zapachem kurzu i łajna.

Od świtu do zmierzchu przemierzałam majestatyczne wzgórza i schodziłam stromymi zboczami w doliny. Nie tknięte cywilizacją krajobrazy są wzruszające w swoim pierwotnym majestacie. Prawieczna cisza gór i tajemniczych wąwozów niczego nie wymusza ani nie oczekuje. W ich niewzruszonym i harmonijnym trwaniu nie istnieją żadne nakazy... Poznawałam na nowo moją własną tożsamość i moje miejsce na ziemi.

Zrozumiałam, że w śmierci Emanuela mogę znaleźć klucz do tajemnicy życia. Tysiące razy wracałam do tamtych wypadków, ożywiając je i na nowo cierpiąc. Instynktownie czułam, że jedyna droga ucieczki od cierpienia wiedzie właśnie przez nie. Mogłabym znieść nieustanny niepokój i męki z powodu nie rozwiązanych problemów w sobie, ale one by mnie okaleczyły. Wołałam zmierzyć się z bólem bezpośrednio. Myślałam o tym, mówiłam o tym, a przede wszystkim pisałam. Nieustannie przeżywałam tamte godziny agonii, jakby zdarzały się wciąż od nowa. Wołałam do Emanuela w długie samotne noce głosem, który tylko on mógł usłyszeć. Kontemplowałam lato, które miało nadejść, pierwsze lato bez Emanuela, którego śmierć zniweczyła moje nadzieje i marzenia o przyszłości.

Tak wielkie tragedie jak moja stawiają człowieka przed ważną decyzją. W ich obliczu ma się dwie możliwości. Albo trwać w odrętwieniu, łagodząc cierpienie narkotykami czy alkoholem, albo wydobyć się z marazmu i rozpocząć życie od początku. To drugie wymaga świadomego wysiłku i może powieść się tylko wtedy, jeśli człowiek zmierzy się ze swoimi problemami. Wymaga to wytrwałości w działaniu i pewnej

wewnętrznej przemiany. Lecz kiedy ci się powiedzie i zostawisz za sobą swoje stare ja, odrzucisz je jak bezużyteczny kokon, to odkryjesz, że możesz latać, że możesz żyć. W śmierci Emanuela znalazłam klucz do zagadki. Tylko poprzez zmianę stosunku do siebie i wewnętrzną transformację mogłam nadać mojemu życiu nowy cel, próbując równoważyć poniesioną stratę.

W jakiś tydzień po śmierci Emanuela Tubby Block zawiadomił mnie o ceremonii żałobnej za jego brata, Jacka, która miała się odbyć na farmie nad jeziorem Naivasha. Powiedział też, że wszyscy rozumieją, jeśli wobec zaistniałych okoliczności nie przyjadę.

Moja przyjaźń z Blockami sięgała tak dawnych czasów, a Tubby i Aino tak bardzo mi pomogli w najcięższych dla mnie chwilach, że nie zastanawiałam się ani minuty. Doświadczyłam na sobie, jak wiele znaczy obecność tych ludzi, których człowiek najmniej się spodziewa. Wzruszyło mnie ich poświęcenie i trud, jaki sobie zadali, odbywając długą drogę do Laikipii, aby wesprzeć mnie w mojej żałobie. Dzięki nim odkryłam, że nie jestem całkiem sama. Co więcej, zrozumiałam potem, że solidarność w godzinie bolesnej żałoby, wspólne czuwanie przy zmarłym z jego najbliższymi tworzy między obecnymi nierozzerwalną międzyludzką więź.

Zabrałam z sobą Sabę Douglas-Hamilton, która zatrzymała się u mnie. Svewę zostawiłam pod opieką Wanjiru i mojej matki. Wzięłam kierowcę, Karanje, gdyż sama bałam się prowadzić.

Droga wokół jeziora Naivasha była w bardzo złym stanie. Głębokie koleiny i miękki biały kurz, który wdzierał się ze wszystkich stron do samochodu, utrudniały jazdę. Trawa i cierniowe zarośla na poboczach drogi były białe od pyłu. Jazda pasem szutrowej nawierzchni, wąskiej i podmytej na brzegach przez rozliczne ulewy, wymagała nie byle jakich umiejętności.

Trawnik przed domem Blocków, regularnie spryskiwany wodą, zielony i pachnący, zawsze był upragnioną oazą po wszystkich trudach podróży w szarym, spalonym słońcem krajobrazie. Zaparkowałam samochód w cieniu akacji, jak robiłam to wiele razy przedtem. Blockowie, cisi, zjednoczeni w żalu po zmarłym, zebrali się na werandzie,

która wychodziła na jezioro. Bieliki i pelikany rozsiadły się na pniach przybrzeżnych drzew, a jezioro pobłyskiwało błękitem. Pośród ciernistych drzew, pod czarującą drewnianą chatką Jacka ustawiono wiele rzędów krzeseł. Oszklone drzwi prowadzące na werandę lekko zadrżały, kiedy je otwierałam i wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. W czerni, pokryta kurzem drogi i z wyrazem bólu, który malował się na mojej twarzy, musiałam wyglądać dość upiornie.

Okazałam się pierwszym gościem, a ponadto mój nieoczekiwany przyjazd i nagłe wtargnięcie na werandę było dla wszystkich niespodzianką, co wywołało w nich reakcję zdziwienia i zmieszania. Poczulałam się niepewna i oszołomiona. Czyżby było za wcześnie, by stanąć twarzą w twarz ze światem? Może popełniłam błąd?

Od śmierci Emanuela minęło zaledwie dziesięć dni, a mnie zdawało się, że upłynęły wieki. Dla innych było to tylko dziesięć dni... Zapomniałam, że ludzie postrzegają czas na różny sposób. To doświadczenie okazało się trudniejsze, niż się spodziewałam.

Osobowość Jacka, jego ciepło i współczucie dla innych było powszechnie znane i mnóstwo ludzi go za to kochało. Wielu z nich przyjechało też na pogrzeb Emanuela. Lecz niektórzy nie mogli, toteż zobaczywszy mnie teraz, podchodzili nieśmiało do drzewa, pod które schroniliśmy się z Sabą, i składali mi kondolencje.

Kiedy przemowy i ceremonia dobiegły końca, pożegnałam się pośpiesznie z Tubbym i wysliznęłam niepostrzeżenie z tłumu gości. Czulałam się wyszana z energii, zmęczona nie do opisanias i poprosiłam Karanję, żeby czym prędzej zawiózł mnie z powrotem do Laikipii.

W kilka dni po ceremonii pogrzebowej Jacka, przeglądając pocztę, która napłynęła do Nairobi, znalazłam dwa listy.

Pierwszy, zaadresowany odręcznie, rozpoznałam natychmiast. Był od Aidana. Ostatnią wiadomość miałam od niego jeszcze przed pogrzebem



Emanuela. Dzień za dniem wyglądałam na niebie jego samolotu. Lecz niebo milczało.

Wzięłam małą, białą kopertę na grób Emanuela. Trzymałam ją w rękach i nim otworzyłam, jeszcze przez długą chwilę obmacywałam ją z zamkniętymi oczami, jak ktoś, kto chce rozpoznać właściwości drzewa poprzez fakturę jego liści.

Ostrożnie otworzyłam kopertę. Pismo Aidana zdało mi się zmienne. Jego milczenie było spowodowane poważnym osobistym kryzysem. Zrozumiałam to. Choć nie był to list pożegnalny, wiedziałam, że śmierć Emanuela wywołała w nim poczucie winy wobec rodziny i dzieci i że nasz związek nigdy już nie będzie taki jak dawniej. Zawsze byłam tego świadoma i akceptowałam taki finał. Aidan nie należał do realnego świata. Otaczała go magiczna aura i nieprzewidywalność, która przydawała naszym spotkaniom charakteru niezwykłości. Mogłam tylko zaakceptować tę zaskakującą decyzję jako coś przynależnego jego osobiwej naturze.

Drugi list zasiał we mnie pewne ziarno, był załączkiem związku, który okazał się mieć niesłychanie pozytywny i uzdrawiający wpływ na moje życie. Był to list z wyrazami sympatii i kondolencji: „... od śmierci pani syna nieustannie o pani myślę... A mój syn Robin był zrozpaczony, usłyszawszy tę smutną wiadomość, gdyż, jak wiem, bardzo panią lubi”. Pod spodem widniał podpis: Berit Hollister. Nie znałam tej kobiety, dopóki Tubby nie przedstawił nas sobie podczas ceremonii pogrzebowej Jacka.

Pod wpływem impulsu natychmiast odpisałam, dodając do listu, tak jak dodawałam do wszystkich innych, kopię ostatnich słów Emanuela. Prosiłam ją, by przekazała je Robinowi, który napisał niegdyś do mnie, ale którego adresu w Malindi nie miałam.

Znałam Robina dobrze. Po raz pierwszy spotkałam go na weselu ponad dziesięć lat temu, tuż po naszym przyjeździe do Kenii.

W grudniu siedemdziesiątego ósmego roku przyleciał do Laikipii, żeby złożyć nam krótką wizytę w drodze do Nanyuki z Baringo, gdzie wówczas pracował. Kiedy startował, silnik zaczął się dławić i samolot spadł jak dojrzałe mango. Paolo i Emanuel obserwowali to w przerażeniu, ale kiedy dotarli na miejsce zdarzenia, znaleźli Robina całego i

zdrowego. Kręcił się przy wraku ze swoim wiecznym uśmiechem na twarzy. Nie wypuszczając teczek z rąk, przeszukiwał busz, by odnaleźć przeciwsłoneczne okulary. Ten wrak do dziś się tam znajduje, a właściwie to, co z niego zostało — sterta zardzewiałego na deszczach i wiatrach żelastwa.

Wypadek ten w niezwykle sposób wyłowił Robina z masy wielu innych ludzi, których wprawdzie znałam, ale rzadko widywałam.

Jeszcze przez wiele tygodni napływały listy z kondolencjami z wszystkich zakątków świata. Trzymałam je w wielkim pudełku, które z dnia na dzień się zapeśniało. Niektóre z nich, nieoczekiwane piękne, przychodziły od ludzi, których prawie nie znałam. Wszystkie wyrażały poczucie, że w Emanuelu było coś niezwykłego i niezapomnianego.

Któregoś dnia poprosiłam Colina, żeby przyjechał do Kuti i pomógł mi znaleźć odpowiedni kamień na grób Emanuela. Musiał być duży i odpowiedniego kształtu, ale również — jak kamień Paola — powinien pochodzić z miejsca, które Emanuel szczególnie lubił. To było dziwne, nierealne uczucie — to szukanie kamienia nagrobnego dla mojego syna — jak pradawny rytuał. Nie mogłam pozbyć się myśli, że to szczególnie przywilej być pochowanym na własnej ziemi. Kiedy przyjaciele wykopią grób i urządzą pogrzeb, a żadna obca i niedbała ręka nie zepsuje żadnego elementu ceremonii. Kiedy matka albo żona do końca czuwa przy zmarłym, strzegąc ukochanego ciała.

Tak było w dawnych dniach i tak to się odbywa nadal u prymitywnych ludów, które żyją w bliskim związku ze swoją ziemią i nie zapomniały, jak żyć i umierać z godnością.

W końcu znalazłam kamień blisko tamy Ngobithu, gdzie Emanuel ćwiczył nagłe skręty na motocyklu. Był to żółtopomarańczowy kamień, masywny, w kształcie dużej poduszki. Wydawał się odpowiedni do jego ostatniego łoża. Po południu posłałam tam dwudziestu ludzi na traktorze, by go podnieśli i przywieźli do ogrodu. Siedząc na grobie Paola, obserwowałam tę operację z poczuciem nierealności. Po kilku dniach przyszedł Colin i wrył dłutem prosty, tak jak przedtem dla Paola, napis — po prostu „Emanuel”, a pod nim datę: 12.4.83.

Następnego ranka wzięłam Sveve za rękę i po raz pierwszy zaprowadziłam ją do grobu brata. Przez cały czas mówiłam do niej i odpowiadałam na jej pytania. Powiedziałam jej, że Emanuel jest teraz z Paolem, a jej wydało się naturalne, że ich groby powinny być razem i że dwa drzewa, mniejsze — Emanuela i większe — Paola, rosną obok siebie. Sveva przyniosła ze sobą bukiet żywych hibiskusów. Trzymając się za ręce, ofiarowałyśmy kwiaty obu naszym mężczyznom, a ja zdołałam stłumić w sobie mój ból.

### 36. Dar przyjaźni

Choć nic mi tego nie przywróci rana.  
Gdy trawa w łunie, kwiat w szkarłatnej łunie...

William Wordsworth, *Oda o przeczuciach nieśmiertelności*  
(przekł. Zygmunt Kubiak)

Tylko w ciszy i samotności można znaleźć wyjście z cierpienia, lecz pociechę, wsparcie i miłość przyjaciół przyjmowałam z wielką wdzięcznością. Uczestniczyli oni w moim stopniowym odradzaniu się, tak jak przedtem w moim smutku.

Tutaj, gdzie życie dostrajało się do pradawnych rytmów natury, przyjaźń i solidarność, związane wspólnotą wyboru i umiłowania Afryki, zbliżała ludzi bardziej niż gdzie indziej na świecie.

Jednym z takich ludzi był Cadetto. Przebywał w Europie, kiedy Emanuel umarł, ale pewnego popołudnia jego zakurzony landrover wyłonił się z buszu... i oto był. Podszedł do mnie z troską w oczach, która malowała się na jego jowialnej, okrągłej twarzy morsa. Otworzył swoje ogromne ramiona, w których znalazłam schronienie i ciepło.

Nie było potrzeby przywoływać wszystkich wspomnień i smutków, które uczyniły naszą przyjaźń tak silną i niezwykłą. Odeszli Mariangela, Paolo, Chiara, a teraz Emanuel. Byliśmy razem owej letniej nocy wiele lat temu, kiedy zdarzył się pierwszy wypadek, który nas związał

wspólną tragedią. Jak w Europie, gdzie byliśmy bliskimi sąsiadami, tak tutaj, w Afryce, gdzie nasze nie zaplanowane sąsiedztwo znowu pozwalało nam wspólnie wspierać się w kolejnym akcie dramatu, to wszystko było niepojęte na tyle, że mogliśmy tylko akceptować ów stan rzeczy tak, jak akceptowaliśmy słońce i deszcz.

Odwiedzał mnie równie często jak dawniej — może nawet częściej teraz, kiedy tak niewielu przyjaciół pozostało wśród nas. Zawsze przynosił z sobą jakiś prezent i zawsze był to jakiś smakołyk: kawałek szynki albo butelka rzadkiego wina, szparagi albo moje ulubione greckie ouzo... i zawsze swoją wędkę. Chodził na czarne bassy, które łapał przy tamach i zapełniał moją lodówkę rybami.

Tak, jak we Włoszech, musiał mieć swoje krzesło, masywne i mocne, aby utrzymało ciężar jego ciała. Jednak mimo swych rozmiarów Carletto poruszał się z wdziękiem i ze swobodą wielkiego dżentelmena. Bardzo go lubiłam. A w jego niedźwiedziowatych ramionach, w jego lojalnej osobowości znajdowałam podporę i spokój. W pewnym sensie jego towarzystwo stanowiło lekarstwo na moją samotność.

1 czerwca nieoczekiwanie zjechali na moje urodziny Douglas-Hamiltonowie, Carol Byrne i Sam. Colin i Rocky przyjechali z Centrum z kilkoma przyjaciółmi, których u siebie przyjmowali. Całkowicie o tym święcie zapomniałam. Zresztą nigdy nie czyniłam rozgłosu z moich urodzin. Zazwyczaj Emanuel z samego ranka jechał konno albo rowerem po bukiet ognistoczerwonych dzikich lilii, które przynosił do mojej sypialni.

W porze kawy, kiedy siedziałam przy kominku zatopiona we własnych myślach, sącząc napój cytrynowy, nie zauważyłam, że wszyscy opuścili pokój i zostałam sama. Nagle generator prądu przestał mruścić i pokój pogrążył się w ciemnościach. Z niepokojem wsłuchiwałam się w ciszę. W pewnym momencie drzwi otworzyły się i weszła procesja: każdy z moich gości niósł jedną lub dwie świece, w sumie czterdzieści, i wszyscy śpiewali *Happy Birthday*.

Czterdziestka to ważna rocznica w życiu kobiety.

Czy naprawdę miałam czterdzieści lat? Nie czułam się staro.

Wprost przeciwnie, wypełniała mnie energia i chęć działania. Długie spacerowały, że byłam w lepszej kondycji niż kiedykolwiek wcześniej. Moje ciało było sprężyste, a umysł sprawny. Pogodziwszy się z moim przeznaczeniem, przyjąłam nowe życiowe wyzwanie.

Spojrzałam na grupkę moich przyjaciół. Wśród nich byli też: Simon, mój kucharz, Wanjiru, oraz Kipiego i Rachel, ogrodnicy. Simon trzymał tort w kształcie serca, pokryty czerwonymi hibiskusami. Ulubiona muzyka Emanuela wlatywała pod dach... wciąż widziałam go tańczącego na cedrowych belkach werandy, gdzie teraz samotnie stała Saba, uśmiechając się do mnie smutno. Długie jasne włosy, ukośne, żywe, czarne oczy o niesłychanej głębi i uroku — wyglądała teraz na znacznie więcej niż dwanaście lat. Jej dzieciństwo skończyło się z chwilą, gdy otarła się o śmierć bliskiej osoby. Przypomniałam sobie moje pierwsze zetknięcie ze śmiercią, które przeżyłam jako kilkunastoletnia dziewczyna we Włoszech i jak bardzo zmieniłam się pod wpływem tego przeżycia.

Po śniadaniu następnego dnia zawiozłam wszystkich na stare lotnisko i zrobiłam im oraz Sabie zdjęcia, kiedy ładowali swoje bagaże, owcę, którą im podarowałam i skrzynkę awokado.

Mały samolot Iaina wystartował, zabrzączał nade mną i jak zwykle zamachał skrzydłami na pożegnanie. Patrzyłyśmy ze Svewą, jak leci ponad górami i znika w chmurach.

Nadszedł czas wyjazdu do Nairobi i powrotu do związanych z nim wspomnień. Nie byłam tam od śmierci Emanuela.

Podjazd mojego domu w Gigiri był pusty, a psy, Dad i Duncan, zobaczywszy mnie po tak długiej nieobecności, wyły ze szczęścia. Moja stara kikujuska służąca, Bitu, której od pogrzebu jeszcze nie widziałam, podeszła i uściśnęła mi rękę, szepcząc „Pole”... Patrzyła na mnie swoimi mądrymi, nieodgadzionymi oczyma. Kilkoro jej dzieci zmarło, ale wiele przeżyło. Ja miałam tylko jednego syna. To w Afryce było wielką tragedią.

Dom powitał mnie ciszą i pustką kościoła — świeże kwiaty w wazonach, zapach terpentyny i wosku... Sterta nieaktualnych gazet,

mnóstwo listów poleconych. Poszłam prosto na górę do pokoju Emanuela i zamknęłam za sobą drzwi.

Pokój młodego mężczyzny. Nic się w nim nie zmieniło: półki wypełnione rzędami równo poustawianych książek, na biurku papiery i pióra, mała fotografia śmiejącej się dziewczyny — Feriny, maszyna do pisania, wieża stereo, kolekcja minerałów, gablotki z muszelkami. Skóry węży.

Otworzyłam szafę. Zobaczyłam wszystkie garnitury, które z taką radością kupowaliśmy podczas ostatnich wspólnych wakacji we Włoszech. Wisiały bezużytecznie. Pieściłam jego blezer, próbując przypomnieć sobie, kiedy go ostatni raz nosił. Otwierałam po kolei wszystkie szuflady. Jego skarpetki, jego koszule, jego buty. Na stoliku przy łóżku stały fotografie, które kochał. Paolo i żarłacz, którego atak przeżył w Vumie; Sveva ze swoim dwukrotnie większym od siebie misiem; grupa przyjaciół ze szkoły; jacht na Karaibach i Mario; ja o kilka lat młodsza, w białej sukni, obejmująca chłopca, którym był; on w szortach khaki w otoczeniu ludzi z ochrony przy wodospadach Maji ya Nyoka; ogromny pyton z brzuchem obrzmiałym od nie strawionego jeżozwierza.

Usiadłam na łóżku, pościel nie była zmieniana od tamtej pory. Zdawało mi się, że widzę odcisk jego głowy, czuję zapach jego wody po goleniu. Wtuliłam twarz w poduszkę...

Przez zamknięte drzwi usłyszałam odgłos samochodu, który zatrzymał się na podjeździe. Ściszone głosy na dole. Kroki zbliżające się po dwa stopnie na raz, jak zwykle robił to Emanuel. Ktoś zatrzymał się za drzwiami. Pukanie. Serce mi zamarło. Dźwięk przekręcanej klamki i drzwi się otworzyły. Zamknęłam oczy. Wejście wypełniła bardzo wysoka postać.

To był Aidan. Spojrzałam na niego ze smutkiem. Miał na sobie długie spodnie i tweedową marynarkę. Przez opaloną skórę jego twarzy przebijała bladość. Udręczone oczy wpatrywały się we mnie.

— Kuki — powiedział chrapliwym szeptem.

Wstałam niepewna, wciąż obejmując poduszkę jak tarczę. Wziął obie moje dłonie w swoje duże twarde ręce i ucałował je. Przyciągnął mnie lekko do siebie...

Nic nie powiedziałam. Nie było nic do powiedzenia. W głowie miałam mętlik. Ból spowodowany znalezieniem się znów w tym domu, gdzie wciąż czułam żywą obecność Emanuela. A teraz, nieoczekiwanie, Aidan. Kręciło mi się w głowie. Dotąd nie miałam czasu ani odwagi zastanawiać się nad tym, jak bardzo byłam samotna. Ogarnęła mnie radość, że znów go mogę widzieć, zaskakująca świadomość, że mu na mnie zależało, przytłaczająca pokusa, by znów mieć mężczyznę. By znów czuć się kochaną, wspieraną, chronioną, otaczaną opieką. By dzielić z kimś obowiązki i problemy... Ale nie za cenę cierpienia kogoś innego albo spokoju jego umysłu... Za wiele, za trudno i już nie dla mnie. Zabawa dobiegła końca. Odejście Emanuela było faktem, któremu musiałam stawić czoło. Nie mogłam dłużej się bawić. Byłam wolna i byłam sama, a Aidan nie. Jeśli ktoś z nas musiał podjąć jakąś decyzję, to na pewno nie ja. Nigdy nie przestało mi na nim zależeć. Nasz związek był pięknym i osobliwie płomiennym spotkaniem dwóch dusz i ta jego czystość i żarliwość dodała nam sił. Aidan wyszedł...

Z okna Emanuela obserwowałam jego samochód sunący po podjeździe, mijający trawnik i wjeżdżający na drogę... Po raz pierwszy w świetle dnia od początku naszej znajomości.

Przez całą noc nie ruszyłam się z pokoju Emanuela, spałam w jego łóżku, otoczona wspomnieniami z jego dzieciństwa i przerwanej młodości. Spałam na jego poduszce zmoczonej moimi łzami, które odświeżyły zapach jego wody po goleniu. I znów śniłam ten sam sen, który nawiedzał mnie już od wielu miesięcy.

Łódź unosiła się na krystalicznie czystej, turkusowej wodzie, tak że mogłam odróżnić każdy kamień, każdą muszlę na jasnym dnie. Tylko ja i Emanuel... Płynęliśmy na pokładzie małego drewnianego stateczku, poszarzałego w ciągu wielu sezonów pod działaniem słońca i morskiej wody. Emanuela ukąsiła ta sama stara żmija... umierał. W szortach khaki, które miał owego ostatniego poranka, ze szczypcami do chwytania węży u pasa, leżał na deskach twarzą do dołu. Rozległ się jakiś głos, który odbijał się echem od spokojnej tafli jeziora, zakłócając rytm słonecznych refleksów słońca na lustrzanej powierzchni. To był głos Colina, który mówił bez emocji:

— Jedynym lekarstwem na ukąszenie węża jest woda. Musisz go zaurzyczyć w wodzie.

Ciało Emanuela było ciężkie jak kamień, ale w rozpaczyci zdołałam unieść je i przepchnąć cal po calu poza krawędź łodzi, z której ześliznęło się w toń. Było poza moim zasięgiem. Patrzyłam, jak tonie i nie mogłam go wciągnąć z powrotem. Jego ręce i nogi były bezładnie rozrzucone, a zmarszczki na powierzchni wody odbijały się złotymi cętkami na jego uśpionej twarzy. Tonął coraz głębiej i głębiej, był coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu stał się jednym z kamyków na dnie, tak samo zielony jak one. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Załamana, nieszczęśliwa i z poczuciem bezradności patrzyłam, jak staje się dla mnie nieosiągalny... już na zawsze.

— On utonie. Nie mogę go wyciągnąć. Jest za daleko. — Jęczałam.

— On nie żyje — odpowiedział głos. — Nic nie możesz zrobić. W tym momencie, jak zwykle, obudziłam się. Dzwonił telefon.

To był Iain. W jego głosie pobrzmiwała jakaś dziwna nuta wahania.

— Wszystko w porządku? — zapytałam.

— U mnie tak, chodzi o samolot. Niestety rozbiłem go.

Nad wzgórzami Kutua zepsuł się silnik. Tam zaczęło się, jak Oria opisała to później, jego „ciche spadanie”. Tylko zimna krew Iaina i jego umiejętności ocaliły im życie. Zauważył opuszczoną *bomę* po bydle w gęstym buszu i zszedł do przymusowego lądowania na małej polance. Samolot stracił obydwa skrzydła, a Saba była przesączona lotniczym paliwem. Iain zdołał nadać komunikat, który został odebrany przez stację znajdującą się przy sieci ochrony Laikipii. Potem wysiadł im akumulator. Zobaczyli samolot Jonathana Leaky'ego, który zaalarmowany przez radio natychmiast wystartował i szukał ich, zataczając nad ziemią koła, ale bez skutku, gdyż wrak był przysłonięty przez gęstą roślinność. Dopiero wieczorem znalazł ich *morati* (młody wojownik) z plemienia Gempów, który zaalarmował wieś i policję. W typowym stylu Rocków i Douglas-Hamiltonów ucztowali tej nocy z młodymi wojownikami przy pieczonym jagnięciu i awokado, które szczęśliwie im podarowałam. Następnego dnia Policyjny landrover odszukał ich i zawiózł do Nairobi.



Natychmiast wezwałam przez radio Colina i poprosiłam, żeby wysłał naszą ciężarówkę po szczątki samolotu. Zawieźli jego żałosne resztki na farmę Douglas-Hamiltonów nad jeziorem Naivasha. Ten dzielny samolocik leży tam do tej pory, jak okaleczona ważka, wspomnienie minionych przygód i snów.

### 37. Prosto z nieba

O człowieku, o naturze, o bycie  
Rozmyślając w samotności.

William Wordsworth, Ze wstępu do *The Excursion*  
(przekł. Mirosław Gryka)

Przed śmiercią Emanuela często kursowałam między Nairobi a Laikipia, głównie z powodu jego szkoły. Teraz musiałam pozostać na ranchu, gdyż Sveva wymagała opieki. Była za mała, żeby chodzić do przedszkola.

Pewnego dnia otrzymałam list od Aidana. Był to list człowieka rozdartego przez własne zobowiązania... list pożegnalny. W postscriptum napisał: „Myśl o Tobie będzie moim nieodłącznym cieniem tak długo, jak będę żył...”.

Wiedziałam, że straciłam coś bardzo cennego. Chociaż odpisałam mu, że zawsze może liczyć na moją przyjaźń i zrozumienie, czułam się opuszczona, a wspomnienia naszego latającego dywanu oraz radości i głębi naszych spotkań nawiedzały mnie przez długi czas.

Śmierć Emanuela nagle zakończyła ten sen na jawie, a może tak miało być?

Słońce niezmiennie wstawało o poranku, Sveva pięknie rosła, a moje życie toczyło się dalej. Jeśli nawet szczęście mnie opuściło, to mój duch nie zawiódł. Gdy już wszystko zdawało się być stracone, gdy stałam samotnie nad moimi grobami, czułam że jest to szczególnie chwila, by podnieść głowę i jeszcze raz spojrzeć na Afrykę.

Kiedy miałam dziewięć lub może dziesięć lat, podczas jakiegoś spaceru mój ojciec ni stąd, ni zowąd powiedział:

— Najważniejszą rzeczą, Kuki, której powinnaś się w życiu nauczyć, jest żyć samotnie. Wcześniej czy później nadejdzie moment, kiedy będziesz zdana tylko na siebie. Musisz umieć się z tym pogodzić i zaakceptować to.

Nigdy nie dowiedziałam się, co skłoniło mojego ojca, by mi to powiedzieć, ale też nigdy jego słów nie zapomniałam. Teraz nadszedł czas, by udowodnić, że potrafię dać sobie radę w pojedynkę. Nauczyłam się być sama, żyć w zgodzie ze swoim umysłem i w harmonii ducha. Odkryłam, że się nie boję i potrafię zaakceptować wszystko, co mi się zdarzy, i że jestem z tym szczęśliwa.

Moi przyjaciele odwiedzali mnie często i w większości zlatywali z nieba na swoich zwinnych samolocikach.

Latanie nad Afryką daje poczucie nieograniczonej wolności. W Kenii małe samoloty są naturalnym i bardzo popularnym środkiem lokomocji. Dawniej, gdy drogi jeszcze nie istniały, a trzeba było pokonywać ogromne odległości, był to często jedyny sposób komunikacji. Latanie jest znakomitym sposobem transportu, załatwiania interesów i podtrzymywania przyjaźni — nie jest luksusem, ale koniecznością. Prywatne lotniska na farmach i ranczach są powszechne, łatwe do zbudowania i do utrzymania. Można wylądować dosłownie na padokach przyjaciół i wypić z nimi drinka. Można zjeść śniadanie na wybrzeżu w Lamu, lunch na wzgórzach w Laikipii, a kolację nad jeziorem Turkana. Taka podróż samochodem trwałaby tygodniami. Latanie gwarantuje również szybką pomoc w nagłych wypadkach. Począwszy od lekarzy, poprzez zoologów i ranczerów, wielu ludzi w Kenii porusza się własnymi samolotami. Lotnisko Wilson w Nairobi jest największym portem lotniczym dla prywatnych samolotów w Afryce.

Nasze lądowisko Ol Ari Nyiro znajdowało się dwadzieścia minut drogi samochodem od Kuti. Planowaliśmy z Emanuelem wybudować blisko domu drugie lotnisko, sięgające pasem startowym niemal do drzwi naszej werandy. Postanowiłam zrealizować ten plan, by każdy kto do mnie zawita, mógł od razu wejść do domu. Był też inny powód.

Nie chciałam więcej znaleźć się w takiej sytuacji, jak z Emanuelem, kiedy musiałam przemierzyć samochodem wiele mil, by uzyskać dla niego pomoc.

Wybraliśmy z Iainem i Colinem miejsce tuż za ogrodem w Kuti. Przyjechał stary, rozklekotany i mocno sfatygowany buldożer i wgryzł się w ziemię biegnącą przez busz, od wzgórza poniżej Kuti do chat naszych pracowników. Potem usunięto największe głazy i korzenie, a ziemię wyrównano. Gdy już pas startowy uklepano, wsiadłam ze Svewą do naszego pikapu i, zaśmiewając się do łez, rozrzuciłyśmy nasiona trawy. Pod wpływem deszczów wyrosnie równa i gęsta murawa. Teraz miałam lotnisko w Kuti.

Pewnego dnia przed nadejściem lata Richard Leakey zawiózł mnie samolotem do „kolebki ludzkości” w Koobi-Forze, dokąd regularnie jeździł nadzorować prace wykopaliskowe i badania nad naszymi praprzodkami.

— Musisz wyjechać — powiedział stanowczo — Koobi-Fora dobrze ci zrobi.

Miał rację. Odlecieliśmy z mojego nowego lotniska nad jezioro Tukana.

Zawsze lubiłam to jezioro. Fascynowało mnie jego sędziwe dostojństwo. Nieustanny, gorący i suchy wiatr znad jego tafli przynosił ze sobą niewyraźne szepty tysiącleci. Słońce, mieniając się barwami indygo i purpury, zachodziło nad jego nieruchomą powierzchnią. Spacerowaliśmy brzegiem, gdzie na czarny, wulkaniczny, pachnący sodą piasek plaży napływały z tajemniczych głębin dziwne gigantyczne ości. Woda była ciepła, jakby podgrzewał ją od spodu stały płomień — lubiłam te bez troskie kąpiele o zmierzchu.

Rozległ się plusk! Tuż obok mnie.

— To tylko krokodyl — powiedział z uśmiechem Richard. — Nie przejmuj się, są dobrze odkarmione.

Te wielkie odrętwiąłe gady z oczyma sterczącymi nad powierzchnią wody stanowiły jedno z ogniw w potężnym łańcuchu Natury, będącej w odwiecznej, mądrej równowadze.

Tej nocy siedzieliśmy długo w milczeniu na otwartej werandzie chatki Richarda, sącząc znakomicie schłodzone wino. Czułam się oczyszczona i odnowiona. Odwieczny, nie naruszony jeszcze ręką człowieka krajobraz jeziora, dzikość skał i nagich brzegów, kontrastujących z soczystą roślinnością Laikipii, sprawiał, że poczułam, jak powiew czasu rozpędza mój piekący ból, mieszając go z bólem wszystkich ludzi, którzy chodzili po ziemi od samego początku świata.

Po moim powrocie Laikipia zdała mi się zieleńsza, bogatsza i pełniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Nad jeziorem Turkana zagłębiłam się w siebie aż po dno mojej istoty, sama lecz nie samotna. Znów poczułam, że mogę przebywać bez obaw we własnym towarzystwie. Powoli moja otwarta rana zablizniała się.

Coraz częściej przebywałam teraz z Iainem Douglas-Hamiltonem. Lubiłam latać z nim samolotem nad afrykańskim buszem. Loty z Iainem były nie tylko ekscytujące, ale też sprawiały mi olbrzymią przyjemność. Choć dla wielu ludzi jego sztuka pilotażu była nie do przyjęcia, ja całkowicie wierzyłam w jego zimną krew i stalowe nerwy. Iain prowadził samolot nisko, tuż nad ziemią i mimo pozorów nonszalancji wyczuwało się w tym wielki kunszt i doświadczenie. Był to świetny sposób eksplorowania afrykańskiego buszu. Lecieć bardzo nisko, badając kontury terenu, przeszukując wzrokiem każdą piędź ziemi... W ten sposób widziało się więcej szczegółów z życia afrykańskiej przyrody.

Któregoś weekendu Iain gościł u mnie w Laikipii z grupką przyjaciół i ich dzieci. Był chłodny poranek. Tuż po śniadaniu uwagę naszą przykuł krzyk Svevy dobiegający od basenu. Sveva nie umiała jeszcze pływać. Rzuciliśmy się w tamtą stronę. Na brzegu basenu stała mała istota i wołała: „Mamma”. Nawet z odległości widziałam, że w wygładzie i głosie Svevy jest coś dziwnego. Miała na sobie ciężki kombinezon, skarpetki, kalosze i sweter. Z ubrania i włosów ściekała woda. Dopadłam do niej w kilku desperackich krokach, a Iain za mną. Chwyciłam ją w ramiona. Była tak ciężka, że zachwiałam się pod jej ciężarem. Dopiero wtedy zaczęła płakać. Gdy rozbierałam ją i suszyłam, opowiedziała mi pośród szlochów o całym zdarzeniu. Wszyscy byliśmy zdumieni.

Bawiła się z inną małą dziewczynką, która niechcący wepchnęła ją do wody. Zamiast nas zawołać, schowała się w krzakach, a Sveva poszła na dno. Jej małe ciało było obciążone grubym ubraniem, więc nie mogła utrzymać się na powierzchni. I wtedy?

— I wtedy mamo, otworzyłam oczy pod wodą i wszystko było niebieskie i zimne, i zobaczyłam białą drabinę, trochę daleko... Nie mogłam jej dosięgnąć. Więc odbiłam się stopami od dna i udało mi się ją złapać. I wyszłam... Jak Emanuel mi powiedział, że mam zrobić, jeśli kiedyś wpadnę... Jak żaba. Jest mi zimno... Ale tam nie było mi zimno...

Staliśmy oniemiały, spoglądając na mokrego, trzyletniego bobasa. Wiedziałam, że nie umiała pływać... Nie było żadnego wyjaśnienia. Robiło mi się słabo na myśl o tym, co mogło się zdarzyć... Pod wpływem szoku zaczęłam się trząść. Iain schwycił mnie za ramiona, potrząsnął mną i zajął mi głęboko w oczy:

— Kuki — powiedział powoli, starając się zachować spokój. — Kuki, twoja córka żyje, będzie żyła, nie widzisz? Zdołała wypłynąć sama, Bóg wie jak, całkowicie ubrana z głębokiego basenu, w wieku dwóch lat... Niech to licha! Naprawdę istnieją rzeczy, których nauka nie potrafi wytłumaczyć.

Sveva i ja nie mogliśmy się po tym wszystkim otrząsnąć i aby wyrwać nas z tego odrętwienia, Iain postanowił zawieźć nas samolotem na kilka godzin do Carletta. Nadal zszokowana obserwowałam cień samolotu przesuwaną się szybko po ziemi. Wystraszone guźce wybiegały ze swoich jam, a różowoszyje strusie i pasiaste zebry pędziły kilka stóp pod nami, wzbijając tumany pyłu. Sveva zawinięta w koc spała w moich ramionach.

Wczesnym popołudniem, o zachodzie słońca ubrałam Svewę w kostium kąpielowy i poszłam z nią do basenu.

— Pokaż mi, jak to zrobiłaś? Sprawdzimy, czy potrafisz to zrobić jeszcze raz.

Ale nie potrafiła. Zaczęła tonąć i musiałam wyciągać ją z wody za włosy. A rano nawet się nie zachłysnęła, nie kaszłała... Patrzyliśmy z Iainem na siebie niedowierzająco. Do dzisiejszego dnia żadne z nas nie

potrafi wyjaśnić, co się naprawdę stało, jaki to dobry duch uratował jej życie.

Wszystko, co niezwykle, co pełne fantazji i magii, czego nie potrafimy ogarnąć rozumem, wprawia nas w zakłopotanie, mówimy — „To nie do wiary!” i odrzucamy to, ponieważ zastanawianie się nad czymś, czego nie da się dowieść, sprawia, że czujemy się niepewnie, jakbyśmy stąpali po grząskim i niebezpiecznym gruncie. Ale rzeczy niezwykle zdarzają się naprawdę. Niemożność wyjaśnienia jak lub dlaczego się stały, to tylko dowód na ograniczone możliwości naszego umysłu. Tylko od nas zależy, jak takie zdarzenia sobie tłumaczymy.

Tego dnia, kiedy Jack Block utonął w Chile, jego łódka zacumowana przy pomoście na farmie w Naivashy zatoniła bez żadnej widocznej przyczyny.

Nie ulegało żadnej kwestii, że Paolo spodziewał się swojej śmierci — o czym często mi mówił — i kiedy nagle, nim ktokolwiek mi o tym powiedział, poczułam niewytłumaczalny ból i rozplakałam się, wiedziałam, że stało się to najgorsze.

Jest taka melodyjka, którą Sveva po śmierci Paola zaczęła gwizdać — ja jej za żadne skarby nie potrafię zapamiętać. Jest to dokładnie ta sama melodyjka, którą wciąż gwizdał Paolo. A kiedy pytam, kto ją tego nauczył, odpowiada:

— Nikt, po prostu ją znam.

Lewy palec wskazujący Svevy jest zupełnie normalny i sprawny, ale gdy ona koncentruje się na czymś, wówczas zagina go mimowolnie w ten sam, dokładnie ten sam kształt, jaki miał złamany i na zawsze skrzywiony palec Paola po jego pierwszym wypadku. Nie wiem jak ani dlaczego, ale pozostaje faktem, że ona to robi zupełnie nieświadomie.

W kilka dni po epizodzie z basenem, pewnego ranka usłyszałam przez naszą wewnętrzną sieć radiową, że jeden z pasterzy znalazł zdechłego lamparta na wzgórzu Sambara, blisko Engheleshu. W Laikipii obowiązywała zasada, żeby zawsze znaleźć przyczynę śmierci padłego zwierzęcia. Pojechałam tam wraz z młodym pomocnikiem zarządcy i

kilkoma tropicielami. Na czerwcowym niebie zaczynały zbierać się ciemnoszare chmury, nadciągał deszcz. Zostawiliśmy samochód u podnóża wzgórz i poszliśmy dalej pieszo. Trupa rozdętego i już cuchnącego zwierzęcia znaleźliśmy dalej niż sądziliśmy, pod drzewem, na zboczu wzgórza. To był młody samiec, bardzo pokaleczony, ze śladami licznych ukąszeń i zadrapań. Prawdopodobnie stoczył walkę o samicę i padł od ran zadanych przez silniejszego rywala. Jego skóra była kompletnie zniszczona, wypadały z niej pęki zmatowiałych włosów, postanowiliśmy więc lamparta tam zostawić.

Właśnie wtedy spadła mi na głowę pierwsza wielka kropla deszczu, a ziemia zatrzęsa się od grzmotów. Zacinające ostre podmuchy wiatru mieszały krople deszczu z ziarenkami gradu, siekąc moje nagie ramiona i nogi lodowatymi razami. Była to pierwsza silna ulewa podczas długich deszczowych miesięcy osiemdziesiątego roku. Nie było odwrotu. Do samochodu mieliśmy około pięciu mil. Nie mogliśmy też schronić się pod rzadkimi drzewami, gdyż obawialiśmy się pioruna. Szarpani wichurą, brnęliśmy przez bulgoczące potoki wody i schodziliśmy w dół do samochodu... Trwało to całe godziny. Woda przelewała się kaskadami po spadzistych ścieżkach, jej wrący nurt porywał gałązki, liście, konary drzew, małe zdechłe ptaki, łąkowe węże i zuki gnojaki. W niektórych miejscach sięgała nam do kostek, a nawet do kolan i bioder. Szare masy wodne lały się prosto z nieba, miażdżąc nas prawie i przemaczając do suchej nitki. Nigdy w życiu nie było mi zimniej. Co chwilę jaskrawa błyskawica przesłaniała zygzakami po nieboskłonie, bliżej, niż można się było spodziewać. Spotęgowane echem grzmoty eksplodowały wokół nas.

Szłam jak w złym śnie, nieomal po omacku, oślepiana strugami deszczu, ogłuszana piorunami, drapana kolcami i gałązkami, smagana ostrymi biczami wiatru. W pewnej chwili pomyślałam, że przeżywam jakieś katharsis, jak by ta burza symbolicznie chciała zmyć ze mnie starą, stwardniałą od razów, jakich mi nie szczędziło życie, przywartą do ciała skórę i resztki starego, zetlałego bólu.

Dotarliśmy w końcu do samochodu i do domu pomocnika zarządcy, który pożyczył mi pulower i jedną ze swoich *kikoi*. Wycierając się do sucha szorstkim ręcznikiem, zaglądałam w małe zardzewiałe lusterko.

Nie robiłam tego od tygodni. Wokół mojej szczupłej twarzy zwisały wilgotne jasne włosy, przez które przeświecała szarość przedwczesnej siwizny. Nowe, głębokie bruzdy zaznaczyły się po bokach ust. A mimo to moja ciemna, opalona skóra była świeża i jędrna. Szarzielone oczy w wymizerowanej twarzy też zdawały się większe i czystsze niż kiedykolwiek. Moje ramiona i dłonie z krótko przyciętymi paznokciami zdawały się wiotkie. Patrząc na siebie miałam mieszane uczucia.

Opatulona w zbyt obszerne ubrania przykucnęłam przed kominkiem; buzujący ogień z gałązek *mutamayo* wypełniał mnie ciepłem i poczuciem zadowolenia. Powoli zaczęła mnie ogarniać senność, ale służący wniósł na tacy słodką herbatę i grube kromki świeżo upieczonego czarnego chleba z masłem domowej roboty. Jadłam, jakbym robiła to po raz pierwszy w życiu, zachłannie, połykając ze smakiem każdy kęs. To był chyba najlepszy posiłek, jaki jadłam kiedykolwiek.

Burza za oknami ucichła. Szybko zapadała noc. Ktoś przyniósł wiadomość, że piorun trafił w drzewo, pod którym schroniło się siedemnaście wołów i wszystkie zwierzęta zostały porażone. Pomocnik zarządcy poszedł to sprawdzić, a ja wybrałam się w drogę, trzydzieści kilometrów do mojego domu w Kuti. Przez otwarte okno samochodu dobiegała pieśń milionów żab. Koła ślizgały się w ciemnoczerwonym błocie, pozostawiając nowe koleiny, jak dekorację na czekoladowym kremie. Tuż przed Kuti w świetle reflektorów błysnęły zielone oczy — cętkowane ciało — lampart z dik-dikiem zwisającym mu z pyska uciekł w ciemną noc.

Byłam wdzięczna losowi, że mogłam być tutaj, że mogłam podziwiać urodę i niezwykłość Afryki... Byłam w stanie euforii. Szłam bosą do grobów i oparłszy głowę o drzewo Paola, jak kiedyś o jego ramię, westchnęłam głęboko, a zapach nocnego powietrza zdał mi się nowy i uzdrawiający.

W mojej głowie rodził się pewien pomysł. Chociaż Emanuela i Paola już tu nie było, to wciąż istniało to wspólne miejsce, w którym zaczęliśmy rozumieć tajemniczy porządek świata, gdzie poczuliliśmy zespolenie z naturą.



Był to pomysł szalony, mało realny, ale mogący w sposób pozytywny zmienić śmierć moich najbliższych w nowy początek. Pomysł dojrzewał powoli, aż wreszcie stał się moim celem.

Któregoś dnia podczas przeglądania rzeczy Emanuela, natrafiłam na książkę, którą Paolo dał mu na ostatnie urodziny — tragiczną, smutną, a jednak proroczą książkę Petera Bearda *The end of the Game*. Parafrazując znany fragment *Dezyderatów*, Paolo napisał:

*„Emanuelu, jesteś synem wszechświata i niczym więcej, niż czym mniej niż drzewo, gwiazda lub kamień. Masz prawo tu być. Mimo wszystkich kataklizmów jest to wciąż piękny świat dla kogoś, kto potrafi dostrzec jego początek, ilekroć słońce zachodzi nad naszym Mukutanem. Bądź ostrożny. Bądź szczęśliwy. Kocham cię. Paolo”.*

W słowach tych pobrzmiwała nuta ostateczności, było to jakby epitafium, ale teraz dostrzegłam w nich nowe znaczenia: jak kamienie, jak wzgórza, jak każda najdrobniejsza rzecz, której natura nadała kształt, mamy prawo tu być. Ale nie mamy prawa niszczyć przyrody, która nas otacza i która ma te same prawa co człowiek. W otwartych, martwych oczach Emanuela zobaczyłam odbicie nieba i drzew, których on już nie widział. On odszedł, ale przyroda wokół nas trwa. Musimy żyć dalej, działać zgodnie z naturą, niczego nie niszcząc. To była lekcja płynąca ze śmierci mojego syna. Jego pasja życiowa przyniosła mu śmierć, ale śmierć niczego ostatecznie nie zakończyła. Choć fizycznie Emanuel odszedł, jego dusza unosi się gdzieś w przestworzach, a ja i ten skrawek ziemi tutaj wciąż trwamy.

Podobnie jak Paolo, Emanuel był idealistą. We wrześniu miał iść na uniwersytet i studiować zoologię i zarządzanie, aby pewnego dnia wrócić i zastosować na ranchu nowo nabyte umiejętności. Chciał łączyć techniki innowacyjne z tradycyjną wiedzą według zasady, w którą wierzył — że należy utrzymać równowagę między tym, co dzikie i tym, co oswojone, jednocześnie podpatrując tajemnice natury i wykorzystując je do jej ochrony i harmonijnego rozwoju.

Zastanawiałam się nad przyszłością Afryki. Wyrastało nowe pokolenie, w którego rękach wkrótce będą leżały losy Kenii. Bałam się o jej

przyszłość. Młodzi dojrzewali na peryferiach miast, gdzie nie zostało już nic z dzikiej przyrody. Ich umysły były zaśmiecone obcymi ideami i religiami, biedą i brakiem wartościowych celów. Nie umieli docenić piękna własnego kraju; przeciętny miastowy Afrykańczyk nigdy nie widział słonia — jak więc tacy ludzie mieli w przyszłości chronić własne środowisko, aby zapewnić sobie przetrwanie? Czy cała dzika przyroda miała zniknąć na skutek niewiedzy i braku świadomości ekologicznej?

Oczywiście nie potrafiłabym zmienić wszystkiego, ale przynajmniej mogłam zacząć od Ol Ari Nyiro.

Jedynym rozwiązaniem była edukacja. Musieliśmy udowodnić, że można i powinno się koegzystować z dziką przyrodą... że można i powinno uczyć się, jak wykorzystywać Naturę, nie niszczyć jej, a jednocześnie chronić ją przed cywilizowanym człowiekiem. Afryka żądała tego od nas. Powinniśmy jej byli oddać hołd, przede wszystkim ziemi i tradycji przodków tych ludzi, którzy zamieszkiwali ją w wieczystej symbiozie ze zwierzętami i roślinami.

W Ol Ari Nyiro wszystko to już mieliśmy: dziką faunę, pierwotną florę, ludzi, zwierzęta domowe i zasiewy. Mieliśmy nie tylko źródła i strumień Mukutan, lecz również zbiorniki wodne zbudowane przez człowieka; dobrze utrzymane drogi i wąskie ścieżki wydeptane przez pokolenia bawołów i antylop idących do wodopoju. Miejsce to stanowiło oazę, gdzie dzikie zwierzęta były mile widziane, gdzie znajdowały schronienie, pożywienie i idealne warunki do życia. Miejsce to było również ośrodkiem produkcji rolnej, tutaj był inwentarz domowy, plantacje i pracujący na nich ludzie. My już udowodniliśmy, że potrzeby cywilizacji i natura wcale nie muszą się wykluczać. Powinniśmy tylko jeszcze bardziej się starać, by to współistnienie przebiegało bez konfliktów, w naturalnej harmonii. Pragnęłam, aby moje zamierzenia stały się wzorem dla innych, którzy na pewno pójdą moim śladem.

Słonie przychodziły tu z północy swoimi odwiecznymi szlakami, które wyznaczył prasłoń, ich mądry przodek. Ale ścieżki te przeciął im człowiek, zawłaszczył ziemię zakładając pola uprawne i plantacje obfitujące w ponętne rośliny. I tak słonie na przykład nie są w stanie oprzeć

się pokusie dojrzałych pól kukurydzy... Choc są niewinne, uznano je za łupieżców i zaczęto eliminować, pod ścisłą — jakoby — kontrolą przyrodników.

Niesprawiedliwe prawa człowieka zawsze brały górę nad prawami zwierząt i będzie tak dopóty, dopóki człowiek i tylko człowiek nie znajdzie sposobu, by połączyć to, co dzikie i pierwotne, z tym, co oswojone i uzależnione od człowieka.

Zdałam sobie sprawę, że należało działać natychmiast, by uniknąć stopniowej eliminacji słoni. Byłaby to niepowetowana strata.

Potomkowie pierwszych nosorożców, które Delamere spotykał na początku stulecia, wciąż żyli w Ol Ari Nyiro. Lecz ile ich było? Co o nich wiedzieliśmy? Dlaczego wybrały ten teren na swoje schronienie?

Afrykańczycy zatrudnieni na ranczo, wywodzący się z pradawnych plemion Afryki nie zaprzestali zwyczaju zbierania niektórych roślin, by leczyć setki chorób. Które to były rośliny? Jakie choroby nimi leczono? Dlaczego nie mielibyśmy się o nich czegoś więcej dowiedzieć, nauczyć się od starych ludzi sekretów leczenia i zapisać je, zanim będzie za późno?

Istniała niezliczona ilość sposobów wykorzystania tej ziemi. Chciałabym, aby ranczo stało się żywym pomnikiem. Być może pomnikiem na cześć Emanuela i Paola. Mogłam osiągnąć swój cel, idąc konsekwentnie krok za krokiem.

Kiedy o tym myślałam, mały samolot przeleciał nisko nad domem. To był mój przyjaciel, który przybył z Włoch z dziwną, chociaż wzruszającą misją.

— Dość już tego — powiedział na wstępie. — To nie jest twoje miejsce. Co jeszcze chcesz tutaj stracić? Twoi przyjaciele się niepokoją. Wracaj do Włoch.

Poszłam z nim do grobów: na drzewie Paola szezebiotały ptaki. W jego cieniu drzewko Emanuela wzrastało krzepko, jak młody chłopak pod opiekuńczym ramieniem swego ojca. Na grobach leżały dwa czerwone hibiskusy. Codziennie je tam kładłyśmy ze Svewą. Stałam spokojnie w gęstym cieniu drzew i przyglądałam się memu przyjacielowi. Miejskie życie i stresujące interesy nie sprzyjały mu. Głębokie bruzdy

złobiły jego twarz. Wzrok miał wciąż niespokojny jak ludzie, którym brakuje czasu, by zatrzymać się i posłuchać swego wewnętrznego głosu czy zatroszczyć się o coś godnego i wartościowego.

— Pochowałam ich tutaj, bo tutaj jest ich dom — powiedziałam cicho. — Zasadziłam dwa afrykańskie drzewa, bo pewnego dnia ich ciała połączą się z drzewem i staną się jednym. Postanowiłam zostać tutaj i wykorzystać wszystkie lekcje życia, inaczej całe doświadczenie pójdzie na marne. Zostanę tu na zawsze. Mieszkam w Kenii i chcę w niej pozostać, ale muszę zasłużyć na ten przywilej. Jesteś miły, doceniam twoją troskę i dziękuję ci, ale nie wrócę do Włoch, nie poddam się.

Moja decyzja dała mi nowe poczucie jasności i pewności. Poczułam spokój, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczałam, a wraz z nim determinację osiągnięcia sukcesu w moim nowym życiu i siłę, jakiej w sobie nigdy dotąd nie znałam.

### **38. Nowa fundacja**

Prawdziwie odkrywca podróż nic polega na szukaniu nowych krajobrazów, ale na patrzeniu nowymi oczami.

Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*

Pierwszymi ludźmi, z którymi podzieliłam się moim pomysłem, byli Oria i Iain. Przylecieli z Naivashy i spędzili u mnie noc.

Rano poszliśmy na spacer do tamy Paola. Deszcz oczyścił powietrze z zalegających pyłów. Ślizgaliśmy się po błocie, w którym zwierzęta nocną porą odcisnęły swoje ślady. Obeszliśmy dookoła bliźniacze tamy poniżej wzgórza Kuti i stąd mieliśmy wspaniałą widok na rozległe, majestatycznie usytuowane ranczo i na dzikie obszary, które należało chronić.

Ten widok sprawiał, że owładnął nami szczególny nastrój i wracaliśmy w ciszy. Nawet nie spostrzegliśmy, jak zbliżaliśmy się do

ogrodu. Pojawił się naszym oczom nieoczekiwanie, wśród buszu, w niespodzianej krasie kwiatów i zielonych trawników. Udaliśmy się prosto do grobów. Drzewo Paola rosło silne i zdrowe, drzewko Emanuela wypuszczało nowe pączki. Wszystko pachniało świeżością. Tam, trzymając Svewę w ramionach, powiedziałam moim przyjaciółom, że postanowiłam poświęcić moje życie ideałowi współistnienia w harmonii rodzaju ludzkiego i przyrody. I że w Ol Ari Nyiro chcę stworzyć, ku pamięci Paola i Emy, pewien model pokazujący jak ów cel można osiągnąć. Poprosiłam ich o pomoc. Uścisnęliśmy się.

Tego ranka powstała Fundacja im. Gallmanna, The Gallmann Memorial Foundation.

\*

Latem wyjechałam do Europy. Emanuel umarł zaledwie kilka miesięcy temu, a miałam wrażenie, jakby go nie było od dawna.

Jego pokój w Laikipii stał teraz zamknięty. Nie byłam w stanie niczego dotykać. Niczego w nim nie ruszałam ani nie zmieniałam. Jego książki, jego ubrania, jego wężowe skóry rozciągnięte na ścianach, instrumenty do łowienia węży ułożone w równym rzędzie, kurtka wisząca na oparciu krzesła — wszystko tak, jak zostawił. Każdy szczegół w tym pokoju zdawał się czekać na jego powrót.

Każdego dnia, trzy razy dziennie u szczytu stołu gdzie zawsze siedał, kładziono czerwony hibiskus.

Co noc na grobach rozpalano ogień, którego blask można było dostrzec z daleka. Odstraszał zwierzęta, zwłaszcza słonie, które tak bardzo lubiły akacje. Czułam, że płonący noc w noc ogień miał jakieś symboliczne znaczenie. Dogłądanie ogniska w jakiś sposób przypominało hodowlę roślin; wymagało stałej troski i poświęcenia, a nawet swoistej czułości. W ogniu jest coś odwiecznego i niezmiennego, tak jak w morskich falach, nurcie rzeki, albo podmuchach wiatru. Ich zmieniający się kształt i stały ruch zdaje się zawsze taki sam. Wszystkie ognie są tym samym ogniem. Wszystkie fale są tą samą falą. Dzisiejszy wiatr ma miliony lat...

Przed wyjazdem z Kenii rozmawiałam o moich planach z kilkoma bliskimi przyjaciółmi, którzy — miałam nadzieję — zechcą mi pomóc.

Pierwszym z nich był Richard Leakey. Przyjechał z muzeum do mojego domu. Usiedliśmy w gabinecie obitym wenecką tapetą, którą kupiłam na aukcji przed wieloma laty. Opowiedziałam mu o swojej wizji. Słuchał w milczeniu.

— Mam pomysł. Mam miejsce. Potrzebuję ludzi i twojej pomocy.

— Masz ją — powiedział Richard. On nigdy nie rzucał słów na wiatr. — To, co chcesz osiągnąć, ma wielką wartość. Ale nie śpiesz się, nie rób niczego zbyt pochopnie. Bądź pewna, czego chcesz. Będę cię wspierał.

I rzeczywiście, pomagał mi, jak tylko potrafił. Zasugerował też, że powinnam skontaktować się z jego przyjacielem, Maurice'em Strongiem.

Dotąd nie miałam szczęścia poznać Maurice'a Stronga, choć wiele słyszałam o jego niezwykłych osiągnięciach w Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz w pracy nad ochroną środowiska. Tubby Block również gorąco doradzał mi spotkanie z nim, obiecując przedstawić mu moją sprawę. Zaskoczyło mnie to, że zarówno Tubby jak i Richard, tak różni pod względem zainteresowań i charakteru, polecali mi tę samą osobę. Natychmiast wzbudziło to moją chęć poznania tego człowieka.

Pożegnałam się z psami, jakbym wyruszała na krucjatę.

Ostatnim razem byłam w Europie z Emanuelem. Spotkaliśmy się w Rzymie. On wracał z Mariem z żeglarskich wakacji w Grecji, a ja z Wenecji z Wanjiru i Sjevą. Wszyscy mieliśmy polecieć na Sardinie do naszych przyjaciół. Emanuel siedł w tłumie pasażerów samolotu z Aten... Zobaczyłam go pierwsza. Niósł na ramieniu niebieską torbę, a na głowie miał nową czapkę żeglarską. Jego krok był swobodny i sprężysty, uwydatniający długie nogi w obcisłych dzinsach. Za grubą szybą hali przylotów zdawał się odległy i nieosiągalny. Nie widział mnie, nie słyszał i nagle zdało mi się, że tłum Pochłonie go na zawsze. Wpadłam

w panikę, ledwo opanowując chęć rozbicia szyby, by go zatrzymać. Wtedy odwrócił głowę i uśmiechnął się — dostrzegł nas. Sveva z wielkim zadowoleniem machała do niego rączką. Uśmiech zmienił mu twarz i mój strach się rozwiął.

Europa była szara, gorąca i zatłoczona znużonymi, włóczącymi się bez celu turystami.

Chciałam odwiedzić ludzi w różnych krajach, byłam ciekawa, jak mój pomysł zostanie przyjęty przez tych, którzy mnie nie znali, a zatem mogłam liczyć na ich obiektywny, pozbawiony uprzedzeń osąd. W Londynie zatrzymałam się u Tubby'ego i Aino Blocków, podczas gdy Sveva i Wanjiru pozostały u mojej matki we Włoszech.

Były dni, kiedy czułam, że nie poradzę sobie ze światem. Pamiętam pewien dzień, kiedy nie byłam w stanie wyjść z mojego pokoju. Anthony, syn Aino, który był przyjacielem Emy, przyniósł mi czereśnie i szampana, i postawił w drzwiach. Był młody i miły. Znałam go od dziecka i w nim, jak w każdym młodym mężczyźnie, zaczynałam widzieć odbicie mojego syna. Czereśnie pozostały nie tknięte, a z szampana ulotniły się bąbelki. Siedziałam cicho w łóżku i do zapadnięcia nocy wsłuchiwałam się w echa wspomnień, mając nadzieję, że moi przyjaciele mi wybaczą.

Były noce, kiedy nawiedzały mnie koszmary i budziłam się w ciemnościach w zmiętoszonej pościeli, uczepiona szalonej iluzji, że zdarzył się cud i Emanuel żyje, czuje się dobrze, i jest przy mnie... W świetle nocnej lampki z fotografii w srebrnej ramce spoglądały na mnie jego uważne oczy. Przez zasłonięte okna przesączył się pomruk obcego Londynu i okrutna rzeczywistość jeszcze raz mnie zламаła.

Zapragnęłam być w Laikipii, słuchać ptaków, spacerować z psami, błądzić w dolinach, siedzieć przy grobach, pozwalając, by wiatr od wzgórz osuszył moje łyzy swoimi czułymi pieszczotami. Miałam jednak zadanie i nadszedł najwyższy czas, by coś zrobić.

Pojechałam do Zurychu na spotkanie z prawnikiem, którego polecono mi jako idealną osobę do pomocy w założeniu mojej fundacji. W

samolocie siedział tłum obcych ludzi. Z twarzą opartą o okno spoglądałam w dół na ośnieżone szczyty Alp. Nagle poczułam się samotna i wyzuta z wszelkiej energii.

Leciałam na spotkanie z obcym człowiekiem, któremu miałam opowiedzieć o swoim marzeniu, o ludziach, których on nigdy nie spotkał, o miejscu, którego nigdy nie widział, i o desperackim pragnieniu uczynienia z osobistej tragedii, o której on nic nie wiedział, czegoś pozytywnego, trwałego, wartościowego.

Spotkanie z prawnikiem Hansem Hussym okazało się miłą niespodzianką. Jego biuro znajdowało się w starym domu, położonym w parku nad jeziorem. Obszerne pokoje ze starymi stiukami i rzeźbionymi kamiennymi kominkami stanowiły atrakcyjny kontrast do nowoczesnych rzeźb i obrazów. W rozmowie zacytował kilka słów wodza Seattle do Amerykanów, którzy chcieli kupić ziemię od Indian. Były to słowa, w które wierzyłam i uważałam za prawdziwe:

— Jak można kupić czy sprzedać niebo albo ciepło ziemi?... Skoro świeży powiew wiatru i tafla wody, nie są naszą własnością, to jak wy możecie je kupić?

Omówiliśmy moje plany i on zobowiązał się przedsięwziąć niezbędne kroki, by je sformalizować pod względem prawnym. Był to duży postęp w moim przedsięwzięciu.

Do dalszej pracy zachęciły mnie życzliwe reakcje wszystkich moich przyjaciół. Iain zgodził się służyć jako przewodniczący Naukowego Komitetu Doradczego, którego zadaniem było ustanowić priorytety badań naukowych oraz służyć radą i pomocą w ich realizacji. Richard i Tubby skontaktowali się niezależnie od siebie z Mauricem Strongiem i ku mojemu zdumieniu Tubby otrzymał odpowiedź: „...powiedz pani Gallmann, że będzie mi bardzo miło pomóc jej w tym odważnym i niezwykłym przedsięwzięciu i że bardzo pragnę się z nią spotkać”.

Z Mauricem spotkałam się potem w Nairobi, w jakiś czas po moim powrocie. Richard dał mi kopię artykułu o Maurisie, które zamieściło pewne międzynarodowe czasopismo. Autor opisywał go bez mała jako cudownego człowieka, natchnionego i dalekowzrocznego specjalistę od



ochrony środowiska, z talentem do interesów, niesamowitą wręcz wrażliwością, ogromnym wyczuciem w kwestii stawiania wielkich i doniosłych pytań i wytrwałością charakterystyczną dla prawdziwych przywódców i innowatorów.

Tubby zaprosił mnie na lunch w Norfolk Hotel, by nas sobie przedstawić. Przyjechałam wcześniej i czekałam w holu, obserwując sznur samochodów zatrzymujących się u wejścia. Wysiadali z nich biznesmeni i turyści. Naraz ze zwykłej taksówki wyłonił się przeciętnie wyglądający mężczyzna, ubrany na szaro, z małym wąsikiem, z teczką w dłoni, dokładnie taki, jakim zobaczyłam go na fotografii w czasopiśmie. Rozejrzał się dookoła i jego oczy natychmiast zatrzymały się na mojej twarzy, wyluskując mnie spośród innych. Były to oczy, którym nic nie było w stanie umknąć: żywe, inteligentne, przenikliwe, lecz o niezwykłej głębi koncentracji.

— Pan Strong, jak przypuszczam...? — zapytałam.

— Pani Gallmann. — Oczy mu zabłyśły. — Cieszę się, że Tubby się spóźnia. Dzięki temu będziemy mogli lepiej się poznać.

Maurice zachowywał się tak naturalnie i z tak nie narzucającą się swobodą i uprzejmością człowieka światowego, że od razu poczułam się przy nim rozluźniona i spokojna. Jego pytania trafiały zawsze w sedno spraw. Rozbawiło mnie, gdy usłyszałam, że podobnie jak ja był niesłychanie zaintrygowany faktem, że przyjaciele tak różni jak Tubby i Richard zarekomendowali mnie z tego samego powodu i w tym samym czasie. Maurice'a cechowała wielka różnorodność zainteresowań, nieoczekiwanie bogata duchowość i znajomość wschodniej myśli. Skończyło się na tym, że rozmawialiśmy o wszystkim, zaczynając od ochrony przyrody, a skończywszy na problemach życia i śmierci. Czulałam się tak, jakbym znała go od zawsze. Maurice, podobnie jak Richard, z czasem zgodził się przyłączyć do Fundacji jako administrator.

Richard nie ustawał w wysiłkach, by mi pomóc. Pewnego dnia sprwadził do Laikipii ważną osobistość. Gdy jego samolot wylądował na moim lotnisku, poszłam ze Svewą i psami witać gości. Niczym z magicznego cylindra, tym razem z samolotu Richarda wyskoczył z młodzieńczym błyskiem w oczach i szelmowskim uśmiechem... książę

Holandii Bernhard. Miał na sobie strój w kolorze khaki, a w beret popinał znaczki przedstawiające wszystkie gatunki zwierząt. Niewielu ludzi, jak sądzę, ma w sobie tyle wigoru, co ten żywotny džentelmen, który poświęcił swoje życie i większość czasu sprawie ochrony dzikiej przyrody. Niezmordowanie podróżuje po świecie, by przedkładać głowom rządów i zwolennikom naturalnego środowiska swoje przesłanie.

Książę, zafascynowany urokiem Laikipii oraz możliwościami, jakie to miejsce — przy odrobinie ludzkiego starania — mogło stworzyć dla zachowania gatunków fauny i flory, natychmiast zainteresował się moimi planami. Wiele dyskutowaliśmy o tym, co chciałam osiągnąć w Ol Ari Nyiro. Miałam wrażenie, że zyskałam w nim wielkiego sojusznika.

Książę Bernhard uwielbiał spacerować w buszu i obserwowanie dzikich zwierząt, zwłaszcza nosorożców i słoni. Miał słabość do cygar, różowego szampana i muzyki meksykańskiej. Któregoś razu powiedział mi z uśmiechem, że na swój pogrzeb wybrał melodie: *Paloma* i *Barca de oro*, które orkiestra królewska Holandii ćwiczyła regularnie, przygotowując się na tę, miejmy nadzieję, odległą okazję. Mnóstwo wolnego czasu spędzał na rozwiązywaniu skomplikowanych krzyżówek, jak sam mówił, dla „gimnastyki umysłowej”, co oczywiście dawało efekty, ponieważ nosił swoje lata z wdziękiem, a jego umysł był bystry i aktywny.

Po tej pierwszej wizycie odwiedził mnie jeszcze kilka razy. Przez wiele lat wspierał naszą Fundację bardzo hojnie. W końcu zgodził się stać jej pierwszym patronem, zyskując tym moją wielką wdzięczność.

Fundacja w końcu została zarejestrowana w Zurychu. Otrzymałam wszelkie oficjalne dokumenty i nadszedł czas, żeby rozpocząć pierwszy etap pracy, który musiał się powieść.

Dzięki dobrze rozbudowanej ochronie w Ol Ari Nyiro nie zanotowano dotąd ani jednego przypadku kłusownictwa. Ranczo obfitowało w dzikie zwierzęta, a moją szczególną dumą były czarne nosorożce,

które przemierzały rozległe połacie swobodnie, jak za dawnych czasów. Ku memu zdziwieniu odkryłam, że przeprowadzono bardzo niewiele badań na temat monitorowania, ochrony i ekologii tych gruboskórców. Postanowiliśmy z Iainem, że będzie to dziedzina, od której rozpoczniemy działalność naszej Fundacji.

Iain wraz z Colinem opracowali podstawowe założenia prac badawczych. Wielką pomocą służył nam Jim Els, amerykański naukowiec współpracujący z muzeum. Projekt zakładał przeprowadzenie spisu nosorożców w Ol Ari Nyiro oraz określenie, czym najchętniej żywiły się w naturalnym środowisku i jakie były ich zwyczaje. Ta wiedza mogła później posłużyć przy zakładaniu rezerwatów tego ginącego gatunku w całym kraju. Kiedy projekt był już gotowy, skontaktowaliśmy się z Towarzystwem Zoologicznym w Londynie. Chcieliśmy pozyskać dla naszej Fundacji jakiegoś młodego naukowca, który przejąłby realizację projektu. Ponieważ edukacja ekologiczna była integralną częścią programu Fundacji, musiałby zająć się również szkoleniem Kenijczyków. Było to trudne zadanie.

Spśród sugerowanych osób wybraliśmy Roba Bretta, który ukończył zoologię w Oxfordzie. Spędził dwa lata w Kenii, prowadząc badania do swojej pracy doktorskiej na temat afrykańskich gryzoni, ślepców. Rob, inteligentny i kompetentny młody człowiek o wielkim poczuciu humoru i miłym sposobie bycia natychmiast znalazł swoje miejsce w życiu społeczności Ol Ari Nyiro. Zorganizowałam dla niego skromny obóz badawczy, który dzięki jego poświęceniu w ciągu czterech lat przekształcił się w poważny ośrodek naukowy Fundacji Gallmanna.

Przy pomocy naszych ludzi z ochrony, a także Iaina i Colina, Rob zabrał się z zapalem do liczenia naszych tajemniczych nosorożców. Niestety, busz w Ol Ari Nyiro jest niesłychanie gęsty, a nosorożce są na ogół samotnikami. Wyjątkowo można spotkać pary odbywające gody albo matki z młodymi. Na szczęście sprawdziła się odważna teoria Iaina, że odciski stóp tych zwierząt, podobnie jak nasze odciski palców, są różne u poszczególnych okazów. Rob doprowadził tę technikę identyfikacji do perfekcji i już wkrótce mógł podać precyzyjną liczbę czarnych nosorożców w Ol Ari Nyiro. Było ich dokładnie 47. Jak się okazało,

mieliśmy największą poza parkami narodowymi, znaną populację dziko żyjących zwierząt tego gatunku we wschodniej Afryce.

Na skutek napływu nowych osadników — po sprzedaży farm Ol Morani i Colobus — oraz zwiększonego popytu na kość słoniową coraz częściej na naszym ranchu chroniły się ranne albo pokaleczone wnykami zwierzęta. To, co było dotychczas rzadkim zjawiskiem, teraz stało się nagminne.

Strażnicy i pasterze wciąż informowali nas o zranionych bawołach, elandach, w jednym przypadku o żyrafie, lecz głównie o słońiach. Osłabione, z ropiejącymi ranami, włócznie z wiszącymi z boków albo wnykami na nogach, były bardzo agresywne i niebezpieczne dla ludzi i zwierząt.

Jeden z naszych pasterzy z plemienia Turkana stał się pierwszą ofiarą takiego rozwścieczonego zwierzęcia. Stary Loyamuk, którego imieniem Emanuel nazwał swojego ulubionego węża piaskowego, stracił niepotrzebnie życie. Dzień wcześniej ten sam słoń zabił dwie jałówki, a następnego dnia Kijaną, szalonego kasztanowego ogiera, ulubieńca Emanuela. Fakt, że słoń z taką zawziętością rzucił się w pogoń za galopującym beztrąsko koniem, po czym z furią stratował go na miazgę, świadczył o tym, jak bardzo cierpiał. Colin wytropił słońia, idąc śladem cuchnącej ropy, który zwierzę zostawiało za sobą. Niestety musiał go zastrzelić. Jego kły jeszcze pokrywała zaschnięta krew. Górna część trąby była straszliwie nabrzmiąta, pęknięta i zgangrenowana. Tkwił w niej nabój.

Wkrótce potem widziano młodego kulejącego słońia — kolejną ofiarę kłusowniczych narzędzi. Wnyki i tym podobne pułapki są najbardziej karygodnym i podstępny sposobem łapania dzikich zwierząt. Wykonane ze stalowego grubego drutu, zaciągnięte w śmiercionośną pętlę, zakładane są wzdłuż ubitych ścieżek, którymi zwierzęta zwykle chodzą do wodopoju albo solnych lizawek. Mniejsze, jak dik-diki, impale, a

nawet buszboki cierpią w ich okrutnym uścisku często przez kilka dni, zanim ci, którzy je zastawili, nie przyjdą ich dobić. O lampartach wiadomo, że odgryzają nawet nogę, aby się uwolnić. Większe i silniejsze zwierzęta, jak bawoły i słonie, zwykle potrafią rozerwać pętlę, ale drut zacieśniony w desperackim zmaganiu o życie, wrzyna się głęboko w ich ciała, odcinając dopływ krwi. Okaleczone zwierzę słabnie i wkrótce stado zostawia je własnemu losowi. Niezdolne biec, osłabione przez brak jedzenia, staje się łatwym łupem każdego drapieżcy, od człowieka po lwa. Sępy obserwują je z daleka, cierpliwie czekając na swój udział w uczcie...

Tamtemu kulejącemu słoniowi zdołaliśmy pomóc. Porozumieliśmy się z Dieterem Rottcherem, chirurgiem — weterynarzem, który z wielkim poświęceniem ratował ranne zwierzęta. Pod jego doświadczonej okiem uspiono cierpiące stworzenie nabojem usypiającym, po czym wstrzyknięto mu antybiotyk i usunięto z nabrzmiałej rany drut. Colin pilnie przy tym asystował i po serii podobnych, udanych operacji opanował skomplikowaną, tak specyficzną w przypadku dzikich zwierząt, technikę anestezyjną, która wymaga celności, odwagi, wiedzy o ich psychice, znajomości buszu oraz medycznego treningu. Gdy udało się nam zakupić własne wyposażenie do usypiania, Colinowi przybył jeszcze jeden obowiązek, niesienie pomocy okaleczonym słoniom. Jednocześnie dałam mu *carte blanche* na jego pracę dla rancza, wiedząc, że nie zaniedba swoich podstawowych obowiązków. Zdawało się, że te czasy, kiedy Paolo i Colin jak większość mężczyzn w Afryce polowali na słonie, minęły bezpowrotnie. Nastąpiła nowa era. Prześladowcy tych samych zwierząt, które z taką pasją jeszcze niedawno próbowali zabić, zmienili się w ich opiekunów.

Mniej więcej w tym czasie dowódca naszej ochrony, Luka Kiriongi, został uhonorowany nagrodą Davida Sheldricka, przyznawaną rokrocznie Kenijczykowi, który położył nadzwyczajne zasługi dla ratowania dzikiej fauny. Pojechaliśmy do siedziby rządu, gdzie prezydent Moi wręczył Luce nagrodę i czek na znaczną sumę pieniędzy. Wyprostowany i dumny, ubrany w najlepszy mundur, salutując pięknie przed kamerami, Luka wydawał się znacznie wyższy.

Dzięki wysiłkom naszej ochrony ani jeden słoń i ani jeden nosorożec nie został zabity przez kłusowników w Ol Ari Nyiro przez długie lata.

W Ol Ari Nyiro różnice klimatyczne pomiędzy szczytami wzgórz, a dnem wąwozu Mukutan pozwalały na wielkie zróżnicowanie flory, a dzięki skutecznej ochronie poszczególne gatunki roślin nadal zajmowały swoje naturalne siedliska.

W Afryce nie zmarnuje się żadne nasionko, żaden korzeń nie jest jałowcy. Gdy nadchodzi pora deszczowa, uśpiona Laikipia budzi się z letargu i wszystko rozkwita na nowo. Trawa z dnia na dzień wydaje się zieleńsza. Pąki i świeże pędy pojawiają się na pozornie martwych, suchych i szarych gałęziach drzew. Między skałami, na jałowych szlakach rozkwitają nieprawdopodobnie piękne lilie, różowe i mięsiste, a jasne ogniste kulki *aemantusa* jak czerwone pompony dyndają na wietrze. Gigantyczne grzyby rozrywają twarde skorupy termitier, których mieszkańcy odbywają swe godowe loty — miliony ich drżących skrzydełek migocą w słońcu niczym złoty deszcz. Wśród tej obfitości antylopy i bawoły, których sierść aż lśni, z ukontentowaniem przeżuwiają swój pokarm jak na wielkim bankiecie. Tłuste słonie i żyrafy wyskubują delikatne młode listki na górnych gałęziach akacji białej lub żółtej, o puszystych, okrągłych kwiatach. Tkacze ze źdźbłami trawy w dziobkach krzątają się przy budowie swoich gniazd. Powietrze jest balsamiczne od mocnych woni jaśminu i mimozy, a krzaki carissy pyszną się gronami białych kwiatów. Ten cud wybujałej roślinności odnawia się w każdej porze deszczowej.

Nasi ludzie w Ol Ari Nyiro zbierali różne rośliny jadalne, jagody i owoce, dziki szpinak i poskręcane korzenie, z których przyrządzali smakowite i pożywne potrawy. Z innych natomiast roślin, z dziwnych nasion, strąków i kory drzew robili lekarstwa. Niestety, rośliny te znikają wskutek ekspansywnej gospodarki rolnej, stosowania środków chemicznych i intensywnych wypasów bydła.

Zainteresowałam się miejscowym ziołolecznictwem. Czułam, że zgromadzenie wiadomości oraz przekazanie cennej wiedzy o zastosowaniu roślin leczniczych może być istotnym elementem w pracy Fundacji. Dowiedziałam się, że uznanym ekspertem w tej dziedzinie była stara kobieta z plemienia Pokotów, matka Langety, człowieka, którego zatrudnialiśmy do pilnowania granicy Ol Ari Nyiro. Postanowiłam ją odszukać. Chciałam, żeby podzieliła się ze mną swoją wiedzą o tradycyjnym wykorzystywaniu miejscowych roślin. Gdy dotarłam do niej, siedziała sobie przed chatą. Wokół niej pasły się kozy, a dzieci otoczone chmarami much bawiły się pod jej bacznym spojrzeniem w czerwonym kurzu, śmieciach i odchodach małej zagrody. Gdy mnie zobaczyła, wstała i patrzyła. W jej starych oczach była niedościgniona mądrość i doświadczenie. Mosiężne kółka, pokryte patyną wielu lat, zwisały z jej wydłużonych płatków usznych. Rzędy naszyjników z brązowych paciorków otaczały jej szyję. Jej czaszka była wygolona po bokach w tradycyjny sposób, a na czubku głowy pyszniła się gęsta korona długich kręconych loków.

Spotkałam ją już kiedyś. Przybyła wówczas z grupą młodych Nditu i wojowników ubranych w czerni. Przemierzyli wiele mil w żarze południowego słońca. Kurz, wzbijany przez ich stopy widać było już z daleka. Śpiewali piękną i dziwną pieśń safari. Przynieśli ze sobą mocny zapach popiołu, kwaśnego mleka, dymu i potu, podobny do smrodu stada bawołów. Tańczyli w południowym słońcu, tańczyli przez całą noc w świetle ognisk tak, jakby czas dla nich w ogóle nie istniał.

Ta mała pomarszczona, zasuszona staruszka, ostatnia uznana szamanka na naszym terenie nazywała się Cheptosai Selale. Obawiałam się, że wraz z jej śmiercią cała jej ogromna wiedza pójdzie bezpowrotnie w zapomnienie. Musiałam ją zatem namówić do współpracy, tylko ona jedna potrafiła bezbłędnie odnaleźć i rozpoznać bezcenne rośliny.

Przyniosłam jej w podarunku cukier i herbatę, mydło i sól. Nie mogłam znaleźć u siebie w domu machorki, choć wiedziałam, że bez problemu odnajdzie w buszu dziko rosnący tytoń. Powiedziałam jej, że szanuję i uznaję jej wiedzę, która jest nazbyt cenna, by jej nie zachować dla przyszłych pokoleń. Przez cały czas naszego spotkania kobieta stała

dumnie wyprostowana, słuchając tłumaczenia swojego syna. Trochę mówiła w suahili, na większość pytań jednak odpowiadała w języku Pokotów. Jej oczy przez cały czas były we mnie wpatrzone. Biła z nich wielka siła i stanowczość. Zrozumiałam, że powinniśmy z pokorą i wielką delikatnością prosić tych ludzi, by zechcieli przekazać nam swoją niezwykłą, intuicyjną wiedzę. Przedtem jednak musimy zedrzeć z oczu łuski, które zaciemniają naszą percepcję, i zajrzeć na dno naszych dusz, aby stamtąd, z prąźródła ludzkiej mądrości czerpać wiedzę o wzajemnych związkach człowieka z otaczającym go światem.

Przekonana byłam głęboko, że mimo zewnętrznych różnic, łączy nas wspólna tożsamość dwóch istot, które miały tę samą wizję świata i być może to samo doświadczenie prawd zakrytych przed ludzkim okiem. W innym życiu mogłabym być, tak jak ona, znachorką i miałam wrażenie, że ona wiedziała o tym.

Wpatrując się we mnie nieruchomym spojrzeniem, uważnie badała moją twarz. A gdy przestałam mówić, skinęła głową potwierdzająco. Podałam jej rękę. Jej dłoń była sucha i szorstka jak nagrzaną w słońcu kamień.

Po raz pierwszy zdradziła swoje uczucia i wykrzywiła twarz w bezzębnym uśmiechu. Ja również uśmiechnęłam się. Nie trzeba było nic więcej, wiedziałam, że znalazłam w niej wielkiego sojusznika.

Jechałam do domu w nastroju podniecenia. Niebo Afryki otworzyło się nade mną. Bardziej niż kiedykolwiek poczułam się zakorzeniona w tej ziemi, zjednoczona nawet ze starym kurzem czerwonych laterytowych dróg, kadzidlany zapachem wysokiej *leleshvy* i jaśminu, zmieszany z duszącą wonią odchodów słoni, gorącego popiołu i dymiących ognisk — zapachem Laikipii.

Kilka miesięcy po tym spotkaniu rozpoczęliśmy przy współpracy z herbarium i Cheptosai Selale nasze prace etnobotaniczne.

W OI Ari Nyiro miałam zwykle do czynienia tylko z mężczyznami pracującymi na ranczu. Teraz jednak nadarzyła się okazja do zacieśnienia kontaktów z ich żonami i matkami.



W Afryce wiejskie kobiety rzadko mają szansę wyjść poza opłotki swoich domostw i zagród. Uprawiają pola i opiekują się małymi stadami zwierząt. Na ranczu nie ma dla kobiet pracy, i nic oprócz najprostszych zajęć domowych nie urozmaica ich życia. Ich dzień zaczyna się o wschodzie słońca, a kończy o zachodzie. Zbierają chrust, który noszą w ogromnych wiązkach, by wewnątrz ciemnych chat wypełnionych gęstym, szczypiącym dymem gotować niewyszukane potrawy. W takiej chacie, rozgrzanej przez ogień, jest gorąco i duszno, a gdy ciepłota powietrza na zewnątrz się obniża, różnica temperatur jest tak wielka, że powoduje, zwłaszcza u dzieci, częste przeziębiaenia. Przekrwienie i zapalenie płuc należą do najbardziej rozpowszechnionych chorób.

W dawnych czasach kobiety robiły różne przedmioty i ozdoby z naturalnych materiałów zbieranych w lesie: zwierzęcych skór, drewna, korzeni, nasion o intensywnych kolorach oraz tykw o dziwacznych kształtach. Sprzedawały je później wędrownym handlarzom paciorków.

Teraz handlarzom nie opłaca się skupować ich wyrobów. Na cotygodniowych targach wiejskich zamiast kolorowych paciorków sprzedają krzykliwe nylonowe ubrania, plastikowe miski i blaszane kubki do herbaty. Sztuka wytwarzania zdobnych i pysznie wykończonych przedmiotów z naturalnych materiałów szybko zanika.

Zauważyłam, że te biedne istoty, mając zbyt wiele wolnego czasu, trwały w beznadziejnym oczekiwaniu na coś, co pozwoli im zapełnić dzień między oczekiwaniem na mężów, a doглядaniem dzieci. Bardzo pragnęły robić coś, co dałoby ich dłoniom zajęcie, a rodzinom pożytek. Postanowiłam im w tym pomóc. Co kilka dni dostarczałam paciorków, bawełnianych nici, wełny i skór, pozostawiając im swobodę w kwestii wyboru wykonywanych przedmiotów. Zaskoczyły mnie swymi umiejętnościami. Okazały się twórcze i precyzyjne, a ich wyobraźnia i zapał, z jakim wykonywały swoje rękodzieła wzbudzał mój szacunek i podziw. Koce i koronki, makatki i paski, naszyjniki i kolczyki — a wszystko delikatne i finezyjne — pojawiały się jak za dotknięciem różdżki w ich spracowanych lecz jakże zręcznych dłoniach. Dzięki temu stopniowo powstawało w Ol Ari Nyiro małe, pulsujące życiem

Centrum Sztuki i Rzemiosła. Odczuwałam prawdziwą satysfakcję, patrząc na dumę i entuzjazm, które te kobiety wkładały w swoją pracę. Otrzymywały za to własne pieniądze, które pozwalały im lepiej i pełniej żyć. Zdawało się, że w rogu obfitości Afryki nie zabraknie niczego.

Fundacja imienia Gallmanna nie miała jeszcze swojego logo. Chciałam, żeby był to znak upamiętniający duchowych patronów Fundacji, a zarazem łatwo kojarzący się z Afryką. Pomysł narzucił się sam — dwie akacje, małe drzewko i duże rosnące na grobach Emanuela i Paola będą idealne. Iain i nasi przyjaciele znali tajemnicę tych drzew, a dla obcych symbolizowały one najważniejsze drzewo Afryki. Poprosiłam Davine Dobie, znajomą artystkę, tę samą, która niegdyś namalowała mewy w pokoju Svevy, by opracowała projekt logo Fundacji. Spędziła tydzień w Laikipii i wykonała wspaniały projekt.

Dwa drzewka, mniejsze i większe, rosnące obok siebie i dotykające się gałązkami.

### 39. Robin

Dorodny kształtem i twarzą, na której,  
Zda się, jutrzeńki rannej blaski drżały.

Dante Alighieri, *Boska Komedia*  
(przekł. Edward Porębowicz)

Pewnego wieczoru po moim powrocie z Europy na podjazd przed domem w Nairobi zajechał samochód. Przez uchylone drzwi obserwowałam parę szczupłych nóg w dżinsach i długich butach do safari. Przez krótką szaleńczą chwilę pomyślałam o Emie... Lecz to był Robin, którego nie widziałam od lat. W błękitnej koszuli, ogorzały, z prostymi jasnymi włosami wypłowiałymi w słońcu, z wesołymi niebieskimi

oczyma pod krzaczastymi brwiami i z uśmiechem pełnych, zmysłowych ust wydał mi się naprawdę piękny. Wszedł do salonu oświetlonego świecami i ogniem z kominka i usiadł na białej sofie, wyciągając przed siebie nogi tak swobodnie, jakby zawsze należał do tego miejsca. Uważnie słuchał moich słów. Opowiadałam mu o moim bólu i smutku, o moim na nowo odnalezionym celu życia i o moim ponownym odrodzeniu. A potem on opowiadał ze swadą o swoim własnym życiu. Była to dla mnie wielka przyjemność — po prostu siedzieć i słuchać, wyrzuciwszy troski za burtę.

Robin urodził się w Kenii, w angielsko-norweskiej rodzinie. Jego ojciec był kiedyś dowódcą brytyjskiego dywizjonu. Matka natomiast wywodziła się z niespokojnego rodu, którego przodkowie opuścili północ Europy, by zamieszkać na Kubie, w Mozambiku i na koniec w Kenii, gdzie osiągnęli sukces jako plantatorzy kawy. Ona sama urodziła się na statku w porcie Madera, dziarskiego wojskowego zaś poznała podczas wojny. Wkrótce się pobrali, a z ich związku narodził się Robin.

Są na świecie ludzie ponurzy i są też inni, słoneczni i radośni. Do tych drugich należał Robin. Biła z niego jakaś pozytywna aura i miłe, radosne nastawienie do życia, jakby potrafił sobie radzić z wszystkimi problemami i rozwiązywać je z lekkim sercem. Dostrzegało się w nim wewnętrzne światło. Jako niemowlę był bardzo chory na zatrucie krwi i lekarze dawali rodzicom do zrozumienia, by pozwolili mu umrzeć. On jednak nieoczekiwanie przeżył. Przez lata pozostawał wiotki i blady, nieomal jak duch, by rozkwitnąć w latach młodzieńczych i stać się niezwykle atrakcyjnym młodym mężczyzną. Po matce odziedziczył uwielbienie dla zwierząt i tak jak ona zawsze otaczał się dziwną menażerią: żółwi i psów, kogutów i kotów, galago i kaczek oraz gadających papug. Inżynier z wykształcenia, miał żyłkę do wszelkiego rodzaju mechanizmów. Gdy poznaliśmy się, pracował przy produkcji filmów jako konstruktor przemysłowych scenografii i fachowiec od efektów specjalnych.

Po tamtym pierwszym wieczorze wrócił następnego dnia i wkrótce stał się moim stałym gościem. Ku memu zaskoczeniu wyznał, że przez

wiele lat uważał mnie za ideał kobiety, ale byłam żoną człowieka, którego lubił i poważał. Sam miał za sobą krótkotrwałe, nieudane małżeństwo. Był o dziewięć lat młodszy ode mnie.

Od śmierci Emanuela nosiłam w sobie pragnienie wyrwania się do jakiegoś nieznanego, uroczego zakątka Afryki z pięknym człowiekiem o wrażliwej duszy, obojętnie czy byłaby to kobieta, czy mężczyzna. Marzyłam o głębokim relaksie w niekrępującym towarzystwie pokrewnej duchowo istoty, w otoczeniu nieskażonego krajobrazu. Teraz stwierdziłam, że Robin byłby idealnym towarzyszem. Powiedziałam mu o swoim marzeniu i natychmiast otrzymałam pozytywną odpowiedź. W kilka dni potem pojechaliśmy nad jezioro Magadi. Był to czas pełen harmonii i wzajemnego odkrywania. Pogoda zmieniała się wiele razy w ciągu kilku godzin, od deszczu do słońca, od wiatru do chmur. Obserwowaliśmy polujące na ryby święte ptaki, ibisy, których odbicie w wodzie było tak żywe, jak one same. Wracaliśmy oczarowani, trzymając się za ręce niczym nastolatki. Nasz związek już nie był platoniczny. Poprosiłam Robina, by ze mną zamieszkał.

Dzieliliśmy ze sobą dni i noc. Śmialiśmy się. Dom rozbrzmiewał jego głosem, jego ubrania wisiały w szafie, a samochód stał zaparkowany na podjeździe. Robin pomógł mi wypędzić cienie przeszłości, które dotąd nie dawały mi spokoju. Od śmierci Paola chciałam odwiedzić miejsce wypadku, gdzie zginął... Poprosiłam Robina, żeby pojechał ze mną.

Któregoś ranka zerwałam kilka gardenii i ruszyliśmy drogą do Mombasy. To miejsce nazywało się Hunter's Lodge dla upamiętnienia słynnych myśliwych, którzy je zamieszkiwali. Często zatrzymywaliśmy się tam z Paolem w drodze z wybrzeża. Teraz przebudowano je na hotel.

Robin zaparkował samochód na poboczu drogi. Rozejrzałam się dookoła, próbując zgadnąć, co Paolo widział po raz ostatni: rząd drzew gumowych, znak stacji benzynowej, zmienne chmury Afryki. Szukałam na szutrowej nawierzchni śladów stłuczeń, ale deszcze i wiatry dawno je zatarły. W którym miejscu to się dokładnie stało? Czy ludzie, którzy tu pracują, pamiętają ów wypadek? Nie ma mowy.

Pracownicy stacji benzynowej z pewnością się wymienili. Zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie?

Znalazłam miejsce, gdzie trawa zdawała się zieleńsza i gdzie wyrosły jakieś dzikie kwiaty. Zignorowałam hałas pędzących samochodów i ciekawość przechodniów. Przez głośniki w samochodzie Robina płynęła muzyka Boccheriniego, głośna i wywołująca wspomnienia. Położyłam moje gardenie na trawie. Ciszka opadała na mą duszę, a Robin stał obok, wspierając mnie ramieniem.

Sveva miała wtedy trzy lata. Tęskniła za Emanuelem i tłumem jego młodych przyjaciół, których była maskotką. Obecność Robina w pewien sposób zappełniała tę pustkę i łagodziła tęsknotę. Woził ją na motocyklu, sadzając z przodu przed sobą. Ja natomiast siedziałam na tylnym siodełku. Powietrze pachniało żywicą, bawołami i rozkwitającymi roślinami. Zdarzało się, że słonie przecinały drogę kilka metrów przed nami, potrząsając swoimi wielkimi głowami. Wokół nas rozciągała się Laikipia, piękna i nienaruszona. Czulałam się młoda i beztroska. Sveva śmiała się, jej blond włosy łopotały na wietrze. Obecność Robina była tym, czego obie potrzebowałyśmy. Psy biegły za nami, baraszkowały, szczekając na każdego napotkanego dik-dika albo goniąc zające w obłokach czerwonego pyłu.

Pewnego wieczoru Gordon pobiegł za moim samochodem i dopiero następnego dnia zauważyliśmy, że go nie ma. Znaleźliśmy go w mule przy tamie Ngobithu, gdzie bagno go wessało. Tkwił tam przez całą noc. Jego ciepłe kochające oczy patrzyły na mnie z wyrazem miłości i oddania. Robin zawiózł go do weterynarza, do Nairobi, ale nerki i sternalne serce psa nic zniosły tej nocy w zimnym mule. Gdy tylko samochód odjechał, wróciłam do domu. Tutaj ogarnęło mnie złe przeczucie i niepokój podszedł do gardła, gdy zauważyłam, że pies Emanuela, Angus, który od jego śmierci mieszkał z Mapengo i wszędzie z nim chodził, znów pojawił się na mojej werandzie. Angus usiadł w przejściu na miejscu Gordona, tym samym przejmując przewodnictwo nad sforą naszych owczarków. Stąd wiedziałam, że Gordon nie przeżyje.

Kiedy Robin przekazał mi tę smutną wiadomość przez radio, długo płakałam nad moim starym przyjacielem. Jeszcze jedno ogniwo łączące mnie z przeszłością zostało zerwane. Robin przywiózł ciało Gordona do Laikipii i pochowaliśmy go nie opodal dwóch akacji, w cieniu krzewów, gdzie zwykle siadał i obserwował moją krzątalinę przy grobach. Na miejscu jego spoczynku zasadziłam małe żółte kwiatki.

Robin wykazywał w stosunku do mnie wiele spokoju i optymizmu, co działało na mnie jak lekarstwo. Ku radości moich przyjaciół, którzy natychmiast przyjęli go do swego grona, rozkwitałam obdarowana jego miłością. W jego towarzystwie czułam się spokojniejsza i szczęśliwsza niż byłam w ciągu ostatnich miesięcy. Pomógł mi ustabilizować moje życie psychiczne i pogodzić się z samotnością. Weszłam w okres promiennego szczęścia. Nasz związek miał trwać przez wiele lat, a gdy ścieżki naszego życia zaczęły się rozchodzić, ewoluował w głęboką przyjaźń, na którą składała się miłość, wspomnienia i całkowite zaufanie — wartości dla mnie najcenniejsze.

To dzięki Robinowi poznałam niezwykły świat filmowej fantazji. Podglądanie ludzi, którzy kreowali nową, pełną iluzji rzeczywistość, pomagało mi pogodzić się z rolą, jaką dane mi było odegrać w moim własnym życiu. To był niesamowity świat, gdzie nic nie było do końca realne mimo znamion prawdy. W jego oryginalności i absurdalnej fantazji znajdowałam ucieczkę od moich rzeczywistych cierpień. Często ze Svevą odwiedzałyśmy Robina na planie a podczas filmowania *Pożegnania z Afryką* pojechałam do niego na wybrzeże.

Żółty dwupłatowiec „Gypsy Moth” został specjalnie sprowadzony z Anglii na potrzeby filmu. Był to klejnot lotnictwa, nadspodziewanie krzepki i sprawny, który nie bał się niemal żadnej nawierzchni. Pewnego razu miał dla potrzeb filmu wylądować na plaży. Pozwolono mi nim polecieć. To był lot w romantycznej maszynie czasu. Lekki jak ćma, której imię nosił, samolot wystartował z wąskiego pasa plaży wygładzonej przez cofający się przypływ i odgrodzonej palisadą przed tłumem turystów po to, by wodorosty wciąż mogły rysować swe charakterystyczne, naturalne wzory na brzegu, a stopy ludzi nie zakłócały gładkości piasku.

Robin, trzymając Sveve, jasnowłosą czterolatkę na ramionach, machał do mnie, uśmiechając się promiennie. Kołowaliśmy wysoko nad spienionym, pomarszczonym przez monsun morzem. Samolot płynął lekko po burzowym niebie, a wiatr dmuchał w moje włosy przez otwarte okienko. Miałam ochotę krzyknąć z radości. Kiedy znów wylądowaliśmy, poczułam niemal fizyczny wstrząs. Oto w jednej chwili przekroczyłam granicę czasu i przestrzeni, zostawiając w dole naturalny rytm morza, by w drugiej, w ciągu kilku sekund, w huku silników i gwizdzie śmigła poczuć, jak przeszłość przenika teraźniejszość... Wylądowawszy, ponownie słyszałam kojący szum morza, który wypełniał powietrze. Wysłałam z samolotu z zamętem w głowie, jakbym przeleciała siedemdziesiąt lat w ciągu kilku minut. Jeszcze raz uderzyło mnie, jak bardzo nasza percepcja zniekształca pojmowanie czasu i jak łatwo możemy utracić pewność, że wszystko rozumiemy. Czas i przestrzeń nie muszą się dostosowywać do naszych wyobrażeń. Jasno zobaczyłam, że nasz sposób postrzegania — będący jedynie wytworem naszego umysłu przypadkowo związanego z tym właśnie wymiarem i przestrzenią — wyznacza też pozorne granice życia i śmierci. „Wkrótce znów będziemy razem jak ziarenka piasku”, napisał Emanuel 19 marca w swoim dzienniku z okazji którejś z rocznic śmierci Paola. To była prawda i cudownie było to czuć.

Dzięki pomocy Robina moje rany stopniowo się zblizniały.

#### **40. Sveva, dziecko Afryki**

„*Paulo* — powiedział Mirimuk — *Paulo ni mama mzee*”.

Pokój Emanuela, leżący w końcu korytarza za moją sypialnią w Kuti pozostawał wciąż zamknięty. W nocy dochodziły stamtąd dziwne odgłosy. Podejrzywałam, że zagnieździły się w nim myszy i nietoperze. Emanuel był bardzo schludny, lubił porządek i z pewnością nie ucieczyłby go bałagan w jego rzeczach, ale czułam też, że każde wtargnięcie

do jego pokoju byłoby czymś w rodzaju profanacji. Dzięki Robinowi, którego pozytywny wpływ pomógł mi uporać się z lękiem i wieloma uprzedzeniami, zdecydowałam się pewnego dnia i weszłam tam po wielu miesiącach, postanawiając skończyć to, co rozpoczął Emanuel. Tymczasem rozmowy prowadzone z Iainem o nosorożcach przypomniły mi też o liście Michaela Werikhego, który znalazłam w dzienniku Emanuela zaraz po jego pogrzebie.

Drzwi otworzyły się dość łatwo, chociaż zamek był lekko zardzewiał. Dziennik Emanuela leżał wciąż na biurku. W moje nozdrza uderzył słodkawy odór skór węży i szcurzych odchodów. Otworzyłam okna na oścież i słońce raz jeszcze oświetliło rzędy książek, teraz pokrytych kurzem. Oświetliło też pleśń na ścianach. W rogu wisiało gniazdo dzikich pszczoł, które z jakichś nie znanych powodów zawsze lubiły ten pokój.

Usiadłam przy biurku Emanuela i otworzyłam jego dziennik; był spleśniały, ale nienaruszony. Znalazłam list tam, gdzie go zostawiłam. Emanuel zapraszał w nim Michaela do Laikipii, a ja postanowiłam uhonorować to życzenie. Tego dnia napisałam do Michaela do Mombasy, gdzie pracował jako trener psów w sekcji ochroniarskiej pewnej firmy. Wyjaśniłam, co się stało z Emanuelem i zaprosiłam go na ranczo, aby mógł wreszcie zobaczyć pierwszego w życiu nosorożca. Kilka dni później otrzymałam odpowiedź:

*„...bardzo go szanowałem i podziwiałem. Jestem wstrząśnięty, że los nie pozwolił nam się spotkać... Poczucie straty zawsze będzie mi towarzyszyło. Zawsze będę myślał o Emanuelu i dołożę wszelkich starań, by zachować pamięć o nim, kochając przyrodę. Chciałbym złożyć mu uszanowanie, odwiedzając jego grób, kiedy tylko otrzymam kilka dni urlopu... Proszę o kontakt. Michael”.*

To był początek korespondencji, która zapoczątkowała naszą długoletnią przyjaźń. Kiedy Michael dostał w końcu urlop, spotkałam się z nim w biurze Richarda Leakeya w muzeum i razem przyjechaliśmy na ranczo. Dla niego było to niczym odkrycie nowego świata: piękna prywatna posiadłość, gdzie ludzie troszczyli się o przyrodę i gdzie zwierzęta



miały się naprawdę dobrze. Michael mimo młodego wieku sprawiał poważne wrażenie, miał interesujący sposób mówienia i pełen był niespożytej energii oraz chęci do pracy nad ucieleśnieniem swoich marzeń. Od pierwszej chwili go polubiłam i dostrzegłam jego ogromne możliwości. Zdałam sobie sprawę, że nie tylko był oddany sprawie ochrony dzikiej fauny, w tym nosorożców, ale był Afrykańczykiem, który rozumiał problemy Afryki. Cała sfera ochrony przyrody afrykańskiej zdominowana była przez naukowców z Europy, którym płacono za ich pracę ciężkie pieniądze. Na tym tle idealizm i poświęcenie Michaela zdawały się czymś rzadkim i cennym. Jego bezpośrednie apele do ludzi własnej rasy, w których rękach przecież leżał los afrykańskiej przyrody, mogły odnieść wspaniałe skutki. Michael mógł stać się rodzinnym bohaterem i inspirować do działania we własnej sprawie. W czasach, kiedy o Kenii ciągle mówiono w międzynarodowych mediach jako o kraju, który zabija własne środowisko, oto był Kenijczyk, o którym można było wypowiadać się w samych superlatywach, Kenijczyk, który robi coś niezwykłego dla swojej ojczyzny i dla całej Ziemi.

W kilka lat później Michael przemierzył Afrykę wschodnią, a później Europę, kwestując na ochronę afrykańskiej przyrody. Zebrał ogromną sumę pieniędzy na ratowanie nosorożców i stał się postacią znaną na arenie międzynarodowej, zauważaną przez dostojników i potężnych władców, uwielbianą przez media i szanowaną przez wszystkich. Ten laureat wielu nagród przeszedł świat wzdłuż i wszerz, ale nigdy nie utracił swojej prostoty. Pozostał lojalny wobec przyjaciół i sprawy, której z taką pasją służył. Kiedy urodziła mu się córka, dał jej na imię Acacja, na cześć drzew, którymi uczilałam pamięć Paola i Emanuela.

A wszystko to zaczęło się od tej pierwszej wizyty.

Jak oczekiwałam, Michael był zauroczony Laikipią. Wyjechał po trzech tygodniach, zobaczywszy wreszcie pierwszego nosorożca, którego nazwaliśmy jego imieniem. Zostaliśmy przyjaciółmi. Kilka dni później napisał do mnie.

*Ranczo Laikipia pozostanie w mojej pamięci na zawsze. Będę je miał przed oczyma a w uszach będzie mi szumiała jego pieśń, dokądkolwiek pojedę. Niezwykły jest spokój tego otoczenia, które wprawiło mnie w zachwyty... dla mnie jest to raj, oaza miłości i nadziei... Z serdecznymi pozdrowieniami Michael*

Było też postscriptum:

*PS. Nie stało Emanuela, aby mnie oprowadzić, ale uczynił to przez swego obecnego w Laikipii ducha. Każdy musi mieć swojego bohatera. On jest moim.*

*PPS. Zostawiłem pasek i bidon na wodę. Zrobiłem tak specjalnie, bo ilekroć o nich pomyślę, wspomnienia o Laikipii rozbrzysną w mojej głowie i utrwala się w pamięci, zanim się ulotnią.*

Dni przetaczały się, jeden za drugim, i nagle zrobiły się z nich miesiące i lata. Drzewko Emanuela, czerpiąc pokarm z jego ciała, wyrosło krzepkie w cieniu drzewka Paola. Ich gałęzie splatały się ze sobą, jak gdyby trzymały się za ręce. Tkacze uwiły swoje gniazda na drzewku Paola, a pszczoły zlatywały się do jasnokremowych kwiatów, nosząc z nich pyłek do swoich uli za naszym domem. Jedliśmy ten miód na śniadanie. Gdy pierwsze strączki i nasiona pojawiły się na naszych drzewach, rozsialiśmy je ze Svevą po ranczu. Część z nich zawiozliśmy do rozsiania w Nairobi, a część przekazałyśmy Michaelowi Werikhemu, który zakładał właśnie eksperymentalną szkółkę endemicznych drzew na jakimś pustkowiu pod Mombasą. Poczucie, że ciała naszych mężczyzn wracają w tym symbolicznym akcie do Afryki i zarazem do nas, choć w innych kształtach, sprawiało nam wielką przyjemność.

Sveva wyrosła na wysoką i długonogą, pełną gracji dziewczynkę. Promieniała uśmiechem i radością, lecz jednocześnie była niezwykle wrażliwa. W pełni zasługiwała na swoje przezwisko „Makena” — Radosna. Uwielbiali ją wszyscy za czarujący sposób bycia.

Sveę, jak kiedyś Emanuela cechowała wrodzona dojrzałość, chociaż ona była znacznie bardziej ekstrawertyczna. Miała długie ciemnon Blond włosy ze srebrnymi pasemkami, a oczy zachowały swój zadziwiający błękit. Z wyjątkiem małego nosa, który nie miał w sobie nic z rzymskiego profilu jej ojca, była niemal fotograficznym odbiciem Paola: ten sam sposób chodzenia, śniada cera, długi krok biegnący, uśmiech, te same zachowania i talent do muzyki.

Codziennie rano wyjeżdżała na swoim koniu, Boyu, albo na wysokim wielbłądzie Kelele i, jak jej ojciec, uwielbiała te samotne wyprawy. Ufałam, że nic się jej nie stanie. Po pierwszym incydencie, kiedy wpadła do basenu i sama wypłynęła, nie wiedząc nawet w jaki sposób, stała się znakomitą pływaczką, jak Paolo.

Sveve fascynowały dzikie zwierzęta. Od wczesnego dzieciństwa poznawała pod bystrym okiem Mirimuka zwyczajnie buszu, jak robią to afrykańskie dzieci. Mirimuk od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, nazywał ją „Paulo”, a jego poświęcenie dla niej było szczere i wzruszające. Ona odwzajemniała to oddaniem z naturalnym wdziękiem i uwielbieniem charakterystycznym dla prawdziwych mieszkańców Afryki.

Kiedy byliśmy sami, często spędzaliśmy noce pod gołym niebem, Mirimuk, Sveva i ja, jak w przeszłości robiliśmy to z Paolem. Znajdowaliśmy jakieś miejsce z widokiem na tamę lub dolinę i rozniecaliliśmy ognisko z suchych korzeni *leleshvy*. Mirimuk siedział obok Svevy, opowiadając jej o ludziach z plemienia Turkana, o Paolu i o myśliwskich przygodach. Stary człowiek w zielonej wytartej kurtce, z nieodłączną strzelbą i jasnowłosa dziewczynka o oczach jak dwie niebieskie kałuże byli wielkimi przyjaciółmi. Popatrywałam na nich w głębokich ciemnościach afrykańskiej nocy. Ogień rzucał pomarańczowe cienie na hebanową i złotą skórę; trzymali się za ręce, śmiali się i szeptali. Dwa światy, stary i młody, które spotykały się ze sobą w tym zakątku prastarej Afryki, gdzie wszystko jest takie, jakie było dawniej. Być tutaj — to przywilej. Zdawałam sobie z tego sprawę. Przywilejem było też przekazywanie Paola jedynych w swoim rodzaju doświadczeń i niezwykłych wspomnień, które głęboko zapadną w jej duszę i uczynią kimś szczególnym.

Pewnej nocy — było to parę lat później — obserwowaliśmy z Mirimukiem i Svevę ogromnego lamparta, który w pewnym oddaleniu od nas skakał do owcy, zawieszanej na akacji w charakterze przynęty. Była to niezwykła scena, gdy gałąź załamała się pod jego ciężarem, gdy bażanty uśpione na wysokich gałęziach zagdakały, a czarny kształt mignął na chwilę w smudze księżyca i znikł w ciemnościach. Sveva powstrzymała oddech, ścisnęła mnie za rękę i wchłonęła to doświadczenie na zawsze. Następnego dnia Mirimuk skomentował: — *Paulo* — dotknął jej głowy z wyrazem wzruszenia na twarzy — *Paulo ni mama mzee*. — To był największy komplement w jego ustach: — Paulo jest mądrą starą kobietą.

Wspomnienia z przeszłości wciąż do mnie wracały, zawsze nieoczekiwanie i zawsze w najmniej spodziewanych miejscach.

Któregoś popołudnia pojechałam do Pembroke House, żeby zabrać stamtąd na ferie do Laikipii syna Colina, Andrew, wspaniałego chłopaka i bliskiego przyjaciela Svevy. Weszłam tam po raz pierwszy od wielu lat. Korytarze wypełniał zapach mydła karbolowego i w ogóle wewnątrz wydawało się mniejsze.

Szukając Andrew, mimowolnie wypatrywałam wśród obcych dzieci — z bólem w sercu — szczupłego chłopczyka z prostą, jasną grzywką i poważnymi oczyma, który kiedyś był mój. Szare mundurki sprawiały, że chłopcy wyglądali prawie identycznie, jak rój mrówek. Weszłam do małej kapliczki, gdzie witrażowe okna rzucały migotliwe światło na ściany i podłogę. Błyszcząca mosiężna tabliczka umieszczona tuż za drzwiami kaplicy zmroziła mi krew, nagle odnowiła zasklepioną ranę wspomnień. Pod nagłówkiem „Ku pamięci” przeczytałam z zaskoczeniem:

EMANUEL PIRRI-GALLMANN, 1975-1978

Trzy cenne lata jego życia, wryte tu na tablicy, na wieczną pamiętkę, by wszyscy je widzieli.

Większość kolegów Emanuela z Pembroke i Hillcrest wyjechała na studia za granicę, tak jak on by to zrobił. Kilku z nich powróciło do Afryki i pamiętało o nas.

Pewnego popołudnia na moim podjeździe w Nairobi zatrzymał się nowy mercedes. Wsiadł z niego wysoki, dobrze zbudowany wytworny młody mężczyzna z wąsami, w eleganckim ubraniu i w okularach i podszedł do mnie z uśmiechem. Był Hindusem i miałam niejasne wrażenie, że już go gdzieś spotkałam.

— Jestem Mukesh — powiedział ciepło. — Nie pamięta mnie pani?

Oczywiście pamiętałam. Bardzo zmienił się od czasów, kiedy jako jedenastolatek chodził z Emanuelem do tej samej klasy i należał do grupy jego najlepszych przyjaciół. Ukończył studia w Anglii i teraz włączył się w rodzinny interes w Kenii. Byłam pod wrażeniem jego kurtuazyjnej uprzejmości, dojrzałości i troskliwości, która przywiodła go do moich drzwi po wielu latach, by „złożyć wyrazy uszanowania”. Mukesh stał się moim stałym gościem. Przynajmniej dwa razy w tygodniu odwiedzał nas w drodze z pracy do domu. Często przy filiżance korzennej herbaty rozmawialiśmy o Emanuelu, o lotnictwie, o życiu i śmierci i o hinduskiej filozofii jego przodków, która zawsze mnie interesowała. Często przynosił Svevie drobne prezenciki, orientalne słodczyce, które uwielbiała, i martwił się, gdy była chora. Doradzał mi też w sprawach finansowych. Jego wizyty i okazywana przyjaźń bardzo mnie cieszyły i w myślach traktowałam go jak nowo odnalezionego syna. Zawsze przyjeżdżał do Laikipii na rocznicę śmierci Emanuela, przyłączając się do grupy naszych przyjaciół.

Od kiedy drzewa na grobach zaczęły dotykać się gałązkami, rocznice Paola i Emanuela były obchodzone wspólnie w weekend, najbliższy którejś z dat ich śmierci. Dom wtedy zawsze rozbrzmiewał głosami przyjaciół. Siadaliśmy wokół pokrytych kwiatami grobów, a zadaniem Svevy było rozbić dwa kieliszki z szampanem o nagrobne płyty. Spełniała toast pamięci. Któregoś razu — smukła i śliczna w swojej długiej sukience — stanęła w świetle płonących ognisk. Cichutkim głosem, który usłyszałam tylko ja, Wanjiru oraz kilka osób siedzących najbliżej, wyszeptwała:

— Papa Paolo, Emanuelu! Tęsknię za wami i kocham was, kocham was, zawsze będę was kochała.

Przytłoczona swoją chwilową śmiałością usiadła wnet obok mnie, kryjąc się w cieniu.

Tej nocy wyjątkowo dotkliwie odczułam samotność i melancholię. Idąc do sypialni Svevy, by życzyć jej dobrej nocy, położyłam głowę na pulchnym ramieniu Wanjiru i ucałowałam jej świeży policzek. Ośmielona moimi gestami a może i kieliszkiem szampana, do którego nie była przyzwyczajona, Wanjiru spojrzała na mnie swoimi łagodnymi macierzyńskimi oczyma i powiedziała nieśmiało:

— *Gina yangli... Gina yangu si Wanjiru... giną yangu ni Gallmann.* (Nie nazywam się Wanjiru. Nazywam się Gallmann.)

Byłam bardzo wzruszona i zaszczycona. Wanjiru nie mogła powiedzieć w tym momencie nic piękniejszego.

## 41. Cienie

Lecz ucieka tymczasem, ucieka bezpowrotnie czas.

Wergiliusz, *Georgiki*, II

Życie toczyło się według odwiecznego schematu: nowi przyjaciele przychodzili i przyłączali się do nas, a starzy odchodzili. Jak cienie przesuających się chmur napływali i odpływali, a nasze życie toczyło się dalej. Obserwowałyśmy ze Svewą, jak odchodzą. Człowiek nie powinien przywiązywać się do cieni.

Pewnego dnia Mapengo postanowił odejść, jak to często bywa z Turkanami. Po śmierci Emanuela i wypuszczeniu wszystkich węży życie straciło dla niego blask. Młody mężczyzna potrzebował nowych przeżyć i nowych wyzwań. Na pożegnanie dałam mu ulubiony nóż Emanuela, tak jak wcześniej Luce podarowałam lornetkę Paola. Uściśniliśmy się. Patrzyłam, jak odchodził swoją drogą w zniszczonych butach, które kiedyś należały do jego „brata”.

— Mama — powiedział do mnie, pokazując nagie dżiąsła w uśmiechu, którym tak rzadko nas obdarzał. — *Mama, kama wewe taitua mimi, mimi tarudi tu.* (Kiedy mnie wezwiesz, wrócę.)

Z czasem dowiedziałam się, że Mapengo znalazł sobie dobrą, „tłustą” żonę i pracę przy koniach. Miał kilkoro dzieci i był szczęśliwy.

Luka natomiast wpadł w uzależniający nawyk picia piwa *changaa*. W ciągu kilku lat zrobił się z niego drżący chudy człowiek i nawet śladu nie zostało po dawnym odważnym, zwinnym i nieustraszonemu tropicielu. Po pewnym szczególnie drastycznym epizodzie i po wielu bezskutecznych staraniach, by pomóc mu w wyrwaniu się z nałogu, Colinowi nie pozostało nic innego, jak tylko zwolnić Lukę z posady. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym go żegnaliśmy.

Samochód przywiózł do Kuti poszarzałego na twarzy, obco wyglądającego człowieka. W źle dopasowanym, niechlujnym ubraniu, bez broni i zielonego munduru, czarnego beretu zawadiacko założonego na bakier, bez pasa nabitego amunicją, odarty z dumy, wyglądał jak włóczęga. Spojrzałam w jego znużone, przekrwione oczy, niegdyś tak bystre i pierwsze dostrzegające dzikie zwierzę, ślady bawołów na żdźbłach trawy, odartą przez słonia gałązkę, świeżo nadłamaną przez żyrafę gałąź i odciski kopyt na zakurzonych ścieżkach. Łączyły nas wspomnienia minionych dni i wspomnienia ludzi, którzy umarli. Długo trzymałam w dłoniach jego drżącą rękę. W końcu powiedziałam:

— *Pole* — słowo wszechogarniające, które znaczy również „przepraszam”.

— *Pole* — odpowiedział i dodał z nutką dawnej zadzierzystości: — *Mimi tarudi* (Wróć.)

Oboje wiedzieliśmy, że nie wróci. *Changaa* nie zna litości i nie wypuszcza ze swych szponów; sprowadza przedwczesną starość i śmierć.

— *Ndyio* — odparłam i skinęłam głową.

— *Salamija Kainda*. (Tak nazywał Sveve.)

— *Kuenda na Mungu*. (Idź z Bogiem.)

Odwrócił się i odszedł, ale zanim wsiadł do samochodu, zatrzymał się na chwilę i jeszcze raz na mnie spojrzał. Ciężki uśmiech i błysk w oczach znów rozjaśnił mu twarz. Potrząsnął głową, by odgonić swój ból.

— *Awesi kusahau*. (Nie będę mógł zapomnieć.) Drzwi samochodu trzasnęły i odjechał na zawsze. Tej nocy zapisałam w moim dzienniku:

...Historia Luki osiągnęła dziś punkt kulminacyjny, ponieważ odszedł z rancza na zawsze... Wydaje mi się, że „wzloty i upadki” Luki Kiriongi są symbolem tego, co biały człowiek zrobił i nadal robi Czarnej Afryce... Gdyby biały człowiek nie stanął na drodze Luki... Mówiono mu, że jest najlepszy, czego miał świadomość, ale w końcu zmuszono go, by poczuł się kimś innym niż wszyscy jego współplemieńcy. Robił w swoim życiu tylko to, co wiedział instynktownie. Nowa, obca perspektywa własnej wartości zakłóciła w nim równowagę jasnego widzenia rzeczy i stała się początkiem jego ruiny. Nie szanowany już przez swoich ludzi, odarty z dumy, wystawiony na wstyd... oto odchodzi człowiek, który płakał nad grobami moich najbliższych. Dzielny myśliwy. Znakomity tropiciel. Nieulekły buszmen. Towarzysz niezliczonych dni i nocy, towarzysz pamiętnych przygód... . Od jak dawna pije? Dlaczego zaczął staczać się w kierunku *changii*, tracić godność?... Mały i drobny, z szerokim uśmiechem pod wspaniałym wąsem, dzielny w obliczu niebezpieczeństwa, niezwykle lojalny... Smutno mi dziś z twojego powodu, Luka Kiriongi...

To był rzeczywiście smutny dzień dla nas wszystkich w Ol Ari Nyiro, a zwłaszcza dla Colina, który znał Lukę od dwudziestu trzech lat.

Troski i odpowiedzialne zadanie ochrony zwierząt spadło teraz na Husseina Omara i Mirimuka. Lecz pewnego dnia Mirimuk zachorował. Przez trzy miesiące przebywał w szpitalu. Potem odesłano go do domu. Stwierdzono u niego zaawansowanego raka przełyku i amerykańscy lekarze w misji Kijabe dawali mu najwyżej dwa miesiące życia. Poszłam odwiedzić go w jego małym domku na ranczu, przy Centrum. Leżał na kocu, w cieniu, z głową na kłodzie drzewa, tradycyjnej poduszce Turków. Na jego członkach nie było już ani grama ciała, a



ręka, którą mi podał, była bezsilna. Próbował usiąść i wypić łyżeczkę płynu, który mu podawałam. Jego twarz była jeszcze bardziej wychudła, skóra naciągnięta na wystających kościach policzkowych, a w oczach miał zielonkawą mgiełkę. Trzymając moją rękę i patrząc na mnie z oddaniem, wyszeptał chrapliwie:

— *Kama Mungu nafungua melango, sisi napita tu.* (Kiedy Bóg otwiera drzwi, musimy przez nie wejść.)

A potem rozejrzał się dokoła, jakby kogoś szukał. Sveva nie przyszła.

— *Salamia Paulo* — wyszeptał chrapliwie i zapadł w sen.

Miesiąc później, po powrocie z Europy, znów poszłam go odwiedzić. Przywiozłam mu ciepły, nowy koc, radio i latarkę: skromne podarunki, które miały sprawić, by jego ostatnie dni były bardziej komfortowe. Wyglądał teraz jak żywy szkielet. Ciało skurczyło się, opuściły go siły, wyblakłe oczy lśniły nienaturalnym blaskiem, jak oczy dzikiego lamparta w nocy. Nie mógł przelykać. Umierał z głodu. W drugim pokoju kilka dziewcząt Turkana, żon jego synów, gawędziło, nie przejmując się niczym. Otuliłam go kocem i przez długą chwilę trzymałam go w ciszy za rękę. Myślałam o ryzyku, jakie podejmował w buszu, o walkach z kłusownikami, w których odnosił rany, o niebezpiecznych ucieczkach przed rozwścieczonymi zwierzętami, o czasach kiedy mógł jeszcze biegać i walczyć, i o tym, ile razy udało mu się ująć śmierci. Teraz zżerał go wolno rak; każdy lew miałby więcej litości. Zanim odezłam, wymamrotał:

— *Paulo...*

Sveva wiedziała, że Mirimuk umiera i była tym bardzo przybita. Nawet dla człowieka, który oswoił się już ze śmiercią, każdy kolejny zgon oznacza spotęgowany ból. Podobnie przeżywała to Sveva i może dlatego podświadomie nie chciała zobaczyć się z Mirimukiem. Była mu jednak coś winna, zdawała sobie z tego sprawę.

— On za kilka dni umrze — mówiłam. — Prosił, żebyś przyszła. Będiesz się bardzo źle czuć, jeśli go nie odwiedzisz. Wybierzmy się jutro.

— Pójdę.

Następnego dnia udaliśmy się do Mirimuka.

— Przeprowadziłam ci Paulo. — Kształt na kocu poruszył się lekko. Simon, mój kucharz, też przyszedł z nami.

Obejmując garnek z miodem — podarunek dla Mirimuka — i z lekkim wpatrując się w niego, Sveva podeszła kilka kroków do przodu. Kiedy była blisko, schyliła się ku niemu. Jego ręka, jak pazur, chwyciła ją za ramię, a z jego spękanych ust wysączyła się cieniutka nitka śliny.

— *Kwaheri, Paulo* — zdało nam się, że słyszymy.

Sveva stała z oczyma pełnymi łez. Jej różowe wargi drżały.

A potem Mirimuk powiedział chyba „ejok”, co w języku Turkana znaczy „dziękuję”.

Tej nocy umarł.

Kiedy wiadomość o tym dotarła na rancho przez sieć radiową, zapadliśmy ze Sveva w długie milczenie.

Pochowano go nazajutrz w jego *shambie*, tuż za bramą Nguare, w Ol Morani, wciąż zwanym przez starych ludzi Nyasore, na cześć Colville'a.

Tuż przed śmiercią, gdy Mirimuk czuł, że jego koniec jest bliski, prosił, by go wniesiono do domu. Do niedawna zwyczajem plemienia Turkana było oddawać zmarłego hienom. Teraz prawo wymagało właściwego, cywilizowanego pochówku. Nie wezwano księdza, ponieważ Mirimuk, jak większość jego rówieśników, nie należał do żadnego kościoła.

Na *manyattę* Mirimuka składało się wiele glinianych, ustawionych w krąg chat, z których każda była ogrodzona palisadą z kołków. Kobiety i dzieci wyśpiewywały żałobne pieśni, przytupując nogami w rytm wolnego tańca. Jego syn, Ekiru, tropiciel w oddziale ochrony zwierząt, oraz mój kucharz, Simon, którego młodsza żona była córką zmarłego, zaprowadzili mnie do pustej chaty. Wszystkie sprzęty i przedmioty gospodarskie zostały z niej wyniesione. Mirimuk leżał na boku, na gołym klepisku, zawinięty od stóp do głów w stary worek. Głowa była mała, skurczona jak u mumii i biała od popiołu i soli, które miały powstrzymać owady i rozkład. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć go na

pożegnanie. Jego ucho wyglądało jak opadły suchy liść. Promień światła, przedzierający się przez małe okienko, podkreślał ciemność, która wypełniała chatę.

Przybyli wszyscy jego towarzysze i przyjaciele: Ngobitu — przodownik robotników z plemienia Meru, i Tunkuri; Ndegwa — przodownik owczarzy i Silas, mały człowiek z plemienia Tharaka oraz większość ludzi z ochrony, ubranych w mundury khaki, o milczących, spokojnych twarzach. Był też Arap Chuma — mechanik; przybył ze wszystkimi kolegami z warsztatu i kierowcą Karanją. A oprócz nich stawili się na pogrzeb: pasterz bydła — Garisha, Ali, Nyaga — przodownik koni, i John Mangicho — pomocnik zarządcy, wystrojony w niebieski garnitur. Stare żony Mirimuka i wszyscy jego przyjaciele przemawiali po kolei. Potem John zwrócił się do mnie i poprosił, żebym coś powiedziała. Nie przygotowałam sobie przemowy, więc pozwoliłam mówić memu sercu. Opowiedziałam o dawnych czasach, kiedy Mirimuk uczył mnie zachowania w buszu, o salucie, który wystrzelił w powietrze na cześć dusz moich mężczyzn, o jego odwadze i wytrwałości. Powiedziałam, jaką pustkę po sobie zostawił. Trzymając rękę na trumnie, dziękowałam mu w języku Turkana:

— *Ejoknui, Mirimuk.*

Potem nastąpiło drobne zamieszanie, tłum rozstał się i wyłoniła się z niego jakaś kobieta. Była młoda i trzymała dziecko w ramionach. Idąc z wyciągniętą przed siebie dłonią, z trudem odnalazła trumnę i oparła się o nią. Miała dumną twarz o białych, ślepych oczach. Ktoś szepnął mi, że była córką zmarłego brata. Mówiła w języku Turkana silnym, przenikliwym głosem. Jakiś człowiek głośno tłumaczył jej słowa.

— Przybyłam do Nyasore, by powiedzieć, że ten mężczyzna był mężczyzną. Miałam kiedyś ojca, a kiedy umarł, on stał się moim ojcem. Miałam dom, ale zapomniałam gdzie. Miałam kiedyś imię, ale zapomniałam jakie. Zapomniałam, ponieważ on stał się moim ojcem, moją matką i moim domem. Moje imię jest jego imieniem i jestem mu za to wdzięczna. Opiekował się mną i moimi dziećmi. Nigdy nie zrobił mi krzywdy. Umarł i jest w tej skrzyni. Ludzie kościoła mówią, że powinno się postępować według Księgi. My, Turkanowie, nie mamy swojej

Księgi. Ludzie w kościele mówią nam, że jeżeli będziemy postępować wedle ich Księgi, to nie umrzemy. Ja mówię wam, że słońce umiera i wraca. Mówię wam, że deszcze umierają i wracają. Ale kiedy człowiek umiera, to nie wraca. On nie żyje. Cokolwiek by mówili ludzie z kościoła, martwy człowiek pozostanie martwy, a ich Księga nic na to nie pomoże. My jesteśmy Turkanami i Bóg zna nasze ścieżki. Ja będę pamiętać tego człowieka. Pustki, którą zostawił, nie wypełni nikt inny. I niech tak będzie. *Ejoknui*.

W żarze popołudnia zaszczekał pies. Nie zwracając uwagi na tłum, kobieta odwróciła się i wyszła.

Wolnej duszy Mirimuka to by się spodobało.

\*

Mimo utraty Luki i Mirimuka, Hussein Omar i nasi strażnicy z powodzeniem przeprowadzili kilka udanych operacji antyktusowniczych.

Afryka była jednak wciąż pełna zasadzek.

Dowiedzieliśmy się właśnie, że Saba, która miała roczny urlop przed studiami na uniwersytecie, i która wzięła udział w pierwszym safari wokół jeziora Turkana wraz z Robbem Brettem i Bongo Woodley'em, synem Bilia, znanego strażnika dzikiej zwierzyny w Tsavo — została ukąszona przez jadowitego węża, kobrę albo pytona.

Węże, jak wszystkie zwierzęta, są płochliwe i rzadko atakują, jeśli nie są niepokojone. Europejczykom, którzy zwykle nie mają wiele do czynienia z gadami, a tym bardziej nie chodzą boso w wysokiej trawie albo po splekanych pustynnych skałach, niezwykle rzadko zdarza się zostać ukąszonym przez węża. Dziewczęta Douglas-Hamiltonów wzorem tubylców najchętniej jednak chodziły boso.

Wiadomość przekazana przez radio z Koobi-Fory została na szczęście przechwycona przez Robina, który pracował przy filmie *Mountains of the Moon* w Loyengelani i który miał połączenie z częstotliwością sieci ochrony w Laikipii. Iain, wytracony ze swej zwykłej równowagi, postanowił przywieźć Sabę samolotem.

Natychmiast pojechałam ze Sveva do Nairobi na lotnisko Wilsona, gdzie mieli wylądować. Oria już tam była. Wyraz niepokoju malował się na jej twarzy. Uścisnęłyśmy się bez słów i czekałyśmy, spoglądając w niebo. W takich chwilach jak ta w milczeniu dzieliłyśmy się troską i współczuciem, które jeszcze bardziej scementowały naszą niezwykłą więź.

Samolot wylądował i wyskoczył z niego blady Iain. Saba jeszcze żyła. Jej twarz była poszarzała, wokół pięknych czarnych oczu kładły się ciemne, złe cienie, a całe ciało pokrywały brzydkie fioletowe plamy. Obrzydliwy, niebieskoczerwony pęcherz wielkości dużej żarówki narbrzmiał z boku jej stopy, w którą została ukąszona. Gdy nas zobaczyła, próbowała się uśmiechnąć, ale gdy ją przytuliłam, wybuchnęła spazmatycznym szlochem. Wypadek ten wywołał w nas wszystkich wiele skojarzeń i wspomnień, których nie ma chyba potrzeby jeszcze raz tu przypominać.

Saba przeżyła ukąszenie i po kilku tygodniach spędzonych w szpitalu doszła stopniowo do siebie. Kto wie, czy tak naprawdę nie uratował jej życia Bongo Woodley, który zastosował nową metodę leczenia ukąszeń węży, odkrytą w Australii. Za pomocą powtarzanych impulsów elektrycznych z akumulatora samochodowego przerywał i neutralizował działanie jadu. Dawno temu przestałam wierzyć w przypadkowy zbieg okoliczności. Ten epizod był kolejnym niezwykłym ogniwem, które na zawsze związało mnie z Douglas-Hamiltonami.

Moje życie toczyło się dalej. Dni upływały mi na pracy. Czasami w zwierciadle mej pamięci ukazywały się dawne obrazy. Pewnego wieczoru w Laikipii, włączysz radio, usłyszałam głos, którego nie słyszałam od lat. Był tak bliski i tak nieoczekiwany, że poczułam się brutalnie przeniesiona w inny czas. Ogarnął mnie dawny ból i tęsknota.

To był głos Aidana.

Często o nim myślałam. Wyobrażałam go sobie samotnie spacerującego wczesnym rankiem, gdy rosa wciąż jest uwięziona w suchej

trawie. W gorące popołudnia, kiedy dzieliliśmy to samo słońce, a koncerty ptaków w Kuti zagłuszały wszystkie inne dźwięki, stawał mi przed oczyma, odpoczywający pod akacją. Wiedziałam też, że będzie spacerował w przedwieczornych chwilach, kiedy cienie wydłużają się i kładą na piasku zaczerwienionym od blasku zachodzącego słońca. W gwieździste, wietrzne noce w Laikipii wyobrażałam sobie, jak wystawia twarz na ten sam wiatr i spogląda w górę na te same gwiazdy. Wtedy czułam, że przywoływał mnie z ciemności, tę, która gładziła jego czoło i prowadziła przez noc.

Jeszcze zanim go poznałam, ludzie często mi o nim opowiadali. Wiedziałam, że żył uprzywilejowanym życiem pierwszych poszukiwaczy. Często wabiony przez zew przygody, podążał za nim na zapomniane przez Boga i ludzi pustkowia.

Przed kilkoma laty nasz wspólny przyjaciel zadzwonił do mnie po moim przyjeździe z Europy i powiedział mi, że Aidan został schwytany bez żadnych dokumentów gdzieś w Etiopii i osadzony w więzieniu. Był tam od miesiąca. Zaradzić temu mógł tylko Richard Leakey, który ze względu na swoje badania archeologiczne miał kontakty w Etiopii. Zadzwoeniłam do niego. Obiecał, że spróbuje pomóc. W jakiś czas potem dowiedziałam się, że Aidan został zwolniony i poczułam ulgę. Nie mogłam znieść myśli, że siedzi uwięziony w ciasnej celi, wyglądając przez okno na kuszące, niedostępne szczyty, które pragnął zdobywać.

Wkrótce potem usłyszałam, że Aidan rozbił się swoim samolotem. Był jednym z najbardziej doświadczonych pilotów, a nocne loty nie były dla niego niczym nowym. Niestety, prywatne lotniska na wzgórzach nie są przystosowane do nocnych lądowań. Pas lądowania winien być zawsze widoczny, nawet w ciemności, takie są wymogi bezpieczeństwa. Poinstruowano więc jakiegoś małego chłopca, żeby stał na końcu pasa i światłem lampy sygnalizował, gdzie pas się kończy, tak by Aidan mógł sobie obliczyć długość lądowania. Chłopczyk ze swoją latarnią stał więc w ciemnościach i czekał na hałaśliwego ptaka — *Ndege* w suahili oznacza zarówno ptaka, jak i samolot — który miał spaść z nieba. Kiedy jednak niewidoczny w ciemnościach samolot przeleciał zbyt nisko nad nim, małe dziecko wpadło w panikę i pobiegło w noc,

wymachując swoją lampą. Aidan, nie rozumiejący tego, ale posłuszny wskazaniom nawigacyjnym leciał za światłem. Ostatecznie wylądował wśród drzew, niszcząc kompletnie samolot.

Kilka dni później otrzymałam pocztą książkę. Na tytułowej stronie przeczytałam:

*Jeśli spodoba ci się ta książeczka, pomyśl o mnie. Jeśli znajdziesz na tych stronach mądrość, pomyśl o mnie. Dziękuję ci za przyjaźń i lekcję, jak należy troszczyć się o drugiego człowieka.*

*Twój stary przyjaciel Aidan.*

Otworzyłam książkę i powoli zaczęłam ją wertować. Wzrok mój zatrzymał się na następującym fragmencie:

„Każdy skrawek nie zniszczonej przyrody, jaki jeszcze pozostał, każdy skrawek parku, każdy wolny kawałek ziemi powinien być uznany za teren nienaruszalny, jak odbitka na papierze światłoczułym tego, czym pierwotnie miało być życie, by zawsze nam o tym przypominać”.

Była to książka Laurensa van der Posta, *A Walk with a White Bushman*.

W tym czasie Robb Brett uczył się latać. Mukesh natomiast robił ostatnie testy do swojej licencji i postanowił wykonać pierwszy samodzielny lot do Laikipii podczas świąt wielkanocnych, zaraz po rocznicy śmierci Emanuela.

Spostrzegłam, że zielone suzuki Robba zbliżało się po podjeździe wysadzonym *euphorbia candelabra*... Jakże te drzewka urosły w ciągu kilku lat! Teraz przypominały wysoką, majestatyczną zieloną kolumnadę. Nalewałam kawę do dwóch filiżanek, czekając aż Robb zaparkuje swój motocykl.

Robb ucałował mnie w policzek, usiadł naprzeciwko i spoglądając mi prosto w oczy, zaczął z dziwnym wahaniem:

— Kuki, czy słyszałaś, że wczoraj w Nairobi rozbił się samolot? Mój instruktor nie żyje.

— Słyszałam. To okropne.

— Był z nim uczeń, który też się zabił. — Zrobił pauzę. Przez moment patrzyłam na niego pustym wzrokiem. — Tym uczniem był Mukesh. Jest mi strasznie przykro.

Podał mi gazetę. Z niewyraźnej fotografii Mukesh uśmiechał się do mnie swoim ciepłym, jasnym uśmiechem, który pokochałam. Filiżanka z kawą nie dotarła do moich ust. Chciałam być sama z tym nowym, dławiącym żalem w gardle. Nie wiem, kiedy znalazłam się przy grobach. Przyzwyczaiałam się traktować je jako „magiczny krąg” i chodziłam tam, ilekroć potrzebowałam pociechy lub gdy czułam się samotna.

Właśnie na dziś zarządziłam uroczysty obiad, by uczcić pierwszy samodzielny lot Mukesha. Dodatkowe miejsce przy stole pozostanie puste. Ten cios przeszył bólem moją duszę. Mukesh był taki niezwykły, utalentowany, miły, obiecujący. Czy zatem nie jest prawdą, że najlepsi umierają młodo? Jego samochód już nigdy nie zatrzyma się na naszym podjeździe, a on nigdy nie usiądzie na białej sofie i nie opowie nam, co tego dnia robił w pracy i nigdy już nie będziemy słuchać jego zaczarowanych hinduskich bajek. Nigdy nie spędzi z nami rocznicy śmierci Emanuela.

Wanjiru rozplakała się, usłyszawszy o tym nieszczęściu, a cały personel był bezgranicznie zasmucony. Wszyscy kochali Mukesha za jego uroczy sposób bycia i cenili wielkie oddanie, jakie nam okazywał.

Pojechałam do Nairobi, by złożyć kondolencje jego rodzicom. Udałam się do ich domu w Muthaiga, gdzie nigdy dotąd nie byłam. Na podjeździe stały dziesiątki mercedesów, a z pokoju dobywały się dźwięki żałobnych pieśni. Przejście przez próg było jak przekroczenie niewidzialnej bariery czasu i przestrzeni. Miałam odczucie, że znalazłam się w Indiach.

Był to dziesiąty dzień po śmierci Mukesha. Zgodnie z hinduską tradycją tego dnia dusza odchodzi, by połączyć się z bogami przodków, a za kilka dni wuj miał zabrać prochy Mukesha do rzeki Ganges.



W zatłoczonej kuchni wielu ludzi przygotowywało skomplikowane potrawy: curry, chapati, popadamy oraz rytualne, słodkie dania. Mężczyźni w tradycyjnych białych pelerynach i kobiety w sari wypełniali bogato zdobione pokoje, które pachniały kadzidłem i korzeniami. Szczupły hinduski kapłan, przymknąwszy oczy, śpiewnie zawodził. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na poduszce.

Ojciec Mukesha podszedł, by mnie powitać. Wiedziałam, że ma wielkie wpływy w świecie biznesu i bankowości. W żałobie i tradycyjnym ubraniu hinduskim wyglądał znacznie młodziej, niż sobie wyobrażałam. Również jego żona, piękna, wysoka kobieta w sari z białego jedwabiu i z twarzą mokrą od łez wydawała się młodsza, niż należało się spodziewać. Objęła mnie i powiedziała delikatnym głosem:

— Byłam taka dumna z mojego syna. Idę do jego pokoju i nie znajduję go. — Rozejrzała się. — Dokąd on odszedł?

Z fotografii rozmiarów człowieka, ustawionej na czymś w rodzaju ołtarza, spojrzały na mnie oczy Mukesha. W świetle świec i w pełgających smugach kadzidła zdawały się mrugać do mnie. Przypomniały mi się oczy z fotografii Emanuela.

Odwrociłam się do jego matki:

— On jest z Emanuelem. Nie mam żadnych wątpliwości. Byli przyjaciółmi. Byli braćmi. Ja też, ja też straciłam drugiego syna.

Wysłałam w noc ciężką od pierwszego kwietniowego deszczu, niosąc w żółtej chusteczce garść słodyczy z migdałów i kardamonu. To dla Svevy. Ostatni podarunek od Mukesha.

## 42. Rodeo Emanuela

Wspomnij mnie, kiedy odejdę,  
Odejdę daleko w cichą krainę.

Christina Rosetti, *Remember*  
(przekł. Mirosław Gryka)

Wstający dzień jak zawsze powitał nas rześkim wiatrem, błękitnym niebem mieniącym się w złocie oraz chłodną rosą na trawie. Groby leżące na skraju ogrodu, pod drzewami pamięci, dziś były obspane

fioletoworóżowymi i czerwonymi kwiatami. Przed dom, na przystrzyżony trawnik wystawiono już stoły, rozścielono dywany i poduszki, ustawiono namioty udekorowane liśćmi palmy i bugenwilli; długie rzędy barbecue były gotowe do wieczornej uczty. Czerwona flaga, na której napisałam dużymi czarnymi literami słowo: EMANUEL, trzepotała w porannym wietrze.

To miał być jego dzień. Jego święto. Rodeo.

Chciałam, żeby odbyło się tak jak dawniej, bez zmian. Jeszcze za życia Emanuela mieliśmy w ten sposób uświetnić jego osiemnaste urodziny. Omówiliśmy wspólnie każdy szczegół tej uroczystości. Odtąd urządzam to przyjęcie dokładnie tak, jak to wtedy wspólnie zaplanowaliśmy. Jak co roku w uroczystości mieli wziąć udział wszyscy pracownicy Ol Ari Nyiro, nasi przyjaciele i sąsiedzi z okolicznych rancz.

Wzdłuż drogi w Kuti stał już rząd zaparkowanych samochodów, który wciąż się wydłużał i sięgał bramy wjazdowej. Przybywali nowi goście. Samoloty lądowały na naszym lotnisku jeden za drugim. Wielobarwny tłum Afrykańczyków i Europejczyków, dorośli, młodzież i dzieci oblegali zagrodę, w której miał się odbyć główny punkt programu. Z wielkich samochodów wysypywały się drużyny biorące udział w zawodach: roześmiani, radośni Afrykańczycy w jasnych bawełnianych koszulkach z nadrukiem nazw reprezentowanych rancz. Na ich twarzach malowało się podniecenie dzisiejszym wydarzeniem.

Na wielkiej tablicy można było przeczytać program uroczystości : sztafeta z wielbładami, osłami i końmi; bieg z przeszkodami dla dzieci; przeciąganie liny; gry zręcznościowe związane z pracą przy bydle. Był też konkurs artystyczny dla dzieci z naszej szkoły na temat „Zwierzęta na naszym ranczu”, a także na najpiękniejsze wyroby rękodzielnicze oraz na najlepiej utrzymany ogród. Ukoronowaniem części konkursowej — wyczekiwany przez wszystkich — miało być klasyczne rodeo czyli ujeżdżanie na oklep byków, z użyciem tylko jednej ręki. Zwycięzcą, który utrzymał się najdłużej na wierzgającym zwierzęciu okazał się potem Simon Evans, syn Jaspera. Na zakończenie miały być tańce i uczta. Party noworoczne i dyskoteka!

Przyjaciele, których nie widziałam od lat, podchodzili do mnie, by się przywitać. Znajome twarze, młodzi mężczyźni i kobiety, przyjaciele Emanuela, młodzieńcy w pełni rozkwitu, piękni i już dorośli. Jaki byłby Emanuel w wieku dwudziestu, trzydziestu lat? Z wielkiej fotografii w ramce, ustawionej na stole obok trofeum dla zwycięzcy, uśmiechał się do mnie swoim smutnym, mądrym uśmiechem, który nigdy się nie zestarzeje.

Przywitałam się z radosnym jak zawsze, rudym Toonem Hane-grafem, wyższym niż ktokolwiek z obecnych. Zamieniłam kilka słów z Michaelem Werikhe, który przyjechał z Mombasy. Wyściskałam Carletto i jego córki.

Jeszcze jeden samolot przeleciał nisko nad nami. To był Iain. W chwilę potem z ciasnej kabiny wygramoliły się Saba i Dudu — teraz piękne kobiety — za nimi Orią, wszystkie opalone na kolor dojrzałej oliwki, przyozdobione kolczykami i bransoletami, w długich spódnicach i z podzwaniającymi na kostkach ich bosych stóp srebrnymi obręczami.

W chmurze czerwonego pyłu zajechała nasza ciężarówka toyota pełna śpiewaków z plemienia Meru, którzy zawodzili głośno swoją pieśń radości.

W środku zagrody, w której miało się odbyć rodeo, panował niepodzielnie Colin, główny sędzia zawodów, z gwizdkiem w ustach i w niebieskiej czapeczce osłaniającej oczy. Bydło zostało już wcześniej wybrane i oznakowane. Nie opodal czekały na swoją kolejkę wielbłądy i osły, wraz ze swoimi właścicielami. Przygotowywano sizalowe powrozy do konkursu przeciągania liny. Na stole stały już w równym rzędzie nagrody dla zwycięzców. Wyznaczano stanowiska dla strzelców. Ich celem miała być wielka tarcza, na której namalowano atakującego byka. Zespoły poszczególnych ranch były już gotowe do sportowych zmagania. Drużyna Mugie, składająca się z członków plemienia Samburu — w tradycyjnych czerwono-białych *shukach*, w kolczykach z czerwonych paciorków i z lśniącymi włóczniami — prezentowała się najokazalej. Każdy z nich stał nieporuszony na jednej nodze, jak dumny flaming. Ludzie z drużyny Ol Ari Nyiro zmieszali się z tłumem gości, wykonując swoje obowiązki gospodarzy. Wszyscy byli ubrani w bawełniane koszulki khaki, na których widniał gruby nadruk „Dla Emanuela”.

Wśród nich, z piórem zatkniętym we włosy, kręcił się Mapengo. Co roku przyjeżdża do Laikipii na ten jeden dzień, by wziąć udział w zawodach na cześć swojego *ndugu* (brata). Jego zawadiacki sposób chodzenia i bezzębny uśmiech zdawał się nie zmieniony przez lata, a gdy zwycięsko ujeżdżał byka w swojej koszulce z napisem „Dla Emanuela”, miałam wrażenie, że czas cofnął się do tamtych szczęśliwych dni, kiedy razem z moim synem polowali na węże.

Wśród krzyków, oklasków i aplauzu rodeo powoli zbliżało się ku końcowi. Któryż to już raz, piąty, szósty? Rodeo odbyło się w ostatni dzień roku, to jest w dzień świąteczny najbliższy daty urodzin Emy. W chwili rozdawania nagród przypomniałam moim gościom raz jeszcze, że na tej ziemi żył kiedyś chłopiec, który kochał Afrykę, zamieszkujących ją ludzi, jej faunę i florę. Mówiłam, że miłość to pomost, który łączy dwa brzegi, życia i śmierci; że nawet najszerszy i najbardziej rwący strumień czasu nie rozdzieli nas, dopóki nosimy w naszych sercach pamięć o nim; i że ponieważ jak wszyscy młodzi uwielbiał zabawę, na tym przyjęciu, które zorganizowałam na jego cześć, wszyscy powinniśmy bawić się i radować, tak, jakby był tu z nami.

W cieniu drzewa, gotowi do wieczornych tańców przy ognisku, „ubrani” w odświętnie natłuszczone skóry czekali Pokotowie. Przeszli wiele mil, by być razem z nami i odśpiewać pieśń pamięci o *kijanie*, który ich kochał. Była wśród nich również stara znachorka, Cheptosai Selale, z twarzą ceremonialnie natłuszczoną czerwoną ochrą. Wszystkie goszczące tego dnia plemiona połączą się we wspólnym tańcu, który przy świetle ognisk będzie trwał aż do rana. A kiedy słońce Nowego Roku wyłoni się zza wzgórz, powita je gardłowy zew wibrujący z dziesiątków gardoł, jakby dobyty z samego serca Afryki.

Zbliżała się północ. Muzyka dyskotekowa powoli słabnie, jest coraz cichsza, milknie... Przerwano tańce, goście zaczęli rozchodzić się po trawniku, spoglądając w napięciu na zegarki.

Ciszę zaczął nagle wypełniać hiszpański rytm. Wznosił się, jakby

płynąc w subtelnym crescendo, natężał, rósł, sięgając niemal rozgwieżdżonego nieba. Tłum słuchał w podniosłym skupieniu ukochanej muzyki Emanuela: *Bolera* Ravela.

Przy grobach, jak w każdą noc palił się ogień...

Na obrzeżach ogrodu, zwinnie prześlizgując się między tłumem gości, przemieszczał się Robin. Jak prawdziwy czarownik pojawiał się w świetle tysięcy świec, to znów znikał w gęstym cieniu nocnych drzew. W pewnej chwili pochylił się nad czymś i odskoczył.

Pierwsza z wielu noworocznych rakiet z sykiem wystrzeliła w niebo. Eksplodując w miariady iskier, zalała rześnistym światłem ogród, ludzi zadzierających głowy, krzewy i drzewa.

Wino lało się do kieliszków. — Szczęśliwego Nowego Roku! — Przyjaciele podchodzili, by mnie uściskać. — Jeszcze jedno wspaniałe wspomnienie na cześć twojego syna — mówili.

W ciemnościach nikt nie widział moich łez. Patrzyłam w górę, w tajemniczy przestwór nad nami, szukając Emanuela. — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój kochany — wyszeptalam.

Miałby teraz dwadzieścia dwa lata. Upłynął kolejny rok, zaczął się następny.

### **43 Ognisko z kości słoniowej**

Jeśli wielkie bestie odejdą, człowiek z pewnością umrze na wielką samotność ducha.

Wódz Seattle z Nez Perce, 1884

W latach osiemdziesiątych północną prowincję Kenii zalały bandy somalijskich *shifaha* i dezertów z armii. Przedzierając się przez parki, zostawiali za sobą kości zwierząt, pokaleczone trupy, bezbronne osieroczone młode i zdziesiątkowane stada nosorożców i słoni. Na otwartych

sawannach i w dzikim buszu Afryki rozgrywały się dramatyczne sceny. System ochrony dzikiej przyrody w Kenii był dopiero w załączku. Kiepsko wyposażeni pracownicy, brak fachowego kierownictwa, nieodpowiednie zarządzanie, wszystko to nie pozwalało powstrzymać zorganizowanego kłusownictwa.

Chociaż w Ol Ari Nyiro sytuacja była pod kontrolą, na sąsiednich ranczach rzeź zwierząt zdawała się nie do opanowania. W Ol Ari Nyiro coraz częściej chroniły się poranione słonie i nosorożce. Okaleczone wnykami lub nabojami przychodziły na nasze spokojne rancho, by umrzeć albo szukać pomocy. Colin i drużyna ratownicza, którą kierował, pracowali bez chwili wytchnienia.

Przyglądałam się, jak Colin kończy zszywać ranę na nodze uśpionego małego słonia. Teraz nasi strażnicy, przyodziani w mundury, które zlewały się z otoczeniem, przygotowywali się do obrony biednego stworzenia przed kłusownikami. Należało je chronić dopóty, dopóki nie podniesie się na nogi i po długiej i bolesnej rekonwalescencji nie dołączy do stada. Trzech naszych ludzi miało przez ten czas je osłaniać, by się upewnić, że żaden myśliwy z plemienia Pokotów czy Samburów nie wykorzysta jego słabości. Będą czuwali nad nim tak długo, aż nie ozdrowieje.

Upłynęło kilka tygodni. Rana słońątka stopniowo się goiła. Już nie kulało. Jego matka codziennie przychodziła sprawdzać, co się z nim dzieje, aż wreszcie całe stado, być może wzywane przez niedosłyszalne dla ludzkiego ucha dźwięki, wróciło, by je zabrać. Trzej nasi strażnicy, którzy się nim opiekowali, karmili je lucerną i wodą, zagadywali je i uspokajali, strzegąc go na okrągło w dzień i w noc, mogli teraz powrócić do Ol Ari Nyiro.

Park Narodowy Tsavo, niegdyś królestwo dzikich słoni, stał się obecnie sceną zbiorowej śmierci setek bezbronnych gruboskórców, zabijanych przez ludzką chciwość. Spis zorganizowany w 1988 roku przez Iaina Douglas-Hamiltona wykazał, że tylko kilka tysięcy słoni zostało w Tsavo, a ich liczba z każdym dniem malała. Mimo międzynarodowego rozgłosu i pomocy napływającej do Kenii, wydawało się, że nic nie jest w stanie zatrzymać ich masowej i nieodwracalnej zagłady. Słonie, jak dinozaury, zdawały się skazane na wymarcie.

W kwietniu 1989 roku Oria przekazała mi przez radio wiadomość, że Richard Leakey został mianowany przez prezydenta Kenii nowym dyrektorem Departamentu Ochrony Dzikiej Przyrody, mającego wkrótce przekształcić się w organizację rządową pod nazwą Kenijska Służba Ochrony Dzikiej Przyrody (Kenya Wildlife Services). Z dnia na dzień Richard stał się odpowiedzialny za zreorganizowanie systemu ochrony ginących gatunków zwierząt na całym terytorium olbrzymiego kraju. Zadanie, które otrzymał, było niewyobrażalnie trudne i przez większość uznane za niemożliwe. Richard postanowił włożyć w to dzieło wszystkie swoje umiejętności, czas i odwagę... Bardzo chciałam, żeby mu się powiodło.

— Mam ci złożyć gratulacje czy kondolencje? — zapytałam go przez telefon, gdy tylko pojechałam do Nairobi.

Zaśmiał się charakterystycznym śmiechem.

— Jedno i drugie.

Ani przez chwilę nie wątpiłam, że stanie na wysokości zadania i miałam rację.

Istniało wiele priorytetowych, powiązanych ze sobą zadań, ale najważniejszym i najbardziej nagłym było powstrzymanie rzezi zwierząt. Nie ulegało wątpliwości, że jak długo ludzie będą kupowali kość słoniową oraz wytwarzane z niej produkty, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie zabijał słonie. Richard, jak wielu innych, był zdania, że jedynym sposobem powstrzymania masakry, było uderzenie w sieć dystrybutorów handlowych. Uważał, że Kenia powinna służyć konsekwentnym przykładem bezkompromisowej walki z handlarzami i eksporterami, za którą idzie litera prawa i bezwzględna kara.

Działałam w Stowarzyszeniu Prywatnych Rezerwatów Nosorożców, byłam jego wiceprzewodniczącą. Nasze stowarzyszenie spotykało się za każdym razem u innego właściciela rezerwatu. Teraz była nasza kolej. Spotkanie miało się więc odbyć w Ol Ari Nyiro, w moim domu w Kutu. Dyrektora Departamentu Ochrony Dzikich Zwierząt zapraszało się niemal z urzędu, a teraz był nim Richard, trudno uchwytny, gdyż wciąż wyjeżdżał na różnego rodzaju inspekcje. Ku mojej radości przybył rano

na nasz zjazd, będąc w drodze do Koobi-Fory, która leży w Parku. Otworzył posiedzenie i wszyscy byli pod wrażeniem jego rozsądnych i przekonujących stwierdzeń.

Tego samego dnia, wieczorem, wracając z Turkany, Richard powiedział nam, że prezydent zgodził się na publiczne spalenie dwunastu ton kości słoniowej, zgromadzonej w ciągu ostatnich dwóch lat w Ivory Room (Domu Kości Słoniowej). Miała być ona sprzedana na specjalnej aukcji, a jej wartość szacowano na trzy miliony dolarów. Richard odwołał sprzedaż, co było o tyle trudne, że już zjechali do Nairobi nabywcy z całego niemal świata.

— Dwanaście ton! — westchnęłam. — Jak wy spalicie dwanaście ton kości słoniowej? Czy ona w ogóle się pali?

— Nie jestem pewien — powiedział Richard nie zrażony. — Musi być jakiś sposób. Dlaczego nie mielibyśmy spróbować?

Posiadamy w Laikipii pewną ilość kości słoniowej, gdyż zbierają ją nasi ludzie. Pragnąc zachęcić ich, by kość słoniową oddawali, a nie sprzedawali pokątnie, wynagradzamy ich proporcjonalnie do wartości znaleziska. Następnie nadajemy numery i wprowadzamy do rejestru. Kiedy mamy wystarczającą ilość kości, by wypełnić tył samochodu, Colin, który jest również honorowym strażnikiem zwierzyny, zawozi ją do Nanyuki i przekazuje Departamentowi Ochrony Dzikiej Przyrody.

Za pozwoleniem Richarda poprosiłam Colina, by przysłał kilka większych kawałków i nie bez pewnego sceptycyzmu wrzuciliśmy je do kominka podczas obiadu. Proces spalania trwał dość długo i wymagał dużej ilości drewna. W końcu kość rozsypała się na spopielale płatki. Całe to przedsięwzięcie wymagało bardzo wysokiej temperatury, a stosunek wagowy drewna do kości słoniowej wynosił mniej więcej dziesięć do jednego. Richard poprosił Colina o pomoc w znalezieniu lepszego rozwiązania. Myśl o zniszczeniu dwunastu ton słoniowych kłów i odpowiednio stu dwudziestu ton drewna była zatrważająca. Spalić las po to, by zniszczyć kość słoniową! Z punktu widzenia ochrony środowiska było to równie bezsensowne jak zabijanie słońi. Decyzja oczywiście nie należała do mnie, ale postanowiłam szukać innego rozwiązania.



Najlepsze pomysły zawsze przychodziły mi do głowy w momencie zasypiania. Kilka dni po tamtym weekendzie, wieczorem, kiedy już miałam zapaść w sen, z nagłą wyrazistością uświadomiłam sobie, że prawdziwym celem publicznego spalenia zgromadzonej kości słoniowej było pokazanie światu, że rząd Kenii z całą determinacją pragnie realizować swoje posłanie ratowania ginących gatunków zwierząt. Kiedy prezydent Kenii zapali stos przed zgromadzonym tłumem dziennikarzy, płomienie powinny buchnąć w górę triumfalnie, a zarazem ku przestrodze wszystkim niedowiarkom. Musi to być efektowne widowisko. Spektakl, który oglądać będą stacje telewizyjne z całego świata!

Usiadłam na łóżku nagle zupełnie rozbudzona. Robin!

Robin był przecież specjalistą od efektów filmowych. Z pewnością znał jakiś sposób, który gwarantowałby spektakularny efekt, a przede wszystkim pozwolił zaoszczędzić drewno. Przecież na tym polegała jego praca! Właśnie wrócił z Norwegii i wkrótce zamierzał jechać na Bliski Wschód, by kręcić tam jakiś film. Postanowiłam natychmiast do niego zadzwonić. Było po północy.

— Gdybyś miał spalić dwanaście ton kości słoniowej, na oczach prasy, jak byś to zrobił? — zapytałam go.

— Bardzo prosto — odpowiedział zaspanym głosem, po czym cierpliwie mi wyjaśnił, na czym to właściwie polega. Zanurzyłyby po kolei wszystkie kły w łatwopalnym bezbarwnym kleju. Ułożyłyby je na stosie drewna, na konstrukcji z ukrytych rurek podłączonych do specjalnej pompy natryskowej, by utrzymać odpowiednią temperaturę i ogień tak długo, jak będzie to konieczne. Na koniec powiedział, że potrafi sobie z tym poradzić i zgłosił się na ochotnika do realizacji tego przedsięwzięcia.

Nazajutrz zadzwoniłam do Richarda.

— Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś spotkał się z Robinem — powiedziałam. — On ma kilka pomysłów, które brzmią bardzo sensownie. — Szybko mu je wyjaśniłam.

— Powiedz, żeby przyszedł tu o dziewiątej — odrzekł.

Stało na tym, że Robin miał czuwać nad całością, a Colin wziął na siebie odpowiedzialność za ustawienie gigantycznego stosu.

W ten sposób i ja, mimo woli, zostałam zaangażowana w ostatni akt dramatu słoni.

Był 18 lutego 1989 roku. Przez tłum zgromadzony w Parku Narodowym Nairobi przeszedł dreszcz podniecenia. Narodowa orkiestra dęta, ubrana w błękitne mundury, zaintonowała hymn. Ludzie klaskali; wyciągali szyje, żeby lepiej wszystko zobaczyć. Trzaskały aparaty fotograficzne.

Z lśniącego samochodu wysiadł prezydent Moi. Dźwięki hymnu narodowego wzniosły się ku bezchmurnemu niebu. W tle rysowały się drapacze chmur w Nairobi, przypominając o bezwzględnej ingerencji człowieka w środowisko naturalne.

Niedaleko nas wznosił się stos równo poustawianych słoniowych kłów, symbol zagłady dwóch tysięcy słoni. Nie dalej jak wczoraj pomagaliśmy je przewozić, Sveva i ja, Colin i Robin, Oria i jej córki oraz moi pracownicy, których wydelegowałam do pomocy. Oczywiście był też z nami Richard.

Wypatrywałam Robina, co utrudniał mi napierający tłum. Wreszcie zobaczyłam, jak lekkim krokiem wystąpił do przodu, trzymając w dłoni długi kij zanurzony w kleju, gotowy do rozpalenia.

W tłumie dostrzegłam wielu przyjaciół, którzy w ciągu lat stali się częścią mego życia i mojej pracy. Przeszukiwałam wzrokiem zebranych ludzi, skupiając się z pewnym zdziwieniem na tej czy innej twarzy. Były tam wszystkie znane osobistości związane z ruchem ochrony środowiska naturalnego.

Ostatnie nuty hymnu narodowego ulatywały w gorące powietrze południa. Prezydent Moi, za którym kroczył Richard, wstąpił na podium udrapowane czerwoną tkaniną. Przed sobą miał stos kości słoniowej, który wkrótce miał pójść z dymem, tym samym dowodząc światu, że Kenia wcielała w życie swoje wcześniejsze deklaracje. W kompletnej ciszy, jaka zapadła, zatrzeszczał mikrofon.

Czystym głosem prezydent Kenii wygłosił historyczną mowę. Góra kości słoniowej warta ponad trzy miliony dolarów, symbol destrukcji

środowiska miała być teraz zniszczona tu w Parku, w sanktuarium dziej przyrody. Dla mnie cały ten spektakl był czymś oczyszczającym, jakby aktem pokuty za popełnione grzechy pychy, okrucieństwa i głupoty, a zarazem aktem wiary w to, że można wszystko rozpocząć od nowa, w trosce o przyszłe pokolenia i przez szacunek dla przeszłości.

Przemówienie dobiegło końca. Prezydent zszedł z podium. Robin zapalił kij i podał go Richardowi, który przekazał go prezydentowi Moi. Wstrzymałam oddech i na chwilę zamknęłam oczy.

Kły, zanurzone w specjalnym kleju, natychmiast zajęły się płomieniem. Początkowo lekki, a potem gęsty dym wzniósł się w powietrze zwartą chmurą, rozsiewając zapach starych kości. Przez czarne kłęby widziałam postać Svevy, której na krok nie odstępowała Wanjiru. Kły poczerniały i zaczęły z trzaskiem pękać. Tłum wybuchnął ogłuszającym aplauzem, a załogi telewizyjne z całego świata pokazywały w każdym zakątku ziemi ten symboliczny pokłon Afryki dla jej przyrody. Robin wciąż manipulował coś przy pompie z paliwem i przy generatorze. Przez dym widziałam niewyraźnie jego uśmiechniętą twarz.

Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ogień. Kły w pomarańczowych językach ognia powoli zmieniały się w węgiel. Stopniowo, w ciągu następnych godzin tłum się rozchodził. Oria zaprosiła mnie na herbatę, więc pojechałyśmy do niej ze Svewą. Żółta chmura dymu sunęła po niebie, by przyłączyć się do białych chmur lata.

Wieczorem wróciłyśmy tu. Tłum rozszedł się już wiele godzin temu. Nad Parkiem Narodowym Nairobi, pozostawionym teraz znów jego zwierzętom, szybko zapadała noc.

Strażnicy w zielonych strojach stali ze swoimi karabinami, pilnując tego, co zostało z tysięcy kłów, symbolu wymordowanych stad słoni, które kiedyś wędrowały po równinach. Ognisko wciąż się tliło. W rozżarzonych węglach nadal można było rozpoznać kształty długich zakrzywionych zębów, rozsypujących się pomалу w popiół. Stałam, patrząc na nie jak zaczarowana, wspominając inne miejsca, innych ludzi i inne ogniska w moim życiu, z których to było ostatnim.

Gdzieś niedaleko w ciemnościach zaryczał lew — gardłowy salut do wschodzącego księżyca. Światła Nairobi pstrzyły noc jak odpoczywające na krzaku świetliki.

Mała rączka wśliznęła się w moją — palec wskazujący zakrzywiony jak zawsze, kiedy Sveva nad czymś głęboko myślała. Pełgający płomień dogasającego ogniska igrał na jej skórze; jej włosy lśniły najszerszym złotem, oczy były szeroko otwarte i zamyślane. Tak długo, jak będzie żyła, pamięć o tej chwili pozostanie w niej. Było to jakby zakończenie jeszcze jednego etapu i początek czegoś, co oczyszczało i nadawało sens wszystkim wydarzeniom, które miały się rozegrać w naszym życiu.

Przed nami przyszłość... z wszystkimi swoimi wyzwaniem. Koło wykonało swój obrót. Zaczęło następny...

## 44. Epilog

Bo słowo jest Zmartwychwstaniem  
I nawet morze mórz będzie musiało oddać swoich zmarłych.

D.H. Lawrence, *Be Still*  
(przekł. Mirosław Gryka)

Po uroczystości spalenia kości słoniowej wracaliśmy do Laikipii. Miałam wrażenie, jakbym cofała się w czasie. Pozostawiliśmy wysokie budynki w Nairobi za sobą i jadąc drogą obsadzoną cyprysami i sosnami, nagle doznałam prawdziwego wstrząsu. Na wysokiej skarpie otworzyła się przed moimi oczami zapierająca dech w piersiach panorama Wielkiego Rowu i jeziora Naivasha z jego wyspą w kształcie półksiężyca.

Wzdłuż drogi, na której położono nową nawierzchnię, ciągnęły się małe farmy, wsie, drewniane chatki i rzadkie zagajniki. Przejeżdżaliśmy przez gęsto zaludnione tereny, przed naszymi oczyma przesuwały się zaorane pola, dachy z blachy falistej, małe stadka kóz i kościstych krów, splachetki ziemi ze sterczącymi pniami na pół wypalonych drzew, w których kiedyś mieszkaly gerezy. Kikujuskie dzieci pozdrawiały

nas skinieniem dłoni. Niektóre z nich raz lub dwa razy do roku przyjeżdżają ze swoimi nauczycielami na ranczo ciężarówką, którą im podsyłamy, by zobaczyły dzikie zwierzęta. Powędrowały one bowiem w głąb kraju, wyparte przez cywilizację.

Wpatrzona w drogę, nie zauważyłam w pierwszej chwili małego człowieczka, który pozdrowił nas nieśmiałym gestem ręki. Zwolniłam trochę, nie zatrzymując się jednak. W tej postaci było coś znajomego... Wanjiru i Sveva odwróciły głowy w jego kierunku i zawołały jednocześnie:

— To Luka!

Nacisnęłam hamulec i samochód zatrzymał się w chmurze czerwonego pyłu. Luka biegł w naszym kierunku; małe gibkie ciało, pochylone do przodu, by pokonać opór powietrza, charakterystyczny sposób stawiania stóp i praca rąk — tę sylwetkę urodzonego biegacza rozpoznałabym wszędzie. Wiele razy biegaliśmy razem, goniąc za, lub uciekając przed jakimś zwierzęciem. Próbowалам naśladować jego naturalną giętkość, kąt stawiania stóp, by również jak on pokonywać dystans z naturalną swobodą myśliwego i bez wysiłku. Zatrzymał się przed moim otwartym oknem.

— Luka.

— *Memsaab. Kainda. Wanjiru. Kumbe, wewe bachi najua minii!* (Poznała mnie pani !)

Postarzał się. Brakowało mu kilku zębów. Był znacznie chudszy, kości policzkowe jakby jeszcze bardziej wystawały, ale zaczerwienione oczy świeciły blaskiem jego dawnego, niezłomnego ducha. Powiedział nam, że ma sklep, *shambę* w Lariak i czuje się dobrze... Tęskni za buшем.

— *Habari wafarul* (Jak się mają nosorożce?)

Wyczuwałam nostalgię w jego głosie. Przyjdzie kiedyś nas odwiedzić. Niedługo, może za miesiąc. Pożegnaliśmy się. W lusterku jego drobna postać stawała się coraz mniejsza. Jeszcze przez chwilę widzieliśmy jego rękę, uniesioną wysoko w pożegnalnym geście. Sveva machała do niego przez cały czas, dopóki kurz nie zasłonił jego postaci.

Na końcu laterytowego szlaku dojechaliśmy do bramy. Na masywnych słupach kazałam kiedyś wyryć napis: OL ARI NYIRO RANCH. LAIKIPIA RANCHING CO. Pod spodem, już później dopisano: „The Gallmann Memorial Foundation”. Brama otworzyła się i strażnik powitał nas z uśmiechem.

— *Habari wa nvua’i* (Coś słyhać na temat deszczu?) — zapytał. Jak wszyscy wpisałam się do książki wizytujących.

Brama zamknęła się za nami i wjechaliśmy do prawdziwej Afryki.

Falujące wzgórze. Jasnozielona *leleshva*. Jaskrawoczerwona ziemia. Duże stada dzikich perliczek. Na południe, u stóp wzgórza Englesha od strony Ol Ari Nyiro zaczynał się dziewiczy las, gdzie wciąż znajdowały azyl gerezy, lamparty i bawoły, rzadkie ptaki i motyle. Nie opodal rozciągały się bezkresne połacie trawy, na której wypasały się stada tłustego borańskiego bydła, i pola obsadzone kukurydzą, owsem, sorgo, pszenicą i fasolą.

Zabawialiśmy się ze Svewą, która pierwsza dostrzeże czworonożne dzikie zwierzę. Nie trwało to długo, bo oto zobaczyłyśmy stado impali. A potem biegnące guźce. Samiec zebry, masywny, z drgającym ogonem nad okrągłym tłustym zadem, obserwujący nas z bezpiecznej odległości parsknął i popędził za swoimi samicami.

— Słoń! — krzyknęła Sveva.

Objadając cierniste drzewa, grupa samic i młodych słońi pozornie nie zważała na nas, ale ich trąby były wyciągnięte czujnie, by uchwycić nasz zapach, a uszy trzepotały niespokojnie. Stado pelikanów łowiło ryby przy tamie Nyukundu. Po wschodniej stronie spore stado owiec Dorpera o białych korpusach i czarnych głowach piło wodę pod baczynym okiem pasterzy. Bawoły gasiły pragnienie przy Wielkiej Tamie. Zanurzone w wodzie po kolana, unosiły czujnie czarne głowy, strzygąc długimi uszami. Z ich nozdrzy ciągnęły się cienkie nitki śliny...

Droga wspinała się dalej do Kuti przez polany i *luggi*, zataczała łuk wokół lotniska i nagle pojawił się mój ogród płonący w ogniu kwiatów. Euforbie wyrosły w potężną kolumnadę, w ich gałęziach wibrowały głosy ptaków.

Do samochodu podbiegł Simon z uśmiechem na ustach. Uścisnęliśmy sobie ręce.

— *Ejok.*

— *Ejoknui.*

Psy skakały wokół nas z radości.

Choć każdy powrót do domu w Laikipii wydawał się taki sam, był jednak za każdym razem inny. Zachodziły drobne zmiany... urodziły się nowe szczeniaki lub po raz pierwszy zakwitły orchidee; słonie sforsowały elektryczny płot i wyrwały drzewo z korzeniami albo zgniotły rurę kanalizacyjną; lampart przyszedł ukraść psom mięso; przy bramie zastrzelono wściekłego szakala; w stawie rybnym zagnieżdziła się kobra; ktoś zapadł na malarię i trzeba go było odesłać do szpitala; pod sufitem w pokoju Emanuela znów wyroiły się dzikie pszczoły... Niezwykle i pamiętne zdarzenia — jak w tamten szczególny wieczór, niedługo po spaleniu stosu kości słoniowej. Moje psy były gotowe do wieczornego spaceru, kiedy w progu wyrosła nagle postać Simona. Jego niewzruszona zwykle twarz tym razem była wykrzywiona ze zdenerwowania.

— *Memsaab* — szepnął ponuro. — *Warani wa tayeri ya Pokot alikuja kusalamia wewe. Ni saidi ya mia. Unajaza kiwanja.* (Młodzi obrzezani wojownicy Pokotów przyszli złożyć ci swoje uszanowanie. Jest ich ponad setka. Zajmują całe lotnisko.) — Był bardzo poruszony. — *Ni kitu kubwa sana.* (To wielka sprawa.)

Wysłałam z psami na trawnik. Złote światło późnego popołudnia rysowało się na horyzoncie ciemnych wzgórz. Profil Mugongo ya Ngurue wyglądał jak grzbiet wieloryba, który zamierza zanurkować w tajemniczą otchłań wąwozu Mukutan. Chmury były zabarwione na pomarańczowo, jakby niewidzialny ogień płonął poza krawędzią horyzontu.

Psy zeszywniały, prostując uszy i patrząc na zachód. Ich czarne nosy drgały, węsząc w powietrzu zapach obcych ludzi. Niepokój zmierzwił im sierść na grzbietach. Wyglądały jak stado hien gotujących się do ataku.

W rytm kopyt nieprzeliczonego stada bawołów zbliżała się powoli od równiny armia młodych bosych wojowników. Niósł się od nich przepony tajemnicą, niski, wibrujący dźwięk: pokocka pieśń obrzezania.

Wzięłam Sveve za rękę. Jej błękitne oczy rozszerzała ciekawość. Psy otoczyły nas.

— Powiedz, że ich zapraszam — zwróciłam się do Simona. — Będziemy na nich czekać.

Byłyśmy daleko od Włoch, od łagodnego otoczenia mojego dzieciństwa: tablic z greckimi inskrypcjami, klas ocienionych szarością, płócien dawnych mistrzów, dzwonów dobiegających z kościołów, historii unoszącej się w jesiennej mgle.

Ujrzeliśmy nie kończący się pochód identycznych, ciemnych ciał, które przesuwały się jak drewniane lalki między akacjami i euforbiami. Ich twarze zasłaniały długie zaplecione w warkoczyki włosy, które opadały aż do pasa. Od piersi po kolana byli owinięci w skóry zmiękczone tłuszczem i czerwoną ochrą. Ich rysy były nierozpoznawalne, zdawali się bezpłciowi i dalecy niczym duchy lub anioły.

Była ich ponad setka. Każdy z nich trzymał rytualny łuk i strzały o skomplikowanym wzorach, rdzawobrazowych i barwy kości słoniowej. Śpiewali pieśń, w której brzmiała nuta niepokoju. Zbliżali się po spirali pojedynczym rzędem, bez końca okrążając nas dookoła, lecz z oznakami przyjaźni. Na przedzie szli starzy wodzowie. Kilku z nich rozpoznałam: strusie pióra zatknięte do czapeczek, ściśle przylegających do czaszek, czarne *shuki* spięte na chudych biodrach, sandały z nie wyprawionej skóry przywiązane do gruzłowatych stóp. Nieśli włócznie z ostrzami osłoniętymi i opuszczonymi w dół na znak pokoju.

W mgnieniu oka wojownicy otoczyli nas równym kołem. Sveva i ja czekałyśmy w środku, na wypielęgnowanym trawniku, pośród kwiatów, a psy czujnie warowały u naszych nóg. Jasna skóra i włosy wyróżniały nas na ich tle. Spostrzegłam też, że byłyśmy jedynymi kobietami obecnymi przy tej ceremonii. Europejskie pochodzenie, moja pozycja jako strażnika tej ziemi dawała nam, jak przypuszczałam, status mężczyzn.

A były czasy, zaledwie kilka lat temu, gdy ci sami Pokotowie zabijali nasze nosorożce.

Wodzowie zbliżyli się, by podać nam rękę.



— *Sopai* (Pozdrawiamy cię) — powiedział najstarszy z nich.

— *Epah* (A ja pozdrawiam was) — odrzekłam.

Langeta — syn Cheptosai Seialc, starej znachorki i zielarki — zbliżył się, żeby mi tłumaczyć słowa Pokotów.

— Kuki, przychodzimy w pokoju, by pozdrowić cię i życzyć ci pomyślności. Nasza wojna z rebeliantami z plemienia Turkana dobiegła końca i nadszedł czas radości dla Pokotów. Jest to też koniec naszej pierwszej od dwudziestu trzech lat ceremonii obrzezania. Każda *manyatta* wysłała do ciebie kilku swoich młodych wojowników i żaden z nich nie zapomni tego dnia oraz tego, co on oznacza.

Przekroczyliśmy twoją granicę, by potwierdzić naszą przyjaźń i gotowość do współpracy. Wy, Musungu, byliście w porządku wobec nas i my będziemy lojalni wobec was. Przychodzimy, by ci podziękować. Chcemy, byś wiedziała, że uważamy cię za jedną z nas. Pomagałaś nam i my będziemy pomagali tobie. Nie będziemy niepokoili zwierząt, o które się troszczysz. To, co mówimy teraz, nie może być odwołane i nie może być zapomniane, gdyż jest to święty rytuał Pokotów: Bóg na nas patrzy.

Ci młodzi mężczyźni, których tu widzisz, zostali obrzezani. Jutro, i odtąd zawsze, będą ubierali się jak mężczyźni, ale dzisiaj będą śpiewali i tańczyli dla was. Jeśli masz jakieś życzenie, mów.

Czegóż więcej mogłam sobie życzyć? Przybyli, żeby złożyć mi wyrazy szacunku w moim domu w sercu Afryki. Stałam się ważną postacią w ich życiu, tak jak oni w moim. Ci dżicy wojownicy pokoccy stali pośród moich klombów, pod drzewami, które zasadziłam i pielęgnowałam, ja, dziewczyna z Wenecji, której imię znali, przyjmując mnie do swojego grona i przynosząc mi przyjaźń. Czyż wizje mojego dzieciństwa nie spełniły się ponad miarę?

Na skraju ogrodu stały dwie akacje, które przypominały mi o cenie, jaką musiałam zapłacić, by zyskać przywilej chronienia tej ziemi. Drzewka wywoływały w mojej pamięci twarze Paola i Emanuela. Jeśli Bóg Pokotów patrzył na nas, to oni również spoglądali na mnie jego oczami. Miłość nie mogła umrzeć; moja świadomość, odpowiedzialność i poczucie przynależności do tej ziemi i ludzi wyrastało z mojej miłości do Paola i Emanuela.

Jak w dobrze wyćwiczonym układzie tanecznym ośmiu wojowników otoczyło nas ścisłym kręgiem. Pachnieli dymem, potem i zwierzęcym tłuszczem. Na ziemi pośrodku położyli wydrażoną tykwę.

Spojrzałam na Simona, który stał na zewnątrz kręgu, czekając na mój sygnał. Kiedy skinęłam na niego, podszedł i podał mi moją torebkę. Instynktownie wiedziałam, co należy zrobić. Schyliłam się i włożyłam do tykwy symboliczny podarunek.

Jednocześnie ośmiu młodych wojowników splunęło na nas na znak rytualnego błogosławieństwa i w tym momencie z ponad setki gardeł znów dobyło się zawodzenie. Potrząsając głowami, wykrzyknęły cztery słowa:

— *Therra gnow-gnow. Mama Kuki* (Dziękujemy ci, Mama Kuki).

— *Therra gnow-gnow* — odpowiedziałam pokornie.

Jak jeden mąż potrząsnęli głowami, a kiedy włosy opadły im na bok, przez chwilę mogłam widzieć rysy ich twarzy.

Nie ulegało wątpliwości, że obdarzyli mnie najwyższym zaszczytem. Obeszliśmy ze Svewą krąg dookoła, dziękując każdemu z osobna. Uścisnęłam każdą dłoń, jedną po drugiej, w potrójnym uścisku Pokotów, którego nauczyłam się kiedyś od Paola. Młodzi wojownicy śpiewali *Therra gnow-gnow raz* po raz w hipnotycznym refrenie, aż w końcu dźwięk ten stał się naturalny, jak głos zwierzęcia czy ptaka na wietrze, wibrując jeszcze długo w powietrzu, nawet kiedy już odeszli.

Kiedy ostatni Pokot się oddalił, podeszłyśmy ze Sveva do naszych drzew na obrzeżu ogrodu. Jak co noc paliło się pod nimi ognisko z drewna dzikiej oliwki. I podobnie jak wtedy, gdy płonął stos słonowych kłów, od złocistej skóry i jasnych włosów Svevy odbijał się pomarańczowy odblask, a w jej wielkich oczach mogłam odczytać doświadczenia niezwyklego dzieciństwa.

Czyste niebo równika, rozciągające się ponad konarami naszych akacji, było usiane milionami jaśniejących, nieznanymi gwiazdami.

— Niektóre z tych gwiazd — powiedziałam, bo przypomniały mi się słowa Emanuela, wypowiedziane pewnej nocy, kiedy rozbiliśmy się obozem nad tamą Nagirir — umarli miliony lat temu. A mimo to widzimy ich światło.

Spojrzałyśmy ze Sveva w górę. Poczuliśmy się małymi, lecz mimo to niezbędnymi elementami kosmosu. Patrzyłyśmy w wieczność... To, kim Sveva stanie się pewnego dnia, będzie wynikiem jej doświadczeń z dzieciństwa. Dawno, dawno temu ja też byłam dziewczynką, która śniła o Afryce.

Trzymając się za ręce, wróciłyśmy do domu. To był wyjątkowy dzień, więc chciałam go przemyśleć i zapisać go w moim dzienniku.

Hebanowa skrzyneczka, inkrustowana mosiądzem, w której trzymam swoje pióra, ma podwójne dno. Tam przechowuję listy od Paola. Wyjęłam je. Nie czytałam ich od lat.

U góry wypłowiałej kartki papieru napisał: „Kuki”. Pod spodem obrysował kontur swojej regularnej, szczupłej dłoni.

U dołu napisał: „Kocham Cię. P.”

Przykładam teraz moją rękę do zarysu jego dłoni, pragnąc jeszcze raz poczuć jej ciepło.

Znalazłam też drobne notatki. Jedna, nabazgrana na boku etykiety, mówiła: „Chcę mieć z Tobą dziecko.”

Na złożonej kartce, wyrwanej ze szkolnego zeszytu, której Paolo nie zdążył mi wręczyć, mogłam teraz między innymi przeczytać:

...otwórz swoje serce na POEZJĘ. Proszę cię, żebyś pisała wiersze i pewnego dnia pozwoliła nam je przeczytać. Masz dar widzenia, czucia i przekazywania. Ja bezpowrotnie straciłem czas, który był mi na to dany...

.. Zawsze będę cię widział, kochany mój cieniu, na trawniku w Laikipii, z psami, piszącą wiersze. A w twoich wierszach odnajdę wewnątrz twojej duszy, i tę osobę, której oddałem swoje serce. Bądź szczęśliwa. Twój P.

P.S. Jeśli nie zrobisz tego dla mnie, zrób dla Emy.

Długo wpatrywałam się w ten list. Ciszę w mojej sypialni zakłócał tylko trzask ognia. Z czarno-białej fotografii stojącej na gzymsie kominka

machali do mnie na pożegnanie Paolo w gumowej łódce na Wielkiej Tamie i Emanuel, który jechał przed nim na koniu, głęboko zanurzony w wodę. Z baldachimu mojego łóżka wciąż zwisała nylonowa nić, na której kiedyś było zawieszona strusie jajo, strzegące swojej tajemnicy. Na poręczy krzesła, niczym drugie strusie jajo, wisiał biały hełm motocyklowy Emanuela, który strzegł jego głowy. W pokoju obok była Sveva ze swoimi marzeniami o przyszłości... Tej nocy, zatopiona we wspomnieniach wzięłam pióro i zaczęłam pisać.

*Laikipia, lipiec 1989*

## Słowniczek

<i>ayah</i>	pielęgniarka, pokojówka, niania
<i>boma</i>	zagroda wykonana z palików lub gałęzi
<i>bunduki</i>	strzelba
<i>bwana</i>	pan
<i>chui</i>	lampart
<i>duka</i>	sklep
<i>fundi</i>	rzemieślnik
<i>ganduras</i>	powiewający płaszcz
<i>gari</i>	samochód
<i>hapana</i>	nie
<i>ilelechwa</i>	dzika szałwia
<i>jambo</i>	cześć!
<i>jikoni</i>	kuchnia
<i>jina</i>	imię
<i>kanga</i>	tradycyjna luźna szata dla kobiet
<i>kanzu</i>	długa szata
<i>katikań</i>	środek
<i>kidogo</i>	mały
<i>kifani</i>	nosorożec
<i>kifo</i>	śmierć
<i>kijani</i>	młodzieniec
<i>kikoi</i>	tradycyjna luźna szata dla mężczyzn
<i>kisima</i>	wiosna
<i>ki su</i>	nóż
<i>kondoo</i>	owca

<i>kubwa</i>	duży
<i>kufa</i>	umrzeć, zmarły
<i>kwaheri</i>	do widzenia!
<i>kwenda</i>	iść
<i>lugga</i>	mała dolina
<i>maj i</i>	woda
<i>makuti</i>	strzecha wykonana z liści palmowych
<i>manyatta</i>	tradycyjna siedziba klanu, zbudowana wewnątrz zagrody
<i>maramoja</i>	natychmiast
<i>matatu</i>	miejskowa taksówka
<i>mbogo</i>	bawół
<i>mbwa</i>	pies
<i>memsaab</i>	pani
<i>mistuni</i>	las
<i>mlima</i>	wzgórze
<i>mnyama</i>	zwierzę
<i>moran</i>	młody wojownik
<i>moto</i>	gorący, ogień
<i>mpishi</i>	kucharz
<i>msungu</i>	Europejczyk
<i>mti</i>	drzewo
<i>mugongo</i>	z powrotem
<i>mutamayo</i>	dzika oliwka
<i>mutaraguo</i>	cedr
<i>ndege</i>	ptak
<i>ndiyo</i>	tak
<i>ndovu</i>	słoń
<i>ngoma</i>	tradycyjna uroczystość z tańcami
<i>ng'ombe</i>	bydło
<i>ngurue</i>	świnia
<i>nugu</i>	pawian
<i>nyama</i>	mięso
<i>nyasore</i>	chudzielec
<i>nyoka</i>	wąż

<i>nyukundu</i>	czerwony
<i>nyumba</i>	dom
<i>pole</i>	przykro mi
<i>posho</i>	potrawa z gotowanej kukurydzy
<i>rudi</i>	wracać
<i>sahau</i>	zapominać
<i>shamba</i>	mała farma, poletko
<i>shuka</i>	szal, chusta
<i>simba</i>	lew
<i>taabu</i>	problem
<i>wapi?</i>	gdzie?
<i>wazee</i>	starzy mądrzy ludzie

## Spis treści

Prolog.....	11
Część I. Przedtem.....	15
1.Dziecko Italii.....	17
2.Mario i Emanuel.....	24
3.Przyjaciele z Wenecji.....	27
4.Afryka.....	32
5.Znów chodzę .....	39
6.Pierwsze ognisko.....	42
Część II. Paolo.....	45
7.Nowe życie.....	47
8.Przyjaciele w Kenii.....	49
9.Jezioro Turkana.....	54
10. Na wybrzeżu.....	58
11.Laikipia.....	64
12.Polowanie na bawołu.....	66
13.Śmierć słonia.....	70
14.Dobrzy towarzysze.....	74
15.Kuti .....	85
16.Zemsta bawołu .....	96
17.Ojcowie Emanuela .....	100
18.Pembroke House .....	104
19.Pierwszy wąż.....	108
20.Jajo.....	115



21.Przeczcucie.....	122
22.Pierwszy pogrzeb .....	124
Część III. Emanuel.....	135
23.Czas oczekiwania.....	137
24.Sveva.....	140
25.Susza.....	144
26.Śmierć nosorożca .....	151
27.Niebezpieczna pasja.....	154
28.Młody mężczyzna.....	170
29.Aidan.....	180
30.Wąż wskrzeszeniec .....	186
31.Koniec świata.....	192
32.Najdłuższy dzień — najdłuższa noc.....	199
33.Drugi pogrzeb.....	209
34.Ostatni wąż.....	215
CZĘŚĆ IV. Później .....	221
35.Samotne spaceru.....	223
36.Dar przyjaźni.....	230
37.Prosto z nieba.....	236
38.Nowa fundacja.....	247
39.Robin.....	261
40.Sveva: dziecko Afryki.....	266
41.Cienie.....	273
42.Rodeo Emanuela.....	284
43.Ognisko z kości słoniowej.....	288
Epilog .....	295
Słowniczek.....	304